

Daniel Silva

Reguły Moskwy

Przełożył Jędrzej Burakiewicz

Tytuł oryginału: *Moscow Rules*



Dla Jeffa Zuckera, Rona Meyera, Lindy Rappaport i Michaela Gendlera za ich przyjaźń, mądrość i pomoc. Oraz jak zawsze dla mojej żony Jamie i moich dzieci, Lily i Nicholasa

Nie oglądaj się za siebie. Nigdy nie jesteś zupełnie sam.

Reguły Moskwy

Część pierwsza

WEZWANIE

1

COURCHEVEL, FRANCJA

Jak co roku, inwazja zaczęła się w ostatnich dniach grudnia. Wjeżdżali opancerzonymi samochodami kempingowymi drogą wijącą się z dna doliny Rodanu albo lądowali helikopterem bądź prywatnym samolotem na zdradliwym lądowisku na szczycie góry. Bilionerzy, bankierzy, potentaci naftowi, magnaci przemysłowi, supermodelki, rozpuszczone dzieci; majątna elita odrodzonej Rosji. Napierali na apartamenty w Cheval Blanc i Byblos, zarekwirowali duże luksusowe domy przy me de Bellecôte. Zarezerwowali klub nocny Les Caves na prywatne imprezy, splądrowali luksusowe sklepy przy Croisette. Porwali najlepszych instruktorów, opróżnili sklepy z najlepszego wina i koniaku. Rankiem dwudziestego ósmego w całym miasteczku nie było ani jednego wolnego fryzjera, a Le Chalet de Pierres, znana restauracja na zboczu góry, słynąca z pieczonej na ogniu cielęciny, przestała przyjmować rezerwacje stolików aż do połowy stycznia. W sylwestra podboju dokonano. Courchevel, ekskluzywny, położony wysoko we francuskich Alpach kurort narciarski, był po raz kolejny pod rosyjską okupacją.

Tylko Hotel Grand Courchevel oparł się najazdowi ze Wschodu. Stali bywalcy nie byli tym zaskoczeni, bo zarówno Rosjanom, jak i gościom z dziećmi dawano delikatnie do zrozumienia, żeby znaleźli sobie miejsce gdzie indziej. Budynek miał trzydzieści nie za wielkich, dyskretnie urządzonych pokoi. Do Grand Hotelu nie przyjeżdżało się ze względu na złote ornamenty i pokoje rozmiarów boiska. Przyjeżdżało się tu, by zasmakować dawnej Europy. Goście niespiesznie spędzali czas w barze nad kieliszkiem campari albo przy

kawie i egzemplarzu „Le Monde” w sali śniadaniowej. Panowie przy kolacji nosili garnitury, a w stroje narciarskie przebierali się po śniadaniu, nie przed nim. Rozmowy prowadzono dyskretnie, ściszym głosem i z nadmierną uprzejmością. Hotel wciąż nie miał dostępu do Internetu, a telefony były kapryśne. Zdawało się, że gościom to nie przeszkadza; byli równie wytworni co hotel. Większość była w późnym wieku średnim. Pewien dowcipniś z jednego z bardziej efekciarskich hoteli w Jardin Alpin określił klientelę Grand Hotelu jako „ludzi starszych z rodzicami”.

Hol był nieduży, czysty i porządnie ogrzany płonącym w palenisku ogniem. Na prawo, obok wejścia do jadalni, znajdowała się recepcja, ciasna alkowa z mosiężnymi haczykami na klucze i skrzynkami na wiadomości i listy. Obok skrzypiącej windy - jedynej w hotelu - umieszczono biurko concierge’a. Wczesnym popołudniem drugiego stycznia stał przy nim Philippe, silnie zbudowany były komandos, noszący na nieskazitelnie czystej klapie marynarki skrzyżowane złote klucze, symbol Międzynarodowego Instytutu Concierge’ów. Właśnie marzył o tym, by wreszcie porzucić hotelarstwo, przenieść się na stałe do rodzinnego gospodarstwa i zająć uprawą trufli. Zamyślane piwne oczy spojrzały na listę przyjazdów i wyjazdów. Był na niej tylko jeden wpis: „Lubin, Alex. Przybędzie z Genewy samochodem. Zarezerwował pokój 237. Chce wypożyczyć narty”.

Philippe przyjrzał się nazwisku okiem doświadczonego concierge’a. Miał talent do nazwisk. To było ważne w jego pracy.

Alex... Zdrobnienie od Aleksander, pomyślał. A może Aleksandr? Czy Aleksiej? Podniósł wzrok i odchrząknął cicho. Z recepcji wysunęła się postać o nienaganej prezencji. Ricardo, kierownik popołudniowej zmiany.

- Chyba mamy problem - powiedział spokojnie Philippe. Ricardo zmarszczył brwi. Był Hiszpanem z Kraju Basków. Nie lubił problemów.

- O co chodzi?

Philippe podniósł kartę przyjazdów.

- Lubin, Alex.

Ricardo nacisnął palcami kilka klawiszy. Paznokcie miał świeżo wymanikiowane.

- Dwanaście dni? Chce wypożyczyć narty? Kto przyjął tę rezerwację?

- Nadine, o ile się nie mylę.

Nadine była nowa. Pracowała na najgorszej, nocnej zmianie. Biorąc pod uwagę, że popełniła przestępstwo, wynajmując pokój komuś o nazwisku Alex Lubin bez konsultacji z Ricardem, należało założyć, że będzie pracować na tej zmianie do śmierci.

- Myślisz, że to Rosjanin? - spytał Ricardo.

- Bez wątpienia.

Ricardo przyjął odpowiedź jako ostateczną. Chociaż piastował wyższe stanowisko, był o dwadzieścia lat młodszy od Philippe'a i nauczył się polegać na jego doświadczeniu i ocenie.

- Może uda się go zrzucić konkurencji?

- Nie da rady. Stąd aż do Albertville wszystko jest zajęte.

- W takim razie nie mamy wyboru. Oczywiście, chyba że sam zdecyduje się wyjechać.

- Co proponujesz?

- Plan B, rzecz jasna.

- To trochę skrajne podejście, nie sądzisz?

- Owszem, ale nie ma innego sposobu.

Były komandos przyjął rozkaz krótkim skinieniem głowy i zaczął planować operację. Zaczęła się o 16:12, kiedy ciemnoszary mercedes z genewską rejestracją zatrzymał się przy schodach wejściowych i zatrąbił. Philippe nie wstał od biurka przez dwie minuty, dopiero potem założył zadziwiająco spokojnie szynel i powoli wyszedł na zewnątrz. *Monsieur* Alex Lubin - dwanaście dni, wypożyczenie nart - wysiadł już z samochodu i stał wściekły przy otwartym bagażniku. Miał kościstą twarz i jasne blond włosy, starannie zaczesane na szeroką łysinę. Patrzył gniewnie do bagażnika na dwie duże nylonowe walizki. Concierge spojrzął spod zmarszczonych brwi na bagaż, jakby w życiu nie widział podobnych przedmiotów, po czym grzecznie przywitał gościa lodowatym tonem.

- Czym mogę służyć, *monsieur*?

Pytanie zadał po angielsku. Odpowiedź była w tym samym języku, z silnym słowiańskim akcentem.

- Mam zarezerwowany pokój w tym hotelu.

- Naprawdę? Nic mi nie wiadomo o żadnych przyjazdach tego popołudnia. Na pewno zaszła jakaś pomyłka. Może porozmawia pan z

moim kolegą w recepcji? Niewątpliwie uda mu się rozwiązać ten problem.

Lubin wymamrotał coś pod nosem i wszedł po wysokich schodach. Philippe złapał pierwszą walizę, była tak ciężka, że prawie wyskoczył mu dysk, kiedy spróbował ją wyciągnąć. To chyba rosyjski sprzedawca kowadeł przywiózł ze sobą walizkę z próbkami towaru, pomyślał. Kiedy udało mu się dotargać walizy do holu, Lubin powoli recytował numer potwierdzenia Ricardowi, który wydawał się okropnie zmieszany i chociaż bardzo się starał, nie mógł znaleźć rezerwacji gościa. Problem w końcu rozwiązano - „Drobna pomyłka jednej z naszych pracownic, *monsieur* Lubin. Oczywiście porozmawiam z nią na ten temat” - ale zaraz pojawił się następny. Z powodu błędu obsługi pokój nie był gotowy.

- To potrwa tylko kilka minut - powiedział Ricardo przesłodzonym głosem. - Mój kolega zanieś pana walizki do schowka. Proszę pozwolić, że wskażę panu, gdzie mieści się bar. Rzecz jasna drinki na nasz koszt. - Oczywiście były na koszt gościa, i to raczej za słońną cenę, ale Ricardo miał zamiar poinformować o tym *monsieur* Lubina, kiedy będzie na to najmniej przygotowany.

Niestety optymistyczne stwierdzenie Ricarda, że opóźnienie będzie niewielkie, okazało się niesłuszne. Minęło całe półtorej godziny, nim Lubin - bez bagażu - został zaprowadzony do swojego pokoju. Zgodnie z planem B nie było w nim szlafroka na spacer do centrum odnowy biologicznej, w barku zabrakło wódki, a telewizor był bez pilota. Alarm w zegarku przy łóżku nastawiono na 4:15 rano.

Grzejniki były odkręcone na cały regulator. Philippe ukradkiem zabrał ostatni kawałek mydła z łazienki, po czym, nie otrzymawszy napiwku, wymknął się przez drzwi, obiecując, że walizki zostaną zaraz dostarczone. Ricardo czekał na niego, gdy wysiadł z windy.

- Ile wódek wypił w barze?

- Siedem - odparł Ricardo.

Concierge zacisnął zęby i gwizdnął wzgardliwie. Tylko Rosjanin mógł wypić siedem wódek w półtorej godziny i wciąż trzymać się na nogach.

- Jak myślisz? - spytał Ricardo. - Mafia, szpieg czy płatny morderca?

To bez znaczenia, pomyślał ponuro Philippe. Rosjanin przedarł się przez mury Grand Hotelu. Rozkaz na dzień dzisiejszy brzmiał „stawiać opór”. Wycofali się na z góry upatrzone pozycje: Ricardo do swojej jaskini w recepcji, Philippe za biurko przy windzie. Po dziesięciu minutach był pierwszy telefon z pokoju 237. Ricardo przetrwał iście stalinowską tyradę, po czym wymamrotał kilka uspokajających słów i odwiesił słuchawkę. Spojrzał na Philippe'a i się uśmiechnął.

- *Monsieur* Lubin pyta, kiedy dostanie swój bagaż.

- Zajmę się tym natychmiast - odparł Philippe, tłumiąc ziewnięcie.

- Zastanawiał się też, czy można zrobić coś z ogrzewaniem w jego pokoju. Mówi, że jest za gorąco i termostat chyba się zepsuł.

Philippe podniósł słuchawkę i zadzwonił do działu obsługi.

- Podkręćcie ogrzewanie w pokoju 237 - powiedział. - Panu Lubinowi jest zimno.

Gdyby mogli zobaczyć kilka pierwszych chwil pobytu Lubina w hotelu, byliby przekonani, że to podejrzany łotr. Jak inaczej można wyjaśnić fakt, że wyjął z kredensu i szafek wszystkie szuflady, powykręcał żarówki z żyrandola i lampek? Albo to, że zerwał całą pościel i materac z wielkiego łóżka i podważył pokrywę dwukanałowego telefonu z sekretarką? I że wylał butelkę darmowej wody mineralnej do kibla, i wyrzucił dwie czekoladki wyprodukowane przez Touviera z Genewy na zasypaną śniegiem ulicę? Albo to, że kiedy dokonał dzieła, przywrócił pokój do poprzedniego stanu?

Te drastyczne kroki podjął ze względu na swój zawód, ale Ricardo, recepcjonista, mylił się w swoich przypuszczeniach. Aleksandr Wiktorowicz Lubin nie był ani mafiosem, ani szpiegiem, ani płatnym mordercą. Wykonywał najniebezpieczniejszy zawód w nowej wspaniałej Rosji: był dziennikarzem. I to nie zwykłym dziennikarzem, ale dziennikarzem niezależnym. Jego pismo, „Gazeta Moskiewska”, było jednym z ostatnich dociekliwych tygodników w kraju i nierzadko wchodziło Kremlowi w paradę. Jego reporterzy byli pod ciągłą obserwacją, często ktoś im przeszkadzał - nie tylko tajne służby, ale także prywatne firmy ochroniarskie, wynajmowane przez potężnych oligarchów. W Courchevel aż się od nich roiło - byli to ludzie, którzy bez mrugnięcia okiem mogli umieścić nadajnik,

truciznę, cokolwiek w hotelowym pokoju. Ludzi, którzy działali podług credo Stalina: „Śmierć rozwiązuje wszystkie problemy. Nie ma człowieka, nie ma problemu”.

Kiedy Lubin upewnił się, że pokój jest bezpieczny, zadzwonił ponownie do concierge’a, by zapytać o walizki, i usłyszał, że pojawiają się „natychmiast”. Otworzył szeroko drzwi balkonowe, by wpuścić do środka zimne powietrze wieczoru, usadowił się przy biurku i ze swojej podniszczonej aktówki wyjął teczkę. Dostał ją poprzedniego wieczoru od Borysa Ostrowskiego, redaktora naczelnego „Gazety Moskiewskiej”. Spotkanie odbyło się nie w redakcji, która na pewno była na podsłuchu, ale na peronie stacji metra Arbatskaja.

- Nie powiem ci wszystkiego - mówił Ostrowski, podając Lubinowi dokumenty z dobrze wyćwiczoną obojętnością. - To dla twojego bezpieczeństwa. Rozumiesz, Aleksandr? - Lubin zrozumiał doskonale. Ostrowski dawał mu zlecenie, przez które mógł zginąć.

Otworzył teczkę i przyjrzał się fotografii leżącej na wierzchu całego dossier. Przedstawiała elegancko ubranego mężczyznę o krótko przystrzyżonych włosach i surowej twarzy zawodowego boksera. Stał obok prezydenta Rosji na przyjęciu wydanym na Kremlu. Do zdjęcia dołączona była krótka biografia - zupełnie niepotrzebnie, bo jak wszyscy moskiewscy dziennikarze, Aleksandr Lubin potrafił wyrecytować z pamięci szczegóły błyskotliwej kariery Iwana Borysowicza Charkowa. „Syn wysokiego rangą oficera KGB... Absolwent prestiżowego Uniwersytetu Moskiewskiego... Cudowne dziecko V Zarządu KGB...”. Gdy imperium zaczęło się rozpadać,

Charków wystąpił z KGB i zbił fortunę w bankowości w anarchistycznych wczesnych latach rosyjskiego kapitalizmu. Umiejętnie inwestował w energię, surowce i nieruchomości i z nastaniem nowego tysiąclecia wstąpił w szeregi rozrastającej się kadry moskiewskich multimilionerów. Do Charkowa należała między innymi lotniczo-lądowa firma transportowa, której macki rozpościerały się na cały Bliski Wschód, Afrykę i Azję. Ktoś z zewnątrz nie byłby w stanie ocenić rozmiarów jego imperium finansowego. Iwan Charków był względnie nowym kapitalistą, ale został mistrzem w sztuce tworzenia firm służących za przykrywkę.

Lubin przełożył stronę dossier. Patrzył teraz na wycinek z kolorowego magazynu - dobrej jakości zdjęcie Chateau Charków, domku zimowego Iwana przy rue de Nogentil w Courchevel.

- Spędza tam ferie zimowe, jak wszyscy sławni i bogaci Rosjanie - powiedział Ostrowski. - Miej oczy dookoła głowy, kiedy zbliżasz się do jego domu. Bandziory Charkowa były w specnazie albo OMON-ie. Aleksandr, rozumiesz, co do ciebie mówię? Nie chcę, żebyś skończył jak Irina Czernowa.

Irina Czernowa była słynną dziennikarką innego pisma, głównego konkurenta „Gazety”. Wyjawiała jedną z bardziej podejrzanych inwestycji Charkowa. Wieczorem, w dwa dni po pojawieniu się artykułu, została zabita przez dwóch płatnych zabójców w windzie w swoim moskiewskim bloku. Ostrowski z siebie tylko wiadomych powodów dołączył do dossier zdjęcie jej

podziurawionego kulami ciała. Lubin ponownie szybko przewrócił kartkę.

- Iwan zwykle działa za zamkniętymi drzwiami. Courchevel to jedno z niewielu miejsc, gdzie pojawia się publicznie. Aleksandr, chcemy, żebyś go śledził. Chcemy, żebyś się dowiedział, z kim się spotyka. Z kim jeździ na nartach. Kogo zabiera na lunch. Zdobądź zdjęcia, jeśli ci się uda, ale nigdy się do niego nie zbliżaj. Ochrona Iwana potrafi na kilometr wywęszyć dziennikarza.

Następnie Ostrowski podał Lubinowi kopertę z biletami lotniczymi, rezerwacje samochodu i hoteli.

- Zgłaszaj się co dwa dni do biura - powiedział Ostrowski. - I spróbuj się trochę rozerwać, Aleksandr. Wszyscy twoi koledzy bardzo ci zazdroszczą. Jedziesz do Courchevel imprezować z bogaczami i sławami, podczas gdy my zamierzamy na śmierć w Moskwie.

Ostrowski wstał i podszedł do krawędzi peronu. Lubin wsunął dossier do walizki. Był zlany zimnym potem.

Teraz też się pocił. Cholerne gorąco! Piec wciąż grzał na całego. Chciał właśnie sięgnąć po słuchawkę telefonu, kiedy nagle rozległo się pukanie do drzwi. Dwoma gniewnymi krokami przemierzył pokój i otworzył gwałtownie, nie pytając nawet kto to. Pomyłka, pomyślał od razu bo w półmroku korytarza stał średniego wzrostu mężczyzna, ubrany w ciemną kurtkę narciarską, wełnianą czapkę i odblaskowe gogle.

Lubin nie zdążył dobrze się zastanowić, po co ktoś nosi gogle w hotelu, kiedy dosięgnął go pierwszy cios, podstępne uderzenie z boku,

które musiało mu zmiążyć tchawicę. Drugie uderzenie - dobrze wymierzone kopnięcie w krocze - sprawiło, że zgiął się wpół. Nie był w stanie wydobyć z siebie słowa protestu, kiedy mężczyzna wśliznął się do pokoju i bezgłośnie zamknął za sobą drzwi. Nie stawiał oporu, kiedy ten zaciągnął go na łóżko i usiadł okrakiem na jego biodrach. Nóż wyjęty z kurtki narciarskiej wyglądał dokładnie jak te używane przez żołnierzy elitarnych jednostek. Wszedł bezgłośnie w brzuch Lubina tuż pod żebrami i przesunął się w górę, ku sercu. Kiedy krew wypełniała mu klatkę piersiową, Lubin musiał znieść kolejne poniżenie, obserwując własną śmierć w goglach mordercy. Zabójca puścił nóż i zostawiając go w piersi Lubina, wstał z łóżka i spokojnie pozbierał dossier. Aleksandr Lubin poczuł ostatnie uderzenie swojego serca w chwili, kiedy morderca wymykał się po cichu z pokoju. Gorąco, pomyślał, cholerne gorąco...

Parę minut po siódmej Philippe wreszcie odebrał bagaż *monsieur* Lubina i wsadził go do windy. Na klamce drzwi pokoju 237 znalazł tabliczkę „Nie przeszkadzać”. Zgodnie z ustaleniami planu B trzykrotnie załomotał do drzwi. Nie usłyszawszy odpowiedzi, wyjął z kieszeni uniwersalny klucz i wszedł do środka tylko na tyle, by zobaczyć zwisające znad krawędzi łóżka mokasyny Rosjanina. Zostawił walizki w przedpokoju i wrócił do holu, gdzie poinformował Ricarda o swoim znalezisku.

- Pijany w sztok. Hiszpan spojrzął na zegarek.
- Wcześniej, nawet jak na Rosjanina. Co teraz?

- Dajmy mu odespać. Rano, kiedy będzie w sam raz skacowany, zaczniemy fazę drugą.

Hiszpan się uśmiechnął. Żaden gość nigdy nie przeżył fazy drugiej. Faza druga była zawsze zabójcza.

2

UMBRIA, WŁOCHY

Villa dei Fiori, trzystuhektarowa posiadłość położona wśród falujących wzgórz pomiędzy Tybrem i Nerą, należała do rodziny Gasparri od czasów, kiedy Umbria była wciąż pod władzą papieży. Mieściła się tam duża, przynosząca znaczne dochody hodowla bydła oraz stadnina, z której pochodziły jedne z najlepszych koni sportowych w całych Włoszech. Były tam także świnie, których nikt nie jadł, oraz stado kóz - hodowane wyłącznie w celach rozrywkowych. Dookoła rozciągały się skoszone łąki, zbocza wzgórz błyszczały żółcią słoneczników, rosły tam też gaje oliwne, z których pochodziła najlepsza oliwa w Umbrii, była także mała winnica dostarczająca miejscowej spółdzielni ponad stu kilogramów winogron rocznie. W najwyższej części ciągnął się pas lasu, przez który nie można było bezpiecznie przejść ze względu na dziki. Po całej posiadłości rozrzucone były kapliczki poświęcone Marii Pannie, a na rozwidleniu trzech zwirowanych dróg widniał imponujący drewniany krzyż. Wszędzie wałęsały się psy: cztery ogary biegały po

pastwiskach, polując na lisy i króliki, para nerwowych terierów patrolowała obrzeża stajni z zapalem godnym krzyżowców.

Sama willa stała na południowym skraju posiadłości. Prowadził do niej długi żwirowany podjazd, wzdłuż którego rosły strzeliste sosny. W jedenastym wieku mieścił się tam klasztor. Została po nim kaplica, a na otoczonym murem dziedzińcu także resztki pieca, w którym braciszkanie piekli dla siebie chleb powszedni. Wrota prowadzące na dziedziniec zrobiono z twardego drewna i żelaza. Sprawiały wrażenie, jakby zbudowano je tak, by mogły oprzeć się najazdowi pogan. U podstawy domu znajdował się duży basen, a obok niego ogród, w którym wzdłuż muru z etruskiego kamienia rosły lawenda i rozmaryn.

Hrabia Gasparri, podupadły włoski szlachcic mający koneksje w Watykanie, nie wynajmował nikomu willi ani też nie zwykł udostępniać jej krewnym i znajomym, więc służba zdziwiła się, słysząc, iż hrabia spodziewa się gościa, który w dodatku długo tu zabawi.

- Nazywa się Alessio Vianelli - poinformował hrabia Margheritę, gospodynię. Dzwonił ze swojego biura w Rzymie. - Pracuje nad specjalnym projektem dla Ojca Świętego. Proszę mu nie przeszkadzać. Proszę z nim nie rozmawiać. A najważniejsze jest to, że absolutnie nikt nie może wiedzieć o jego obecności. Z pani punktu widzenia ten człowiek to nikt. Nie istnieje.

- Gdzie mam tego nikogo ulokować? - zapytała Margherita.

- W głównej sypialni, z widokiem na basen. I proszę usunąć wszystko z salonu. Ma zamiar w nim pracować.

- Wszystko?

- Wszystko.

- Czy Anna ma dla niego gotować?

- Zaproponowałem mu jej usługi, ale jak dotąd nie otrzymałem odpowiedzi.

- Będzie przyjmował gości?

- To nie jest niemożliwe.

- Kiedy mamy się go spodziewać?

- Nie chce powiedzieć. Nasz *signore* Vianelli jest raczej mało precyzyjny.

Okazało się, że pojawił się w środku nocy, trochę po trzeciej, zdaniem Margherity, która spała wtedy w swoim pokoju nad kaplicą. Obudził ją odgłos jego samochodu. Widziała przez moment, jak przemykał po cichu po oświetlonym księżycem dziedzińcu. Miał ciemne włosy i był chudy jak szczapa. W jednym ręku trzymał worek marynarski, a w drugim latarkę Maglite. Przeczytał przy jej świetle notatkę, którą Margherita zostawiła na drzwiach willi, po czym wślizgnął się do środka, trochę jak złodziej wkradający się do własnego domu. Chwilę później w głównej sypialni zapaliło się światło. Zaczął przechadzać się niespokojnie po pokoju, jak gdyby coś zgubił. Pojawił się na moment w oknie i przez kilka pełnych napięcia sekund wpatrywali się w siebie przez dziedziniec. Następnie skłonił się jej lekko, po żołniersku i zamknął okiennice z głośnym trzaskiem.

Oficjalnie przywitani się następnego ranka przy śniadaniu. Kiedy wymienili chłodne uprzejmości, powiedział, że przybył do Villa dei Fiori, by pracować. Po rozpoczęciu pracy życzył sobie, żeby ograniczyć hałasy do minimum i mu nie przeszkadzać, chociaż nie wspomniał, czym tak właściwie miał się zajmować i skąd mieli wiedzieć, kiedy zacznie. Następnie oświadczył Marghericie, że pod żadnym pozorem nie wolno jej wchodzić do jego pokoju, i poinformował zrozpaczoną Annę, że będzie żywił się sam. Kiedy Margherita opisywała reszcie służby spotkanie, powiedziała, że „trzyma dystans”. Anna, która od razu go zniechęciła, była o wiele mniej miłosierna w swoim opisie.

- Jest wyjątkowo nieuprzejmy - powiedziała. - Im prędzej sobie pójdzie, tym lepiej.

Jego życie zaczęło wkrótce przebiegać według ścisłego rozkładu. Po spartańskim śniadaniu, składającym się z espresso i suchej grzanki, szedł na długi, forsowny marsz po posiadłości. Z początku krzyczał na psy, kiedy biegły za nim, ale w końcu poddał się i przystał na ich towarzystwo. Przechodził przez gaje oliwne i pola słoneczników, po czym zniknął w lesie. Kiedy Carlos poprosił go, żeby ze względu na dziki brał ze sobą strzelbę, spokojnie zapewnił go, że umie się o siebie zatroszczyć.

Po spacerze spędzał trochę czasu na porządkowaniu swojej kwatery i praniu; następnie przygotowywał prosty lunch - zwykle jadł chleb z miejscowym serem albo makaron z sosem pomidorowym z puszki, jeśli miał ochotę na coś bardziej ekscytującego. Następnie

przepląwał energicznie kilka basenów i siadał w ogrodzie z butelką orvietto oraz stosem książek o włoskich malarzach. Jego samochód, poobijany volkswagen passat, pokrył się grubą warstwą pyłu, bo ani razu nie wyjechał z posiadłości. Anna chodziła za niego na targ, z niechęcią wkładając zamówione produkty do koszyka. Czowała się trochę jak wirtuoz, któremu każe się grać melodyjki dla dzieci. Pewnego razu przemyciła dla niego kilka miejscowych specjałów, ale następnego ranka, kiedy przyszła do kuchni, czekały na nią na blacie z notką wyjaśniającą, że przez pomyłkę zostawiła te rzeczy w jego lodówce. Miał bardzo ładny charakter pisma.

W miarę jak upływały piękne dni, ten nikt, znany jako Alessio Vianelli, oraz tajemnicze zadanie, które wykonywał dla Ojca Świętego, stały się swego rodzaju obsesją dla służby w Villa dei Fiori. Obdarzona dość wybujałą wyobraźnią Margherita twierdziła, że był misjonarzem, który właśnie wrócił z jakiejś nieprzyjaznej części świata. Anna podejrzewała, że to upadły ksiądz na wygnaniu w Umbrii, ale Anna zawsze widziała tylko jego najgorsze cechy. Isabella, zajmująca się końmi eteryczna pół-Szwedka, uważała, że był teologiem samotnikiem, pracującym nad ważnymi dokumentami Kościoła. Carlos, dogładający bydła argentyński kowboj, sądził, że to agent watykańskiego wywiadu. Na poparcie tej teorii zwrócił uwagę, że *signore* Vianelli, choć mówił płynnie po włosku, miał akcent świadczący o wieloletnim pobycie w obcych krajach. Do tego dochodziły szmaragdowozielone oczy oraz wytrącające z równowagi spojrzenie.

- Patrzcie w nie głęboko, jeśli się odważycie - powiedział Carlos.
- Ma oczy człowieka, który zna śmierć.

W drugim tygodniu zdarzyła się seria wypadków, które tylko jeszcze bardziej zmały tajemnicę. Najpierw przybyła wysoka młoda kobieta o oczach koloru karmelu, mająca na głowie burzę kasztanowych włosów. Przedstawiła się jako Francesca, mówiła po włosku z silnym weneckim akcentem i jej obecność w gospodarstwie działała jak ożywczy powiew. Jeździła konno - „Nawet całkiem nieźle”, oznajmiła wszystkim Isabella - i organizowała wyszukane gry z udziałem kóz i psów. Potajemnie pozwalała Marghericie posprzątać pokoje *signore* Vianello, a nawet zachęciła Annę, by gotowała. Nie wiadomo, czy byli małżeństwem, ale Margherita miała pewność co do dwóch rzeczy: *signore* Vianelli i Francesca dzielili łóżko, a od jej przyjazdu humor znacznie mu się poprawił.

Potem pojawiły się samochody dostawcze. Pierwszy przywiózł biały stół, taki, jaki można znaleźć w profesjonalnych laboratoriach. Drugi - ogromny mikroskop na wysuwanym statywie. Następnie przyjechały dwie lampy, które po włączeniu rozświetlały całą willę ostrym białym światłem. Po nich pojawiły się chemikalia. Kiedy zostały otwarte, Marghericie zrobiło się niedobrze od samego zapachu. Następne paczki przybyły jedna po drugiej: dwie duże, dębowe, lakierowane sztalugi z Wenecji, dziwne szkło powiększające, kłęby waty, narzędzia stolarskie, kołki, pędzle, profesjonalne kleje i kilkadziesiąt opakowań barwników.

Wreszcie, trzy tygodnie po przybyciu *signore* Vianellego do Umbrii, porośniętym drzewami podjazdem wjechała powoli ciemnozielona furgonetka, a za nią oficjalnie wyglądająca lancia sedan. Oba samochody nie miały żadnych znaków szczególnych, ale rzucające się w oczy rejestracje SCV mówiły o powiązaniach ze Stolicą Apostolską. Z tyłu furgonetki wyniesiono wielki, przerażający obraz, przedstawiający ćwiartowanego człowieka. Postawiono go na dwóch sztalugach w pokoju hrabiego Gasparri.

Isabella, która studiowała historię sztuki, nim poświęciła swoje życie koniom, natychmiast rozpoznała obraz jako *Męczeństwo sw. Erazma* autorstwa francuskiego malarza Nicolasa Poussina. Naśladował styl Caravaggia, namalowanie go zlecił Watykan w 1628 roku. Spoczywał w pinakotece w Muzeum Watykańskim. Tego wieczoru przy kolacji dla służby tajemnica została rozwiązana. *Signore* Alessio Vianelli był słynnym konserwatorem sztuki. Watykan zaangażował go, by ocalił zniszczony obraz.

Jego dni nabrały klasztornej rytmu. Ciężko pracował od świtu do południa, przesypiał popołudniowy upał i znowu pracował od zmierzchu do kolacji. Przez pierwszy tydzień obraz leżał na stole, on zaś badał powierzchnię mikroskopem; później sporządził serię szczegółowych fotografii i wzmocnił płótno oraz blejtram. Następnie przeniósł płótno na sztalugi i zaczął zdejmować z wierzchu brud i pozostałości werniks. Było to wyjątkowo nudne zajęcie. Najpierw sporządzał tampon z kawałka waty i drewnianego kołka; następnie

maczał go w rozpuszczalniku i przesuwiał po powierzchni obrazu - bardzo ostrożnie, tłumaczyła pozostałym Isabella, żeby nie złuszczyć farby. Każdy tampon był w stanie oczyścić mniej więcej pięć centymetrów kwadratowych obrazu. Kiedy był zbyt zanieczyszczony, by dalej go używać, konserwator rzucał go na podłogę i zaczynał od początku. Margherita porównała to do czyszczenia całej willi szczoteczką do zębów.

- Teraz jasne, czemu z niego taki dziwak - powiedziała. - Praca doprowadza go do szaleństwa.

Kiedy skończył zdejmować stary werniks, pokrył płótno warstwą lakieru izolującego i zaczął ostatnią fazę odnawiania, retuszując fragmenty obrazu zniszczone przez czas i różne wydarzenia. Naśladował Poussina tak doskonale, że nie można było stwierdzić, gdzie kończyła się praca malarza, a zaczynała jego. Nawet dodał *faux craquelure*, delikatną siatkę fałszywych pęknięć na powierzchni, żeby nowa część zlała się niezauważalnie ze starą. Isabella знаła włoską społeczność artystyczną na tyle, by wiedzieć, że *signore* Vianelli nie jest zwykłym konserwatorem. Był kimś szczególnym, pomyślała. Nic dziwnego, że ludzie z Watykanu powierzyli mu to arcydzieło.

Ale dlaczego pracował tutaj, na położonej na uboczu farmie wśród wzgórz Umbrii, a nie w jednym ze wspaniałych laboratoriów w Watykanie? Zastanawiała się nad tym pewnego pięknego popołudnia na początku czerwca, kiedy nagle zobaczyła, jak samochód konserwatora szybko odjeżdża porośniętym drzewami podjazdem.

Zamachał jej krótko, po żołniersku, kiedy mijał stajnię, po czym zniknął w tumanie szarego pyłu. Resztę popołudnia Isabella spędziła, zmagając się z nową zagadką. Czemu po spędzeniu w willi pięciu tygodni jak więzień nagle po raz pierwszy wyjechał? Chociaż nigdy nie miała się tego dowiedzieć, konserwatora wezwali inni przełożeni. Co do Poussina - nigdy nie miał go już dotknąć.

3

ASYŻ, WŁOCHY

Niewiele włoskich miast daje sobie radę z natłokiem turystów w lecie z podobną gracją co Asyż. Pielgrzymi przybywają grupami późnym rankiem i do zmierzchu grzecznie przemierzają święte uliczki, na koniec zostają zagonieni z powrotem do klimatyzowanych autokarów i odwiezieni do tanich hoteli w Rzymie. Konserwator, oparty o zachodni mur miasteczka, obserwował grupę niemieckich maruderów, idących zmęczonym krokiem przez kamienny łuk Porta Nuova. Podszedł do kiosku z gazetami i kupił wczorajszy egzemplarz „International Herald Tribune”. Zakup, tak jak i wizyta w Asyżu, miał podłoże zawodowe. „Tribune” oznaczała, że jest czysty. Gdyby kupił „La Repubblica” albo jakąkolwiek inną włoską gazetę, znaczyłoby to, że śledzą go agenci włoskich służb bezpieczeństwa i trzeba odwołać spotkanie.

Wsunął gazetę pod pachę, nagłówkiem na zewnątrz i przeszedł Corso Mazzini na Piazza del Comune. Przy fontannie siedziała

dziewczyna w wyblakłych dżinsach i zwiewnej bawełnianej bluzeczce. Podniosła okulary przeciwsłoneczne na czoło i spojrzała w poprzek placu na Via Portica. Konserwator wrzucił gazetę do kosza i ruszył wąską uliczką.

Restauracja, do której kazano mu przyjść, mieściła się jakieś sto metrów od bazyliki Świętego Franciszka. Powiedział kelnerce, że ma się spotkać z monsieur Laffontem, więc od razu zaprowadzono go na wąski taras z rozległym widokiem na dolinę Tybru. Przy końcu tarasu mieściło się niewielkie patio z pojedynczym prywatnym stolikiem, na które wchodziło się po wąskich kamiennych schodkach. Wzdłuż balustrady stały donice geranium, a nad głową rozciągało się sklepienie z kwitnących winorośli. Przy otwartej butelce wina siedział mężczyzna o rudoblond włosach i szerokich ramionach zapaśnika. Laffont to było nazwisko, którego używał w pracy. Naprawdę nazywał się Uzi Nawot i piastował wysoką funkcję w wywiadzie Państwa Izrael. Był też jednym z niewielu ludzi na świecie, którzy wiedzieli, że konserwator sztuki, znany jako Alessio Vianelli, jest tak naprawdę Izraelczykiem z doliny Ezdrelon i nazywa się Gabriel Allon.

- Fajny stolik - powiedział Gabriel, siadając.

- Jedna z zalet tego stylu życia. Znamy najlepsze stoliki w najlepszych restauracjach w całej Europie.

Gabriel nalał sobie kieliszek wina i pokiwał powoli głową. Naprawdę znali najlepsze restauracje, ale znali też okropne poczekalnie na lotniskach, cuchnące dworce kolejowe i pogryzione

przez mole hotele tranzytowe. Uważane za efektowne życie agenta izraelskiego wywiadu tak naprawdę wymagało praktycznie ciągłego podróżowania i obfitowało w potworną nudę, raz na jakiś czas tylko przerywaną przez chwilę czystego przerażenia. Gabriel Allon przeżył tych chwil więcej niż większość agentów. Tak jak i Uzi Nawot.

- Przychodziłem tu z jednym z moich kontaktów - powiedział Nawot. - Z Syryjczykiem, który pracował dla prowadzonej przez rząd firmy farmaceutycznej. Jego zadaniem było uzupełnianie zapasów związków chemicznych i zdobywanie sprzętu od europejskich dostawców. Oczywiście to tylko przykrywka. Naprawdę pracował na zlecenie syryjskiego programu budowy broni chemicznej i biologicznej. Spotkaliśmy się tu dwa razy. Dałem mu walizkę pełną pieniędzy i trzy butelki tego wspaniałego umbryjskiego sauvignon blanc, a on opowiadał o mrocznych sekretach reżimu w swoim kraju. Kwatera główna bardzo się skarżyła na rachunki. - Nawot uśmiechnął się i wolno pokiwał głową. - Ci idioci z bankowości dawali mi bez namysłu walizkę ze stoma tysiącami dolarów w środku, ale jeśli przekroczyłem swój przydział na posiłki nawet o jednego szekla, sypały się na mnie gromy. Takie jest życie księgowych na Bulwarze Króla Saula.

Izraelskie służby wywiadowcze od dawna mieściły się przy Bulwarze Króla Saula, a ich długa nazwa miała niewiele wspólnego z prawdziwą działalnością. Ludzie tacy jak Gabriel i Uzi Nawot mówili o nich po prostu „Biuro”.

- Wciąż mu płacimy?

- Co, Syryjczykowi? - Nawot wczuł się w swoją rolę *monsieur* Laffonta i po parysku ściągnął wargi. - Obawiam się, że kilka lat temu miał nieszczęśliwy wypadek.

- Co się stało? - zapytał ostrożnie Gabriel. Wiedział, że wypadki osób związanych z Biurem były przeważnie śmiertelne.

- Zespół syryjskich służb kontrwywiadowczych zrobił mu zdjęcie, kiedy wchodził do banku w Genewie. Aresztowano go następnego dnia na lotnisku w Damaszku i zawieziono do Oddziału Palestyńskiego. - Oddział Palestyński był nazwą głównego syryjskiego centrum przesłuchań. - Przez miesiąc potwornie go torturowali. Kiedy wycisnęli z niego, ile się dało, wpakowali mu kulkę w łeb i wrzucili zwłoki do nieoznakowanego grobu.

Gabriel rozejrzał się po pozostałych stolikach. Dziewczyna, którą widział na placyku, siedziała teraz sama przy wejściu. Trzymała otwartą kartę dań, ale oczami powoli wodziła po gościach. U jej stóp leżała trochę zbyt duża otwarta torebka. Gabriel wiedział, że w środku była naładowana broń.

- Kim jest nasza *bat lewej ha*?

- To Tamara - powiedział. - Jest nowa.

- Jest też bardzo ładna.

- Tak - odparł Nawot, jakby nigdy tego wcześniej nie zauważył.

- Mogłeś wybrać kogoś po trzydziestce.

- Tylko ona była dostępna od zaraz.

- *Monsieur* Laffont, proszę tylko zachowywać się przyzwoicie.

- Dni namiętych romansów z ochraniającymi mnie kobietami oficjalnie dobiegły końca. - Nawot zdjął okulary i położył je na stole. Były bardzo modne i o wiele za małe na jego wielką twarz. - Bella postanowiła, że powinniśmy w końcu się pobrać.

- To wszystko wyjaśnia. Uzi, jesteś szefem zadań specjalnych. Naprawdę powinienes umieć sam wybrać sobie okulary.

Zadania specjalne były, jak powiedział słynny izraelski superszpieg Ari Szamron, „mroczną stroną mrocznych służb”. To ich agenci wykonywali zadania, których nikt inny nie chciał albo nie ważył się podjąć. Organizowali egzekucje i porwania, zakładali podsłuchy, szantażowali. Byli ludźmi wykształconymi, genialnymi, ze skłonnościami do przestępstw większymi niż sami przestępcy. Byli poliglotami, kameleonami, czuli się jak w domu zarówno w najlepszych hotelach i salonach Europy, jak i w najmroczniejszych zaułkach Bagdadu czy Bejrutu.

- Myślałem, że Bella zmęczyła się tobą - powiedział Gabriel. - Myślałem, że wasz związek już dogorywał.

- Twój ślub z Chiarą pomógł rozniecić na nowo jej wiarę w miłość. W tej chwili jesteśmy w trakcie trudnych negocjacji, by ustalić gdzie i kiedy. - Nawot zmarszczył brwi. - Jestem pewien, że łatwiej będzie wynegocjować z Palestyńczykami porozumienie w sprawie statusu Jerozolimy niż Belli i mnie dogadać szczegóły ślubu.

Gabriel uniósł lekko kieliszek z białego obrusa.

- *Mazeltow*, Uzi - wymamrotał.

- Łatwo ci mówić - powiedział ponuro Nawot. - Widzisz, Gabrieliu, ustawiłeś poprzeczkę nam wszystkim bardzo wysoko. Wyobraź sobie - ślub z zaskoczenia, doskonale zaplanowany i przeprowadzony - suknia, jedzenie, nawet miejsce, wszystko tak, jak chciała Chiara. A teraz spędzacie miesiąc miodowy w odizolowanej willi w Umbrii, restaurując obraz dla papieża. Jak zwykły śmiertelnik mojego pokroju może ci dorównać?

- Nie zrobiłem tego sam. - Gabriel się uśmiechnął. - Sekcja zadań specjalnych naprawdę świetnie się postarała, prawda?

- Jeżeli nasi wrogowie kiedykolwiek dowiedzą się, że sekcja zadań specjalnych zaplanowała ślub, nasza słynna reputacja legnie w gruzach.

Po schodach wszedł kelner i ruszył w kierunku stolika. Nawot zatrzymał go lekkim ruchem dłoni i sam dolał Gabrielowi wina.

- Stary przysyła pozdrowienia.

- Nie wątpię - powiedział Gabriel w zamyśleniu. - Jak się ma?

- Kręci nosem.

- Na co tym razem?

- Na twoje bezpieczeństwo w willi. Uważa, że nie przedsięwziąłeś odpowiednich środków.

- Dokładnie pięć osób wie, że jestem w tym kraju: premier Włoch, szefowie jego służb wywiadowczych i bezpieczeństwa, papież oraz jego prywatny sekretarz.

- Tak czy siak twierdzi, że nie jesteś bezpieczny. - Nawot się zawahał. - I przyznaję, że biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, muszę się z tym zgodzić.

- Jakie ostatnie wydarzenia?

Nawot oparł swoje potężne ramiona na stole i pochylił się do przodu.

- Dochodzą do nas różne pogłoski od źródeł w Egipcie. Wygląda na to, że szejk Tajib raczej się wkurzył, kiedy przeszkodziłeś mu w jego dobrze przemyślanym planie obalenia rządu Mubaraka. Kazał wszystkim agentom Miecza Allaha w Europie i na Bliskim Wschodzie natychmiast zacząć cię szukać. W zeszłym tygodniu jeden z członków Miecza przedostał się do Gazy i poprosił Hamas o przyłączenie się do poszukiwań.

- Rozumiem, że nasi przyjaciele w Harnasie się zgodzili.

- Bez wahania. - Następne słowa Nawot wygłosił nie po francusku, lecz cicho po hebrajsku. - Jak pewnie się domyślasz, Stary słyszy te raporty o narastającym zagrożeniu twojego życia i ma w głowie tylko jedną myśl: dlaczego Gabriel Allon, anioł mściciel Izraela i jego najbardziej utalentowany tajny sługa, siedzi sobie tutaj, restaurując obraz dla Jego Świątobliwości papieża Pawła VII?

Gabriel spojrział na roztaczający się przed nim widok. Słońce zachodziło w kierunku odległych wzgórz na zachodzie, na dnie doliny rozbłyskiwały pierwsze światła. Przed oczyma przemknął mu obraz mężczyzny z pistoletem w wyciągniętej dłoni, strzelającego w twarz leżącego na ziemi terrorysty nieopodal północnej wieży w opactwie

Westminster. Widział to jak farbę olejną na płótnie, niczym obraz namalowany ręką Caravaggia.

- Anioł ma miesiąc miodowy - powiedział, wciąż wpatrując się w dolinę. - I anioł nie może podjąć teraz pracy.

- Gabrielu, my nie mamy miesięcy miodowych. A w każdym razie nie normalne. Jeśli chodzi o twój stan fizyczny, Bóg wie, że przeszedłeś przez piekło w rękach Miecza Allaha. Nikt cię nie będzie obwiniał, jeśli tym razem odszedłeś z Biura na dobre.

- Oczywiście poza Szamronem.

Nawot bawił się brzegiem obrusa. Nie odpowiedział. Minęło prawie dziesięć lat od czasu, kiedy Ari Szamron po raz ostatni był w terenie, ale wciąż mieszał się w sprawy Biura, tak jakby to było jego księstwo. Przez kilka lat robił to z ulicy Kapłan w Jerozolimie, gdzie pracował jako główny doradca premiera w kwestiach bezpieczeństwa i anty terroryzmu. Teraz postarzał się i wciąż odzyskiwał siły po zamachu terrorystycznym na jego samochód, ale pociągał za sznurki ze swojej przypominającej fortecę willi z widokiem na Jezioro Galilejskie.

- Szamron chce, żebyśmy żył zamknięty w klatce w Jerozolimie

- powiedział Gabriel. - Uważa, że jeśli uda mu się sprawić, by moje życie było wystarczająco nieznośne, nie będę miał wyboru i przejmę dowodzenie Biurem.

- Wiesz, Gabrielu, w życiu mogą przytrafić ci się gorsze rzeczy. Stu ludzi dałoby sobie odrąbać prawą dłoń, żeby być na twoim miejscu.

- Nawot zamilkł, po czym dodał: - Wliczając mnie.

- Uzi, graj ostrożnie, a któregoś dnia osiągniesz cel.

- W ten sposób dostałem pracę jako szef wydziału zadań specjalnych. Bo ty jej nie przyjąłeś. Gabrielu, przez całą moją karierę byłem w twoim cieniu. To nie jest łatwe. Czuję się, jakbym dostał nagrodę pocieszenia.

- Oni nie lubią nagród pocieszenia, Uzi. Gdyby nie sądzili, że jesteś odpowiedni do tej roboty, zostawiliby cię na twojej posiadzie w Europie i znaleźli sobie kogo innego.

Wyglądało na to, że Nawot chciał zmienić temat.

- Zjedzmy coś - zaproponował. - Bo kelner pomyśli sobie, że jesteśmy dwoma szpiegami i gadamy o interesach.

- To tyle, Uzi? Na pewno nie przyjechałeś aż do Umbrii tylko po to, by powiedzieć mi, że są tacy, którzy chcą mnie zabić.

- Tak się składa, że zastanawialiśmy się, czy chciałbyś może wyświadczyć nam przysługę.

- Jaką przysługę?

Nawot otworzył kartę dań i zmarszczył brwi.

- O Boże, popatrz na te makarony.

- Nie lubisz makaronu, Uzi?

- Uwielbiam, ale Bella mówi, że od niego tyję. Pogładził się po nosie i założył z powrotem nowe okulary.

- Ile masz stracić na wadze przed ślubem, Uzi?

- Piętnaście kilo - powiedział nadąsanym głosem Nawot. - Piętnaście kilo.

- Na to wygląda.

- Uzi, rosyjscy dziennikarze padają ostatnio jak muchy. Jaki to ma związek z nami?

- Trzy dni temu ktoś zadzwonił do naszej ambasady w Rzymie. Był to człowiek, który twierdził, że jest Borysem Ostrowskim, redaktorem naczelnym „Gazety”. Powiedział, że ma do przekazania ważną wiadomość na temat zagrożenia bezpieczeństwa Zachodu i państwa Izrael. Chce spotkać się z kimś z wywiadu izraelskiego, żeby wyjaśnić, o co chodzi.

- I o co chodzi?

- Jeszcze nie wiemy. Widzisz, Ostrowski chce się spotkać z bardzo konkretnym przedstawicielem wywiadu izraelskiego, człowiekiem, który ma zwyczaj załapywać się na zdjęcia w gazecie, kiedy ratuje życie ważnym ludziom.

Błysk flesza rozświetlił dziedziniec niczym błyskawica. Nawot i Gabriel wstali równocześnie i ruszyli do wnętrza bazyliki. Pięć minut później, po zejściu długimi schodami, usiedli w mroku w kościele dolnym, przed grobem świętego Franciszka. Nawot mówił szeptem:

- Próbowaliśmy wytłumaczyć Ostrowskiemu, że nie możesz się z nim teraz spotkać. Niestety obawiam się, że on nie rozumie słowa „nie”. - Spojrzał na grób. - Czy to naprawdę kości tego gościa?

Gabriel pokręcił głową.

- Kościół trzyma w tajemnicy prawdziwą lokalizację jego szczątków, żeby chronić je przed łowcami relikwii.

Nawot przez moment rozważał tę informację w milczeniu, po czym kontynuował sprawozdanie.

- Bulwar Króla Saula ustalił, że Borys Ostrowski to wiarygodna osoba. I bardzo chcą usłyszeć, co ma do powiedzenia.

- I chcą, żebym ja się z nim spotkał. Nawot skinął krótko swoją wielką głową.

- Uzi, niech kto inny to zrobi. To mój miesiąc miodowy, pamiętasz? Poza tym to wbrew wszelkim zasadom gry. Nie przystajemy na żądania przypadkowych informatorów. Spotykamy się, z kim chcemy, w wybranych przez nas samych okolicznościach.

- Zabójca robi wykład o zasadach gry kierownikowi agentów?

4

ASYŻ, WŁOCHY

Wyszli z restauracji po zmroku i przyłączyli się do procesji ubranych na brązowo braci zakonnych, kapucynów, zmierzających powoli w stronę bazyliki Świętego Franciszka. Na obszernym dziedzińcu wiał chłodny wiatr. Uzi Nawot usadowił się na kamiennej ławeczce i zaczął mówić o śmierci.

- Nazywał się Aleksandr Lubin. Pracował dla pisma o nazwie „Gazeta Moskiewska”. Zabito go w pokoju hotelowym w Courchevel, kilka dni po świętach. Wtedy świat nie zwrócił na to zbytnej uwagi. Może pamiętasz, że wszyscy patrzyli na Londyn, gdzie córka

amerykańskiego ambasadora została właśnie ocalona ze szponów Miecza Allana.

Gabriel usiadł obok Nawota i patrzył, jak dwóch chłopców gra w piłkę przy schodach prowadzących do bazyliki.

- „Gazeta” twierdzi, że Lubin pojechał do Courchevel na wakacje, ale francuska policja doszła do innych wniosków. Mówią, że pojechał tam na zlecenie. Niestety w jego pokoju nie było żadnych wskazówek co do natury tego zlecenia.

- Jak zginął?

- Pojedyncze pchnięcie nożem w klatkę piersiową.

- To nie takie łatwe.

- Co więcej, zabójcy udało się to zrobić tak, że nikt w całym budynku nic nie usłyszał. To mały hotel ze słabą ochroną. Nikt nawet nie przypomina sobie, żeby go widział.

- Zawodowiec?

Zakonnica szczelnie okryta habitem wychynęła z mroku i wskazała na znak, zakazujący rozmów w pobliżu grobu. Gabriel przeprosił i zaprowadził Nawota do nawy, gdzie grupa amerykańskich turystów wysłuchiwała wykładu księdza w sutannie. Wydawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na dwóch izraelskich szpiegów rozmawiających cicho przed świecami wotywnymi.

- Wiem, że to wbrew naszym zasadom - kontynuował Nawot - ale chcemy usłyszeć, co Ostrowski ma do powiedzenia. Poza tym wcale nie on ustala okoliczności spotkania. Możesz zdecydować, jak i gdzie chcesz się z nim widzieć.

- Gdzie się zatrzymał?

- Zabarykadował się w hotelu Excelsior. Będzie tam do pojutra, następnie wraca do Rosji. Powiedział jasno, że nie chce kontaktować się z nami w Moskwie.

Z kieszeni na piersi Nawot wyciągnął zdjęcie i podał je Gabrielowi. Przedstawiało łysiejącego mężczyznę z nadwagą, o rumianej twarzy. Był trochę po pięćdziesiątce.

- Dostał zestaw instrukcji, które ułatwią mu sprawdzenie, czy ktoś go śledzi. Jutro. Ma wyjść z hotelu równo o trzynastej trzydzieści i odwiedzić cztery miejsca: Schody Hiszpańskie, fontannę di Trevi, Panteon i Piazza Navona. Kiedy dojdzie do placu, ma go raz obejść, po czym usiąść przy stoliku w Tre Scalini.

- A co, kiedy dojdzie do Tre Scalini?

- Jeśli ktoś go śledzi, znikamy.

- A jeśli nie?

- Mówimy mu, gdzie ma iść dalej.

- Dokąd? Do naszego mieszkania? Nawot pokręcił głową.

- Nie chcę, żeby się zbliżał do czegokolwiek związanego z nami. Wolałbym, żeby to było jakieś miejsce publiczne, gdzieś, gdzie wasza rozmowa będzie wyglądać zupełnie zwyczajnie. - Zawahał się, po czym dodał: - No i gdzie nie może wejść nikt z bronią.

- Słyszałeś może o regułach Moskwy, Uzi?

- Żyję według nich.

- Przypomnij sobie: zakładaj, że każdy może być pod kontrolą przeciwników. Niewykluczone, że zadajemy sobie mnóstwo trudu

tylko po to, żeby spotkać się z mężczyzną, który sprzeda nam mnóstwo rosyjskiego kitu. - Gabriel spojrzął na fotografię. - Jesteśmy pewni, że ten człowiek to Borys Ostrowski?

- Oddział moskiewski mówi, że to on.

Gabriel włożył zdjęcie z powrotem do koperty i rozejrzał się po kościele.

- Żeby móc tu wrócić, musiałem złożyć watykańskim i włoskim służbom solenną obietnicę, że nie będę podejmował żadnych zadań operacyjnych na terenie Włoch.

- A kto tu mówi o działaniu? Porozmawiasz sobie tylko.

- Tak, z rosyjskim redaktorem, którego dziennikarz został właśnie zamordowany przez jakiegoś zawodowca w Courchevel. - Gabriel pokręcił wolno głową. - Uzi, nie wiem jak tobie, ale mnie wydaje się, że okłamywanie papieża przynosi pecha.

- Naszym papieżem jest Szamron, a on chce, żebyś to zrobił. Wyszli z bazyliki i ruszyli na spacer pogrążonymi w mroku ulicami.

Bat lewejha śledziła ich dyskretnie. Propozycja nie podobała się Gabrielowi, ale musiał przyznać, że intrygowało go, co Rosjanin chciał im przekazać. Poza tym zlecenie miało jeszcze jedną zaletę - mógł je wykorzystać, żeby raz na zawsze pozbyć się Szamrona. Kiedy przechodzili przez Piazza del Commune, powiedział, czego oczekuje:

- Posłucham, co ma do powiedzenia, po czym złożę raport i na tym koniec.

- Zgadza się.

- Wrócę na farmę w Umbrii i w spokoju dokończę obraz. Szamron nie będzie się więcej skarżył. Nie będzie mnie więcej ostrzegał, że grozi mi niebezpieczeństwo.

Nawot zawahał się, po czym skinął głową.

- Uzi, powiedz to. Powiedz to w obliczu Boga, w Asyżu, świętym mieście.

- Możesz wracać do Umbrii i do woli restaurować obrazy. Szamron nie będzie się więcej skarżył. Ani ja, ani nikt inny nie będzie informował cię o legionach terrorystów, którzy chcą twojej śmierci.

- Czy Ostrowskiego obserwują nasi ludzie z rzymskiej komórki?

- W godzinę po nawiązaniu kontaktu wzięliśmy go pod obserwację.

- Każ im przestać. Inaczej ryzykujemy, że niechcący zdradzimy swoje zainteresowanie włoskim służbom bezpieczeństwa i wszystkim innym, którzy mogą go obserwować.

- Robi się.

- Muszę mieć obserwatora, któremu mogę zaufać.

- Na przykład kogoś takiego jak Eli?

- Tak, kogoś takiego jak Eli. Gdzie on teraz jest?

- Na jakichś wykopaliskach nad Morzem Martwym.

- Bładym świtem ma siedzieć w samolocie na lotnisku Ben Guriona. Niech spotka się ze mną w Piperno. Ma mieć butelkę *frascati* i talerz *filetti di baccala* przed sobą.

- Uwielbiam smażonego dorsza - powiedział Nawot.

- W Piperno mają najlepsze *filetti* w Rzymie. Może dołączysz do nas na lunch?

- Bella mówi, że mam trzymać się z dala od smażonego jedzenia. - Nawot poklepał się po swoim wydatnym brzuchu. - Mówi, że bardzo się od tego tyje.

5

VILLA DEI FIORI, UMBRIA

Gabriel zawsze powtarzał, że aby odnowić obraz jednego ze starych mistrzów, trzeba oddać się duszą i ciałem płótnu i artyście, który go namalował. Obraz był zawsze jego pierwszą myślą po przebudzeniu i ostatnią rzeczą, którą widział, nim zapadał w sen. Nawet w snach nie potrafił o tym zapomnieć; nie umiał też przejść obok swojego warsztatu, nie zatrzymując się, by zanalizować postępy.

Wyłączył lampy halogenowe i wszedł po kamiennych schodach na drugie piętro. Chiara leżała w łóżku, podparta na jednym łokciu, przeglądając bez przekonania grube pismo o modzie. Jej skóra pociemniała od słońca Umbrii, a kasztanowe włosy poruszały się lekko we wpadającej przez otwarte okno wieczornej bryzie. Ze stojącego przy łóżku radia z budzikiem leciała potworna włoska piosenka pop; na ekranie telewizora para włoskich gwiazd prowadziła głęboką, ale niemą rozmowę - dźwięk był wyłączony. Gabriel wycelował pilota w ekran i strzelił.

- Oglądałam to - powiedziała, nie patrząc na niego.

- Naprawdę? O czym to było?

- Coś o kobiecie i mężczyźnie. - Chiara polizała palec i niespiesznie przewróciła stronę magazynu. - Dobrze się bawiliście, chłopcy?

- Gdzie twój pistolet?

Uniosła róg kołdry i w świetle lampki nocnej zabłysła ciemna, drewniana kolba beretty 9 mm. Gabriel wołał, żeby broń była łatwiej dostępna, ale powstrzymał impuls, by zganić Chiarę. Nim została zwerbowana, nigdy nawet nie tknęła broni, ale na odbywających się na strzelnicy w podziemiach budynku przy Bulwarze Króla Saula treningach celności regularnie zdobywała więcej punktów niż Gabriel. Było to niezłe osiągnięcie, zważywszy na fakt, że jako córka głównego rabina Wenecji spędziła młodość wśród cichych uliczek dawnego żydowskiego getta. Oficjalnie była wciąż obywatelką Włoch. Jej powiązania z Biurem były tajemnicą, podobnie jak ślub z Gabrielem.

Przykryła berettę i przerzuciła kolejną stronę.

- Jak tam Uzi?

- Żeni się z Bella.

- To na poważnie czy tak tylko gada?

- Szkoda, że nie widziałas, jakie okulary każe mu nosić.

- Kiedy mężczyzna pozwala kobiecie wybierać okulary, to tylko kwestia czasu, kiedy stanie pod chupą, ze stopą na kieliszku. - Podniosła wzrok i spojrzała na niego uważnie. - Może czas, żebyś

zbadał sobie wzrok, Gabrielu. Wczoraj wieczorem mrużyłeś oczy, kiedy oglądałeś telewizję.

- Mrużyłem oczy, bo bolały mnie po całym dniu pracy.

- Nigdy wcześniej ich nie mrużyłeś. Wiesz, Gabrielu, osiągnąłeś wiek, w którym większość mężczyzn...

- Chiaro, nie potrzebuję okularów. A kiedy będę ich potrzebował, nie bój się, poproszę cię o opinię, nim kupię oprawki.

- Kiedy nosisz okulary dla kamuflażu, wyglądasz bardzo dystyngowanie. - Zamknęła magazyn i ściszyła radio. - Więc po co Uzi przyleciał aż do Włoch, żeby się z tobą spotkać? Żeby ci powiedzieć, że się żeni?

- Miecz Allana wyznaczył cenę za moją głowę. Szamron martwi się o nasze bezpieczeństwo.

- Kochanie, coś takiego można załatwić przez telefon. Na pewno Uzi miał coś jeszcze do powiedzenia.

- Chce, żebym wyświadczył mu przysługę w Rzymie.

- Naprawdę? Jaką przysługę?

- Tylko osoby, które muszą to wiedzieć, mają prawo do tych informacji.

- Świetnie, Gabrielu, ja mam prawo wiedzieć, jakież to zadanie przerywa nasz miesiąc miodowy.

- To nie jest zadanie, wrócę jutro wieczorem.

- Gabriel, co to za robota? I nie używaj głupich zasad Biura jako wymówek. Zawsze sobie wszystko mówiliśmy. - Przerwała. - Czy tak?

Gabriel usiadł na skraju łóżka i opowiedział jej o Borysie Ostrowskim oraz jego niekonwencjonalnej prośbie o spotkanie.

- I zgodziłeś się? - Zebrała włosy w kok i zaczęła szukać spinki w pościeli. - Czy tylko ja wpadłam na to, że pakujesz się prosto w zasadzkę?

- Powiedzmy, że przeszło mi to przez myśl.

- Czemu nie kazałeś im po prostu wysłać podpuchy? Przecież Uzi na pewno zna w Biurze kogoś, kto jest na tyle podobny do ciebie, że rosyjski dziennikarz, który nigdy w życiu cię nie widział, dałby się nabrać. - Zapadło milczenie, więc Chiara sama udzieliła sobie odpowiedzi. - Bo sam jesteś ciekaw, co ten Rosjanin ma do powiedzenia.

- A ty nie?

- Nie na tyle, żeby przerywać nasz miesiąc miodowy. - Chiara przestała szukać spinki i rozpuściła włosy na ramiona. - Uzi i Szamron zawsze wymyślą coś, żeby zwabić cię z powrotem do Biura. Ale miesiąc miodowy masz tylko jeden.

Gabriel podszedł do szafy i zdjął z górnej półki niewielką skórzaną torbę podróżną. Chiara patrzyła w milczeniu, jak wkłada do niej ubranie na zmianę. Wiedziała, że dalsza dyskusja nie ma sensu.

- Czy z Uzim była *bat lewejha*?

- Nawet bardzo ładna.

- Wszystkie jesteśmy ładne, Gabrielu. Pracownicy Biura przechodzący kryzys wieku średniego lubią być w terenie w towarzystwie fajnej laski.

- Zwłaszcza jeśli ma w torebce duży pistolet.
 - Znasz ją?
 - Powiedziała, że nazywa się Tamara.
 - Rzeczywiście jest ładna. Oznacza kłopoty. Na miejscu Belli uważałabym na nią. - Chiara popatrzyła na pakującego się Gabriela. - Naprawdę wrócisz jutro wieczorem?
 - Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem.
 - Kiedy to którekolwiek z twoich zleceń poszło zgodnie z planem? - Wzięła berettę i podała mu. - Będzie ci potrzebna?
 - Mam drugą w samochodzie.
 - Kto cię będzie pilnował? Mam nadzieję, że nie któryś z tych idiotów z rzymskiej komórki?
 - Eli przylatuje rano do Rzymu.
 - Pozwól mi pojechać z tobą.
 - Już straciłem jedną żonę przez wrogów. Nie chcę stracić drugiej.
 - To co mam niby robić, kiedy cię nie będzie?
 - Pilnuj, żeby nikt nie ukradł Poussina. Jego Świątobliwość niewątpliwie czułby się dotknięty, gdyby obraz zniknął, kiedy jest pod moją opieką. - Pocałował Chiare i ruszył ku drzwiom. - I bardzo cię proszę, nie próbuj mnie śledzić. Uzi postawił strażę przy głównej bramie.
 - Drań - wymamrotała, kiedy zaczął iść po schodach.
 - Słyszałem!
- Wzięła pilota i wycelowała go w telewizor.

- I dobrze.

6

RZYM

W zasadzie „bezpieczne mieszkanie” przestało być odpowiednim określeniem. Gabriel spędził tyle czasu w przyjemnym apartamencie u szczytu Schodów Hiszpańskich, że dział administracji Biura zajmujący się lokalami konspiracyjnymi nazywał go jego mieszkaniem w Rzymie. Były w nim dwie sypialnie, duży, jasny pokój dzienny oraz przestronny taras z widokiem na zachód, w stronę Piazza di Spagna i Bazyliki Świętego Piotra. Dwa lata wcześniej Gabriel stał w cieniu kopuły dzieła Michelangela u boku Jego Świątobliwości papieża Pawła VII, kiedy Watykan zaatakowali islamscy terroryści. Tamtego październikowego popołudnia zginęło ponad siedemset osób. Na żądanie CIA i amerykańskiego prezydenta Gabriel wyśledził i zabił dwóch Saudyjczyków, którzy zaplanowali i sfinansowali operację. *Monsinior* Luigi Donati, posiadający znaczną władzę osobisty sekretarz papieża, wiedział o udziale Gabriela w zabójstwach i udzielił mu milcząco przyzwolenia. Gabriel podejrzewał, że Ojciec Święty też nie był przeciwny.

W mieszkaniu zainstalowano system śledzący czas i trwanie niepożądanych wizyt i wtargnięć. Mimo to przed wyjściem Gabriel wsunął między drzwi i framugę staroświecki znacznik. Nie, żeby nie ufał geniuszom z oddziału technicznego; był po prostu w głębi duszy

szesnastowiecznym człowiekiem, i kiedy chodziło o bezpieczeństwo, a jego fach w ogólności, wolał trzymać się starych metod. Komputerowe znaczniki były cudownymi urządzeniami, ale kawałek papieru jeszcze nigdy go nie zawiódł, i żeby to działało jak należy, nie trzeba było mieć do dyspozycji inżyniera z doktoratem z MIT.

W nocy padało i kiedy Gabriel wyszedł na zewnątrz, chodniki przy Via Gregoriana były wciąż mokre. Skręcił w prawo, w stronę kościoła Trinita dei Monti i zszedł po Schodach Hiszpańskich na plac, gdzie wypił pierwsze tego dnia cappuccino. Kiedy upewnił się, że jego powrót do Rzymu nie został zauważony przez włoskie służby, wrócił po schodach na górę i wsiadł na skuter Piaggio. Czterosuwowy silniczek zaczął bzyczeć niczym owad, gdy Gabriel ruszył i zjechał po eleganckim łuku Via Veneto.

Hotel Excelsior stał przy końcu ulicy, nieopodal Villa Borghese. Gabriel zaparkował przy Corso d'Italia i zamknął kask w tylnym schowku. Założył czarne, szerokie okulary przeciwsłoneczne oraz czapkę z daszkiem i wrócił pieszo na Via Veneto. Przemaszerował przez prawie całą długość Piazza Barberini, a następnie przeszedł na drugą stronę i ruszył z powrotem ku Villa Borghese. Po drodze zauważył czterech mężczyzn, którzy najprawdopodobniej byli tajniakami z amerykańskich służb bezpieczeństwa - przy Via Veneto 121 mieściła się ambasada USA - ale nie widział nikogo, kto mógłby być agentem rosyjskiego wywiadu.

Kelnerzy w Doney wystawiali na chodnik stoliki na lunch. Gabriel wszedł do środka i wypił przy barze drugie cappuccino.

Poszedł do mieszczącego się obok hotelu Excelsior i podniósł słuchawkę wewnętrznego telefonu przy windach. Kiedy zgłosiła się centrala, poprosił o rozmowę z Borysem Ostrowskim. Połączono go od razu. Po trzech sygnałach telefon odebrał mężczyzna mówiący po angielsku z wyraźnym rosyjskim akcentem. Kiedy Gabriel poprosił o rozmowę z „panem Donaldsonem”, Rosjanin powiedział, że nikogo takiego tu nie ma, i natychmiast się rozłączył.

Gabriel przez parę sekund zastanawiał się, czy na linii nie założono podsłuchu. Nie usłyszawszy niczego podejrzanego, odłożył słuchawkę i poszedł do galerii Borghese. Spędził godzinę, podziwiając obrazy i oglądając się, czy nikt go nie śledzi. O 11:45 wsiadł na swój skuter i ruszył w stronę cichego placu przy skraju starego getta. *Filetti* oraz *frascati* już na niego czekały, tak jak i Eli Lawon.

- Zdawało mi się, że spędzasz teraz miesiąc miodowy.
- Szamron miał inne plany.
- Nigdy się nie nauczysz, jak wyznaczać granice.
- Mógłbym nawet wybudować mur jak ten między nami a Strefą Gazy i Zachodnim Brzegiem Jordanu, a to i tak by go nie powstrzymało.

Eli Lawon uśmiechnął się i odgarnął z czoła kilka kosmyków rzadkich włosów. Pomimo ciepła rzymskiego popołudnia miał na sobie rozpinany sweter pod wymiętą tweedową marynarką, a pod szyją musznik. Nawet Gabriel, chociaż znał Lawona od ponad trzydziestu lat, czasami nie potrafił uwierzyć, że ten drobny, genialny

mól książkowy i archeolog jest jednocześnie najlepszym specem od obserwacji, jakiego wyszkoliło Biuro. Jego powiązania z Biurem, podobnie jak Gabriela, były w najlepszym razie słabe. Wciąż wykładał w akademii; Biuro żądało, by, co więcej, żaden rekrut nigdy nie zaczął pracować w terenie, nim nie spędzi kilku dni z legendarnym Lawonem. Ostatnimi czasy jego głównym miejscem pracy był Uniwersytet Hebrajski w Jerozolimie, gdzie wykładał archeologię biblijną, regularnie brał też udział w wykopaliskach na terenie całego kraju.

Ich bliska więź zadzierzgnęła się wiele lat wcześniej podczas operacji Gniew Boży, tajnej akcji izraelskiego wywiadu, by zlokalizować i zamordować sprawców masakry w Monachium w 1972 roku. Kryptonimy w zespole były przydzielane według hebrajskiego alfabetu - Gabriel był alefem. Uzbrojony w beretę kaliber 22 mm, osobiście zabił sześciu terrorystów z Czarnego Września, odpowiedzialnych za masakerę, w tym Wadala Abdela Zwaitera, którego zastrzelił u wejścia do kamienicy, ledwie parę kilometrów od miejsca, gdzie teraz siedzieli. Lawon był ajinem - specjalistą od śledzenia i lokalizowania. Spędzili trzy lata, obserwując swoje ofiary, przemierzali całą Europę Zachodnią. Zabijali zarówno w nocy, jak i w świetle dnia, żyli w strachu, że w każdej chwili mogą zostać aresztowani przez europejską policję i będą uznani za morderców. Kiedy Gabriel wreszcie wrócił do domu, jego skronie były koloru popiołu i miał twarz człowieka o dwadzieścia lata starszego. Lawon, często kontaktujący się z terrorystami bez żadnego

wsparcia, nabawił się poważnych zaburzeń związanych z długotrwałym stresem. Miał kłopoty z żołądkiem, który stał się kapryśny i nieprzewidywalny. Gabriel skrzywił się, widząc, że Lawon pochłania duży kawałek ryby. Wiedział, że, niestety, nie ujdzie mu to bezkarnie.

- Uzi powiedział, że pracujesz na Pustyni Judejskiej. Mam nadzieję, że to nic ważnego.

- Tylko jedna z najważniejszych ekspedycji archeologicznych w Izraelu ostatnich dwudziestu lat. Wróciliśmy do Jaskini Listów. Ale zamiast być ze swoimi kolegami i przeszukiwać relikty naszej przeszłości, siedzę sobie z tobą w Rzymie. - Lawon przebiegł wzrokiem po placu. - Ale sami mamy tutaj kawał historii, prawda, Gabrielu? W pewnym sensie dla nas wszystko zaczęło się tutaj.

- Eli, to zaczęło się w Monachium, nie w Rzymie.

- Wciąż czuję zapach tego cholernego wina figowego, które niósł, kiedy go zastrzeliłeś. Pamiętasz wino, Gabrielu?

- Pamiętam, Eli.

- Do dziś od zapachu fig robi mi się niedobrze. - Lawon ugryzł kawałek ryby. - Dzisiaj nikogo nie zabijamy, co?

- Nie, Eli. Dziś tylko rozmawiamy.

- Masz zdjęcie?

Gabriel wyjął z kieszeni koszuli fotografię i położył ją na stole. Lawon wsunął na nos półokrągłe okulary i uważnie obejrzał zdjęcie.

- Dla mnie wszyscy Rosjanie wyglądają tak samo.

- Myślę, że mają o tobie podobne zdanie.

- Wiem bardzo dokładnie, jakie mają o mnie zdanie. Rosjanie tak uprzykrzyli życie moim przodkom, że ci woleli przeprowadzić się na malaryczne bagna w Palestynie. Rosja z początku popierała utworzenie Izraela, ale w latach sześćdziesiątych przyłączyła się do tych, którzy poprzysięgli, że nas zniszczą. Rosjanie lubią pozować na sojuszników Zachodu w wojnie z międzynarodowym terroryzmem, ale nigdy nie wolno nam zapomnieć, że sami pomogli ten terroryzm stworzyć. Zachęcali lewicowe ugrupowania terrorystyczne w całej Europie Zachodniej w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych, mało tego, oczywiście Organizacja Wyzwolenia Palestyny działała pod ich patronatem. Dali Arafatowi i jego zabójcom potrzebną im broń i ładunki wybuchowe oraz swobodę poruszania się za żelazną kurtyną. Gabrielu, nie zapominaj, że atakiem na naszych sportowców w Monachium kierowano z Berlina Wschodniego.

- Skończył pan, profesorze?

Lawon wsunął fotografię do kieszeni marynarki. Gabriel zamówił dwie porcje *spaghetti eon carciofi* i gdy kończyli jeść rybę, streścił mu czekające ich zadanie.

- A jeśli okaże się czysty, gdy dojdzie do Tre Scalini? - zapytał Lawon. - Co wtedy?

- Masz potraktować go swoim słynnym bezbłędnym rosyjskim. Przyciśnij go i sprawdź, czy pęknie.

- A jeśli ciągle będzie nalegał, żeby rozmawiać z tobą?

- Wtedy każesz mu zwiedzić jeszcze jeden rzymski zabytek.

- Który?

Gdy Gabriel powiedział, gdzie chciałby wyznaczyć miejsce spotkania, Lawon przez chwilę bawił się w milczeniu rogiem serwetki.

- Nie da się ukryć, że to miejsce spełnia twoje wymagania przestrzeni publicznej, Gabrieliu. Ale wątpię, by Jego Świątobliwość był zadowolony, jeśli kiedykolwiek się dowie, że wybrałeś kościół na miejsce tajnego spotkania.

- To bazylika, Eli. A Jego Świątobliwość nigdy się o niczym nie dowie.

- Chyba że coś pójdzie nie tak.

- To mój miesiąc miodowy. Jak coś mogłoby się nie udać? Pojawił się kelner z dwoma talerzami makaronu. Lawon spojrzał na zegarek.

- Na pewno mamy czas na lunch?

- Jedz makaron, Eli. Czeka cię długi spacer.

7

RZYM

Skończyli jeść lunch w raczej nierzymskim pośpiechu i wsiedli na skuter Piaggio. Gabriel zostawił Lawona koło hotelu Excelsior i pojechał na Piazza di Spagna, gdzie usiadł w Caffè Greco tuż przy oknie. Zdawało się, że jest pogrążony w lekturze „La Repubblica”, gdy pojawił się idący Via Condotti Borys Ostrowski. Lawon podążał

pięćdziesiąt metrów za nim. Wciąż miał musznik, co oznaczało, że nie zauważył niczego podejrzanego.

Gabriel dopił kawę, obserwując, czy nikt nie śledzi Lawona, zapłacił rachunek i pojechał w stronę fontanny di Trevi. Był obok posągu stojącego dęba konia Neptuna, gdy Ostrowski przepchnął się przez tłum turystów i stanął przy balustradzie. Rosjanin miał dość lat, by pamiętać ciężkie czasy rozwiniętego socjalizmu, i zdawał się szczerze oburzony widokiem zachodnich bogaczy wrzucających pieniądze w wykonane na zlecenie papieża dzieło sztuki. Zanurzył chustkę w fontannie i wytarł nią czoło. Następnie z oporem wyciągnął z kieszeni monetę i cisnął do fontanny, po czym odwrócił się i odszedł. Gabriel kątem oka dostrzegł, jak Lawon rusza za nim. Wciąż miał na szyi musznik.

Trzeci punkt na ich mapie był nieco bliżej, ale wyglądało na to, że tęgi Rosjanin nabawił się pęcherzy i był zmęczony, gdy wreszcie z trudem wspiął się po schodach Panteonu. Gabriel stał przy grobowcu Rafaela. Popatrzył, jak Ostrowski raz obchodzi rotundę, po czym wyszedł na portyk, gdzie stał oparty o kolumnę Lawon.

- Jak sądzisz?

- Sądzę, że powinniśmy jak najszybciej załatwić mu stolik w Tre Scalini, nim straci przytomność.

- Ktoś go śledzi? Lawon pokręcił głową.

- Czysty jak łza.

W tym momencie Ostrowski wyłonił się z rotundy i zszedł po schodach w stronę Piazza Navona. Lawon pozwolił mu przejść spory

kawałek, nim ruszył dalej. Gabriel wsiadł na skuter i ruszył w stronę Watykanu.

Kiedyś mieścił się tam rzymski tor wyścigowy. Barokowe budynki otaczające owalny plac zostały wzniesione na ruinach starożytnych trybun. Na Piazza Navona nie odbywały się już wyścigi rydwanów ani zawody sportowe, ale panowała tam atmosfera wiecznego karnawału, dzięki której był to jeden z najpopularniejszych placów w Rzymie. Eli Lawon wybrał na swój punkt obserwacyjny fontannę de Moro. Udawał, że patrzy na wiolonczelistę grającego *Suitę nr 1 G-dur* Bacha. Tak naprawdę skupiał wzrok na Borysie Ostrowskim, który pięćdziesiąt metrów dalej, w Tre Scalini, właśnie siadał przy stoliku. Rosjanin zamówił małą butelkę wody mineralnej. Przyniesienie jej zajęło kelnerowi w białej marynarce całą wieczność. Lawon po raz ostatni rozejrzał się po placu, po czym podszedł i przysiadł się do Rosjanina.

- Borys, naprawdę powinieneś zamówić coś więcej niż tylko wodę mineralną. To nieładnie z twojej strony.

Lawon powiedział to bardzo szybko i po rosyjsku. Ostrowski odpowiedział w tym samym języku.

- Jestem rosyjskim dziennikarzem. Nie wypiję w miejscu publicznym niczego, co nie ma zakrętki.

Przyjrzał się Lawonowi i zmarszczył brwi, jak gdyby uznał, że drobny człowieczek w wymiętej tweedowej marynarce nie może być legendarnym izraelskim agentem, o którym czytał w gazetach.

- Kim pan jest?

- Nie twój interes. Znowu zmarszczył brwi.

- Zrobiłem wszystko, jak mi kazano. Więc gdzie on jest?

- Kto?

- Człowiek, z którym chcę porozmawiać. Allon.

- Dlaczego sądzisz, że pozwolilibyśmy ci w ogóle zbliżyć się do niego? Nikt nie wzywa Gabriela Allona. Zawsze jest na odwrót.

Do stolika niespiesznym krokiem podszedł kelner; Lawon przyzwoitym włoskim zamówił dwie kawy i talerz *tartufo*. Spojrzał jeszcze raz na Ostrowskiego. Rosjanin pocił się i rozglądał nerwowo po placu. Przód jego koszuli był mokry, pod pachami miał dwie ciemne plamy.

- Coś cię martwi, Borys?

- Zawsze coś mnie martwi. Dzięki temu żyję.

- Kogo się boisz?

- Siłowików.

- Siłowików? Obawiam się, że mój rosyjski nie jest aż tak dobry.

- Przyjacielu, pański rosyjski jest bardzo dobry i dziwię się, że nie słyszał pan o nich wcześniej. Tak mówi się o byłych agentach KGB, którzy teraz rządzą moim krajem. Nie są przyjaźnie nastawieni do sprzeciwu, delikatnie mówiąc. Jeśli ich zdenerwować, zabijają. Zabijają w Moskwie. Zabijają w Londynie. Nie zawahaliby się zabić tutaj - Ostrowski rozejrzał się po ruchliwym placu - w starożytnym centrum Rzymu.

- Borys, wyluzuj. Jesteś czysty. Nikt cię nie śledził.

- Skąd pan wie?

- Jesteśmy dobrzy w naszej robocie.

- Oni są lepsi, przyjacielu. Mają więcej wprawy. Zajmują się tym od czasów rewolucji.

- Tym bardziej nie możesz porozmawiać z tym, z kim chciałeś. Borys, powiedz mi, o co chodzi, a ja przekażę wiadomość Allonowi. Tak będzie dla wszystkich bezpieczniej. Tak załatwiamy podobne sprawy.

- Wiadomość, którą chcę przekazać, jest najwyższej wagi. Porozmawiam tylko z nim i z nikim innym.

Pojawił się kelner, niosący kawę i czekoladę. Lawon poczekał, aż odejdzie, nim znowu się odezwał.

- Jestem bliskim przyjacielem tego człowieka. Znam go od bardzo dawna. Jeśli przekażesz mi wiadomość, możesz mieć pewność, że dotrze do jego uszu.

- Spotkam się z Allonem albo wracam rano do Moskwy i z nikim się nie spotykam. Wybór należy do pana. - Ponieważ odpowiedziało mu milczenie, Rosjanin odsunął krzesło od stolika i wstał. - Zaryzykowałem życie, żeby tu przyjechać. Wielu moich kolegów po fachu zginęło z błahszych powodów.

- Usiądź - powiedział spokojnie Lawon. - Nie rób scen. Ostrowski dalej stał.

- Borys, powiedziałem, żebyś usiadł.

Tym razem Borys posłuchał. Był Rosjaninem, przywykłym do wypełniania rozkazów.

- Pierwszy raz jesteś w Rzymie? - zapytał Lawon. Ostrowski skinął głową.

- Pozwól, że ci powiem, dokąd powinieneś teraz się udać. Lawon nachylił się nad stolikiem, Ostrowski zrobił to samo. Dwie minuty później rosyjski dziennikarz znowu wstał, tym razem zmierzając przez plac w stronę Tybru. Lawon został w Tre Scalini, żeby wykonać krótki telefon, po czym zapłacił rachunek i ruszył za dziennikarzem.

W samym sercu placu Świętego Piotra stoi egipski obelisk otoczony wielką kolumnadą toskańską, projektu Berniniego. Przywiózł go do Rzymu w 37 roku cesarz Kaligula, a na tym miejscu wzniesiono go w 1586 roku. Było to nie lada przedsięwzięcie inżynieryjne, do którego użyto stu czterdziestu koni i czterdziestu siedmiu dźwigów. By ochronić obelisk przed terrorystami i innymi współczesnymi zagrożeniami, otoczono go niskimi brązowymi barierkami ze wzmocnionego betonu. Gabriel usiadł na jednej z nich. Miał wciąż na nosie okulary przeciwsłoneczne, gdy na skraju placu pojawił się Borys Ostrowski. Gabriel obserwował zbliżającego się Rosjanina, po czym odwrócił się i ruszył w stronę magnetometrów przed bazyliką. Po krótkim oczekiwaniu przeszedł przez bramkę, nie uruchamiając jej, i wszedł po zalanych słońcem stopniach na portyk.

Z pięciorga drzwi do bazyliki tylko wrota Filaretę były otwarte. Gabriel pozwolił, by grupa rozradowanych pielgrzymów z Polski wchłonęła go i popchnęła w stronę atrium. Zatrzymał się, by zamienić

okulary przeciwsłoneczne na zwykłe, w rogowej oprawie, po czym ruszył środkiem wielkiej nawy. Stał przed ołtarzem papieskim, gdy Borys Ostrowski wszedł z portyku.

Rosjanin podszedł do kaplicy z Pietą. Spędził zaledwie trzydzieści sekund, podziwiając dzieło Michelangela, po czym ruszył prawą nawą i znowu się zatrzymał, tym razem przed posągami Piusa XII. Statua stała tak, że Rosjanin na chwilę zniknął z pola widzenia Gabriela, który spojrzał na drugą stronę nawy i zobaczył Lawona stojącego przy wejściu do Grot Watykańskich. Ich spojrzenia skrzyżowały się na moment - Lawon skinął krótko głową. Gabriel po raz ostatni spojrzał na strzelistą kopułę, po czym ruszył w stronę miejsca, gdzie czekał na niego Rosjanin.

Rzeźba Piusa XII jest bardzo intrygująca. Prawą rękę ma wzniesioną w geście błogosławieństwa, ale głowę odwraca o kilka stopni w prawo, w obronnym geście, tak jakby papież z czasów drugiej wojny światowej próbował osłonić się od ciosu. Ale jeszcze bardziej intrygująca była scena, którą zobaczył Gabriel, gdy podszedł do posągu. Borys Ostrowski klęczał na piedestale, twarz miał wzniesioną ku górze, a ręce przy szyi. Niecały metr od niego trzy afrykańskie zakonnice rozmawiały cicho po francusku, jak gdyby nie było nic dziwnego w widoku mężczyzny klęczącego i oddającego żarliwie cześć tak wielkiemu papieżowi.

Gabriel precyzyjnie przycisnął się obok zakonnicy i szybko podszedł do Ostrowskiego, który wytrzeszczał zamarłe w przerażeniu oczy i zaciskał na szyi dłonie, jak gdyby starał się samego siebie udusić.

Oczywiście wcale tak nie było - po prostu próbował oddychać. To, co przytrafiło się Ostrowskiemu, nie było normalne. Gabriel był zupełnie pewny, że Rosjanin został otruty. Pomimo ich wszelkich środków ostrożności gdzieś jakoś zabójcy udało się do niego dostać.

Gabriel delikatnie położył Ostrowskiego na ziemi i mówił coś cicho do jego ucha, próbując rozewrzeć jego dłonie. Wokół stały zakonnice oraz grupka ciekawych gapiów. W niecałe pół minuty pojawili się pierwsi funkcjonariusze Vigilanzji, watykańskiej policji, żeby sprawdzić, co się stało. Gabriela już tam wtedy nie było. Szedł spokojnie w dół po schodach bazyliki, w okularach przeciwsłonecznych na nosie. Obok niego kroczył Eli Lawon.

- Był czysty - mówił Lawon. - Gabrielu, mówię ci, był czysty.

8

WATYKAN

Potrzeba było zaledwie godziny, by śmierć w Bazylice Świętego Piotra pojawiła się we włoskich wiadomościach i by wspomniano o niej w podsumowaniu europejskich wiadomości BBC. O ósmej znano już nazwisko zabitego, a o dziewiątej zawód.

O 21:30 czasu rzymskiego zainteresowanie świata śmiercią Ostrowskiego wzrosło dramatycznie, gdy rzecznik prasowy Watykanu wydał lapidarne oświadczenie, z którego wynikało, że Rosjaninowi ktoś pomógł przenieść się na tamten świat. To wywołało nagły wybuch aktywności w redakcjach agencji informacyjnych na świecie,

bo poza tym dzień minął raczej spokojnie. Koło północy wzdłuż Via delia Conciliazione od Tybru do placu Świętego Piotra stał rząd furgonetek z antenami satelitarnymi. Sprowadzono ekspertów, by przeanalizowali wszystkie informacje, zarówno prawdziwe, jak i zmyślane: ekspertów z policji i watykańskich służb bezpieczeństwa, ekspertów od niebezpieczeństw czyhających na rosyjskich dziennikarzy oraz ekspertów od samej bazyliki, którą zamknięto i odgrodzono jako miejsce zbrodni. Amerykańska telewizja kablowa przeprowadziła nawet wywiad z autorem książki o Piusie XII, przed którego posągiem zginął Ostrowski. Uczony właśnie oddawał się czczym spekulacjom na temat możliwości powiązań między martwym dziennikarzem a otoczonym kontrowersjami papieżem, gdy Gabriel zaparkował swój skuter w cichej uliczce nieopodal Watykanu i ruszył w stronę bramy Świętej Anny.

Zaraz za bramą stał młody ksiądz. Rozmawiał ze strażnikiem Gwardii Szwajcarskiej w prostym niebieskim nocnym mundurze. Ksiądz przywitał Gabriela i w milczeniu poprowadził go wzdłuż Via Belvedere. Weszli do Pałacu Apostolskiego przez dziedziniec San Damaso i wsiedli do czekającej na nich windy, która zawiozła ich powoli na trzecie piętro. *Monsinior* Luigi Donati, prywatny sekretarz Jego Świątobliwości papieża Pawła VII, czekał w pokrytej freskami loggii. Był kilkanaście centymetrów wyższy od Gabriela, a do tego wyglądał jak włoski gwiazdor filmowy. Ręcznie szyta czarna sutanna leżała na nim elegancko, a złoty zegarek błysnął w bladym świetle, gdy krótkim gestem odesłał młodego księdza.

- Powiedz mi, że nie zabiłeś tego człowieka w mojej bazylice - wymamrotał Donati, gdy młody ksiądz zniknął w mroku.

- Nikogo nie zabiłem, Luigi.

Monsinior zmarszczył brwi, po czym podał Gabrielowi brązową teczkę z pieczęcią *Vigilanzy*. Gabriel otworzył ją i ujrzał zdjęcie samego siebie, trzymającego w ramionach umierającego Borysa Ostrowskiego. Pod spodem widniały inne zdjęcia: oddalający się Gabriel, gdy zaczęli zbierać się gapie, Gabriel wymykający się przez wrota *Filaretę*, Gabriel u boku *Eliego Lawona*, spieszący przez plac *Świętego Piotra*. Zamknął teczkę i podał ją Donatiemu niczym ofiarę na tacę.

- Możesz je sobie wziąć, Gabrielu. To pamiątka z Watykanu, dla ciebie.

- Rozumiem, że *Vigilanza* ma drugi zestaw? Donati skinął powoli głową.

- Byłbym do zgongnie wdzięczny, gdybyś mógł go wrzucić do najbliższej papieskiej niszczarki.

- Zrobię to - powiedział lodowatym tonem Donati - ale dopiero, gdy powiesz mi wszystko, co wiesz o wydarzeniach tego popołudnia.

- Tak naprawdę wiem bardzo niewiele.

- To może zacznijmy od czegoś prostego? Na przykład, coś ty, na Boga, w ogóle tu robił?

Donati wyjął papierosa z eleganckiej złotej papierośnicy, poklepał nim ze zniecierpliwieniem o wieczko, po czym zapalił ekskluzywną złotą zapalniczką. Z zachowania wcale nie przypominał

duchownego; nie po raz pierwszy Gabriel musiał powtórzyć sam sobie, że stojący przed nim wysoki mężczyzna w sutannie jest naprawdę księdzem.

Genialny, bezkompromisowy i słynny z wybuchowego charakteru, Donati był jednym z najpotężniejszych osobistych sekretarzy w historii Kościoła rzymskokatolickiego. Kierował Watykanem niczym premier albo dyrektor generalny wielkiej korporacji, w stylu, który wewnątrz murów Stolicy Apostolskiej nie przysparzał mu zbyt wielu przyjaciół. Watykańscy dziennikarze mówili o nim „Rasputin w sutannie”, prawdziwy władca stojący za papieskim tronem, a legiony wrogów Kurii Rzymskiej nazywały go Czarnym Papieżem, co było niepochlebłą aluzją do jego jezuickiej przeszłości. Przez ostatni rok nienawiść do Donatego znacznie się zmniejszyła. W końcu niewielu ludzi mogło powiedzieć, że wzięli na siebie kulę przeznaczoną dla papieża.

- *Monsinior* Donati, w twoim interesie leży utajnienie niektórych faktów dotyczących śmierci Ostrowskiego. - Gabriel mówił tonem prawnika. - Inaczej możesz znaleźć się w delikatnej sytuacji, kiedy śledczy zaczną zadawać pytania.

- Byłem już w delikatnych sytuacjach. - Donati wypuścił ku sufitowi kłęb dymu i spojrzał na Gabriela kątem oka. - Obaj byliśmy. Po prostu powiedz mi wszystko, co wiesz, a ja sam się będę martwił o to, jak poradzić sobie z pytaniami ze strony śledczych.

- Minęło wiele czasu od mojej ostatniej spowiedzi, Luigi.

- Spróbuj - powiedział Donati. - To dobrze robi na duszę. Może Gabriel miał poważne wątpliwości co do zalet spowiedzi, ale z pewnością nie miał ich względem zaufania wobec Luigiego Donatiego. Ich więź została ukuta w tajemnicy i spłynęła krwią, także ich własną. Były jezuita wiedział, jak dochować tajemnicy. Umiał też od czasu do czasu powiedzieć coś nieprawdziwego, o ile cel był słuszny. Więc gdy przechadzali się po cichych korytarzach Pałacu Apostolskiego, Gabriel opowiedział mu o wszystkim, od wyjazdu z Asyżu aż po śmierć Ostrowskiego.

- Czy muszę ci przypominać, że zawarliśmy umowę? Poprosiliśmy włoskie służby, żeby pozwoliły ci przebywać w kraju pod fałszywym nazwiskiem. Daliśmy ci pracę i zakwaterowanie. Dodam, że bardzo przyjemne zakwaterowanie. W zamian poprosiliśmy cię jedynie, żebyś powstrzymał się od wszelkiej pracy dla swoich poprzednich pracodawców.

Gabriel wykonał bez przekonania „manewr Nawota” - to nie była żadna operacja, miał tylko porozmawiać. Donati zbył go gestem dłoni.

- Dałeś nam słowo, Gabrielu, a potem go nie dotrzymałeś.

- Nie mieliśmy wyboru. Ostrowski powiedział, że będzie rozmawiał tylko ze mną.

- Więc powinieneś był wybrać inne miejsce niż moją bazylikę. Podrzuciłeś nam skandal, a to ostatnia rzecz, której wszystkim teraz trzeba.

- Trudne pytania będą zadawane Moskwie, a nie Watykanowi.

- Miejmy nadzieję, że się nie mylisz. Rzecz jasna nie jestem ekspertem w tych sprawach, ale wygląda na to, że Ostrowskiego ktoś otruł. - Donati przerwał. - Ktoś, kto najwyraźniej nie chciał, żeby z tobą rozmawiał.

- Zgadza się.

- Ponieważ był Rosjaninem i ponieważ Rosjanie mają na koncie wiele takich rzeczy, z pewnością powstanie podejrzenie związku z Kremlem.

- Już powstaje, Luigi. Na skraju placu Świętego Piotra stoi setka reporterów, którzy nie mówią o niczym innym.

- A ty jak sądzisz?

- Ostrowski powiedział nam, że bał się siłowników. Tak Rosjanie nazywają bandę byłych agentów KGB, którzy wpakowali się na Kreml. Powiedział nam też, że jego informacje dotyczyły poważnego zagrożenia dla Zachodu i Izraela.

- Co to było za zagrożenie?

- Nie zdążył powiedzieć.

Donati złożył w zamyśleniu dłonie i spojrzał na marmurową posadzkę.

- Na razie śmierć Ostrowskiego jest sprawą policji i służb bezpieczeństwa Watykanu, ale wątpię, by tak pozostało. Domyślam się, że szybko pojawią się naciski, żebyśmy przekazali dowodzenie włoskim władzom. Na szczęście morderstwa w Watykanie zdarzają się rzadko, chyba że akurat ty jesteś w okolicy. Po prostu nie mamy doświadczenia technicznego, by przeprowadzić śledztwo o takiej

złożoności, zwłaszcza jeśli wykorzystano wyszukaną truciznę albo toksynę.

- Kiedy będziecie musieli przekazać śledztwo Włochom?

- Jeśli miałbym zgadywać, prośba znajdzie się na moim biurku jutro. Jeśli odmówimy, oskarżą nas o pomoc w zatajeniu zbrodni. Prasa będzie snuć niestworzone historie o siłach ciemności za murami Watykanu. Co przypomniało mi o twoich zdjęciach w bazylice, gdy zginął Ostrowski.

- Tak?

- Wrzucenie ich do papieskiej niszczarki to tylko tymczasowe rozwiązanie. Jak się pewnie domyślasz, zdjęcia są zapisane w pamięci naszych komputerów. Niech ci nawet do głowy nie przyjdzie prosić mnie o ich skasowanie. Nie będę tolerował niszczenia dowodów, nie, jeśli Włosi mają przejąć sprawę.

- Luigi, nikt mnie nie rozpozna na tych zdjęciach. Włosi tylko w jeden sposób mogą się dowiedzieć, że tu byłem.

- Nie martw się, Gabrieliu. Twoja tajemnica jest bezpieczna w naszych rękach. Trzy osoby wiedzą o twoim zaangażowaniu w tę sprawę: Ojciec Święty, ja i oficer Vigilanzy, który prowadzi dochodzenie. Poprosiłem go o złożenie przysięgi, że dochowa tajemnicy. Zgodził się zachować milczenie. To *uomo difiducia*, jak mówią Włosi. Zaufany człowiek. Pracował dla Polizia di Stato.

- Luigi, jeśli ci to nie przeszkadza, chętnie pogadałbym z twoim inspektorem.

- O czym?

- Możliwe, że kamery w bazylice sfilmowały kogoś oprócz mnie.

- Kogo?

- Rzecz jasna człowieka, który zabił Borysa Ostrowskiego.

9

WATYKAN

Nie trzeba było odprowadzać Gabriela do centralnego biura bezpieczeństwa Watykanu. Niestety, znał drogę. To tam na krótko przed atakiem gorączkowo szukał dowodów na obecność wtyczki Al-Kaidy w Watykanie. Gdyby wtedy mógł zacząć parę minut wcześniej, być może powstrzymałby najbardziej morderczy akt islamskiego terroryzmu od czasu 11 września.

Inspektor Mateo Cassani, schludny mężczyzna w dobrze skrojonym czarnym garniturze, czekał w holu, koło recepcji. Przyjrzał się Gabrielowi zmęczonymi, zaczerwienionymi oczami i wyciągnął dłoń.

- Witamy z powrotem, *signore*. Proszę ze mną.

Przeszli wąskim korytarzem i zatrzymali się na chwilę przy otwartych drzwiach. W środku przed pokrytą ekranami ścianą siedziało dwóch funkcjonariuszy w mundurach Vigilanzji. Gabriel szybko spojrział na monitory: brama Świętej Anny, Łuk Dzwonów, plac Świętego Piotra, dziedziniec San Damaso, ogrody watykańskie, wewnątrz bazyliki.

- To nasza sala obserwacyjna. W razie kryzysu mamy tu także centrum dowodzenia, jak rankiem w dniu ataku. Wszystko jest nagrywane i przechowywane cyfrowo. Na wieki wieków - dodał ze zmęczonym uśmiechem. - Jak nasz Kościół.

- Tego się bałem.

- Proszę się nie martwić, *signore*. Wiem, kim pan jest, i wiem dokładnie, co pan robił w dniu ataku terrorystów. W kilka sekund Kościół stracił czterech kardynałów i ośmiu biskupów. I gdyby nie pan, mogliśmy również stracić papieża.

Opuścili pokój obserwacyjny i weszli do ciasnego biura z oknami wychodzącymi na pogrążony w mroku dziedziniec Belwederu. Cassani usiadł przed stojącym na biurku komputerem i poprosił Gabriela, żeby popatrzył na ekran.

- *Monsinior* Donati powiedział, że chce pan zobaczyć wszystkie posiadane przez nas ujęcia martwego Rosjanina.

Gabriel skinął głową. Detektyw kliknął myszką i pojawił się pierwszy obraz, szerokokątne ujęcie placu Świętego Piotra z kamery zainstalowanej na szczycie lewego skrzydła kolumnady. Film przesuwiał się z prędkością jednej klatki na sekundę. Kiedy czas na stoperze w lewym dolnym rogu ekranu doszedł do 15:47:23, Cassani kliknął ikonę z pauzą i wskazał w prawy górny róg.

- Oto *signore* Ostrowski. Wchodzi na plac sam i idzie prosto do punktu kontrolnego przed bazyliką. - Cassani spojrzał na Gabriela. - Prawie jakby miał się z kimś spotkać w środku.

- Może pan włączyć film z powrotem? - spytał Gabriel.

Detektyw kliknął „odtwarzaj” i Borys Ostrowski zaczął przemieszczać się przez plac, śledzony ostrożnie przez Eliego Lawona. Dziewięćdziesiąt sekund później, gdy Ostrowski przechodził między obeliskiem i znajdującą się po lewej stronie fontanną, zniknął z zasięgu kamery na kolumnadzie i pojawił się na innej, zamontowanej na Loggii Błogosławieństw. Po paru sekundach otoczyła go grupka turystów. Z lewej strony obrazu pojawiła się samotna postać; nie czekała, aż turyści przejdą, tylko przepychała się między nimi. Mężczyzna potrącił kilka osób, w tym Ostrowskiego, po czym udał się w stronę wejścia na plac.

Gabriel obejrzał ostatnie trzy minuty życia Borysa Ostrowskiego: krótkie oczekiwanie przy punkcie kontrolnym; przejście przez wrota Filaretę; postój przy kaplicy z Pietą; wreszcie spacer ku posągowi Piusa XII. Dokładnie sześćdziesiąt siedem sekund po wejściu do środka upadł na kolana przed posągiem i złapał się za gardło. Gabriel pojawił się dwadzieścia dwie sekundy później, przesuając się przez ekran niczym duch, z prędkością jednej klatki na sekundę. Wydawało się, że detektywa poruszył widok Gabriela delikatnie układającego umierającego Rosjanina na podłodze.

- Czy coś panu powiedział? - zapytał detektyw.
- Nie, nic. Nie mógł mówić.
- A pan co mu powiedział?
- Że śmierć nie jest niczym złym. Powiedziałem, że udaje się do lepszego świata.
- Jest pan wierzący, *signore* Allon?

- Mogę zobaczyć ujęcie o piętnastej pięćdziesiąt?

Detektyw zrobił to, o co poprosił Gabriel, i jeszcze raz obejrzeli Ostrowskiego idącego w stronę bazyliki. A gdy z lewej strony podeszła do niego postać...

- Proszę zatrzymać - powiedział nagle Gabriel. Cassani natychmiast kliknął pauzę.

- Poproszę poprzednią klatkę. Detektyw cofnął ujęcie.

- Może pan powiększyć obraz?

- Mogę - powiedział Cassani - ale rozdzielczość będzie kiepska.

- Nie szkodzi.

Detektyw zaznaczył kursorem potrzebny im fragment obrazu, po czym kliknął „powiększ”. Tak jak powiedział, rozdzielczość można było w najlepszym razie określić jako słabą. Ale mimo tego Gabriel wyraźnie widział prawą rękę postaci obejmującą prawe ramię Borysa Ostrowskiego.

- Gdzie jest ciało Ostrowskiego?

- W naszej kostnicy.

- Czy ktoś je już oglądał?

- Zbadałem je pobieżnie, by sprawdzić, czy nie było na nim śladów obrażeń albo ran. Niczego nie znalazłem.

- Jeśli obejrzy je pan jeszcze raz, podejrzewam, że znajdzie pan malutkie nakłucie na skórze przedramienia. Tam zabójca wstrzyknął mu rosyjską truciznę, która w parę minut paraliżuje układ oddechowy. Wynalazło ją KGB w czasach zimnej wojny.

- Zaraz się tym zajmę.

- Najpierw potrzebuję jeszcze jednej rzeczy. - Gabriel postukał w ekran. - Chcę wiedzieć, o której godzinie mężczyzna pojawił się na placu i w jakim kierunku się udał, gdy wyszedł. Potrzebuję też pięciu najlepszych zdjęć, jakie pan może znaleźć, na których choć trochę go widać.

Był zawodowcem i jak wszyscy zawodowcy dobrze wiedział o kamerach. Czujność stracił tylko raz, o 15:47:33, dziesięć sekund po tym, jak watykańskie kamery po raz pierwszy zobaczyły Borysa Ostrowskiego na skraju placu. Zdjęcie zrobiła kamera obok Spizowej Bramy Pałacu Apostolskiego. Widniał na nim mężczyzna o silnym podbródku, szerokich kościach policzkowych i gęstych blond włosach. Na nosie miał grube okulary przeciwsłoneczne. Eli Lawon przyjrzał się fotografii w świetle latarni u szczytu Schodów Hiszpańskich. Pięćdziesiąt metrów od nich oddział bezpieczeństwa Biura przetrząsnął pospiesznie lokal konspiracyjny w poszukiwaniu śladów toksyn albo materiałów radioaktywnych.

- Włosy są sztuczne, ale kości policzkowe raczej nie. To Rosjanin, Gabrielu, i nie chciałbym go spotkać w ciemnym zaułku. - Lawon obejrzał zdjęcie przedstawiające rękę zabójcy obejmującą prawe przedramię Ostrowskiego. - Biedny Borys prawie na niego nie spojrzał, kiedy ten go potracił. Chyba do końca nie wiedział, co się stało.

- Nie wiedział - odparł Gabriel. - Wszedł prosto do bazyliki i postąpił według twoich instrukcji, jak gdyby wszystko było w

porządku. Nawet gdy umierał, wyglądało na to, że nie wiedział dlaczego.

Lawon po raz kolejny popatrzył na zdjęcie zabójcy.

- Wciąż obstaję przy tym, co powiedziałem, gdy wychodziliśmy z bazyliki. Ostrowski był czysty. Nie widziałem, żeby ktokolwiek go śledził. Niemożliwe, żebym przegapił kogoś o takim wyglądzie.

- Może Ostrowski był czysty, ale my nie.

- Chcesz powiedzieć, że obserwowali obserwujących?

- Zgadza się.

- Ale skąd wiedzieli, że tam będziemy?

- Ostrowski pewnie od wielu miesięcy był pod obserwacją w Moskwie. Po przylocie do Rzymu skontaktował się z naszą ambasadą na niezabezpieczonej linii. Ktoś stamtąd przechwycił rozmowę tu, w Rzymie, albo z posterunku w Moskwie. Zabójca to prawdziwy zawodowiec. Wiedział, że nie tkniemy Ostrowskiego, nie wysyłając go najpierw na spacer, żeby sprawdzić, czy nie jest śledzony. I zrobił to, do czego szkoli się prawdziwych zawodowców. Zignorował cel i zamiast tego śledził nas.

- Więc jak dostał się do Watykanu dziesięć minut przed Ostrowskim?

- Musiał śledzić mnie. Eli, przegapiłem go. To moja wina, że Ostrowski zginął tragicznie wewnątrz bazyliki.

- To ma sens, ale zwykły rosyjski gangster nie wykonałby takiego numeru.

- Nie mamy do czynienia z gangsterami. To zawodowcy. Lawon oddał Gabrielowi zdjęcia.

- Cokolwiek Borys chciał ci powiedzieć, musiało to być ważne. Ktoś powinien się dowiedzieć, kim on jest i dla kogo pracuje.

- Tak, to prawda.

- Mogę się mylić, Gabrielu, ale Biuro chyba ma na myśli pewnego kandydata.

Lawon podał mu kartkę.

- Co to?

- Wiadomość od Szamrona.

- Co jest w niej napisane?

- Że twój miesiąc miodowy oficjalnie dobiegł końca.

10

LOTNISKO IM. BEN GURIONA, IZRAEL

Na lotnisku imienia Ben Guriona jest pokój przyjęć, o którym mało kto wie i w którym jeszcze mniej ludzi kiedykolwiek było. Wchodzi się do niego przez nieoznakowane drzwi koło kontroli paszportowej. Ściany zbudowane są z jerozolimskiego wapienia, meble obite czarną skórą, a w powietrzu unosi się przykry zapach palonej kawy i męskiego potu. Kiedy Gabriel wszedł do środka następnego wieczora, był tam tylko jeden człowiek. Siedział na skraju krzesła, nogi miał lekko rozłożone, potężne dłonie spoczywały na lasce z drewna oliwnego. Wyglądał jak siedzący na peronie podróżny

czekający na długą podróż. Jak zawsze był ubrany w spodnie koloru khaki i białą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Miał owalną głowę i był prawie łysy, oprócz wąskiego pasma siwych włosów, które nadawało mu wygląd mnicha. Jego brzydkie okulary w drucianej oprawie powiększały dwoje błękitnych oczu, które utraciły już swoją dawną bystrość.

- Od jak dawna tu siedzisz? - zapytał Gabriel.

- Od dnia, kiedy wróciłeś do Włoch - odparł Ari Szamron.

Gabriel przyjrzał mu się uważnie.

- Czemu tak na mnie patrzysz?

- Zastanawiam się, dlaczego nie palisz.

- Dżila powiedziała, że mam przestać, bo inaczej...

- Jakoś nigdy wcześniej cię to nie powstrzymywało.

- Tym razem mówi poważnie.

Gabriel pocałował Szamrona w czubek głowy.

- Czemu nie wysłałeś po prostu kogoś z wydziału transportu, żeby mnie odebrał?

- Byłem w okolicy.

- Przecież mieszkasz w Tyberiadzie! Ari, przeszedłeś na emeryturę. Powinieneś spędzać czas z Dżilą, żeby nadrobić te wszystkie lata, kiedy nigdy cię z nią nie było.

- Nigdy nie przejdę na emeryturę! - Szamron uderzył pięścią w oparcie fotela, żeby podkreślić swoje słowa. - A jeśli chodzi o Dżilę, to ona sama zaproponowała, żebym tu przyjechał i na ciebie poczekał.

Kazała mi wynieść się na parę godzin z domu. Powiedziała, że wchodzę jej w drogę.

Szamron na chwilę przymknął swoje ciężkie powieki i uśmiechnął się lekko. Jego ukochani, tak jak jego władza i wpływy, powoli wymykali się spod kontroli. Jego syn był generałem brygady w wojskach obronnych Izraela w północnym dowództwie i zawsze szukał wymówek, byle tylko nie musieć spędzać czasu ze swoim słynnym ojcem, podobnie jak córka Szamrona, która w końcu po wielu latach spędzonych za granicą wróciła do Izraela. Tylko Dżila, jego cierpiąca od dawna żona, stała wiernie u boku męża, ale teraz, kiedy Szamron nie pełnił żadnej oficjalnej funkcji, nawet jej, kobiecie o nieskończonej cierpliwości, przeszkadzała jego obecność. Jego prawdziwą rodziną byli Gabriel, Nawot i Lawon - ludzie, których zwerbował i wyszkolił, którzy wyznawali jego credo, a nawet mówili stworzonym przez niego językiem. Byli tajnymi stróżami państwa, a Ari Szamron był ich apodyktycznym ojcem tyranem.

- Wiele lat temu postanowiłem głupio zagrać o wysoką stawkę - powiedział Szamron. - Poświęciłem życie budowaniu i ochronie tego kraju i sądziłem, że żona i dzieci wybaczą mi grzechy zaniedbania i nieobecności. Rzecz jasna myliłem się.

- A teraz chcesz zrobić to samo z moim życiem.

- Czy to aluzja do faktu, że przerwałem twój miesiąc miodowy?

- Owszem.

- Twoja żona wciąż jest na liście płac Biura. Z pewnością rozumie, czego wymaga od ciebie praca. Poza tym nie było cię już dłużej niż miesiąc.

- Uzgodniliśmy, że mój pobyt we Włoszech będzie nieograniczony czasowo.

- Niczego podobnego nie uzgadnialiśmy, Gabrieliu. Postawiłeś żądanie, a ja nie mogłem ci odmówić po tym, co przeszedłeś w Londynie. - Szamron skrzywił pooraną zmarszczkami twarz w grymasie niezadowolenia. - Wiesz, co ja robiłem w czasie naszego miesiąca miodowego?

- Oczywiście, że wiem. Cały kraj wie, jak wyglądał twój miesiąc miodowy.

Ari się uśmiechnął. Rzecz jasna to była przesada, ale tylko lekka. W korytarzach i salach konferencyjnych izraelskiego wywiadu Szamron był legendą. Przenikał na królewskie dwory, wykradał tajemnice tyranom i zabijał wrogów Izraela, czasami gołymi rękami. Ukoronowanie jego kariery nadeszło deszczowej nocy w maju 1960 roku gdzieś na biednych przedmieściach Buenos Aires, kiedy to schwytał Adolfa Eichmanna, zbrodniarza wojennego odpowiedzialnego za Holokaust. Nawet dziś za każdym razem, gdy Szamron pojawiał się w miejscu publicznym w Izraelu, podchodzili do niego ocaleni, chcący dotknąć dłoni, które zacisnęły się na szyi tyrana.

- Dżila i ja pobraliśmy się w kwietniu tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku, w samym środku wojny o

niepodległość. Na weselu rozgniotłem stopą kieliszek, nasi przyjaciele i rodzina zakrzyknęli *Mazel tow!*, pocałowałem żonę i wróciłem do mojej jednostki w Palmach.

- To były inne czasy, Ari.

- Wcale nie takie inne. Wtedy walczyliśmy o przetrwanie i teraz jest podobnie. - Szamron przyjrzał się Gabrielowi przez okulary. - Ale już o tym wiesz, prawda, Gabrielu? To wyjaśnia, dlaczego nie zignorowałeś wiadomości ode mnie i nie wróciłeś po prostu do swojej willi w Umbrii.

- Powinienem był zignorować twoje pierwsze wezwanie. Wtedy nie byłoby mnie tutaj. - Rozejrzał się ostentacyjnie po potwornym umeblowaniu. - Znowu w tym pokoju.

- To nie ja cię wezwałem, tylko Borys Ostrowski. Miał pecha i umarł w twoich ramionach. A teraz to ty się dowiesz, kto go zabił i dlaczego. W tych okolicznościach chociaż tyle możesz dla niego zrobić. Gabriel spojrzał na zegarek.

- Czy Eli dotarł bez problemu?

Polecieli osobnymi samolotami i innymi trasami. Lawon poleciał prosto z Fiumicino na lotnisko Ben Guriona; Gabriel najpierw udał się do Frankfurtu, gdzie przez trzy godziny czekał na dalszy lot. Nie zmarnował tego czasu. Kręcił się po niekończących się korytarzach lotniska, obserwując, czy nie tropią go rosyjscy zabójcy.

- Eli jest już przy Bulwarze Króla Saula, przechodzi przez raczej nieprzyjemną odprawę. Kiedy z nim skończą, chcą też dobrać się do ciebie. Jak łatwo zgadnąć, Amos nie jest zadowolony z tego, co się

stało w Rzymie. Jest w trudnej sytuacji i postara się, żeby wina spadła na ciebie, a nie na niego.

Amos Szarret był kierownikiem Biura. Jak wszyscy spośród dowódców wojska i służb bezpieczeństwa Izraela, został poddany ostrej krytyce za swoje zachowanie podczas ostatniej wojny w Libanie i trzymał się władzy resztkami sił. Szamron i jego sprzymierzeńcy w biurze premiera po cichu starali się, żeby wreszcie puścił.

- Ktoś powinien powiedzieć Amosowi, że to zlecenie mnie nie obchodzi.

- Nie uwierzy. Wszędzie widzi wrogów. Choroba zawodowa. - Szamron przesunął się na krawędź fotela i używając laski, wstał. - Chodźmy - powiedział. - Zawiozę cię do domu.

Opancerzona limuzyna Peugeot czekała na zabezpieczonym parkingu dla VIP-ów. Usiedli z tyłu i samochód ruszył w stronę Wzgórz Judejskich.

- W Rzymie wydarzyło się parę rzeczy po tym, jak wsiadłeś do samolotu we Frankfurcie. Włoskie ministerstwo sprawiedliwości wysłało list do Watykanu, oficjalnie prosząc o pozwolenie na przejęcie śledztwa w sprawie śmierci Ostrowskiego. Chyba nie muszę ci mówić, jak zareagował Watykan.

- Donati natychmiast się zgodził.

- Akurat to sekretarz stanu państwa Watykan udzielił oficjalnej odpowiedzi, ale nie wątpię, że twój znajomy *monsior* podszeptował mu, co robić. Włoska policja przejęła zwłoki Ostrowskiego, zabrała też jego bagaż i osobiste przedmioty z hotelu Excelsior. Ekipy od

niebezpiecznych materiałów przetrząsają teraz hotel w poszukiwaniu trucizn albo innych toksyn. Bazylika została zamknięta jako miejsce zbrodni. Ministerstwo sprawiedliwości poprosiło wszystkich, którzy byli świadkami zabójstwa, żeby natychmiast się ujawnili. To chyba dotyczy też ciebie. - Szamron przypatrywał się przez chwilę Gabrielowi. - Wygląda na to, że twoja sytuacja w sprawie Ostrowskiego jest co najmniej niepewna.

- Donati obiecał, że będą mnie trzymać z dala od tej afery.

- Bóg świadkiem, Watykan potrafi trzymać tajemnice w sekrecie, ale z pewnością są też inni, którzy wiedzą o twoim zaangażowaniu w tę sprawę. Gdyby któryś z nich chciał postawić Donatego albo nas, w trudnej sytuacji, wystarczy, że zadzwonią do Polizii di Stato.

- Borysa Ostrowskiego zabił na placu Świętego Piotra zawodowy rosyjski zabójca. - Gabriel wyjął szarą teczkę z bocznej kieszeni torby i podał ją Szamronowi. - Te zdjęcia tego dowodzą.

Szamron włączył lampkę nad głową i przyjrzał się fotografiom.

- To śmiały krok, nawet jak na rosyjskie standardy. Ostrowski musiał wiedzieć coś bardzo ważnego, skoro posunęli się tak daleko.

- Rozumiem, że macie jakąś teorię.

- Niestety mamy. - Szamron włożył zdjęcia z powrotem do teczki i zgasił lampę. - Nasi dobrzy znajomi z Kremla sprzedają wyszukany sprzęt wojskowy do zbójceckich państw na Bliskim Wschodzie w tempie, jakiego wcześniej nie znaliśmy. Ich najlepszymi klientami są mułowie w Iranie, ale sprzedają też broń przeciwlotniczą

i przeciwczołgową swoim kumplom w Damaszku. Dochodzą nas słuchy, że Syryjczycy i Kreml mają zawrzeć układ o sprzedaży zaawansowanych rosyjskich wyrzutni rakiet Iskander. Wystrzeliwane z nich rakiety mają zasięg do dwustu siedemdziesięciu kilometrów, a więc Tel Awiw będzie w promieniu rażenia syryjskiej broni. Nie muszę ci wyjaśniać, co to oznacza.

- Układ sił na Bliskim Wschodzie natychmiast by się zmienił. Szamron pokiwał z wolna głową.

- Niestety, biorąc pod uwagę poprzednie zachowanie Kremla, to tylko jedna z niepokojących możliwości. Cały region aż huczy od pogłosek o jakimś nowym układzie, który ma być gdzieś wkrótce zawarty. Od miesięcy drążymy tę kwestię, ale jak dotąd nie ustaliliśmy nic, co można by przedstawić premierowi. Obawiam się, że zaczyna się denerwować.

- To wchodzi w zakres jego obowiązków.

- Moich również. - Szamron uśmiechnął się ponuro. - To dlatego byliśmy tak bardzo zainteresowani twoim spotkaniem z Borysem Ostrowskim. I dlatego chcielibyśmy, żebyś poleciał do Rosji i dowiedział się, co ci chciał przekazać.

- Ja? W życiu nie byłem w Rosji. Nie znam terenu. Nawet nie mówię po rosyjsku.

- Masz coś o wiele ważniejszego niż lokalna wiedza i znajomość języka.

- Co takiego?

- Nazwisko i twarz, którą nerwowi pracownicy „Gazety Moskiewskiej” rozpoznają natychmiast.

- Istnieje prawdopodobieństwo, że rosyjskie służby specjalne też mnie rozpoznają.

- Mamy na to sposób - odparł Szamron.

Stary się uśmiechnął. Zawsze miał na wszystko sposób.

11

JEROZOLIMA

Agenci ochrony stali na obu końcach ulicy Narkissa, cichej, pełnej zieleni uliczki w centrum Jerozolimy. Jeden pilnował wejścia do zaniedbanej, zbudowanej z wapienia kamienicy pod numerem 16. Przechodząc przez mały korytarz wejściowy, Gabriel nie pofatygował się, żeby sprawdzić pocztę. Nigdy nie przychodziły do niego listy, poza tym nazwisko na skrzynce było fałszywe. Z punktu widzenia urzędów Państwa Izrael Gabriel Allon nie istniał. Był nikim i nigdzie nie mieszkał. Był wiecznie wędrującym Żydem.

Na kanapie w pokoju dziennym mieszkania Gabriela siedział Uzi Nawot. Opierał nogi na małym stoliku, a w dwóch palcach prawej dłoni trzymał izraelski paszport dyplomatyczny. Gdy podawał go Allonowi, na jego twarzy malował się wyraz obojętnego znużenia. Gabriel otworzył paszport i spojrzął na fotografię. Przedstawiała srebrnowłosego mężczyznę z równo przystrzyżoną siwą brodą,

noszącego okrągłe okulary. Srebrne włosy były dziełem stylisty pracującego w wydziale tożsamości. Niestety broda była jego własna.

- Kim jest Natan Golani?

- Średniego szczebla funkcjonariuszem ministerstwa kultury. Specjalizuje się w budowaniu artystycznych mostów między Izraelem a resztą świata: pokój poprzez sztukę, taniec, muzykę i inne bezsensowne przedsięwzięcia. Podobno Natan sam nieźle włada pędzlem.

- Był kiedyś w Rosji?

- Nie, ale niedługo tam poleci. - Nawot zdjął nogi ze stolika i usiadł prosto. - Za sześć dni wiceminister ma polecieć z Jerozolimy do Rosji z oficjalną wizytą. Przekonaliśmy go, że ma się w ostatniej chwili rozchorować.

- I Natan Golani poleci zamiast niego?

- O ile Rosjanie dadzą mu wizę. Ministerstwo nie spodziewa się tu kłopotów.

- Jaki jest cel wizyty?

Nawot sięgnął do swojej stalowej walizki i wyjął broszurkę o rozmiarach ilustrowanego magazynu. Podniósł ją w górę, żeby Gabriel zobaczył okładkę, po czym położył ją na stoliku. Gabriel skupił spojrzenie tylko na jednym słowie: UNESCO.

- Może umknęło to twojej uwadze, ale Organizacja Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury, znana pod nazwą UNESCO, ogłosiła, że mamy „dekadę promocji kultury pokoju i braku przemocy dla wszystkich dzieci świata”.

- Masz rację Uzi. Umknęło to mojej uwadze.

- Dążąc do tego szczytnego celu, organizują co roku konferencję, by ocenić postępy i przedyskutować nowe inicjatywy. Tegoroczna konferencja odbędzie się w Pałacu Marmurowym w Sankt Petersburgu.

- Ile dni tych głupot muszę wytrzymać?

- Trzy - odparł Nawot. - Wygłosisz przemówienie drugiego dnia konferencji. Twoje uwagi skupią się na nowym przełomowym programie, mającym wzmocnić więzi kulturalne między Izraelem i naszymi arabskimi sąsiadami. Zostaniesz ostro skrytykowany i najprawdopodobniej ogłoszony okupantem i ciemieżcą. Jednakże wielu z uczestników nie usłyszy twojej wypowiedzi, bo zgodnie ze zwyczajem, gdy wstąpisz na podium, masowo opuszczą salę.

- I lepiej, Uzi. Nigdy nie lubiłem przemawiać przed szerszą publicznością. Co dalej?

- Na koniec konferencji nasz ambasador w Rosji - tak się składa, że to twój stary znajomy - zaprosi cię z wizytą do Moskwy. Jeśli dopisze ci szczęście i przeżyjesz lot Aeroflotem, zameldujesz się w hotelu Savoy i nacieszysz się kulturą stolicy. Ale prawdziwym celem twojej wizyty będzie nawiązanie kontaktu z Olgą Suchową. To jedna z najbardziej znanych i najbardziej kontrowersyjnych rosyjskich dziennikarek śledczych. Jest także redaktorem naczelnym „Gazety Moskiewskiej”. Jeśli w „Gazecie” ktokolwiek wie, dlaczego Borys Ostrowski poleciał do Rzymu, to na pewno Olga.

- Co pewnie oznacza, że jest pod ciągłą obserwacją FSB. A ja, jako odwiedzający Rosję izraelski dyplomata, pewnie też.

FSB, rosyjska Federalna Służba Bezpieczeństwa, przejęła większość obowiązków związanych z bezpieczeństwem wewnętrznym, które kiedyś podlegały KGB, z kontrwywiadem włącznie. Chociaż FSB lubiła pozować wobec świata zewnętrznego na nowoczesną europejską służbę bezpieczeństwa, pracowali w niej głównie weterani KGB. Centrum dowodzenia wciąż mieściło się na Łubiance. Wielu Rosjan nawet nie próbowało używać nowej nazwy. Dla nich to wciąż było KGB.

- Rzecz jasna - powiedział Nawot - będziemy musieli wykazać się inwencją.

- Jak bardzo? - zapytał podejrzliwie Gabriel.

- Nic bardziej niebezpiecznego niż uroczysta kolacja. Nasz ambasador zgodził się na zorganizowanie małego przyjęcia w oficjalnej rezydencji, kiedy będziesz w stolicy. Właśnie powstaje lista gości. Będzie to ciekawa mieszanka rosyjskich dziennikarzy, artystów i działaczy opozycji. Oczywiście ambasador zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby Olga Suchowa się stawiła.

- Na jakiej podstawie sądzisz, że przyjdzie? Kolacja w domu izraelskiego ambasadora raczej rzadko jest obiektem zazdrości, nawet w Moskwie.

- Chyba że dołączymy do niej obietnicę wyłączności dostępu do informacji na jakiś sensacyjny temat. Wtedy pokusa będzie nie do odparcia.

- Co to będzie za temat?

- Już my się tym zajmiemy.

- A jeśli przyjdzie?

- Odciągniesz ją na bok, żeby porozmawiać na osobności w bezpiecznym zaciszu rezydencji ambasadora. Ujawnisz się w taki sposób i do tego stopnia, jaki uznasz za stosowny. Nakłonisz ją, żeby podzieliła się z tobą wszystkim, co wie o powodach, dla których Borys Ostrowski udał się do Rzymu na spotkanie z tobą.

- A co, jeśli nic nie wie? Albo za bardzo się boi, żeby nam powiedzieć?

- Wtedy chyba będziesz musiał okazać się czarujący, co, jak wszyscy wiemy, przychodzi ci odruchowo. Poza tym, Gabrielu, są o wiele gorsze sposoby na spędzenie wieczoru.

Nawot sięgnął do walizki i wyciągnął z niej teczkę. Gabriel otworzył ją i wyjął fotografię Olgi Suchowej. Była atrakcyjną kobietą po czterdziestce, miała kształtne słowiańskie rysy, bladoniebieskie oczy i jasne włosy, rozpuszczone i zaczesane na jedno ramię. Zamknął teczkę i spojrzał na Szamrona, który stał w otwartych przeszklonych drzwiach, bawiąc się swoją starą zapalniczką zippo. Rozmowa o zadaniu najwyraźniej wystawiała na próbę jego decyzję, by rzucić palenie.

- Gabrielu, polecisz do Moskwy. Spędzisz miły wieczór z Olgą w ambasadzie i w najgorszym razie po prostu dowiesz się, tyle, ile zdołasz, dlaczego dziennikarz „Gazety” stał się celem ataku. A potem możesz wrócić na swoją farmę w Umbrii, do żony i obrazu.

- A co, jeśli FSB nie nabierze się na ten wybieg?
- Paszport dyplomatyczny cię ochroni.
- Rosyjskiej mafii i FSB raczej nie interesują dyplomatyczne szczegóły. Najpierw strzelają, a dopiero potem martwią się o polityczne konsekwencje.
- Moskiewska komórka będzie pilnować twoich pleców od momentu, kiedy wylądujesz w Sankt Petersburgu - powiedział Nawot.
- Nigdy nie znajdziesz się poza naszym zasięgiem. A jeśli sprawy przybiorą zły obrót, możemy załatwić ci ochronę.
- Uzi, dlaczego sądzisz, że moskiewska komórka w ogóle zorientuje się, że coś się dzieje? Wczoraj po południu ktoś otarł się o ramię Borysa Ostrowskiego i zanim ktokolwiek wiedział, co się święci, dziennikarz leżał martwy na posadzce bazyliki.
- Więc nie pozwól, żeby ktokolwiek cię dotknął. I pod żadnym pozorem nie pij herbaty.
- To świetna rada, Uzi.
- To nie paszport dyplomatyczny będzie cię chronić - powiedział Szamron - ale reputacja Biura. Rosjanie wiedzą, że jeśli ktoś cię tknie, ogłosimy sezon łowiecki i żaden rosyjski agent na świecie nie będzie już bezpieczny.
- Wojna z rosyjskimi służbami to akurat ostatnia rzecz, której nam w tej chwili trzeba.
- Sprzedają najnowocześniejszą broń krajom i organizacjom terrorystycznym, które chcą nas zniszczyć. Już mamy z nimi wojnę. - Szamron wsunął zapalniczkę do kieszeni. - Masz wiele nauki na

najbliższych sześć dni, na przykład musisz wiedzieć, jak mówić i zachowywać się jako pracownik ministerstwa kultury. Wiceminister będzie na ciebie czekał jutro rano o dziesiątej. Opisz ci dokładnie twoje drugie zadanie w Rosji. Jak masz się zachowywać na tej konferencji, Gabrielu. Ważne, żebyś nie pogorszył naszej opinii w ONZ, bo i tak już jest zła.

Gabriel patrzył na zdjęcie w paszporcie i przejechał w zamyśleniu palcami po brodzie. Nie golił się od czterech dni. Praca nad brodą już szła nieźle.

- Muszę wysłać wiadomość Chiarze. Muszę powiedzieć jej, że nieprędko wrócę do Umbrii.

- Już wie - odparł Szamron. - Jeśli chcesz, możemy ściągnąć ją tutaj, do Jerozolimy.

Gabriel zamknął paszport i pokręcił głową.

- Ktoś musi pilnować Poussina. Niech zostanie we Włoszech do mojego powrotu.

Podniósł wzrok i zobaczył, że Nawot patrzy na niego przez swoje cienkie, modne okulary.

- Coś ci się nie podoba, Uzi?

- Nie mów mi, że wielki Gabriel Allon boi się pokazać siwą brodę swojej pięknej młodej żonie.

- Piętnaście kilo - odparł Gabriel. - Piętnaście kilo.

SANKT PETERSBURG

Pułkowo 2, starzejący się międzynarodowy port lotniczy w Sankt Petersburgu, na razie ominęła niosąca postęp maszyna wyburzająca. Na popękanej płycie lotniska stało wiele wyglądających na porzucone, niezdatnych do lotu samolotów z epoki Związku Radzieckiego, a sam budynek bardziej przypominał fabrykę albo więzienie niż nowoczesny węzeł komunikacyjny. Gabriel wszedł do budynku terminalu obserwowany przez zmęczonego chłopaka z milicji. Hostessa z informacji, najwyraźniej rozzłoszczona jego obecnością, wskazała mu kontrolę paszportową. Gdy oficjalnie wpuszczono go do Rosji jedynie z krótkim opóźnieniem, udał się po odbiór bagażu, gdzie musiał obowiązkowo odczekać godzinę, by dostać swoją walizkę. Kiedy podnosił ją z rozklekotanej karuzeli, zauważył, że zamek był do połowy odpięty. Wyciągnął rączkę i udał się do męskiej toalety, gdzie prawie powaliła go na ziemię chmura dymu papierosowego. Chociaż w całym terminalu palenie było surowo zabronione, Rosjanie najwyraźniej nie uważali, że zakaz obejmuje toalety.

Kiedy Gabriel wyszedł, na zewnątrz stał obserwator; razem udali się do hali przylotów, gdzie Gabriela powitała postawna Rosjanka w czerwonej bluzce z napisem UNESCO na wydatnej piersi. Przypięła mu do klapy identyfikator i wskazała czekający przy rondzie na zewnątrz autobus. Wnętrze pełne delegatów wyglądało jak miniaturowa wersja Zgromadzenia Ogólnego ONZ. Gabriel skłonił się dwóm Saudyjczykom, gdy wszedł, ale odpowiedziało mu jedynie

puste spojrzenie. Znalazł miejsce niemal na końcu autokaru, obok posepnego Norwega, który nie tracąc czasu, rozpoczął po cichu tyradę na temat niehumanitarnego traktowania Palestyńczyków przez Izrael. Gabriel słuchał cierpliwie uwag dyplomaty, po czym przedłożył kilka wyważonych kontrargumentów. Kiedy autokar toczył się Moskiewskim Prospektem w stronę centrum miasta, Norweg oświadczył, że już lepiej rozumie trudne położenie Izraela. Wymienili się wizytówkami i obiecali sobie, że dokończą rozmowę, gdy Natan Golan odwiedzi następnym razem Oslo.

Siedzący po drugiej stronie przejścia kubański fanatyk próbował kontynuować debatę, ale bezlitośnie przerwała mu Rosjanka w czerwonej bluzce UNESCO, stojąca teraz z mikrofonem w dłoni z przodu autokaru i pełniąca funkcję przewodniczki. Bez najmniejszego cienia ironii we wzmocnionym przez głośniki głosie wskazywała kolejne zabytki wzdłuż bulwaru: wysoki posąg Lenina z dłonią wyciągniętą, jak gdyby bezskutecznie próbował zatrzymać taksówkę; poruszające wojenne pomniki; strzeliste świątynie radzieckiej centralizacji i kontroli. Zignorowała podupadłe biurowce, walące się pod własnym ciężarem bloki z epoki Breżniewa i wystawy sklepowe wyładowane dobrami konsumpcyjnymi, na jakie Związek Radziecki nigdy nie było stać. To były relikty wielkiego oszustwa, które Związek Radziecki próbował narzucić światu. A teraz według Nowych Rosjan mordercze zbrodnie bolszewików były tylko krokiem w kierunku epoki rosyjskiej doskonałości. Gułagi, okrucieństwa, niezliczone miliony zagłodzonych na śmierć albo „uciszonych” były

tylko nieprzyjemnymi szczegółami. Nikt nigdy nie został pociągnięty do odpowiedzialności za swoje zbrodnie. Nikt nie został ukarany za swoje grzechy.

Ciągnąca się bez końca brzydota Moskiewskiego Prospektu w końcu ustąpiła europejskiej elegancji centrum miasta. Pierwszy postój nastąpił przy hotelu Astoria, centrum dowodzenia delegacji z krajów Pierwszego Świata. Natan Golani razem z nowymi towarzyszami kulturalnie wkroczył do bogato zdobionego holu z walizką w ręku i dołączył do długiej kolejki do zameldowania. Chociaż kapitalizm szturmem podbił Rosję, nie pojawiła się wraz z nim idea obsługi klienta. Gabriel stał w kolejce dwadzieścia minut, nim wreszcie, z iście radzieckim ciepłem, nieukrywająca swojej ku niemu nienawiści kobieta o lnianych włosach zameldowała go. Odrzuciwszy obojętną propozycję pomocy ze strony boya hotelowego, sam zaniósł walizki do pokoju. Nie pofatygował się, by go przeszukać - grał teraz według reguł Moskwy. Zakładaj, że w każdym pokoju jest podsłuch i każda rozmowa telefoniczna jest kontrolowana. Zakładaj, że każdy, kogo spotkasz, jest pod kontrolą przeciwnika. I nie oglądaj się za siebie. Nigdy nie jesteś zupełnie sam.

Tak więc Natan Golani podłączył laptopa do darmowego szybkiego łącza i przeczytał swoje e-maile, wiedząc bardzo dobrze, że będą je czytać także szpiedzy FSB. Zadzwoił do swojej udawanej żony w Tel Awiwie i wysłuchał sumiennie skarg o jej udawanej matce, wiedząc bardzo dobrze, że FSB też musiało wysłuchać tego nudnego monologu. Załatwiwszy osobiste i służbowe sprawy,

przebrał się w zwykłe ubranie i wyszedł na zewnątrz, na spokojny sanktpetersburski wieczór. Zjadł zaskakująco dobry posiłek we włoskiej restauracji obok hotelu, w Angleterre. Gdy spacerował nad Newą w półmroku białej nocy, śledziło go dwóch agentów FSB, których nazwał Igor i Natasza. Na placu Pałacowym zatrzymał się, by popatrzeć na gości ślubnych pijących szampana pod kolumną Aleksandra, i na moment pozwolił sobie pomyśleć, że może jednak lepiej było zapomnieć o przeszłości. Następnie odwrócił się i ruszył z powrotem do Astorii, wciąż śledzony przez Igora i Nataszę, idących za nim w nocnym słońcu.

Następnego ranka Natan Golani rzucił się w wir zajęć związanych z konferencją z determinacją człowieka, który musi wiele osiągnąć w bardzo krótkim czasie. Usiadł na przydzielonym mu miejscu w wielkiej sali Pałacu Marmurowego, kiedy zaczęła się konferencja, i pozostał tam ze słuchawkami do tłumaczenia na uszach o wiele dłużej niż wielu innych delegatów, którzy zorientowali się, że prawdziwe interesy związane ze spotkaniem toczyły się w barach zachodnich hoteli. Chodził na robocze lunche i krążył po salach podczas popołudniowych koktajli. Chodził na niekończące się kolacje i ani razu nie wymigał się od wieczornych rozrywek. Rozmawiał po francusku z Francuzami, po niemiecku z Niemcami, po włosku z Włochami i w całkiem niezłym hiszpańskim z licznymi delegatami z Ameryki Łacińskiej. Otarł się kilka razy o Saudyjczyków i Syryjczyków, a nawet udało mu się uprzejma rozmowa z Irańczykiem

na temat szaleństwa zaprzeczania Holocaustowi. W zasadzie udało mu się uzgodnić tournée izraelskiej orkiestry kameralnej po Afryce Środkowej i zaprosił grupę maoryskich bębniarzy do odwiedzenia Izraela. W jednej chwili potrafił być waleczny, w drugiej stawał się ugodowy. Rozmawiał o nowych rozwiązaniach starych problemów. Powiedział, że Izrael był zdeterminowany, by budować mosty, a nie mury. Mówił wszystkim, którzy chcieli słuchać, że wystarczyłby jeden odważny człowiek po drugiej stronie.

Pod koniec sesji drugiego dnia wszedł na podium w wielkiej sali i tak jak przewidział Uzi Nawot, wielu delegatów natychmiast wyszło. Ci, którzy zostali, usłyszeli przemówienie, jakiego jeszcze żaden izraelski przedstawiciel wcześniej nie wygłosił. Dyrektor UNESCO nazwał je „obwieszczeniem nowego podejścia do problemów Bliskiego Wschodu”. Francuski delegat nazwał *monsieur* Golaniego „człowiekiem kultury i sztuki”. Wszyscy obecni zgodzili się, że ze strony Wzgórz Judejskich powiał nowy wiatr.

Jednakże nowy wiatr nie wiał z centrali FSB. Ich włamywacze przeszukiwali jego pokój za każdym razem, gdy wychodził, a ich obserwatorzy wszędzie za nim podążali. Podczas końcowej gali w Teatrze Maryjskim atrakcyjna agentka bezwstydnie z nim flirtowała i zaprosiła go do swojego mieszkania na wieczór seksualnych uciech. Uprzejmie podziękował i wyszedł z teatru sam, jeśli nie liczyć Igora i Nataszy, którzy byli już zbyt znudzeni, by nawet próbować ukryć swoją obecność.

To była jego ostatnia noc w Sankt Petersburgu, więc postanowił po krętych schodach wejść na szczyt kopuły soboru Świętego Izaaka. Balkon na górze był prawie pusty, jeśli nie liczyć dwóch stojących przy balustradzie niemieckich dziewczyn, podziwiających rozciągający się w dole widok. Jedna z nich podała mu aparat i ustawiła się w dramatycznej pozie. Zrobił jej zdjęcie. Podziękowała wylewnie i poinformowała go, że Olga Suchowa zgodziła się przyjść na kolację w ambasadzie. Kiedy wrócił do hotelu, na jego telefonie migotała lampka informująca o nagranej wiadomości. Była od izraelskiego ambasadora, który nalegał, żeby przyjechał do Moskwy. „Natan, nie uwierzysz, co to za miejsce, dopóki go nie zobaczysz! Milionerzy, przekupni bankierzy, gangsterzy, wszyscy kąpią się w morzu ropy, kawioru i wódki! W czwartek wieczorem urządzamy przyjęcie - dla kilku odważnych dusz, które mają dość hucpy i odwagę, by przeciwstawić się reżimowi. I nawet nie myśl, że mógłbyś się wywinąć, bo już wszystko załatwiłem z ministrem”.

Skasował wiadomość, po czym zadzwonił do Tel Awiwu i poinformował swoją podstawioną żonę, że zostanie w Rosji dłużej, niż się spodziewał. Przez kilka minut wściekała się na niego, po czym trzasnęła z odrazą telefonem. Gabriel przez chwilę trzymał słuchawkę przy uchu i wyobrażał sobie, jak agenci FSB bawią się jego kosztem.

Na ulicy Twerskiej w Moskwie szpanerskie zagraniczne auta nuworyszów walczyły o miejsca z kwadratowymi ładami żiguli tych, którzy wciąż byli biedni. Wieża cerkwi Trójcy Świętej na Kremlu ginęła w chmurze spalin, słynna czerwona gwiazda wyglądała smutno niczym kolejna reklama importowanych towarów. W barze hotelu Savoy różni cwaniacy pili z ochroniarzami zimne piwo zamiast wódki. Czarne bentleye i rangę rovery czekały tuż obok wejścia z włączonymi silnikami na wypadek konieczności szybkiej ucieczki. W tych czasach oszczędzanie paliwa nie znajdowało się wysoko na liście priorytetów. Benzyna, jak prawie wszystko inne, była bardzo łatwo dostępna.

O 19:30 Gabriel zszedł do holu ubrany w ciemny garnitur ze srebrnym krawatem służb dyplomatycznych. Przed hotelem rozejrzał się, a potem przez chwilę przyglądał się twarzom kierowców samochodów zaparkowanych pod hotelem, po czym ruszył w stronę Prospektu Teatralnego. Na szczycie niskiego wzgórza majaczyła masywna żółta forteca - Łubianka, centrala FSB. W jej cieniu ciągnął się rząd ekskluzywnych zachodnich butików z markowymi ubraniami, godnych Rodeo Drive albo Madison Avenue. Gabriel oglądał wystawy i nie mógł się nadziwić temu zaskakującemu zestawieniu. Całe to przedstawienie odgrywał tylko dla dwóch obserwatorów, którzy porzucili wygodę swojego klimatyzowanego samochodu i śledzili go na piechotę.

Spojrzał na plan miasta - bez powodu, bo trasę zaplanowano wcześniej - i ruszył w stronę murów Kremla. Minął rząd kiosków

sprzedających wszystko, od radzieckich dresów hokejowych po popiersia dwóch morderców, Lenina i Stalina, po czym skręcił w lewo i wszedł na plac Czerwony. Ostatni pielgrzymi tego dnia stali przed wejściem do mauzoleum Lenina, sącząc coca-colę i wachlując się broszurkami turystycznymi i przewodnikami po nocnym życiu Moskwy. Zastanawiał się, co ich tam przyciągało. Pomyłona wiara? Nostalgia za lepszymi czasami? Czy powody były bardziej makabryczne? Może sami chcieli ocenić, czy postać pod szkłem była prawdziwa, czy z gabinetu figur woskowych?

Przeszedł przez plac, zmierzając w stronę cukierkowych kopuł soboru Świętego Bazylego, po czym wzdłuż wschodniej ściany Kremla zszedł nad rzekę Moskwę. Na przeciwległym brzegu, na ulicy Serafimowicza 2, stał niesławny Dom na Nabrzeżu, wielki apartamentowiec zbudowany w 1931 roku przez Stalina dla elity członków nomenklatury. W najgorszych czasach Wielkiego Terroru siedemset sześćdziesiąt sześć osób, czyli jedna trzecia wszystkich mieszkańców, zostało zamordowanych, a ci, którzy przetrwali i cieszyli się „przywilejem” mieszkania w apartamentowcu, żyli w ciągłym strachu, że ktoś zapuka do ich drzwi. Pomimo krwawej przeszłości wielu członków radzieckich elit albo ich dzieci wciąż mieszkało w tym budynku. Ceny mieszkań sięgały milionów dolarów. Z zewnątrz niewiele się zmieniło poza dachem, który zwieńczała teraz reklama Mercedesa-Benza w iście stalinowskiej skali. Hitlerowcom może i nie udało się zdobyć Moskwy, ale teraz, sześćdziesiąt lat po

wojnie, flaga niemieckiego przemysłu dumnie powiewała nad jednym z najbardziej prestiżowych miejsc w stolicy.

Gabriel spojrzął bez celu na swój plan i przeszedł przez most Moskwo-riecki. Czerwono-czarne flagi rządzącej Partii Jedności zwisały z latarni, chwiejąc się niczym pijane na ciepłym lekkim wietrze. Po drugiej stronie mostu prezydent Rosji uśmiechał się z dezaprobatą do Gabriela z wysokiego na trzy piętra plakatu. Miał stanąć przed rosyjskim elektoratem, cokolwiek by to znaczyło, już po raz czwarty, pod koniec tego lata. Wyniki nie były trudne do przewidzenia, bo prezydent już dawno uwolnił Rosję od niebezpiecznych tendencji demokratycznych, a oficjalnie usankcjonowane partie opozycyjne składały się w większości z pożytecznych głupców. Uśmiechający się z billboardu mężczyzna był carem we wszystkim oprócz tytułu. I do tego miał imperialistyczne skłonności.

Po drugiej stronie ulicy leżała przyjemna dzielnica Zamoskworieczje. Oszczędzono jej architektonicznego terroru stalinowskiego projektowania i zachowała trochę z atmosfery dziewiętnastowiecznej Moskwy. Gabriel minął łuszczące się imperialne domy oraz cerkwie o kopułach w kształcie cebuli, aż w końcu doszedł do otoczonego murem terenu przy ulicy Bolszaja Ordynka 56. Tabliczka przy wejściu głosiła „Ambasada Państwa Izrael”, po angielsku, rosyjsku i hebrajsku. Gabriel pokazał list uwierzytelniający w kamerze przy wejściu i usłyszał, jak sterowana elektronicznie zasuwka się otwiera. Wchodząc do środka, obejrzał się

przez ramię i zobaczył, że mężczyzna w samochodzie po drugiej stronie ulicy unosi aparat i robi mu zdjęcie, nawet nie próbując się ukryć. Najwyraźniej FSB wiedziało o przyjęciu u ambasadora i miało zamiar onieśmielać wchodzących i wychodzących gości.

Teren ambasady był ciasny i ponury. Dookoła centralnego placu stało kilka pozbawionych wyrazu budynków. Młody ochroniarz, który wcale nie był ochroniarzem, tylko agentem polowym moskiewskiej komórki Biura, pozdrowił Gabriela jego zmyślnym nazwiskiem i poprowadził do holu wejściowego niewielkiej kamienicy, w której mieszkała większość personelu ambasady. Ambasador czekał już na ostatnim piętrze, u szczytu schodów, gdy Gabriel wysiadał z windy. Był wytwornym, zawodowym dyplomatą. Gabriel widział jedynie jego zdjęcia, ale mężczyzna objął go serdecznie i dwukrotnie poklepał po plecach tak mocno, że na pewno żaden nadajnik FSB tego nie przegapił.

- Natan! - zawołał tak głośno, jakby zwracał się do przygłuchego wujaszka. - Mój Boże! To naprawdę ty? Wyglądasz, jakbyś się postarzał przez tę podróż. Przecież w Petersburgu nie mogło być aż tak źle. - Wcisnął Gabrielowi w dłoń kieliszek letniego szampana i odesłał go przed siebie. - Jak zwykle przybywasz ostatni, Natan. Wmieszaj się w tłum. Pogadam z tobą, kiedy się już ze wszystkimi przywitasz. Chcę wiedzieć wszystko o twojej strasznej konferencji.

Gabriel postarał się o swój najbardziej dyplomatyczny uśmiech i z kieliszkiem w dłoni wszedł do hałaśliwego, pełnego dymu

salonu. Spotkał słynnego skrzypka, który był teraz przywódcą nieposłusznej partii opozycyjnej o nazwie Koalicja Wolnej Rosji.

Spotkał dramaturga, który odnawiał starą rosyjską sztukę pisania alegorii, by ostrożnie krytykować reżim.

Spotkał reżysera, który ostatnio otrzymał na Zachodzie ważną nagrodę za film dokumentalny o gułagach.

Spotkał kobietę, która została zamknięta w szpitalu psychiatrycznym, bo przeszła przez plac Czerwony z tablicą nawołującą do demokracji w Rosji.

Spotkał nieugiętego bolszewika, który uważał, że jedynym sposobem na ocalenie Rosji jest przywrócenie dyktatury proletariatu i spalenie oligarchów na stosie.

Spotkał zasuszonego dysydenta z czasów Breżniewa, który został właściwie wskrzeszony spośród martwych po to, by wziął udział w jeszcze jednej bezsensownej kampanii na rzecz wolnej Rosji.

Spotkał dzielnego eseistę, który został prawie zatłuczony na śmierć przez młodzieżówki Partii Jedności.

Aż w końcu, dziesięć minut po przyjściu, przedstawił się dziennikarce, która w związku ze śmiercią dwóch redakcyjnych kolegów awansowała ostatnio na stanowisko redaktora naczelnego „Gazety Moskiewskiej”. Miała na sobie czarną sukienkę bez rękawów oraz srebrny medalion na szyi. Kiedy podała rękę Gabrielowi, bransoletki na jej dłoniach zadzwoniły niczym dzwoneczki wietrzne. Posłała mu melancholijny uśmiech.

- Jak się pan ma, panie Golani? - powiedziała sztywno po angielsku. - Nazywam się Olga Suchowa.

Zdjęcie, które tydzień wcześniej Uzi Nawot pokazał mu w Jerozolimie, nie oddawało urody Olgi. Jej szkliste oczy i pociągłe rysy twarzy przywodziły Gabrielowi na myśl ożywioną postać z rosyjskiej ikony. Siedział koło niej podczas kolacji, ale udało mu się tylko wymienić z nią kilka zdań, bo jej uwagę całkowicie pochłaniał reżyser filmów dokumentalnych, opisujący ujęcie po ujęciu swoje ostatnie dzieło. Nie mając gdzie się schronić, Gabriel znalazł się w szponach starego dysydenta, który zorganizował mu wykład z historii rosyjskiej opozycji, zaczynając jeszcze od czasów carskich. Gdy kelnerzy sprząтали talerze po deserach, Olga posłała mu współczujący uśmiech.

- Czuję, że muszę zapalić - powiedziała. - Przyłączy się pan? Wstali od stołu razem i wyszli na niewielki taras willi ambasadora, odprowadzani przygnębionym spojrzeniem reżysera. Taras był pusty, na dworze panował półmrok; w pewnej odległości majaczyło w nim Siedem Sióstr, potworne bloki postawione za czasów Stalina i wciąż górujące nad Moskwą.

- Najwyższy blok w Europie - powiedziała bez entuzjazmu. - Wszystko w Rosji musi być największe, najwyższe, najszybsze albo najdroższe. Nie możemy żyć jak normalni ludzie. - Błysnęła jej zapalniczka. - Czy to pana pierwszy pobyt w Rosji, panie Golani?

- Tak - odparł zgodnie z prawdą.

- A co tu pana sprowadza?

Ty - odparł znowu zgodnie z prawdą, ale tylko w duchu. Na głos opowiedział, że wezwano go nagle, by pojechał na konferencję UNESCO w Sankt Petersburgu. Przez kilka następnych minut opowiadał entuzjastycznie o swoich osiągnięciach, póki nie zobaczył, że ją znudził. Spojrzał przez ramię do jadalni ambasadora, ale nie zobaczył nic, co mogłoby świadczyć, że ich chwila na osobności mogła zostać przerwana.

- Mamy wspólnego znajomego - powiedział. - A raczej mieliśmy. Obawiam się, że nie żyje.

Uniosła papierosa do ust i przytrzymała go w taki sposób, jakby stanowił tarczę, mającą ją chronić.

- To znaczy kogo? - zapytała bardzo poprawnym angielskim.

- Borysa Ostrowskiego - odparł spokojnie Gabriel.

Z jej spojrzenia nie można było niczego wyczytać. Żar na czubku papierosa zatrzęsł się lekko w półmroku.

- Jak poznał pan Borysa Ostrowskiego? - zapytała czujnie.

- Byłem w Bazylice Świętego Piotra, gdy go zamordowano. Spojrzał prosto w jej twarz jak z ikony, oceniając, czy malujący się na niej strach był prawdziwy, czy udawany. Uznał, że był rzeczywisty, więc kontynuował.

- To przez niego byłem w Rzymie. Trzymałem go w ramionach, gdy umierał.

Złożyła ręce w obronnym geście.

- Przepraszam, panie Golani, ale czuję się przez pana bardzo nieswojo.

- Pani Olgo, Borys chciał mi coś przekazać. Został zabity, nim mu się to udało. Muszę wiedzieć, co to było. I myślę, że pani może znać odpowiedź.

- Obawiam się, że źle pana poinformowano. Nikt z pracowników nie wiedział, co Borys robił w Rzymie.

- Wiemy, że posiadał pewne informacje, zbyt niebezpieczne, by opublikować je tutaj. Informacje o jakimś zagrożeniu. Zagrożeniu dla Zachodu i Izraela.

Spojrzała do jadalni przez otwarte drzwi.

- Pewnie cały ten wieczór został zorganizowany dla mnie. Chciał się pan spotkać ze mną w miejscu, w którym FSB nie może podsłuchiwać. Wydaliście dla mnie przyjęcie i zwabiliście mnie obietnicą dobrego tematu. - Położyła mu sugestywnie dłoń na ramieniu i nachyliła się bliżej. Kiedy znowu się odezwała, mówiła cichym szeptem. - Panie Golani, powinien pan wiedzieć, że FSB zawsze podsłuchuje. Nawet dwoje z zaproszonych gości jest na usługach FSB.

Puściła jego ramię i się odsunęła. Nagle jej twarz pojaśniała, wyglądała jak zagubiona dziewczynka, która nagle zobaczyła matkę. Gabriel odwrócił się i dostrzegł idącego w ich stronę reżysera w towarzystwie dwóch gości. Zapalili papierosy, posłali po drinki i wkrótce wszyscy czworo rozmawiali szybko po rosyjsku, tak jakby pan Golani nie istniał. Gabriel był przekonany, że przedobrzył i stracił Olgę, ale kiedy się odwrócił, by wyjść, poczuł na ramieniu jej dłoń.

- Odpowiedź brzmi tak - powiedziała.

- Słucham?

- Zapytał pan, czy oprowadziłabym pana po Moskwie.

Odpowiedź brzmi tak. Gdzie pan mieszka?

- W Savoyu.

- To hotel z największą liczbą podsłuchów w Moskwie. -

Uśmiechnęła się. - Zadzwonię rano.

14

CMENTARZ NOWODZIEWICZY, MOSKWA

Chciała zabrać go na cmentarz. Powiedziała, że aby zrozumieć teraźniejszość Rosji, trzeba najpierw poznać jej przeszłość. A żeby poznać jej przeszłość, trzeba przejść się wśród jej pogrzebanych kości.

Zadzwoiła do Savoya po raz pierwszy o dziesiątej i zaproponowała spotkanie w południe. Chwilę później zadzwoniła znowu, żeby powiedzieć, że ze względu na nieprzewidziane komplikacje w pracy nie może spotkać się z nim przed trzecią. Gabriel, grając rolę Natana Golaniego, spędził większość dnia, zwiedzając Kreml i Galerię Tretiakowską. O 14:45 wszedł na ruchome schody na stacji metra Łubianka i zjechał w głąb. W mrocznym świetle peronu czekał pociąg. Gabriel wszedł, gdy drzwi ze zgrzytem zaczęły się zamykać, i złapał poręcz nad głową, gdy pociąg szarpnął do przodu. Jego obserwatorowi z FSB udało się zająć jedyne wolne miejsce. Bawił się swoim iPodem, symbolem człowieka Nowej Rosji. Stara babcia gapiła się na niego ze zdumieniem.

Przejechali sześć przystanków aż do stacji Sportiwnaja. Obserwator wyszedł na oświetloną przymglonym słońcem ulicę jako pierwszy i skręcił w lewo. Gabriel skręcił w prawo i trafił na hałaśliwy bazar pod otwartym niebem, pełen chwiejnych budek i rozkładanych stolików z tanimi towarami z byłych republik radzieckich w Azji Środkowej. Po drugiej stronie targu grupa młodzieży z Partii Jedności wykrzykiwała hasła wyborcze i rozdawała ulotki. Jeden z agitatorów, niezupełnie należący do młodzieży, gdyż był po trzydziestce, szedł parę kroków za Gabrielem, gdy ten podszedł do wejścia na Cmentarz Nowodziewiczny.

Po drugiej stronie bramy stała niewielka kwaciarnia z czerwonej cegły. Olga Suchowa czekała w drzwiach z bukietem goździków w ręku.

- Pańska punktualność jest bez zarzutu, panie Golani. - Pocałowała Gabriela w oba policzki i uśmiechnęła się ciepło. - Niech pan pójdzie ze mną. Moim zdaniem będzie to dla pana fascynujące miejsce.

Poprowadziła go ocienioną ścieżką, porośniętą wiązami i świerkami. Nagrobki stały po obu stronach: małe, otoczone żelaznym ogrodzeniem; wysokie rzeźby; mury z niszami z czerwonej cegły pokryte bladym mchem. Panował tu spokojny, parkowy nastrój, dający wytchnienie od hałasu miasta. Przez moment Gabrielowi prawie udało się zapomnieć, że ich śledzono.

- Cmentarz leżał wewnątrz Klasztoru Nowodziewiczego, ale pod koniec dziewiętnastego wieku Cerkiew uznała, że w klasztorze

odbywa się zbyt wiele pogrzebów, więc zbudowano to miejsce. - Mówiła po angielsku, tonem przewodnika, dość głośno, by było ich słychać dookoła. - Można powiedzieć, że to nasz narodowy cmentarz, oczywiście jeśli nie liczyć murów Kremla. Dramatopisarze i poeci, potwory i mordercy: wszyscy spoczywają razem na Nowodziewiczym. Możemy sobie tylko wyobrażać, o czym rozmawiają nocami, kiedy bramy są zamknięte, a odwiedzający wychodzą. - Zatrzymała się przed wysokim szarym pomnikiem, pod którym leżał bukiet zwiędłych róż.

- Lubi pan Czechowa, panie Golani?

- A kto nie lubi?

- Był jedną z pierwszych pochowanych tutaj osób. - Wzięła go pod ramię. - Chodźmy, pokażę panu więcej.

Szli niespiesznie po usłanej opadłymi liśćmi ścieżce. Na równoległej dróżce obserwator, wcześniej rozdający ulotki na targu, udawał nadmierne zainteresowanie grobem słynnego rosyjskiego matematyka. Niedaleko stała kobieta z obwiązaną wokół pasa beżową kurtką. W prawym ręku trzymała cyfrowy aparat, wycelowany prosto w Gabriela i Olę.

- Śledzono pana. - Spojrzała na niego kątem oka. - Ale pewnie wiedział pan o tym, prawda, panie Golani? Czy może raczej panie Allon?

- Nazywam się Natan Golani. Pracuję w izraelskim ministerstwie kultury.

- Przepraszam, panie Golani.

Wysiliła się na uśmiech. Miała na sobie swobodne ubranie: ciasny czarny sweter i niebieskie dżinsy. Jasne włosy odgarnęła z czoła i spięła na karku klamrą. Zamszowe buty sprawiały, że wydawała się wyższa niż poprzedniego wieczoru. Obcasy stukały rytmicznie o chodnik, gdy szli wzdłuż grobów. Muzycy, Rostropowicz i Rubinstein... Pisarze, Gogol i Bułhakow...

Partijni przywódcy, Chruszczow i Kosygin...

Kaganowicz, stalinowski potwór, który zamordował miliony podczas kolektywizacji...

Mołotow, człowiek, który podpisał tajny pakt skazujący Europę na wojnę, a polskich Żydów na zagładę...

- Nie ma miejsca, które tak podkreślałoby rażące sprzeczności naszej historii. Piękno leży ramię w ramię z rzeczami nie do pojęcia. Ci ludzie dali nam wszystko, a kiedy ich zabrakło, nic nam nie zostało: fabryki produkujące niechciane przez nikogo rzeczy, przestarzałą i zbankrutowaną ideologię. Wszystko opisane pięknymi słowami i ze wspaniałą oprawą muzyczną.

Gabriel spojrzał na leżący w jej ramionach bukiet.

- Dla kogo?

Zatrzymała się przed niskim, nieozdobionym kamiennym nagrobkiem.

- Dla Dymitra Suchowa, mojego dziadka. Był dramatopisarzem i reżyserem. Gdyby żył w innych czasach, pod innym reżimem, byłby może wielki. Zamiast tego zwerbowano go, by robił tanią propagandę partyjną dla mas. Przez niego lud wierzył w mit wielkiego Związku

Radzieckiego. Jego nagrodą było to, że został pochowany tutaj, z rosyjskimi geniuszami.

Przyklękła przy grobie i sprzątnęła z tabliczki sosnowe igły.

- Nosi pani jego nazwisko - powiedział Gabriel. - Nie jest pani mężatką?

Pokręciła głową i położyła kwiaty na grobie.

- Obawiam się, że nie spotkałam jeszcze rodaka nadającego się do małżeństwa i prokreacji. Jeśli zdobędą choć trochę pieniędzy, pierwsze, co robią, to kupują sobie kochankę. Wystarczy wejść do któregośkolwiek z modnych barów sushi, żeby zobaczyć młode dziewczyny stojące w kolejce przy barze w oczekiwaniu na mężczyznę, który wzbudzi w nich zachwyty. To musi być nie byle kto. Chcą Nowego Rosjanina. Mężczyznę z pieniędzmi i powiązaniem. Mężczyznę, który spędza zimę w Zermatt albo w Courchevel, a lato na południu Francji. Mężczyznę, który będzie im kupował biżuterię i zagraniczne samochody. Ja wolę spędzać wakacje na dacy mojego dziadka. Uprawiam tam rzodkiewkę i marchew. Wciąż wierzę w mój kraj. Nie muszę spędzać wakacji na ekskluzywnych placach zabaw w Europie Zachodniej, żeby być zadowoloną, spełnioną Nową Rosjanką.

Mówiła zwrócona w stronę grobu. Teraz spojrzała na Gabriela przez ramię.

- Pańskim zdaniem jestem bardzo głupia.

- Czemu?

- Bo udaję, że jestem dziennikarką w kraju, gdzie prawdziwe dziennikarstwo nie istnieje. Bo chcę demokracji w kraju, który nigdy jej nie zaznał i pewnie nigdy nie zazna.

Wstała, wyprostowała się i strzepnęła pył z dłoni.

- Żeby zrozumieć współczesną Rosję, musi pan zrozumieć traumę, jaką przeżyliśmy w latach pięćdziesiątych. Wszystko, co mieliśmy, wszystko, co nam powiedziano, zostało zmiecione z powierzchni ziemi. W jedną noc z supermocarstwa zamieniliśmy się w ruinę. Ludzie stracili oszczędności całego życia, nie tylko raz, ale wiele razy. Rosjanie są ludem potrzebującym ojca. Wierzą w Cerkiew prawosławną, w państwo, w cara. Demokracja to dla nich chaos. Nasz prezydent i siłowiki dobrze to rozumieją. Używają zwrotów takich jak „sterowana demokracja” albo „państwowy kapitalizm”, ale to tylko eufemizmy oznaczające coś o wiele bardziej złowieszczonego: faszyzm. W niespełną jedną dekadę przeszliśmy od ideologii Lenina do ideologii Mussoliniego. Nie powinno nas to dziwić. Proszę się rozejrzeć, panie Golani. Historia Rosji to po prostu seria konwulsji. Nie potrafimy żyć jak zwykli ludzie. I nigdy tak nie będziemy żyć.

Spojrzała w ciemny zakątek cmentarza.

- Obserwują nas bardzo uważnie. Panie Golani, proszę wziąć mnie pod ramię. Będzie lepiej, jeśli FSB uzna, że wydaję się panu pociągająca.

Zrobił, o co prosiła.

- Może faszyzm to zbyt mocne określenie - powiedział.

- Więc jak nazwałby pan nasz system?

- Państwo korporacyjne - odparł bez przekonania Gabriel.

- Obawiam się, że to eufemizm godny Kremla. Tak, nasi ludzie mają swobodę zarabiania i wydawania pieniędzy, ale państwo wciąż wybiera zwycięzców i przegranych. Nasi przywódcy mówią o odzyskaniu utraconych imperiów. Wykorzystują nasze złoża ropy i gazu, by zastraszać i zmuszać do posłuszeństwa naszych sąsiadów. Praktycznie pozbyli się opozycji i niezależnej prasy, a ci, którzy mają odwagę protestować, są bici na ulicy w biały dzień. Nasze dzieci zmusza się do wstępowania do organizacji młodzieżowych partii. Uczą, że Ameryka i Żydzi chcą władać światem. Że Ameryka i Żydzi chcą ukraść rosyjskie bogactwa i złoża. Nie wiem jak pan, panie Golani, ale robię się niespokojna, kiedy młode umysły uczą się nienawiści. Nieuniknione porównania z innym czasem i miejscem są co najmniej niepokojące.

Zatrzymała się pod dorodnym świerkiem i odwróciła do Gabriela.

- Czy jest pan aszkenazyjczykiem? Skinął głową.

- Pańska rodzina pochodziła z Rosji?

- Z Niemiec - odparł. - Moi dziadkowie byli z Berlina.

- Przeżyli wojnę?

Pokręcił głową i po raz kolejny wyznał jej prawdę.

- Zamordowano ich w Auschwitz. Moja matka była dość młoda, by pracować, więc przeżyła. Zmarła kilka lat temu.

- Jestem ciekawa, co pańska matka powiedziała przywódcy, który wypełnia umysły młodzieży paranoicznymi fantazjami o tym,

jak inni chcą ukraść to, co im się należy. Czy nazwałaby to państwem korporacyjnym, czy może użyłaby bardziej złowieszczonego określenia?

- Zrozumiałem, pani Olgo.

- Niech mi pan wybaczy, panie Golani. Jestem staroświecką Rosjanką, która lubi uprawiać rzodkiewkę i marchew w ogródku na starej daczynie dziadka. Wierzę w moją Rosję i nie chcę, żeby w moim imieniu popełniono więcej zbrodni. Borys Ostrowski też tego nie chciał. Dlatego chciał z panem porozmawiać. I dlatego go zamordowano.

- Olgo, dlaczego pojechał do Rzymu? Co chciał mi powiedzieć? Podniosła rękę i dotknęła palcem jego policzka.

- Panie Golani, może powinien mnie pan pocałować. Lepiej, jeśli FSB odniesie wrażenie, że mamy się ku sobie.

15

MOSKWA

Pojechali na Stary Arbat jej samochodem, starą zielonkawą ladą ze zwisającym przednim zderzakiem. Znała miejsce, w którym mogli porozmawiać: gruzińską restaurację z kamiennymi grotami, sztucznymi strumieniami i kelnerami w ludowych strojach. Zapewniła go, że jest tam głośno. Bardzo głośno.

- Właściciel niektórym za bardzo przypomina Stalina. - Wskazała przez okno na jedną z Siedmiu Sióstr: - Hotel Ukraina.

- Największy na świecie?

- Nie potrafimy żyć jak normalni ludzie.

Samochód zaparkowała w wyjątkowo niedozwolonym miejscu koło placu Arbat i w powoli zapadającym zmroku udali się do restauracji. Miała rację co do właściciela - wyglądał jak ożywiona figura woskowa Stalina - i co do panującego tam harmidru. Gabriel musiał nachylić się nad stolikiem, żeby słyszeć, co mówiła. Opowiedziała mu o poufnej informacji, którą „Gazeta” otrzymała przed Nowym Rokiem. Informacja pochodziła ze źródła, którego nigdy nie zdradzi...

- Nasz informator powiedział, że któryś z handlarzy bronią mających bliskie powiązania z Kremlem i naszym prezydentem miał zawrzeć ważny kontrakt, dzięki któremu bardzo niebezpieczna broń znalazłaby się w rękach bardzo niebezpiecznych ludzi.

- Jakich ludzi?

- Ludzi, z którymi walczył pan całe życie, panie Golani. Ludzi, którzy poprzysięgli zniszczyć pański kraj oraz Zachód. Ludzi, którzy wbijają samoloty w wieżowce i detonują bomby na zatłoczonych bazarach.

- Al-Kaida?

- Albo jej skrzydło.

- Jaką broń?

- Nie wiemy.

- Konwencjonalną?

- Nie wiemy.

- Chemiczną czy biologiczną?

- Nie wiemy.

- Ale nie możecie tego wykluczyć?

- Niczego nie możemy wykluczyć, panie Golani. Z tego, co wiemy, może to być broń radiologiczna albo nawet jądrowa. - Przez moment milczała, po czym zdobyła się na ostrożny uśmiech, jak gdyby przerwa w rozmowie ją zażenowała. - Może będzie łatwiej, jeśli powiem panu, co wiem.

Przypatrywała mu się bacznie. Gabriel usłyszał hałas po swojej lewej stronie i spojrział przez ramię. Stalin usadzał przy sąsiednim stoliku kilkoro ludzi: dwóch podstarzałych gangsterów i ich dwie kosztowne zawodowe kochanki. Olga spojrzała w ich stronę, po czym mówiła dalej.

- Źródło, które podało nam wskazówkę o kontrakcie, jest bardzo wiarygodne i zapewniło nas, że to pewna informacja. Ale nie mogliśmy wydrukować artykułu tylko na podstawie jednego źródła. W przeciwieństwie do wielu naszych konkurentów, „Gazeta” cieszy się reputacją wyjątkowo rzetelnego dziennika. Wiele razy pozywali nas ludzie, którym nie podobały się nasze artykuły, ale nigdy nie przegraliśmy, nawet w marionetkowych sądach Rosji.

- Więc zaczęliście zadawać pytania?

- Panie Golani, jesteśmy dziennikarzami. Tym się zajmujemy. Nasze dochodzenie ujawniło kilka intrygujących informacji, ale nic konkretnego, co można by opublikować. Postanowiliśmy wysłać jednego z naszych reporterów do Courchevel, żeby śledził tego

handlarza bronią. Handlarz ma tam domek letniskowy. Dość duży domek.

- Czy to był Aleksandr Lubin? Pokiwała wolno głową.

- Pewnie zna pan szczegóły z raportów w gazetach. Aleksandr został zamordowany w parę godzin po przyjeździe. Jasne, że to miało być ostrzeżeniem dla pozostałych, by się nie mieszało. Obawiam się jednak, że efekt był odwrotny. Śmierć Aleksandra potwierdziła prawdziwość historii.

- Więc drążyliście dalej?

- Ostrożnie. Ale owszem, drążyliśmy dalej. Udało nam się dotrzeć do wielu interesujących informacji o handlarzu, ale nie dotarliśmy do szczegółów kontraktu. W końcu sprawa wymknęła się zupełnie spod kontroli. Właściciel „Gazety” nagle postanowił ją sprzedać. Obawiam się, że nie podjął tej decyzji sam: Kreml i FSB zmusiły go do tego. Nasz nowy właściciel to człowiek, który nie ma żadnego dziennikarskiego doświadczenia, a jego pierwszym posunięciem było wyznaczenie wydawcy znajdującego się na tym jeszcze gorzej niż on. Wydawca oświadczył, że nie interesują go wiadomości ani dziennikarstwo śledcze. „Gazeta” miała od teraz skupić się na gwiazdach, sztuce i życiu w Nowej Rosji. Następnie spotkał się z Borysem Ostrowskim, żeby przedyskutować mające się wkrótce ukazać artykuły. Proszę zgadnąć, który poszedł na pierwszy ogień?

- Dochodzenie w sprawie możliwego kontraktu między rosyjskim handlarzem bronią i Al-Kaidą.

- Właśnie.

- Rozumiem, że termin sprzedaży „Gazety” nie był przypadkowy?

- Nie. Nasz nowy właściciel jest wspólnikiem handlarza. Najprawdopodobniej to handlarz wyłożył pieniądze. Raczej niebываłe, nie sądzi pan, panie Golani? Rosyjska specjalność.

Sięgnęła do torebki, po czym wyjęła z niej paczkę papierosów i zapalniczkę.

- Nie będzie panu przeszkadzać?

Gabriel pokręcił głową i rozejrzał się po restauracji. Jeden z gangsterów trzymał dłoń na obnażonym udzie swojej kochanki, ale nie widać było ani śladu obserwatorów. Olga zapaliła papierosa i położyła paczkę na stole.

- Zmiana właściciela gazety postawiła nas przed bardzo trudnym dylematem. Wierzyliśmy, że historia o sprzedaży rakiet była prawdziwa, ale nie mieliśmy gdzie jej opublikować. Nie mogliśmy też prowadzić dochodzenia w Rosji. Postanowiliśmy postąpić inaczej i spróbować ujawnić nasze odkrycie Zachodowi przez zaufaną osobę z izraelskiego wywiadu.

- Czemu wybraliście mnie? Czemu nie poszliście do ambasady USA i nie powiedzieliście tego szefowi komórki CIA?

- Członkowie opozycji i dziennikarze nie mogą spokojnie spotykać się z amerykańskimi urzędnikami, zwłaszcza z tymi, którzy pracują także dla CIA. Poza tym Borys zawsze podziwiał izraelskie tajne służby. A zwłaszcza bardzo lubił pewnego agenta, którego

zdjęcie zostało opublikowane w gazetach, kiedy uratował życie córki amerykańskiego ambasadora w Londynie.

- Czyli postanowił wyjechać z kraju i skontaktować się z nami w Rzymie?

- Zgodnie z nową misją „Gazety” powiedział wydawcy, że chce napisać artykuł o rosyjskiej sztuce granej w Wiecznym Mieście. Po przyjeździe do Rzymu skontaktował się z waszą ambasadą i poprosił o spotkanie. Najwyraźniej handlarz bronią i jego służby bezpieczeństwa go obserwowwały. Pewnie teraz też nas obserwują.

- Kto to jest? Ten handlarz bronią? Wymieniła nazwisko, a potem otworzyła kartę win.

- Napijmy się czegoś, co, panie Golani? Białe czy czerwone?

Stalin przyniósł wino. Było gruzińskie, krwistoczerwone, cierpkie. Gabriel był myślami gdzie indziej. Zastanawiał się nad zasłyszonym od Olgi Suchowej nazwiskiem. Znał je, rzecz jasna. Wszyscy w tej branży słyszeli o Iwanie Charkowie.

- Co pan o nim wie, panie Golani?

- Tylko to, co najważniejsze. Był agent KGB, zamieniony w oligarchę. Podaje się za uczciwego inwestora i międzynarodowego biznesmena. Mieszka głównie w Londynie i w Paryżu.

- To rzeczywiście najważniejsze. Chce pan znać bardziej szczegółową wersję?

Gabriel skinął głową. Olga oparła się łokciami o stół, podniosła kieliszek obiema dłońmi. W szkle migotała stojąca na stole świeczka. Dodawała rumieńców bladym policzkom Olgi.

- Nasz Iwan to uprzywilejowane radzieckie dziecko. Jego ojciec był wysoko postawionym oficerem KGB. Bardzo wysoko postawionym. Kiedy przeszedł na emeryturę, był szefem zarządu, wywiadu zagranicznego KGB. Iwan spędził dużo czasu za granicą. Mógł podróżować, podczas gdy zwykli radzieccy obywatele byli więźniami we własnym kraju. Miał dzinsy i płyty Rolling Stonesów, w czasie gdy zwykli radzieccy nastolatki mieli komunistyczną propagandę i komsomolskie wyjazdy na wieś. W dniach, kiedy brakowało jedzenia, gdy robotnicy musieli jeść wodorosty i mięso wielorybów, on i jego rodzina jedli świeżą cielęcinę i kawior.

Wypiła odrobinę wina. Przy wejściu Stalin negocjował stół z dwoma mężczyznami. Jeden z nich był na cmentarzu. Zdawało się, że Olga nie zwróciła na to uwagi.

- Jak wszystkie dzieci członków partyjnej elity automatycznie został przyjęty na elitarną uczelnię. W przypadku Iwana był to Uniwersytet Moskiewski. Po otrzymaniu dyplomu rozpoczął pracę w KGB. Mimo że płynnie posługiwał się angielskim i niemieckim, uznano, że nie nadawał się na zagranicznego szpiega, więc przydzielono go do zarządu głównego KGB. Wie pan, co to było?

- Oddział odpowiedzialny za kwestie bezpieczeństwa: kontrole graniczne, dysydentów, artystów, pisarzy.

- Proszę nie zapominać o Żydach, którym odmawiano prawa do emigracji. Piąty Zarząd był odpowiedzialny za prześladowanie Żydów. Krążą plotki, że Iwan był w tej kwestii bardzo sumienny.

Stalin usadzał dwóch mężczyzn przy stoliku na środku sali, dobrze poza zasięgiem słuchu.

- Iwanowi pomogły magiczne wpływy ojca i bardzo szybko awansował w szeregach zarządu. A potem pojawił się Gorbaczow, głośność i pieriestrojka, i nasz kraj gwałtownie się zmienił. Partia rozluźniła więzy centralnego planowania i pozwoliła młodym przedsiębiorcom - czasami tym samym dysydemtom, których monitorował Iwan i Piąty Zarząd - na zakładanie spółek i prywatnych banków. Wbrew przewidywaniom niektórzy nawet zaczęli zarabiać. To nie spodobało się naszym tajnym władcom na Łubiance. To oni wybierali zwycięzców i przegranych. Wolny rynek groził zawaleniem się starego Porządku. Poza tym, rzecz jasna, jeśli można było zarobić, chcieli dostawać to, co im się prawnie należało. Uznali, że nie mają wyboru i sami muszą wejść do świata biznesu. Potrzebowali swojego człowieka, kogoś z wielkim potencjałem energii, młodego, kogoś, kto znał się na zachodnim kapitalizmie. Młodego człowieka, któremu wolno było czytać zakazane książki.

- Iwana Charkowa.

Uniosła kieliszek, jak gdyby chciała uczcić poprawną odpowiedź.

- Z błogosławieństwem swoich panów na Łubiance Iwan dostał pozwolenie na opuszczenie KGB i założenie banku. Dostał zatęchły

pokoik w starym moskiewskim biurowcu, telefon i komputer osobisty amerykańskiej produkcji, rzecz, której wtedy większość z nas w życiu nie widziała. Po raz kolejny zadziałały czary i w parę miesięcy jego bank zgarniał miliony dolarów dochodu, prawie wszystko dzięki państwowym interesom. A potem Związek Radziecki upadł i weszliśmy w burzliwe lata dziewięćdziesiąte, czasy gangsterskiego kapitalizmu, terapii wstrząsowej i natychmiastowej prywatyzacji. Kiedy należące do państwa przedsiębiorstwa sprzedano na aukcjach tym, którzy dawali najwięcej, Iwan zgarnął niektóre z najbardziej dochodowych aktywów i fabryk. Kiedy nieruchomości w Moskwie szły za dobre słowo i obietnicę, Iwan wyłapał kilka prawdziwych skarbów. W czasach hiperinflacji Iwan i jego sponsorzy z Łubianki zrobili fortunę na spekulacji walutami - fortunę, która oczywiście w końcu wylądowała na tajnych kontach w Zurychu i w Genewie. Iwan nigdy nie miał złudzeń co do powodów swoich zaskakujących sukcesów. Pomagały mu czarodziejskie macki KGB, bo był bardzo dobry w zaopatrywaniu ich w pieniądze.

Pojawił się kelner i zaczął stawiać na stole talerzyki z gruzińskimi przystawkami. Olga wyjaśniła ich zawartość. Kiedy kelner odszedł, wznowiła wykład.

- Jedną z rzeczy, na które Iwan się załapał, była flotylla samolotów transportowych i kontenerowców. Nie kosztowały go zbyt wiele, bo większość samolotów w tamtym czasie wrastała w ziemię na krajowych lotniskach, a statki rdzewiały w suchych dokach. Iwan kupił infrastrukturę i personel, potrzebne, by postawić tę flotę na nogi,

i po kilku miesiącach miał jeden z najbardziej dochodowych biznesów w Rosji: firmę mogącą wwozić towary do Rosji i wywozić je bez zbędnych pytań. Wkrótce statki i samoloty Iwana wypełniały bardzo pożądane towary, zmierzające w stronę niespokojnych regionów.

- Rosyjska broń - powiedział Gabriel. Olga skinęła głową.

- I to nie tylko AK-47 i RPG-7, chociaż stanowią znaczną część jego interesów. Iwan zajmuje się też dużym kalibrem: czołgi, baterie przeciwlotnicze, śmigłowce szturmowe, czasami trafi się nawet fregata albo przestarzały MiG. Ostatnio pozuje na jednego z najbardziej prominentnych, szanowanych deweloperów i inwestorów. Jest właścicielem pałacu w Knightsbridge, willi na południu Francji oraz chaty letniskowej w Courchevel. Kupuje obrazy, antyki, ma nawet udział w jednej z angielskich drużyn piłkarskich. Jest stałym bywalcem na przyjęciach na Kremlu i ma dostęp do prezydenta i siłowników. Ale to wciąż zbój i przemytnik broni. Jak to się mówi, oferuje full service. Ma towary i środki transportu, żeby je dostarczyć. Jeśli trzeba, może nawet załatwić sprawy finansowe przez własną sieć bankową. Słynie ze swoich zdolności w szybkim dostarczaniu broni do celu, czasami nawet w dwadzieścia cztery godziny, przez DHL albo Federal Express.

- Jeśli chcemy się dowiedzieć, czy Iwan rzeczywiście zawarł umowę z Al-Kaidą, musimy przeniknąć w głąb jego siatki. A żeby to osiągnąć, musimy wiedzieć, kto był waszym informatorem.

- Nie powiem panu, panie Golani. Dwie osoby już zginęły. Obawiam się, że to zamknięta kwestia. - Spojrzała w kartę dań. -

Powinniśmy coś zjeść, panie Golani. Lepiej, żeby FSB myślała, że naprawdę jesteśmy głodni.

Przez resztę kolacji Olga nie wspominała o Iwanie Charkowie i jego raketach. Zamiast tego mówiła o książkach, które ostatnio przeczytała, filmach, które obejrzała, oraz o nadchodzących wyborach. Kiedy pojawił się rachunek, poprzekomarziali się o to, kto ma zapłacić. Męska galanteria przeciwstawiła się rosyjskiej gościnności i wygrała. Na zewnątrz wciąż było jasno; poszli prosto do jej samochodu, obejmując się, na wypadek, gdyby ich obserwowano. Stara łada z początku nie chciała zapalić, ale w końcu silnik zaskoczył ze zgrzytem, wypuszczając równocześnie kłęb srebrnoniebieskiego dymu.

- Zbudowana przez najlepszych radzieckich rzemieślników w ostatnich latach rozwiniętego socjalizmu - powiedziała Olga. - Przynajmniej nie musimy już chować wycieraczek.

Nastawiła radio bardzo głośno i objęła go sztywno.

- Panie Golani, czy byłby pan tak uprzejmy, żeby odprowadzić mnie do mieszkania? Obawiam się, że mój dom nie jest tak bezpieczny jak kiedyś.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- To niedaleko stąd, najwyżej dziesięć minut. Nieopodal jest stacja metra. Może pan...

Gabriel położył jej palec na wargach i kazał jechać.

16

MOSKWA

Mówi się, że Moskwa to nie miasto, ale zbiorowisko wiosek. To była jedna z nich, pomyślał Gabriel, idąc u boku Olgi. I do tego wioska z problemami. Grupka pijaków raczyła się piwem i wódką. Kilku ćpunów dzieliło się rurką i tubką kleju. Oddział punków na deskorolkach terroryzował trzy babcie na spacerze. Nad nimi wszystkim górował wielki portret rosyjskiego prezydenta z ręką podniesioną w takim samym geście jak Lenin. Na górze widniał namalowany czerwonymi literami wszechobecny slogan partii: „Razem - naprzód!”.

Jej budynek nazywał się K-9, chociaż miejscowi cwaniacy nazywali go Domem Psów. Miał kształt litery H, trzydzieści dwa piętra, sześć wejść oraz stację nadawczą na dachu. Migotały na niej czerwone światełka ostrzegawcze. Po jednej stronie stał identyczny bliźniak, a po drugiej ich brzydka siostra przyrodnia. Gabriel pomyślał, że to nie jest dom, tylko przechowalnia ludzi.

- Która klatka jest twoja?
- Wejdźmy innym wejściem.
- Ale zawsze wchodzę tędy.
- Dlatego właśnie chcę, żebyśmy weszli innym.

Przeszli przez drzwi z literą B i ruszyli długim korytarzem z podłogą z popękanych płytek PCV. Większość żarówek nie świeciła, a za zamkniętymi drzwiami dał się wyczuć zatęchły zapach, jak zawsze,

gdy zbyt wielu ludzi mieszka na zbyt małej przestrzeni. Przy windach Olga nacisnęła guzik i czekała, patrząc w sufit. Minęła jedna minuta, po niej następna.

- Nie działa.
- Jak często się psuje?
- Raz w tygodniu. Czasami dwa.
- Na którym piętrze mieszkasz?
- Na jedenastym.
- Gdzie są schody?

Spojrzeniem wskazała za róg. Gabriel poprowadził ją na słabo oświetlone schody i ruszył w górę. Olga szła tuż za nim. Przez pierwsze cztery piętra byli sami, ale na piątym spotkali dwie dziewczyny, dzielące się papierosem, a na siódmym dwóch chłopaków dzielących się strzykawką. Na ósmym Gabriel musiał na chwilę zwolnić, żeby odkleić od podeszwy prezerwatywę, a na dziesiątym nadepnął na potłuczone szkło.

Kiedy doszli do jedenastego piętra, Olga ciężko dyszała. Gabriel sięgnął ku zasuwce, ale nim jej dotknął, drzwi stanęły otworem, jak gdyby trafiła je fala uderzeniowa. Odepchnął Olgę w róg i odskoczył w chwili, gdy pierwsze pociski przeszły wilgotne powietrze. Olga zaczęła krzyczeć, ale Gabriel nie zwrócił na nią uwagi. Stał przyciśnięty do ściany klatki schodowej. Nie bał się, czuł tylko głębokie rozczarowanie. Ktoś miał zaraz umrzeć. I to nie był on.

P-9 Gurza z tłumikiem na lufie. Broń zawodowców, chociaż nie można było tak nazwać idioty, który ją trzymał.

Później Gabriel zastanawiał się, czy chodziło o nadmierną pewność siebie zabójcy, czy też może ci, którzy go wynajęli, zapomnieli dodać, że jeden z celów sam był zawodowcem. Jakkolwiek by było, facet wyszedł przez drzwi z łatwą do przechwycenia bronią trzymaną w wyciągniętych rękach. Gabriel złapał ją i skierował bezpiecznie w sufit, przyciskając mężczyznę do ściany. Broń wypaliła nieszkodliwie dwa razy, nim Gabriel nieprzyjemnie przywalił napastnikowi kolaniem w krocze i zdzielił go w potylicę miażdżącym uderzeniem z łokcia. Chociaż ostatni cios był najprawdopodobniej zabójczy, Gabriel wolał nie ryzykować. Wyjął gurzę z luźnej dłoni napastnika i strzelił mu dwa razy w głowę - największa zawodowa zniewaga.

Wiedział z doświadczenia, że amatorzy zwykle zabijali dwójkami, co by wyjaśniało jego spokojną reakcję, gdy usłyszał odgłosy rozgniatanego szkła na schodach. Odciągnął Olgę z linii ognia i stał u szczytu schodów, gdy drugi mężczyzna wyłonił się zza rogu. Gabriel zastrzelił go tak, jakby był celem na strzelnicy: trzy krótkie strzały w tułów i jeden w głowę, by dostać punkty za styl.

Przez parę sekund stał bez ruchu, po czym się odwrócił. Olga leżała skulona na ziemi obok mężczyzny, którego Gabriel zabił najpierw. Jak ten na schodach, miał na głowie czarną kominiarkę. Gabriel zerwał ją, odsłaniając pozbawioną życia twarz o czarnej brodzie.

- To Czeczen - powiedziała Olga.

- Jesteś pewna?

Nim zdążyła odpowiedzieć, przechyliła się przez balustradę i zwymiotowała gwałtownie. Gabriel złapał jej dłoń, gdy schwyciły ją drgawki. Słyszał z daleka syreny nadjeżdżających samochodów milicyjnych.

- Olgo, mogą tu być w każdej chwili. Nigdy więcej się już nie zobaczymy. Musisz podać mi to nazwisko. Powiedz mi, kto był twoim źródłem, nim będzie za późno.

17

MOSKWA

Pierwsi funkcjonariusze, którzy przybyli na miejsce, byli z moskiewskiej milicji miejskiej, proletariatu wielkiej sieci milicji i służb bezpieczeństwa stolicy. Odpowiedzialnym oficerem był źle ogolony sierżant, który mówił tylko po rosyjsku. Spisał krótkie zeznania złożone przez Olgę, której reputację najwyraźniej znał, po czym zwrócił uwagę na martwych napastników.

- Czeczeńscy gangsterzy - oświadczył z odrazą. Zebrał kilka innych informacji, w tym nazwisko i narodowość zagranicznego towarzysza Olgi Suchowej, po czym przekazał wiadomość przez radio do centrali. Pod koniec rozmowy nakazał kolegom niczego nie ruszać i skonfiskował paszport dyplomatyczny Gabriela, co trudno było przyjąć za dobrą monetę.

Następni oficerowie, którzy się pojawili, byli z GUOP-u - specjalnej jednostki zajmującej się sprawami przestępczości zorganizowanej i zabójstw na zlecenie, jednego z najbardziej dochodowych biznesów w Moskwie. Dowódca miał na sobie dżinsy, czarną skórzaną kurtkę i założone na tył głowy ciasno przylegające okulary przeciwsłoneczne. Przedstawił się jako Marków. Nie podał swojej rangi ani imienia. Po prostu Marków. Gabriel natychmiast rozpoznał, co to za typ człowieka. Marków kroczył po cienkiej linii oddzielającej przestępcę od gliniarza. Mógł się znaleźć po jednej albo drugiej stronie i pewnie kilka razy bywał i jednym, i drugim.

Obejrzał zwłoki i zgodził się z obserwacją sierżanta, że najprawdopodobniej byli wynajętymi czeczeńskimi płatnymi zabójcami. Ale w przeciwieństwie do młodszego mężczyzny mówił trochę po angielsku. Pierwsze pytania skierował nie do słynnej dziennikarki „Gazety”, ale do Gabriela. Wydawał się bardzo zadowolony tym, jak izraelski dyplomata w średnim wieku, pracownik ministerstwa kultury, potrafił rozbroić zawodowego mordercę, strzelić mu dwa razy w głowę, po czym zabić jego partnera. Gdy słuchał odpowiedzi Gabriela, na jego twarzy malowało się wyraźne niedowierzanie. Obejrzał uważnie paszport Gabriela, po czym wsunął go do kieszeni kurtki i powiedział, że będą musieli dokończyć rozmowę na posterunku.

- Muszę zaprotestować - powiedział Gabriel.

- Rozumiem pana - odparł smutnym głosem Marków.

Nigdy nie wyjaśniono, dlaczego Gabriel został skuty kajdankami i zawieszony nieoznakowanym samochodem na ruchliwy posterunek milicji. Tam zaprowadzono go do administracji i posadzono na drewnianej ławie, obok ogorzałego mężczyzny po sześćdziesiątce, który został pobity i obrabowany przez ulicznych bandziorów. Minęła godzina; w końcu Gabriel podszedł do oficera dyżurnego i poprosił o pozwolenie, by zadzwonić do ambasady. Oficer przetłumaczył prośbę kolegom, którzy natychmiast wybuchnęli gromkim śmiechem.

- Chcą pieniędzy - powiedział starszy mężczyzna, gdy Gabriel wrócił na ławę. - Nie pójdzie pan stąd, dopóki im pan nie zapłaci. - Gabriel uśmiechnął się lekko. Gdyby to było takie proste.

Trochę po pierwszej nad ranem wrócił Marków. Kazał Gabrielowi wstać, zdjął mu kajdanki i zaprowadził do sali przesłuchań. Należące do Gabriela przedmioty - portfel, paszport dyplomatyczny, zegarek i komórka - leżały równo na biurku. Marków podniósł telefon i wymownie otworzył listę ostatnich rozmów.

- Zadzwonił pan do ambasady, nim pojawili się pierwsi funkcjonariusze milicji.

- Zgadza się.

- Co im pan powiedział?

- Ze zostałem zaatakowany i milicja będzie w to zaangażowana.

- Nie wspomniał pan o tym, kiedy rozmawialiśmy w bloku.

- To standardowa procedura, w takiej sytuacji mamy natychmiast skontaktować się z ambasadą.

- Często znajduje się pan w podobnych sytuacjach? Gabriel zignorował pytanie.

- Jestem dyplomatą Państwa Izrael, przysługuje mi immunitet dyplomatyczny i ochrona. Sądziłbym, że oficer pańskiej rangi i na pana stanowisku wie, że moim głównym obowiązkiem jest skontaktować się z moją ambasadą i zgłosić im, co zaszło.

- Zgłosił pan, że zabił dwóch ludzi?

- Nie.

- Czy ten szczegół umknął pana uwagi? Czy też może miał pan inne powody?

- Mamy obowiązek rozmawiać przez telefon tak krótko, jak to tylko możliwe, niezależnie od sytuacji. Z pewnością może pan to zrozumieć.

- My, to znaczy kto?

- Pracownicy ministerstwa.

- Rozumiem.

Gabrielowi zdawało się, że zobaczył na jego twarzy lekki uśmiech.

- Chcę natychmiast zobaczyć się z przedstawicielem mojej ambasady.

- Niestety ze względu na pański szczególny przypadek musimy zatrzymać pana nieco dłużej.

Gabriela uderzyło jedno słowo: zatrzymać.

- Jak to szczególny przypadek?

Marków bez słowa wyprowadził Gabriela z pokoju. Tym razem zamknięto go w cuchnącej celi w areszcie, razem z dwoma pokrzwawionymi pijakami i trzema anorektycznymi prostytutkami, z których jedna od razu złożyła Gabrielowi propozycję. Znalazł sobie w miarę czyste miejsce pod jedną ze ścian i po cichu opadł na podłogę.

- Musisz im zapłacić - wyjaśniła prostytutka. - Masz szczęście. Ja muszę im dać co innego.

Minęło parę godzin, ale Marków nie wrócił. Gabriel nie wiedział, ile dokładnie czasu upłynęło, bo nie miał zegarka, a w celi nie było zegara. Pijaczkowie spędzali czas, dyskutując o Puszkynie; prostytutki spały, oparte o przeciwległą ścianę, jedna przy drugiej niczym lalki na półce w pokoju małej dziewczynki. Gabriel siedział, obejmując ramionami nogi, z czołem wspartym na kolanach. Odciał się od otaczających go dźwięków - trzaskających drzwi, wykrzykiwanych rozkazów, jęków bitego mężczyzny - i skupił myśli wyłącznie na Oldze Suchowej. Zastanawiał się, czy była gdzieś z nim w budynku, czy też zabrano ją gdzie indziej ze względu na jej „szczególny przypadek”? Czy w ogóle żyła, czy może podzieliła los swoich kolegów, Aleksandra Lubina i Borysa Ostrowskiego? Jeśli chodzi o imię, które Olga mu podała, stojąc na klatce schodowej Domu Psów, odepchnął je w najgłębszy zakątek pamięci i schował pod warstwą tynku i farby.

To była Elena... To Elena powiedziała mi o kontrakcie.

Jaka Elena? - pomyślał teraz Gabriel. Jak to Elena? Elena to nikt...

W końcu jeden dźwięk przebił się przez jego system obronny - kroki idącego w jego stronę Markowa. Ponury wyraz jego twarzy nie wróżył pozytywnego obrotu zdarzeń.

- Odpowiedzialność za pana przypadek została przekazana innemu oddziałowi.

- Jakiemu oddziałowi?

- Proszę wstać, obrócić się ku ścianie i złożyć ręce na plecach.

- Nie zastrzelisz mnie tu, przy tylu świadkach, co, Marków?

- Nie kuś mnie.

Gabriel zrobił, co mu kazano. Do celi weszło dwóch umundurowanych milicjantów. Założyli mu kajdanki i wyprowadzili do czekającego na zewnątrz samochodu. Przemknęli przez labirynt bocznych uliczek, nim w końcu skręcili w szeroką pustą aleję. Miejsce, dokąd wieźli Gabriela, leżało teraz prosto przed nimi: podświetlona reflektorami forteca z żółtego kamienia, zwieńczająca szczyt niewysokiego wzgórza. Jaka Elena? - pomyślał. Jak to Elena? Elena to nikt...

18

SIEDZIBA GŁÓWNA FSB, MOSKWA

Żelazne wrota Łubianki powoli otwarły się, oczekując na jego przyjęcie. Pośrodku dużego wewnętrznego dziedzińca stało czterech wyglądających na znudzonych funkcjonariuszy. Wyciągnęli Gabriela z tylnego siedzenia w tempie świadczącym o ich doświadczeniu w

podobnych sprawach i poprowadzili go po bruku do wejścia budynku. Schody zbudowano ledwie parę kroków od przedsionka. Gdy Gabriel stanął na krawędzi pierwszego stopnia, popchnięto go gwałtownie w plecy. Stoczył się bezsilnie w dół, robiąc po drodze koziołka. Zatrzymał się na półpiętrze. Ostre pchnięcie w nerkę wywołało oślepiający ból, który przeszył jego ciało od stóp do głów. Dobrze wycelowany kopniak w brzuch sprawił, że nie mógł oddychać ani mówić. Podnieśli go i zepchnęli niczym martwe ciało w dół następnych schodów. Tym razem sam upadek wyrządził dość szkód i nie musieli się niepotrzebnie męczyć kopniakami czy uderzeniami. Postawili go na nogi i zaciągnęli w ciemny korytarz. Gabrielowi wydawało się, że trwało to w nieskończoność. Do gułagu na Syberii, pomyślał. Na pola śmierci pod Moskwą, gdzie Stalin skazywał swoje ofiary na „siedem gramów ołowiu”, swoją ulubioną karę za nielojalność, prawdziwą i zmyśloną.

Spodziewał się, że potrzymania go w odosobnieniu w celi, gdzie przesiąknięta krwią historia Łubianki mogłaby osłabić jego opór. Ale zamiast tego zabrano go prosto do sali przesłuchań i zmuszono, by usiadł na krześle przed prostokątnym stołem z jasnego drewna. Po drugiej stronie siedział mężczyzna w szarym garniturze. Jego cera miała taki sam kolor jak strój. Miał zgrabnie przystrzyżoną kozią bródkę i okrągłe okulary w drucianych oprawkach. Niezależnie od tego, czy chciał, czy nie, jego podobieństwo do Lenina było uderzające. Był o parę lat młodszy od Gabriela - pewnie trochę po czterdziestce - i chyba niedawno się rozwiódł, jak wynikało z wcięcia na serdecznym

palcu prawej ręki. Wykształcony. Inteligentny. Godny przeciwnik. W innym wcieleniu byłby prawnikiem, chociaż wcale nie było pewne, czy byłby obrońcą, czy prokuratorem. Posługiwał się słowami, a nie przemocą. Gabriel uznał, że ma szczęście. Biorąc pod uwagę miejsce i inne możliwości, mogło być o wiele gorzej.

- Coś się panu stało? - zapytał mężczyzna po angielsku takim tonem, jakby odpowiedź niespecjalnie go obchodziła.

- Jestem dyplomatą Państwa Izrael.

- Tak, słyszałem. Może trudno w to panu uwierzyć, ale jestem tu, żeby panu pomóc. Może zwracać się pan do mnie Siergiej. Oczywiście to tylko pseudonim. Tak jak pseudonim w pańskim paszporcie.

- Nie macie prawa mnie przetrzymywać.

- Obawiam się, że mamy. Zabił pan dziś wieczorem dwóch rosyjskich obywateli.

- Bo oni próbowali zabić mnie. Domagam się rozmowy z przedstawicielem mojej ambasady.

- Gdy przyjdzie na to pora, panie... - Ostentacyjnie zajrzał do paszportu Gabriela. - Ach tak, pan Golani. - Rzucił paszport na stół.

- Panie Golani, obaj jesteśmy zawodowcami. Na pewno możemy rozwiązać tę sytuację jak zawodowcy.

- Złożyłem pełne zeznania na milicji.

- Obawiam się, że z pana zeznań wynika więcej pytań niż odpowiedzi.

- Co jeszcze chce pan wiedzieć?

Położył na stole grubą teczkę. Następnie wyjął z niej fotografię. Przedstawiała Gabriela pięć dni wcześniej, idącego przez terminal lotniska Pułkowo 2 w Sankt Petersburgu.

- Panie Golani, chcę się dowiedzieć, co dokładnie robi pan w Rosji. I proszę nie próbować mnie zwodzić, bo bardzo się zdenerwuję. A to ostatnia rzecz, której pan chce.

Omówili wszystko raz, potem drugi. Nagłą chorobę wiceministra. Szybkie wyznaczenie Natana Golaniego na zastępcę. Spotkania i przemówienia. Przyjęcia i kolacje. Zapisywano sumiennie każdą osobę, z którą się spotkał, wliczając w to kobietę, która próbowała go uwieść podczas finałowej gali w Teatrze Maryjskim. Mimo że sala z pewnością była wyposażona w system nagrywający rozmowy, przesłuchujący zapisywał wszystko w małym notesie. Gabriel podziwiał jego technikę. Gdyby ich role się odwróciły, zrobiłby dokładnie to samo.

- Miał pan z początku wrócić do Tel Awiwu rano po zakończeniu konferencji.

- Zgadza się.

- Ale nagle postanowił pan przedłużyć swój pobyt w Rosji i zamiast tego udać się do Moskwy. - Położył dłoń na teczce, jak gdyby chciał przypomnieć Gabrielowi o jej istnieniu. - Dlaczego pan tak zrobił, panie Golani?

- Nasz tutejszy ambasador jest moim starym znajomym. Zaproponował, żebym przyjechał do Moskwy na dzień lub dwa.

- W jakim celu?

- Żeby się z nim spotkać, rzecz jasna. I żeby zwiedzić Moskwę.

- Co dokładnie powiedział pański przyjaciel, ambasador?

- Powiedział, że nie uwierzę, jak wygląda Moskwa, dopóki jej nie zobaczę. Powiedział, że była pełna milionerów, przekupnych bankierów i rosyjskich gangsterów. Powiedział, że to miasto przeżywa boom. Mówił coś o morzu ropy, kawioru i wódki.

- Wspominał coś o przyjęciu? - Postukał w teczkę końcem palca wskazującego. - Przyjęciu w izraelskiej ambasadzie wczorajszego wieczora?

- Tak mi się wydaje.

- Proszę się zastanowić, panie Golani.

- Jestem pewien, że tak.

- Co powiedział? Dokładnie, panie Golani.

- Powiedział, że będą tam ludzie z opozycji.

- Czy tak opisał zaproszonych gości? Jako członków opozycji?

- Wydaje mi się, że określił ich chyba jako „odważne dusze”, które miały dość hucpy i na tyle odwagi, by przeciwstawić się reżimowi.

- A dlaczego pański ambasador uważał za konieczne zorganizowanie podobnego przyjęcia? Czy miał zamiar ingerować w sprawy wewnętrzne Federacji Rosyjskiej?

- Zapewniam, że nie było żadnego ingerowania. Po prostu kolacja i miłe pogawędki.

- Kto tam był?

- Proszę spytać agentów, którzy obserwowali tamtej nocy ambasadę. Sfotografowali wszystkich, którzy wchodzili do budynku, w tym mnie. Proszę zajrzeć do teczki, na pewno jest tam lista.

Przesłuchujący się uśmiechnął.

- Panie Golani, kto tam był?

Gabriel przypomniał sobie najlepiej, jak tylko mógł, nazwiska obecnych. Olgę Suchowa wymienił na końcu.

- Czy to był pierwszy raz, kiedy pan i pani Suchowa się spotkaliście?

- Tak.

- Słyszał pan o jej sławie?

- Nie, nigdy nie słyszałem jej nazwiska.

- Jest pan zupełnie pewien?

- Zupełnie.

- Wygląda na to, że nieźle panu poszło.

- Siedzieliśmy obok siebie przy kolacji. Przyjemnie nam się rozmawiało.

- Rozmawialiście o ostatnich zabójstwach jej kolegów?

- Możliwe, że wspomniała coś o tym. Nie pamiętam.

- A co pan pamięta, panie Golani?

- Rozmawialiśmy o Palestynie i Bliskim Wschodzie. Rozmawialiśmy o wojnie w Iraku. Rozmawialiśmy o Rosji.

- A konkretnie?

- O polityce, rzecz jasna. O nadchodzących wyborach.

- Co pani Suchowa mówiła o nadchodzących wyborach?

- Powiedziała, że rosyjska polityka to nic, tylko zapasy na niby. Zwycięzcy i przegrani są ustalani z góry. Kampania wyborcza to tylko hałas i wściekłość, które nic nie znaczą. Powiedziała, że prezydent i Partia Jedności odniosą walne zwycięstwo i po raz kolejny otrzymają potężną władzę. Pytanie tylko brzmiało, ile ich zdaniem będą musieli ukraść głosów, żeby osiągnąć swój cel.

- Federacja Rosyjska to demokracja. Komentarz polityczny pani Suchowej, choć zabawny i prowokujący, to czyste oszczerstwa i kłamstwa.

Przesłuchujący przewrócił stronę w notesie.

- Czy pan i pani Suchowa spędziliście czas na osobności podczas przyjęcia?

- Olga chciała zapalić. Zaproponowała, żebym się do niej przyłączył.

- Nie znaleźliśmy przy panu papierosów.

- To nie jest zbyt zaskakujące, zważywszy na fakt, że nie palę.

- Ale mimo to wyszedł pan z nią?

- Tak.

- Bo chciał pan z nią porozmawiać na osobności, gdzieś, gdzie nikt nie mógł pana usłyszeć?

- Bo wydawała mi się atrakcyjna. I tak, owszem, chciałem z nią porozmawiać na osobności, gdzieś, gdzie nikt nie mógł mnie usłyszeć.

- Dokąd poszliście?

- Na taras.

- Jak długo tam staliście?

- Minutę, może dwie. Nie dłużej.
- O czym rozmawialiście?
- Zapytałem, czy mógłby się z nią znowu zobaczyć. Czy zechciałaby oprowadzić mnie po Moskwie.
- Powiedział jej pan, że jest żonaty?
- Rozmawialiśmy o tym wcześniej.
- Przy kolacji?
- Tak.
- Kto wymyślił, żeby pójść na Nowodziewiczy?
- Ona.
- Czemu wybrała to miejsce?
- Powiedziała, że by zrozumieć rosyjską teraźniejszość, należy przejść się wśród rosyjskich kości.
- Pojechaliście na cmentarz razem?
- Nie, spotkałem się z nią tam.
- Jak pan tam się dostał? Taksówką?
- Metrem.
- Kto był pierwszy?
- Olga czekała przy bramie, gdy tam dotarłem.
- I weszliście na cmentarz razem?
- Oczywiście.
- Który grób odwiedziliście najpierw?
- Czechowa.
- Jest pan pewien?
- Tak.

- Proszę mi go opisać.

Gabriel zamknął oczy, jak gdyby próbował przywołać obraz nagrobka, ale zamiast tego usłyszał głos Olgi, szepczący mu do ucha. „Nie możesz wyjawiać jej nazwiska - mówiła. - Jeśli Iwan dowie się, że to Elena go zdradziła, zabije ją”.

19

SIEDZIBA GŁÓWNA FSB, MOSKWA

Brnęli razem dalej i Gabriel mógł tylko zgadywać, ile to trwało. Czasami chodzili po nieznanym terenie, a czasami wracali po własnych śladach. Drobną niespójność przesłuchujący traktował jako dowód zdrady, niewielkie dziury w pamięci jako znak oszustwa. W przesłuchaniach tkwi pewien paradoks: często przesłuchiwany dowiaduje się więcej niż przesłuchujący. Gabriel uznał, że jego przeciwnik był zaledwie trybem w wielkiej maszynie. Jego pytania, tak jak i rosyjska kampania wyborcza, to tylko hałas i wściekłość, które nic nie znaczą. Prawdziwi wrogowie Gabriela byli gdzie indziej. Ponieważ miał już być martwy, sama jego obecność na Łubiance była dla nich niewygodna. Tylko jeden czynnik decydował, czy przeżyje noc: czy mieli dość władzy, by sięgnąć do podziemi Łubianki i go zabić?

Ostatnie pytania przesłuchujący zadał znudzonym tonem milicjanta z drogówki, zapisującego szczegóły stłuczki. Spisał w

notatniku odpowiedzi, po czym zamknął go i spojrzał na Gabriela przez swoje wąskie okulary.

- To ciekawe, że po zabiciu dwóch czeczeńskich gangsterów nie pochorował się pan. Mam rozumieć, panie Golani, że zabijał pan wcześniej?

- Jak wszyscy izraelscy mężczyźni, musiałem odsłużyć wojsko. Walczyłem na Synaju w siedemdziesiątym trzecim i w Libanie w osiemdziesiątym drugim.

- Więc zabił pan wielu niewinnych Arabów?

- Tak, wielu.

- Jest pan syjonistycznym ciemiężcą niewinnych Palestyńczyków?

- Nieskruszonym.

- Nie jest pan tym, za kogo się podaje, panie Golani. Pański paszport dyplomatyczny jest fałszywy, tak jak i zawarte w nim nazwisko. Im prędzej przyzna się pan do swoich zbrodni, tym lepiej.

Przesłuchujący założył skuwkę na wieczne pióro i powoli ją zakręcił. To musiał być znak, bo drzwi otworzyły się gwałtownie i do środka wpadło czterech osiłków. Zabrali go w dół po kolejnych schodach i zamknęli w celi nie większej niż schowek na przybory do sprzątania. Śmierdziało w niej wilgocią i kałem. Nie wiedział, czy nieopodal byli inni więźniowie, bo kiedy zamknięto pozbawione okienka drzwi, cisza, tak jak i ciemność, była zupełna.

Oparł się policzkiem o zimną podłogę i zamknął oczy. Olga Suchowa pojawiła się przed nim pod postacią ikony. Przechylała

głowę, ręce miała złożone w modlitwie. „Jeśli będziesz miał szczęście i wydostaniesz się z Rosji żywy, nawet nie myśl o skontaktowaniu się z nią. Bez przerwy otaczają ją ochroniarze. Iwan widzi wszystko. Iwan słyszy wszystko. Iwan jest potworem”.

W jednej chwili pocił się, a w następnej dygotał. Ból pulsował w nerwe i Gabriel nie mógł porządnie odetchnąć z powodu potłuczonych żeber. Przy kolejnym ataku zimna pomacał dookoła celi, by sprawdzić, czy zostawili mu koc, ale otaczały go jedynie cztery śliskie ściany.

Zamknął oczy i zasnął. We śnie przechadzał się po ulicach swojej przeszłości, spotykając wielu z tych, których zabił. Byli bladzi, nie płynęła w nich krew, w sercach i twarzach mieli dziury po kulach. Pojawiła się Chiara w sukni ślubnej i powiedziała, że czas wracać do Umbrii. Olga otarła pot z czoła i położyła bukiet martwych goździków na grobie na Cmentarzu Nowodziewicznym. Na nagrobku widniał napis po hebrajsku, a nie po rosyjsku. Brzmiał on: Gabriel Allon...

Obudził się, gdy zaświecono mu w twarz latarkami. Kilku mężczyzn postawiło go na nogi i siłą zaprowadziło po schodach na górę. Gabriel próbował liczyć piętra, ale szybko się poddał. Pięć? Dziesięć? Dwadzieścia? Nie był pewien. Przeszli drzwiami, otwierając je jego głową niczym taranem. Owiało ich świeże nocne powietrze. Bał się, że mają zamiar zrzucić go z dachu - Łubianka była znana z takich nieszczęśliwych wypadków - ale kiedy jego wzrok przywykł do otoczenia, zobaczył, że stoją na dziedzińcu.

Siergiej, funkcjonariusz, który go przesłuchiwał, był oparty o czarną furgonetkę, ubrany w świeży szary garnitur. Otworzył tylne drzwi i kilkoma krótkimi słowami po rosyjsku nakazał pozostałym posadzić Gabriela w środku. Na moment uwolniono mu ręce, ale tylko po to, by przytwierdzić je do stalowej pętli pod sufitem. Następnie drzwi zamknęły się z ogłuszającym hukiem, furgonetka szarpnęła do przodu i ruszyła po bruku.

Dokąd teraz? - pomyślał. Na wygnanie czy śmierć?

Był znowu sam. Uznał, że nie minęła jeszcze północ, bo samochody wciąż jeździły jak oszalałe. Nie słyszał syren, które świadczyłyby, że mają eskortę, a kierowca przestrzegał przepisów drogowych, nawet jeśli to zbyt wiele nie znaczyło. Na jednym dłuższym postoju usłyszał śmiech i pomyślał o Sołżenicynie. Furgonetki... Tak KGB przewoziło mieszkańców archipelagu Gułag - nocą, w zwykłych furgonetkach, niewidocznych dla otaczających ich dusz, uwięzionych w równoległym świecie potępionych.

Lotnisko Szeriemietiewo 2 leżało na północ od Moskwy, mniej więcej czterdzieści pięć minut jazdy od centrum, jeśli ruch był przyzwoity. Gabriel łudził się nadzieją, że to był ich cel, ale po spędzonej w tyle furgonetki godzinie porzucił wszelkie złudzenia. Jakość dróg, kiepska nawet w Moskwie, stała się znacznie gorsza, w miarę jak oddalali się od Łubianki. Każda dziura w jezdni sprawiała, że jego poobijane ciało przeszywał ból i musiał trzymać się stalowej pętli, żeby nie spaść z ławki. Niemożnością było zgadnąć, w jakim

kierunku jechali. Nie wiedział, czy jechali na zachód, ku cywilizacji i oświeceniu, czy na wschód, w okrutne serce Rosji. Furgonetka zatrzymała się dwa razy i dwa razy Gabriel słyszał podniesione gniewne głosy, mówiące po rosyjsku. Pewnie nawet nieoznakowana furgonetka FSB nie mogła wyjechać poza miasto, bez zatrzymania przez bandytów albo szukającej łapówek drogówki.

Kiedy furgonetka przystanęła po raz trzeci, drzwi zostały otwarte i jeden z agentów wsiadł do środka. Rozpiął kajdanki Gabriela i gestem nakazał mu wysiąść. Za nimi zatrzymał się samochód; przesłuchujący go wcześniej funkcjonariusz stał w świetle reflektorów, głaszcząc się po brodzie, jak gdyby zastanawiał się nad odpowiednim miejscem do egzekucji. Nagle Gabriel zobaczył swoją walizkę leżącą w kałuży błota, a obok niej torbę ze swoimi rzeczami. Przesłuchujący popchnął torbę czubkiem buta w stronę Gabriela i wskazał na smużkę żółtych świateł na horyzoncie.

- To ukraińska granica. Czekają na pana.

- Gdzie jest Olga?

- Niech się pan pospieszy, nim zmienimy zdanie, panie A11 o n. I proszę nigdy więcej nie wracać do Rosji. Inaczej pana zabijemy. I tym razem nie będziemy polegać na dwóch czeczeńskich idiotach, którzy mieli się tym zająć.

Gabriel zebrał swoje rzeczy i ruszył w stronę granicy. Czekał na trzask pistoletu i kulę przeszywającą mu plecy, ale nie usłyszał nic oprócz dźwięku zawracających i odjeżdżających ku Moskwie samochodów. Kiedy zniknęły reflektory, ogarnęła go głęboka

ciemność. Skupiał wzrok na żółtych światłach i szedł naprzód. I przez moment Olga szła koło niego. „Jej życie jest w twoich rękach - przypomniała mu. - Iwan zabije każdego, kto mu wejdzie w drogę. A jeśli kiedykolwiek dowie się, że to jego żona była moim źródłem, ją też zabije”.

Część druga

WERBUNEK

20

LOTNISKO IM. BEN GURIONA, IZRAEL

Proszę się obudzić, panie Golani. Jest pan prawie w domu. Gabriel otworzył powoli oczy i wyjrzał przez okno kabiny pierwszej klasy. Wzdłuż brzegu Morza Śródziemnego niczym sznur klejnotów namalowany ręką van Dycka ciągnęły się światła równiny nabrzeżnej.

Odwrócił głowę w bok i spojrzał na człowieka, który go obudził. Był od niego młodszy o dwadzieścia lat, miał oczy koloru granitu i bladą, kształtną twarz. Z paszportu dyplomatycznego w jego kieszeni wynikało, że nazywa się Baruch Goldstein i pracuje w izraelskim ministerstwie spraw zagranicznych. Naprawdę nazywał się Michaił Abramów. Praca ochroniarza nie była specjalnością Michaiła. Był członkiem oddziałów specjalnych Szajeret Metkał rozpoczął służbę w Biurze po tym, jak zamordował najwyższych rangą dowódców

terrorystów Hamasu i islamskiego dżihadu. Miał jednak cechę, dzięki której idealnie nadawał się do odeskortowania Gabriela z Europy Wschodniej z powrotem do Izraela. Michaił urodził się w Moskwie, był synem dwojga naukowców dysydentów i mówił płynnie po rosyjsku.

Spędzili razem większą część dnia. Po przejściu przez granicę Gabriel poddał się czekającemu na niego oddziałowi funkcjonariuszy ukraińskiej SBU. Zabrali go do Kijowa i przekazali Michaiłowi oraz dwóm innym pracownikom Biura. Z Kijowa pojechali do Warszawy i wsiedli na pokład samolotu El Al. Nawet w samolocie Szamron nie ryzykował życia Gabriela. Połowa obsługi kabiny pierwszej klasyskładała się z agentów Biura, a przed startem cały samolot przeszukano, by sprawdzić, czy nie ma na pokładzie materiałów radioaktywnych albo innych toksyn. Jedzenie Gabriela trzymano w osobnym, zalakowanym pojemniku. Posiłek przygotowała żona Szamrona, Dżila.

- *Glatt koszer* w wydaniu Biura - powiedział Michaił. - Święte według żydowskich praw i wolne od rosyjskich trucizn.

Gabriel próbował się wyprostować, ale nerka znowu zaczęła go boleć. Zamknął oczy i czekał, aż ból ustąpi. Michaił nie lubił latać, zaczął nerwowo stukać palcem w rozłożony przed nim stolik.

- Michaił, głowa mnie przez ciebie boli. Michaił zatrzymał palec.

- Odpocząłeś trochę?

- Nie bardzo.

- Powinieneś był patrzeć pod nogi na schodach, gdy odwiedzałeś KGB.

- Nazywają się teraz FSB, Michaił. Nie czytałeś ostatnio gazet? KGB już nie istnieje.

- Skąd ci to przyszło do głowy? Kiedy dorastałem w Moskwie, to wciąż było KGB i teraz też jest KGB. - Spojrzał na zegarek. - Za parę minut wylądujemy. Na płycie będzie czekał komitet powitalny. Kiedy skończysz składać raport, możesz spać przez cały miesiąc.

- Chyba że moje sprawozdanie to uniemożliwi.

- Jest aż tak źle?

- Coś mi mówi, że wkrótce się dowiesz.

W kabinie rozległ się elektroniczny dźwięk. Michaił spojrzął na napis „zapiąć pasy” i poklepał Gabriela po ramieniu.

- Zapnij się. Nie chcesz chyba, żeby stewardesa się na ciebie zezłościła.

Gabriel podążył wzrokiem za spojrzeniem Michaiła i zobaczył idącą powoli wzdłuż kabiny Chiareę. Miała na sobie zgrabny błękitny mundur El Al. Surowym tonem napominała pasażerów, żeby podnieśli oparcia i złożyli stoliki. Michaił wypił resztkę piwa i w zamyśleniu podał jej pustą butelkę.

- Nie sądzisz, że obsługa pokładowa była beznadziejna?

- Nawet jak na standardy El Al - zgodził się Gabriel.

- Chyba powinniśmy rozpocząć nowy program szkoleniowy.

- To dzięki takim pomysłom dostaniesz wysokie stanowisko przy Bulwarze Króla Saula.

- Może powinienem zgłosić się na ochotnika, żeby poprowadzić trening?

- Co, pracować z naszymi dziewczynami? Byłbyś bezpieczniejszy, jeślibyś wrócił do Gazy i uganiał się za terrorystami z Hamasu.

Gabriel oparł głowę o podglówek i zamknął oczy.

- Na pewno nic ci nie jest, Gabrielu?

- Mam tylko poľubiankowego kaca.

- Nie dziwię się. - Michaił milczał przez chwilę. - KGB trzymało tam mojego ojca przez sześć miesięcy, kiedy byłem mały. Mówiłem ci kiedyś o tym?

Nie mówił, ale Gabriel przeczytał jego akta.

- Po sześciu miesiącach spędzonych na Łubiance oświadczyli, że mój ojciec jest chory na głowę, więc wysłali go do szpitala psychiatrycznego na leczenie. Rzecz jasna to była ścierna. Nikt nigdy nie poczuł się lepiej od pobytu w radzieckim szpitalu psychiatrycznym, to były tylko kolejne oddziały gułagów. Ale mój ojciec miał szczęście. W końcu wyszedł na wolność i udało nam się uciec do Izraela. Lecz nigdy już nie był sobą, po tym, jak zamknęli go w psychuszce.

Właśnie w tym momencie samolot zatrzęsł się od uderzenia przy twardym lądowaniu. Z głębin drugiej klasy rozległy się niemrawe brawa. Taka była tradycja na liniach do Izraela i po raz pierwszy Gabriel miał ochotę się przyłączyć. Ale siedział tylko w milczeniu, podczas gdy samolot kołował w stronę terminalu i w przeciwieństwie

do reszty swoich rodaków poczekał, aż znak „zapiąć pasy” zgaśnie, nim wstał i wyjął ze schowka nad głową walizkę.

Chiara stała przy drzwiach. Beznamiętnie życzyła Gabrielowi miłego wieczoru, a gdy wychodził za Michailem i dwoma innymi agentami na zamontowane na półciężarówce schody, poprosiła, by patrzył pod nogi. Gdy zeszli na płytę lotniska, Michał i inni skręcili w prawo i razem z resztą udali się do lotniskowych autobusów. Gabriel udał się w przeciwnym kierunku, w stronę czekającej na niego limuzyny marki Peugeot. Wsiadł na tylne siedzenie. Szamron przyjrzał się ciemnej czerwonosinej szramie, ciągnącej się wzdłuż policzka Gabriela.

- W sumie nie wyglądasz źle jak na kogoś, kto wyszedł z Łubianki. Jak było?

- Pokoje raczej ciasne, ale umeblowanie niczego sobie.

- Może lepiej by było, gdybyś sobie poradził z tamtymi Czeczenami jakoś inaczej, zamiast ich zabijać.

- Wiesz, Ari, zastanawiałem się, czy nie wystrzelić im broni z rąk, ale takie sztuczki działają tylko w filmach.

- Cieszę się, że twoje fatalistyczne poczucie humoru nie poniosło uszczerbku. Przy Bulwarze Króla Saula czeka na ciebie grupa ludzi, którzy chcą usłyszeć twoje sprawozdanie. Obawiam się, że czeka cię długa noc.

- Wolałbym wrócić na Łubiankę, niż rozmawiać z nimi dzisiaj. Szamron po ojcowsku poklepał Gabriela w plecy.

- Zabiorę cię do domu, Gabrielu. Porozmawiamy po drodze.

21

JEROZOLIMA

Kiedy dotarli do mieszkania Gabriela przy ulicy Narkissa, mieli wciąż wiele spraw do omówienia. Chociaż było po północy, Szamron wprosił się na kawę. Gabriel zawahał się, nim wsunął klucz do zamka.

- Nie przejmuj się - powiedział spokojnie Szamron. - Już je sprawdziliśmy.

- Coś mi się wydaje, że wolę walczyć z arabskimi terrorystami niż z Rosjanami.

- Niestety nie zawsze stać nas na luksus wyboru wrogów. Gabriel wszedł do mieszkania pierwszy. Zapalił światło. Wszystko było tak, jak tydzień wcześniej, wliczając w to wypity do połowy kubek kawy, który zostawił w kuchennym zlewie. Wylał porośnięte pleśnią resztki, po czym łyżeczką nałożył kawy do ekspresu i postawił czajnik na gazie. Kiedy wrócił do salonu, zastał Szamrona z papierosem w ustach i odbezpieczoną zapalniczką.

- Nie myśl sobie, że zaczniesz palić, bo siedziałem na Łubiance. Poza tym jeśli Chiara poczuje w tym mieszkaniu dym, będzie awantura.

- Zwalisz winę na mnie.

- Wszystko zawsze na ciebie zwałam. Efekt się osłabił przez nadużywanie.

Szamron zgasił zapalniczkę i położył papierosa na stoliku, gotowy do podstępного ataku, gdy tylko Gabriel się odwróci.

- Powinienem był cię zostawić w Rosji - wymamrotał Szamron.

- Jak ci się udało mnie wydostać?

- Kiedy nasz ambasador i szef moskiewskiej komórki zorientowali się, że FSB nie miało najmniejszego zamiaru uszanować twojego paszportu dyplomatycznego, postanowiliśmy przejść do ofensywy. Szin Bet rutynowo śledzi posunięcia pracowników rosyjskiej ambasady. Tak się złożyło, że czterech z nich piło na umór w Sheratonie.

- Co za niespodzianka.

- Trochę ponad kilometr od hotelu zatrzymano ich, wydawałoby się, że na zwykłą kontrolę drogową. Rzecz jasna to wcale nie była zwykła kontrola.

- Więc porwaliście czterech rosyjskich dyplomatów i trzymaliście ich jako zakładników, żeby FSB musiało mnie wypuścić.

- To my, Izraelici, wymyśliliśmy technikę „oko za oko”. Poza tym to nie byli zwykli dyplomaci. Dwóch z nich to pracownicy wywiadu, SWR.

Kiedy KGB zostało rozwiązane i przeorganizowane, komórka do spraw szpiegostwa stała się osobną agencją, znaną jako Służba Wywiadu Zagranicznego albo SWR. Jak FSB, SWR była po prostu KGB z nową nazwą i ładnym opakowaniem.

- Gdy otrzymaliśmy potwierdzenie od Ukraińców, że przeszedłeś bezpiecznie przez granicę, wypuściliśmy tamtych na

wolność. Po cichu wezwano ich do Moskwy na konsultacje. Przy odrobinie szczęścia już stamtąd nie wrócą.

Czajnik zagwizdał. Gabriel poszedł do kuchni, zdjął go z gazu i zaczął robić kawę. Włączył przy okazji telewizor, nastawiony akurat na BBC; siwowłosy reporter stał przed kopułami soboru Świętego Bazylego, mówiąc o możliwych motywach próby zamachu na życie Olgi Suchowej. Żadna z jego teorii nie była nawet bliska prawdy, ale w jego głosie czuło się pewność siebie, którą daje jedynie brytyjski akcent. Szamronowi, który stał teraz u boku Gabriela, reportaż wydał się nieco zabawny. Serwisy informacyjne były dla niego jedynie źródłem rozrywki lub bronią, którą mógł grozić wrogom.

- Jak widzisz, Rosjanie raczej oględnie wyrażają się o tym, co naprawdę zaszło w tamtym bloku. Przyznali, że to Olga była celem ataku, ale poza tym nie ujawnili zbyt wielu szczegółów incydentu. Ani słowa o tym, kim byli napastnicy. Ani o tym, kim był mężczyzna, który uratował jej życie.

- Gdzie jest Olga?

- W swoim mieszkaniu, otoczona przez prywatnych ochroniarzy i dzielnych dziennikarzy zachodnich, jak ten gość z BBC. Jest na tyle bezpieczna, na ile to możliwe w Rosji, czyli wcale nie tak bardzo. Może będzie musiała rozważyć, czy nie lepiej zamieszkać na Zachodzie. - Jego wzrok spoczął na Gabrielu. - Jest aż tak dobra, jak się wydaje, a może chodzi tu o coś zupełnie innego?

- To znaczy, czy wysłało ją FSB i czy przez cały czas robiła mnie w konia?

- Właśnie o to pytam.

- To prawdziwy klejnot, Ari. Ona jest darem od bogów wywiadu.

- Zastanawiam się po prostu, dlaczego chciała zabrać cię do domu. Zastanawiam się, czy może nie zaprowadziła cię na tamtą klatkę schodową, żebyś zginął.

- A może to w ogóle nie była Olga Suchowa, tylko Iwan Charków w bardzo chytrym przebraniu.

- Gabrielu, płacą mi za pesymistyczne myśli. Tobie też.

- Widziałem, jak zareagowała na strzelaninę. Ari, ona nie kłamie. Zgodziła się nam pomóc, sama wiele ryzykując. Pamiętaj, że pozwolono mi wyjechać. Olga wciąż jest w Moskwie. Jeśli Kreml chce jej śmierci, zabiją ją, a ci wszyscy ochroniarze i dzielni reporterzy razem wzięci nie zdołają temu zapobiec.

Usiedli przy stole w kuchni. BBC skończyło transmisję z Rosji i pokazywało właśnie tragiczne skutki zamachu bombowego na targu w Bagdadzie. Gabriel wycelował pilota w ekran i wcisnął przycisk „Wycisz”. Szamron przez moment próbował zrozumieć, jak działa francuski ekspres do kawy, ale musiał poprosić Gabriela o pomoc. W wolnych chwilach jako hobby zajmował się naprawianiem starych odbiorników radiowych i zegarów, ale nawet najprostsze sprzęty kuchenne leżały poza zasięgiem jego umiejętności. Ekspresy do kawy, miksery, tostery: te przedmioty były dla niego owiane tajemnicą. Dżila często żartowała, że gdyby jej mąż został sam w domu, nawet pełnym jedzenia, jakoś znalazłby sposób, żeby umrzeć z głodu.

- Ile wiemy o Iwanie Charkowie? - spytał Gabriel.

- Dużo - odparł Szamron. - Iwan od lat udziela się w Libanie. Przeprowadza regularne dostawy dla Hezbollahu, ale sprzedaje też broń co bardziej radykalnym palestyńskim i islamistycznym frakcjom działającym w obozach uchodźców.

- Jaką broń?

- To co zwykle. Granaty, moździerze, RPG-i, AK-47 oraz rzecz jasna amunicję. Mnóstwo amunicji. Ale w czasie naszej wojny z Hezbollahem siatka Charkowa zorganizowała specjalną dostawę broni przeciwpancernej. Przez nich straciliśmy kilka załóg. Wystosowaliśmy protest do ministra spraw zagranicznych w Moskwie, rzecz jasna bez żadnego efektu.

- Co oznacza, że Iwan Charków jest znany ze sprzedaży broni wprost organizacjom terrorystycznym.

- Bez wątplenia. Z RPG-ami i AK-47 damy sobie radę. Ale nasz przyjaciel Iwan ma dość powiązań, by dobrać się do najgroźniejszej broni na świecie. Chemicznej. Biologicznej. Nawet broń jądrowa nie jest wykluczona. Wiemy, że agenci Al-Kaidy od lat przeczesują pozostałości Związku Radzieckiego w poszukiwaniu materiałów radioaktywnych, albo nawet i w pełni sprawnej bomby. Może wreszcie znaleźli kogoś, kto chciałby im ją sprzedać.

Szamron posłodził kawę i powoli zamieszał.

- Amerykanie mogą mieć lepszy wgląd w sytuację. Od lat obserwują Iwana. - Uśmiechnął się sardonicznie. - Amerykanie uwielbiają śledzić rozwój sytuacji i nic nie robić.

- Teraz będą musieli. Szamron pokiwał głową.

- Proponuję, żebyśmy zwalili sprawę na nich tak szybko, jak to możliwe, po czym umyjemy od wszystkiego ręce. Chcę, żebyś poleciał do Waszyngtonu spotkać się ze swoim przyjacielem Adrianem Carterem. Powiedz mu o wszystkim, czego dowiedziałeś się w Moskwie. Daj im Elenę Charków. A potem wsiądź w najbliższy samolot do Umbrii i dokończ swój miesiąc miodowy. I nie oskarżaj mnie więcej, że nie dotrzymuję słowa.

Gabriel wpatrywał się w milczący ekran telewizora i nie odpowiadał.

- Nie zgadzasz się z moją propozycją? - zapytał Szamron.

- Jak myślisz, co Adrian Carter i Amerykanie zrobią z tą informacją?

- Pewnie udadzą się na Kreml i zwrócą z pokorną prośbą do rosyjskiego prezydenta, żeby powstrzymał zawarcie kontraktu.

- Na co on odpowie, że Iwan jest uczciwym biznesmenem, bez żadnych powiązań z nielegalnym handlem bronią. Odrzuci zebrane informacje jako antyrosyjskie oszczerstwa, rozsiewane przez żydowskich prowokatorów, spiskujących po to, by Rosja pozostała słaba i zacofana. - Gabriel pokręcił powoli głową. - Ostatnią rzeczą, jakiej chcemy, jest zwracanie się do Rosjan z prośbą o pomoc. Powinniśmy uważać rosyjskiego prezydenta i jego służby wywiadowcze za przeciwników i działać podług tego założenia.

- Więc co proponujesz?

- Pogadajmy po cichu z Eleną Charków i zobaczmy, czy wie więcej, niż powiedziała Oldze.

- To, że zaufała Suchowej, wcale nie znaczy, że zaufa też służbom wywiadowczym obcego kraju. Poza tym pamiętaj, że dwóch rosyjskich dziennikarzy straciło życie przez to, co zrobiła. Nie wydaje mi się, żeby chętnie zgodziła się na spotkanie.

- Ari, Elena spędza większość czasu w Londynie. Możemy się do niej dostać.

- Tak jak i Iwan. Dzień i noc otaczają ją ochroniarze. Wszyscy są byłymi członkami oddziału Alfa i OMON-u. Najprawdopodobniej wszystkie jej rozmowy i spotkania są śledzone. Co chcesz zrobić? Zaprosisz ją na herbatę? Zadzwonisz na jej komórkę? Wyślesz jej e-maila?

- Pracuję nad tym.

- Pamiętaj, że Iwan jest trzy kroki przed nami. Gdzieś w jego siatce pojawił się przeciek i dobrze o tym wie. Jego prywatne służby bezpieczeństwa będą w najwyższym pogotowiu. Jeśli tylko spróbujemy zbliżyć się do jego żony, podniesie się alarm. Jeden fałszywy krok i mogą ją zabić.

- Więc będziemy musieli zrobić to po cichu.

- My?

- Nie możemy zrobić tego sami, Ari. Potrzebujemy pomocy Amerykanów.

Szamron się nachmurzył. Ogólnie rzecz biorąc, nie lubił łączonych operacji i nie był zbyt zadowolony z tego, że Gabriel miał

bliskie powiązania z CIA. Jego pokolenie żyło według prostej reguły, znanej jako *kaczol lawan*, czyli „biel i błękit”. Robili wszystko sami i nie polegali na pomocy innych w rozwiązywaniu problemów. To podejście zrodziło się z doświadczeń Holokaustu, kiedy większość świata patrzyła w milczeniu, jak Żydów wysyłano do krematoriów. W ludziach takich jak Szamron stąd wzięła się niechęć, a nawet strach, przed otwieraniem się przed innymi.

- Zdaje mi się, że parę dni temu zbeształeś mnie za przerwanie twojego miesiąca miodowego, a teraz chcesz rozpocząć operację przeciw Iwanowi Charkowowi, która nie wiadomo kiedy się skończy?

- Powiedzmy, że mam osobisty interes w powodzeniu tej operacji. Szamron wypił łyk kawy.

- Coś mi mówi, że twoja nowo poślubiona żona zadowolona z ciebie nie będzie.

- Pracuje dla Biura. Zrozumie.

- Tylko nie puszczaj jej w pobliże Iwana - powiedział Szamron. - Iwan lubi niszczyć ładne rzeczy.

22

JEROZOLIMA

Gabrielu, czy to jakaś twoja nowa chora fantazja, żeby patrzeć, jak stewardesa się rozbiera?

- Dziewczyny w mundurach jakoś nigdy mnie nie pociągały. Poza tym nie mówi się już stewardesy, tylko obsługa kabiny

pasażerskiej, Chiaro. Kobieta na twoim stanowisku powinna wiedzieć takie rzeczy.

- Mogłeś przynajmniej trochę ze mną poflirtować. Wszyscy mężczyźni flirtują z obsługą kabiny pasażerskiej, prawda?

- Nie chciałem zniszczyć twojej przykrywki. Odniosłem wrażenie, że i tak miałaś już dość kłopotów.

- Nie wiem, jak one mogą nosić te mundury. Pomóż mi z tym suwakiem.

- Z przyjemnością.

Odwróciła się i odgarnęła włosy. Gabriel rozpiął zamek i pocałował ją w kark.

- Twoja broda mnie łaskocze.

- Ogolę się.

Odwróciła się i pocałowała go.

- Nie musisz. Wyglądasz bardzo dystyngowanie.

- Wyglądam jak Abraham. - Usiadł na skraju łóżka i patrzył, jak Chiara zsuwa z trudem spódniczkę. - Nie da się ukryć, że to lepsze niż noc na Łubiance.

- Ja myślę.

- Miałaś pilnować Poussina. Błagam, powiedz, że nie zostawiłaś go bez opieki.

- *Monsinior* Donati zabrał go z powrotem do Watykanu.

- Bałem się, że to powiesz. Ile mam czasu, nim dostanie go któryś z rzeźników z watykańskiego departamentu sztuki?

- Do końca września. - Sięgnęła za plecy i rozpięła stanik. - Jest tu coś do jedzenia? Umieram z głodu.

- Nic nie jadłaś w samolocie?

- Byłyśmy zbyt zajęte. Jak ci smakował kurczak od Dżili?

- Pyszny.

- Wyglądał o wiele lepiej niż to, co my podawałyśmy.

- A, to było to, co robiłaś.

- Aż tak źle mi szło?

- Powiedzmy, że pasażerowie pierwszej klasy nie byli zachwyceni poziomem obsługi. Gdyby lot trwał jeszcze godzinę dłużej, mielibyśmy intifadę.

- Nie przeszkolili nas dostatecznie przed tą misją. Poza tym Żydówki nie powinny pracować jako obsługa kabinowa.

- W Izraelu wszyscy stają się równi, Chiaro. Żydom dobrze robi, jeśli zostają obsługą kabiny, rolnikami i śmieciarzami.

- Powiem Uziemiu, żeby o tym pamiętał następnym razem, gdy będzie przydzielał zadania. - Zebrała ubrania. - Muszę wziąć prysznic. Śmierdzą kiepskim jedzeniem i wodą kolońską pasażerów.

- Witamy we wspaniałym świecie linii lotniczych. Pochyliła się i pocałowała go drugi raz.

- Może jednak powinienes się ogolić, Gabrielu. Nie umiałabym kochać się z mężczyzną, który wygląda jak Abraham.

- Spłodził Izaaka, kiedy był naprawdę bardzo stary.

- Z bożą pomocą. Obawiam się, że dzisiaj w nocy będziesz musiał się obyć bez niej. - Dotknęła szramy na jego policzku. - Zranili cię?

- Nie bardzo. Większość nocy spędziliśmy, grając w remika i opowiadając sobie historie ze starych dawnych czasów, nim runął mur.

- Coś cię denerwuje. Wiem, kiedy się denerwujesz. Opowiadasz beznadziejne dowcipy, żeby to ukryć.

- Denerwuję się, bo wygląda na to, że rosyjski handlarz bronią ma zamiar sprzedać bardzo niebezpieczną broń Al-Kaidzie. I dlatego, że kobieta, która zaryzykowała życie, by nam o tym powiedzieć, jest w bardzo poważnym niebezpieczeństwie. - Zawahał się na moment, po czym dodał: - I dlatego, że jeszcze minie trochę czasu, nim będziemy mogli wznowić nasz miesiąc miodowy w Umbrii.

- Nie chcesz chyba wrócić do Rosji?

- Tylko do Waszyngtonu. Pogłaskała go po brodzie.

- Miłej podróży, Abrahamie. - Następnie poszła do łazienki, trzaskając za sobą drzwiami.

Pracuje dla Biura, powtórzył w duchu. Zrozumie. Kiedyś.

23

GEORGETOWN

CIA wysłała po niego samolot, gulfstreama G500, wyposażonego w obite skórą głębokie fotele, wideo z filmami akcji

oraz pełen niezdrowych przekąsek bar. Wylądowali w bazie amerykańskich sił lotniczych w Andrews w żarze tropikalnego południa. W hangarze spotkało się z nim dwóch agentów Agencji. Gabriel ich rozpoznał; byli to ci sami funkcjonariusze, którzy zaciągnęli go wbrew jego woli do centrali CIA podczas ostatniej wizyty w Waszyngtonie. Bał się, że tym razem będzie podobnie, ale miło się zdziwił, kiedy okazało się, że ich celem była elegancka kamienica z czerwonej cegły w bloku 3300 ulicy N w Georgetown. Przy wejściu czekał na nich mężczyzna w wieku, w którym powinno się już przejść na emeryturę. Miał na sobie granatowy blezer i pogniecione gabardynowe spodnie. Jego zmierzwione, przerzedzone włosy nadawały mu wygląd profesora, a wąsy wyszły z mody mniej więcej wtedy co muzyka disco, kostka Rubika i zimn wojna.

- Gabrielu - powiedział Adrian Carter, wyciągając dłoń na powitanie. - Jak to dobrze, że przyjechałeś.

- Dobrze wyglądasz, Adrianie.

- Wciąż nie umiesz kłamać. - Popatrzył na twarz Gabriela i zmarszczył brwi. - Rozumiem, że ta piękna szrama to wspomnienie po nocy spędzonej na Łubiance.

- Chciałem ci coś przywieźć, ale sklep z pamiątkami był zamknięty.

Carter uśmiechnął się lekko i wziął Gabriela pod ramię.

- Pomyślałem, że może zgłodniałeś podczas podróży. Załatwiłem nam lunch. A właśnie, jak ci minął lot?

- To bardzo miło z twojej strony, że wysłałeś po mnie samolot właściwie bez uprzedzenia.

- To nie mój samolot - odparł oględnie Carter.

- Air Guantanamo?

- I inne takie.

- To wyjaśnia, skąd wzięły się na pokładzie kajdanki i strzykawki.

- Wolę to, niż słuchać ich gadaniny. Przeciętny dżihadysta jest naprawdę kiepskim towarzyszem podróży.

Weszli do pokoju dziennego. Był to typowy dla Georgetown salon, prostokątny, o wysokich sklepieniach, z wychodzącymi na niewielki balkon przeszklonymi drzwiami. Umeblowanie było kosztowne, ale bez gustu, z gatunku tych, które znajduje się często w apartamentach prezydenckich luksusowych hoteli. Wrażenia dopełniał catering w formie szwedzkiego stołu. Brakowało tylko ładnej, młodej hostessy, która zaproponowałaby Gabrielowi kieliszek marnego chardonnay.

Carter podszedł do jedzenia i wziął kanapkę z szynką oraz napój imbirowy. Gabriel nalał sobie ze srebrnego termosu z pompką czarnej kawy i usiadł w fotelu z uszakami, obok przeszklonych drzwi. Carter usiadł obok i postawił talerz na kolanach.

- Szamron powiedział, że Iwan znowu był niegrzeczny. Powiedz mi wszystko, co wiesz. I nie oszczędzaj szczegółów. - Otworzył puszkę z napojem. - Tak się składa, że uwielbiam historie o Iwanie.

Przypominają mi, że są na tym świecie ludzie, którzy dla pieniędzy zrobią absolutnie wszystko.

Nie minęło wiele czasu, nim słuchający opowieści Gabriela Carter stracił apetyt. Odłożył niedojedzoną kanapkę na stolik obok swojego fotela i siedział nieruchomo niczym posąg, ze skrzyżowanymi nogami i złożonymi pod brodą dłońmi. Z doświadczenia Gabriel wiedział, że każdy porządny szpieg przede wszystkim umie słuchać. Carterowi przychodziło to bez trudu, tak jak jego nauka języków, umiejętność wtopienia się w otoczenie oraz pokora. Niewiele w wyglądzie Cartera zdradzało, że był jednym z najpotężniejszych członków siatki wywiadowczej Waszyngtonu ani że zanim dostąpił zaszczytu pracowania w elitarniej atmosferze siódmego piętra w Langley jako dyrektor tajnych służb wewnętrznych CIA, był agentem polowym o wspaniałej reputacji. Większość ludzi brała go za terapeutę. Kiedy myślało się o Adrianie Carterze, przed oczami stawał obraz człowieka wysłuchującego spowiedzi o romansach i poczuciu niższości, a nie o handlu bronią między Rosjanami i terrorystami.

- Żałuję, że twoja historia nie brzmi jak brednie pomyłonej staruchy - powiedział Carter. - Ale obawiam się, że dobrze pasuje do informacji wywiadowczych, które od pewnego czasu do nas docierają.

- Skąd?

- Z nasłuchów - powiedział Carter. - Dokładniej chodzi o to, że pewne sformułowanie powtórzyło się kilka razy w ciągu ostatnich kilka tygodni. Na tyle często, żeby nasi analitycy w krajowym

centrum do spraw antyterroryzmu uznali, że to nie tylko zbieg okoliczności.

- Co to za sformułowanie?

- Strzały Allaha. Widzieliśmy je już sześć czy siedem razy, ostatnio w komputerze dżihadysty, którego aresztował w Kopenhadze nasz znajomy Lars Mortensen. Pamiętasz Larsa, Gabrielu?

- Bardzo miło go wspominam - odparł Gabriel.

- Mortensen i jego technicy z duńskiej PET znaleźli to sformułowanie w starym e-mailu, który podejrzany chciał skasować. E-mail mówił o „strzałach Allaha przeszywających serca niewiernych” czy coś w tym guście.

- Jak nazywa się podejrzany?

- Marwan Abbas. To Jordańczyk, mieszkający obecnie w głównie imigranckiej dzielnicy Kopenhagi, Norrebro. O ile się nie mylę, dobrze znasz tamte okolice. Mortensen mówi, że Abbas jest członkiem Hizb ut-Tahrir, radykalnego islamistycznego ruchu politycznego. Jordan ska GID informuje nas, że był też współpracownikiem Abu Musaba al-Zarkawiego, niech spoczywa w pokoju.

- Na twoim miejscu, Adrianie, wysłałbym tego twojego gulfstreama do Kopenhagi, żeby przysłali Marwana na pogawędkę w cztery oczy.

- Obawiam się, że Mortensen nie może chwilowo nam pomóc. PET i duński rząd wciąż się dąsają ze względu na nasze zachowanie podczas afery z Haltonem. Teraz sądzę, że może jednak powinniśmy

byli poinformować Duńczyków o naszej wizycie. Powiedzieliśmy im dopiero po fakcie. Zajmie to chwilę, nim wybaczą nam nasze grzechy.

- Mortensen w końcu się zgodzi. Duńczycy was potrzebują. Tak jak i reszta Europy. W tym szalonym świecie Ameryka wciąż jest naszą najlepszą nadzieją.

- Ufam, że masz rację, Gabrielu. Waszyngton ostatnimi czasy twierdzi, że zagrożenie ze strony terrorystów zmalało albo że możemy jakoś żyć dalej, tracąc co jakiś czas parę symboli naszego kraju i kilku obywateli. Ale kiedy nadejdzie następny atak - i to chciałem powiedzieć, kiedy - ci sami wolnomyśliciele będą obwiniać Agencję, że go nie powstrzymała. Nie osiągniemy nic bez współpracy z Europejczykami. I oczywiście bez twojej pomocy. Jesteś naszym tajnym sługą, prawda, Gabrielu? Jesteś tym, kto podejmuje się zadań, których nie chcemy albo nie możemy sami się podjąć. Obawiam się, że Iwan należy właśnie do tej kategorii.

Gabriel przypomniał sobie słowa Szamrona, wypowiedziane poprzedniego wieczora w Jerozolimie: „Amerykanie uwielbiają śledzić rozwój sytuacji i nic nie robić”...

- Główne tereny łowieckie Iwana to Afryka - powiedział Carter - ale wypuszczał się na Bliski Wschód i do Ameryki Łacińskiej i nieźle na tym zarabiał. W starych dobrych czasach, gdy KGB ku naszej rozrywce szczyło na siebie nawzajem różne frakcje w Trzecim Świecie, byliśmy ostrożni z przepływem broni. Chcieliśmy, żeby zabijanie pozostawało na dopuszczalnym moralnie, równym poziomie. Ale Iwan porwał na strzępy starą księgę reguł, a wraz z nim

zrobiło to wiele najbiedniejszych rejonów świata. Bez wahania dostarcza dyktatorom, watażkom i partyzantom, o co go tylko poproszą, a oni w zamian płacą mu tyle, ile zażąda. Nasz Iwan jest sępem. Żeruje na cierpieniu innych i po drodze zarabia krocie. Jest odpowiedzialny za więcej śmierci i zniszczeń niż wszyscy islamscy terroryści świata razem wzięci. A teraz przechadza się po Rosji i Europie, wiedząc, że jest bezpieczny i nie możemy go nawet tknąć.

- Dlaczego nigdy nie chcieliście go dorwać?

- Próbowaliśmy w latach dziewięćdziesiątych. Zauważyliśmy, że spora część Trzeciego Świata stoi w płomieniach i zaczęliśmy zadawać sobie pytanie: kto dolewa oliwy do ognia? Agencja zaczęła śledzić ruch podejrzanych samolotów transportowych w Afryce i na Bliskim Wschodzie. NSA podsłuchiwała rozmowy telefoniczne i radiowe. Nie upłynęło wiele czasu i wiedzieliśmy, skąd brała się większość broni.

- Od Iwana Charkowa. Carter pokiwał głową.

- NSC zorganizowała oddział, który miał wynaleźć strategię, jak dostać się do siatki Charkowa. Ponieważ nie pogwałcił żadnych amerykańskich praw, mieliśmy bardzo ograniczone możliwości. Zaczęliśmy szukać kraju, w którym moglibyśmy postawić mu akt oskarżenia, ale nikt się nie zgodził. Pod koniec tysiąclecia sytuacja była tak kiepska, że nawet rozważaliśmy wykorzystanie nowej techniki, zwanej nadzwyczajnym transferem, by pozbyć się pracowników Iwana. Kiedy stara administracja odeszła, siatka Charkowa wciąż miała się świetnie. A kiedy w Białym Domu pojawili

się nowi ludzie, ledwo mieli czas nauczyć się, gdzie są łazienki, nim zdarzył się 11 września. Nagle Iwan Charków nie wydawał się już tak ważny.

- Bo potrzebowaliście pomocy Rosji w walce z Al-Kaidą.

- Właśnie - odparł Carter. - Iwan pracował w KGB. Wspierają go potężni ludzie. Trzeba przyznać, że nawet gdybyśmy naciskali na Kreml w sprawie Charkowa, pewnie i tak nic by nie zrobili. Nie ma żadnych oficjalnych powiązań, prawnych ani finansowych, między Iwanem Charkowem, przestrzegającym prawa oligarchą, i Iwanem Charkowem, handlarzem bronią. Iwan jest mistrzem w sprawach korporacji i zagranicznych rachunków. Cała siatka jest od niego zupełnie odcięta.

Carter wygrzebał z kieszeni marynarki fajkę i sakiewkę z tytoniem.

- Musimy pamiętać o czymś jeszcze: Iwan od dawna sprzedaje swoje towary ciemnym typom na Bliskim Wschodzie. Sprzedawał broń Kadafiemu. Przemyczał broń dla Saddama mimo sankcji ONZ. Uzbrajał islamskich radykałów w Somalii i Sudanie. Nawet sprzedawał broń talibom.

- Nie zapominaj o Hezbollahu - przypomniał Gabriel.

- Jak moglibyśmy zapomnieć o naszych dobrych znajomych z Hezbollahu? - Carter uważnie nabił fajkę tytoniem. - Gdyby to był doskonały świat, moglibyśmy po prostu pójść do prezydenta Rosji i poprosić go o pomoc. Ale temu światu wiele brakuje do ideału, a obecny prezydent Rosji z pewnością nie jest naszym zaufanym

sprzymierzeńcem. To niebezpieczny człowiek. Chce odzyskać imperium. Chce, by Rosja znowu stała się supermocarstwem. Chce rzucić wyzwanie amerykańskiej supremacji na świecie, a zwłaszcza na Bliskim Wschodzie. Ma morze ropy i gazu ziemnego i chce wykorzystać je jako broń. A ostatnia rzecz, którą zrobi, to interwencja na naszą prośbę w kwestii będącego pod ochroną oligarchy Iwana Charkowa. Widziałem koniec pierwszej zimnej wojny. Drugiej jeszcze nie mamy, ale wszystko zmierza w tym kierunku. Jednak jestem pewien jednej rzeczy. Jeśli chcemy odkryć, co to za broń, musimy zrobić to bez pomocy Rosji.

- Ja też tak wolę, Adrianie. My, Żydzi, od dawna zadajemy się z Rosjanami.

- Więc jak twoim zdaniem mamy się do tego zabrać?

- Chcę zorganizować spotkanie z Eleną Charków. Carter spojrzał na niego znacząco.

- Gabrielu, uważaj, bo ona może przez ciebie zginąć.

- Dzięki, Adrian, zupełnie mi to nie przyszło do głowy.

- Wybacz - odparł Carter. - Jak mogę ci pomóc?

- Potrzebuję wszystkich informacji o siatce Charkowa, które możesz mi dać. Naprawdę wszystkich, zwłaszcza przechwyconych przez NSA rozmów telefonicznych. I nie dawaj mi samych zapisów. Muszę wiedzieć, w jaki sposób on myśli. A żeby się tego dowiedzieć, muszę usłyszeć jego głos.

- Żądasz ode mnie wielu ściśle tajnych materiałów. Nie mogę ich oddać agentowi obcego wywiadu ot tak po prostu, nawet tobie.

Muszę załatwić to oficjalnymi kanałami. Uzyskanie zgody może zająć mi parę tygodni, jeśli w ogóle ją dostanę.

- Adrianie, ta broń być może właśnie teraz zmierza ku wybrzeżom Ameryki.

- Zobaczę, co mogę zrobić, żeby przyspieszyć obrót sprawy.

- Nie, Adrianie, zrób to. Bo inaczej podniosę tamtą słuchawkę i wykręcę numer do mojego przyjaciela w Białym Domu. Wciąż mam numer, który dałeś mi w Kopenhadze, ten, który łączy prosto z Gabinetem Ovalnym.

- Nie odważyłbyś się.

- Nawet nie mrugnę okiem.

- Dostaniesz te materiały w ciągu doby. Czegoś jeszcze potrzebujesz?

- Kogoś, kto mówi po rosyjsku.

- Nie uwierzysz, ale tych akurat nam nie brakuje.

- Tak się składa, że już kogoś mam. Chcę, żebyś go tu natychmiast ściągnął.

- Kto to?

Gabriel powiedział mu.

- Załatwione - powiedział Carter. - Gdzie chcesz rozstawić kram? W waszej ambasadzie?

- Jakoś nigdy nie lubiłem ambasad. - Gabriel rozejrzał się po pokoju. - To miejsce nada się całkiem nieźle. Ale wyświadczyć mi przysługę, Adrianie, i usuń wszystkie kamery i mikrofony. Nie chcę, żeby twoi ludzie patrzyli, jak biorę prysznic.

24

GEORGETOWN

Adrianowi Carterowi większość następnego poranka zajęło załatwienie pozwolenia, by oddać akta Charkowa w ręce Gabriela. Minęło kolejnych kilka godzin, podczas których usuwano wszystko, co mogło być choć odrobinę niewygodne dla CIA albo rządu Stanów Zjednoczonych. Wreszcie o siódmej tego wieczora materiały zostały dostarczone do domu przy ulicy N nieoznakowaną furgonetką Biura. Carter przyszedł, by nadzorować transfer i dopilnować, by Gabriel podpisał drakoński dokument przekazania akt. Naszkicował go szybko prawnik CIA. Gdyby Gabriel podzielił się zawartością akt z kimkolwiek innym, groziło mu postępowanie prawne i wiele innych kar.

- Adrianie, ten papier jest niedorzeczny. Jak mogę działać, nie dzieląc się z nikim informacjami?

- Po prostu podpisz - odparł Carter. - To, co tam jest napisane, znaczy co innego. Prawnicze gadanie.

Gabriel podpisał się po hebrajsku pod formularzem, po czym podał go Eliemu Lawonowi, który właśnie przyleciał z Tel Awiwu. Lawon podpisał bez słowa protestu i oddał dokument Carterowi.

- Nikomu nie wolno wchodzić do domu ani z niego wychodzić, kiedy te materiały tu są. Nawet nie myślcie, żeby się wymknąć, bo mam drużynę obserwatorów na ulicy N, a drugą na tyłach.

Kiedy Carter wyszedł, podzielili się aktami i usadowili się w osobnych pokojach. Gabriel wziął kilka kartonów depesz CIA oraz dane zebrane przez nieistniejącą już grupę dochodzeniową NSC i usadowił się w bibliotece. Eli Lawon wziął materiały z NSA - stenogramy i oryginalne nagrania - i usadowił się w salonie.

Przez resztę wieczoru, a właściwie do późnej nocy słuchali głosu Iwana Charkowa. Iwana, bankiera, i Iwana, budowniczego. Iwana, magnata handlu nieruchomościami, i Iwana, międzynarodowego inwestora. Iwana, symbolu odnowionej Rosji. Słuchali, jak negocjował z burmistrzem Moskwy zakup pierwszorzędnej działki nad rzeką, gdzie chciał zbudować centrum handlowe w amerykańskim stylu. Słuchali, gdy nakłaniał rosyjskiego biznesmena, by oddał swoje udziały w lukratywnej firmie sprzedającej bentleye nieopodal murów Kremla. Słuchali, jak groził wykastrowaniem właścicielowi londyńskiej firmy od przeprowadzek za szkody wyrządzone w jego posiadłości w dzielnicy Belgravia przy dostarczaniu pianina Bósendorfer. I słuchali też raczej ostrej rozmowy z podwładnym o imieniu Walerij, który miał problemy z otrzymaniem pozwolenia na przewóz znacznej ilości sprzętu medycznego do Sierra Leone. Sprzęt musiał być pilnie potrzebny, bo dwadzieścia minut później NSA przechwyciła drugi telefon do Walerij a, w którym Iwan powiedział, że dokumenty są załatwione i sprzęt może bez dalszych opóźnień lecieć do Freetown.

Kiedy Iwan nie zajmował się interesami, doglądał swoich licznych kobiet. Katierina, supermodelka, którą trzymał na prywatne

przedstawienia w mieszkaniu w Paryżu. Tatiana, stewardesa Aeroflotu, która doglądała jego potrzeb za każdym razem, gdy ich drogi się skrzyżowały. Biedna Ludmiła, która przyjechała do Londynu, by wydostać się ze swojej strasznej syberyjskiej wioski, i trafiła na Iwana. Uwierzyła w jego kłamstwa, a kiedy ją porzucił, zagroziła, że o wszystkim powie Elenie. Kto inny może próbowałby rozładować sytuację drogimi podarkami albo pieniędzmi. Ale nie Iwan. Iwan zagroził, że każe ją zabić. A potem każe także zabić jej rodziców w Rosji.

Czasami odpoczynku od głosu Iwana dostarczała im Elena. Chociaż nie była oficjalnym celem podsłuchu NSA, jej rozmowy były przechwytywane za każdym razem, gdy korzystała z telefonów Iwana. Jej łagodność przeciwstawiała się surowości Iwana, jej uczciwość jego dekadencji. Miała wszystko, co można było dostać za pieniądze, ale nie pragnęła nic oprócz męża, który miałby w sobie choć odrobinę prawości. Wychowała dwoje dzieci bez pomocy Iwana i większość czasu spędzała bez jego gburowatego towarzystwa. Iwan kupował jej wielkie domy i dawał góry pieniędzy, żeby je zapłacić. W zamian miała nie pytać o interesy ani prywatne sprawy. Za pomocą satelitów NSA Gabriel i Lawon zapoznali się z wieloma kłamstwami Iwana. Kiedy Iwan powiedział Elenie, że udaje się do Genewy na spotkanie ze szwajcarskimi bankierami, naprawdę był w Paryżu, ciesząc się usługami Katieriny. A gdy miał lecieć do Dusseldorfu na spotkanie z niemieckimi przemysłowcami, Gabriel i Lawon wiedzieli, że naprawdę spędził noc w pokoju lotniskowego hotelu, pomagając

Tatianie przeczekać długi postój we Frankfurcie. Lawon z każdą godziną czuł do niego coraz większą odrazę.

- Wiele kobiet ma konszachty z diabłem - powiedział - ale biedna Elena była na tyle głupia, że za niego wyszła.

Godzinę przed świtem, kiedy Gabriel czytał właśnie potwornie nudną depezę od szefa komórki CIA w Angoli, Lawon zajrzał przez drzwi.

- Chyba powinieneś coś usłyszeć.

Gabriel odłożył depezę i podążył za Lawonem do salonu. Anonimową hotelową atmosferę zastąpił nastrój panujący w czytelni uniwersyteckiej na dzień przed egzaminem. Lawon usiadł przed laptopem i kliknięciem myszki puścił czternaście przechwyconych rozmów. Wszystkie były prowadzone przez Elenę Charków. Tłumaczenie nie było potrzebne, bo za każdym razem mówiła płynną angielszczyzną i rozmawiała z tym samym mężczyzną. Ostatnia rozmowa była sprzed zaledwie dwóch miesięcy.

- Jak sądzisz? - spytał Lawon.

- Sądzę, że chyba właśnie znalazłeś sposób, jak porozmawiać z żoną Iwana.

25

GEORGETOWN

Ona ma obsesję na punkcie Mary Cassatt. - Czy to jedna z dziewczyn Iwana?

- To malarka, Adrianie. Impresjonistka. Nawet całkiem niezła.

- Wybacz, Gabrielu. Od jedenastego września jestem cokolwiek zajęty. Mogę podać ci z pamięci szczegóły dotyczące stu najniebezpieczniejszych terrorystów świata, ale nie pamiętam nawet ostatniego filmu, jaki widziałem.

- Musisz częściej wychodzić do miasta, Adrianie.

- Powiedz to Al-Kaidzie.

Spacerowali po zwirowanej ścieżce, ciągnącej się wzdłuż kanału Chesapeake-Ohio. Był wczesny ranek i słońce nie przebiło się przez warstwę lekkiej mgły, która osiadła nad Waszyngtonem w ciągu nocy. Po ich lewej stronie szeroka zielona rzeka Potomac płynęła leniwie ku Georgetown, podczas gdy po prawej podenerwowani kierowcy mknęli w tę samą stronę wzdłuż Canal Road. Gabriel miał na sobie wyblakłe dżinsy i biały sweter. Carter ubrał się w nylonowe dresy i błyszczące od nowości buty do biegania.

- Rozumiem, że Mary Cassatt była Francuzką?

- Tak się składa, że Amerykanką. Przeprowadziła się do Paryża w tysiąc osiemset sześćdziesiątym piątym roku i zakochała się w impresjonizmie. Jej specjalnością były delikatne portrety kobiet i dzieci, co jest dość intrygujące, bo sama była niezamężna i bezdzietna. Prace Mary Cassatt są jak na mój gust trochę zbyt sentymentalne, ale istnieje grupa kolekcjonerów, którzy bardzo ją lubią.

- Na przykład Elena Charków? Gabriel pokiwał głową.

- Z tego, co usłyszeliśmy na taśmach NSA, ma już co najmniej sześć jej obrazów i szuka kolejnych. Jest na ty ze wszystkimi

liczącymi się handlarzami dzieł sztuki w Paryżu, Londynie i Nowym Jorku. Ma też świetne kontakty w dużych domach aukcyjnych, zna nawet dyrektora działu impresjonizmu i sztuki nowoczesnej w Christie w Londynie.

- A ty go znasz?

- Z innego życia.

- Rozumiem, że masz zamiar odnowić dawną przyjaźń?

- Powoli, Adrianie.

Carter szedł przez chwilę w milczeniu, z rękami założonymi na plecach i wzrokiem wbitym w ziemię.

- Miałem okazję przejrzeć jej akta. Elena to co najmniej interesująca kobieta. To dziewczyna z Leningradu. Wiedziałeś o tym?

- Tak, Adrianie, wiedziałem.

- Jej ojciec był unurzany po uszy w partyjnym łajnie. Pracował dla Gosplanu, urzędu centralnego planowania, który doglądał tego wynalazku Rube Goldberga, znanego kiedyś jako radziecka gospodarka. Studiowała na Uniwersytecie Leningradzkim i miała zostać ekonomistką, jak jej ojciec. Ale wygląda na to, że zmieniła zdanie i postanowiła studiować języki i sztukę. Wygląda też na to, że pracowała w Ermitażu, gdy poznała Iwana. Zastanawiam się, co w nim zobaczyła.

- Mieli to samo pochodzenie. Oboje byli dziećmi elit.

- Między Gosplanem i KGB jest duża różnica.

Gabriel usłyszał kroki i podniósł wzrok. Zobaczył biegacza z rozwianymi włosami, pędzącego w ich stronę ze słuchawkami na

uszach. Zazdrościł tym niewinnym duszom, które mogły pojawiać się w miejscach publicznych pozbawione jednego ze zmysłów.

- Jak masz zamiar to rozegrać? - zapytał Carter, gdy znów byli sami.

- Po przesłuchaniu taśm jestem pewien, że gdyby obraz Mary Cassatt pojawił się po cichu na rynku, Elena Charków natychmiast skorzystałaby z okazji, żeby go obejrzeć.

- A ty stałbyś obok, kiedy będzie patrzeć?

- Ja albo ktoś z moich współpracowników. Ktoś sympatyczny, zakochany w obrazach Mary Cassatt. Ktoś, kto nie zdenerwuje ochroniarzy Eleny.

Carter poklepał się po kieszeni, jak gdyby szukając fajki.

- Mam uważać, że spotkanie odbędzie się w Wielkiej Brytanii?

- Owszem.

- To oznacza, że będziesz musiał poinformować o wszystkim Brytyjczyków. Iwan i jego świta w Londynie są pod stałą obserwacją MI5. Podejrzewam, że nasi brytyjscy krewniacy z wielką chęcią nam pomogą. Od dawna naciskają, żebyśmy coś zrobili z Iwanem.

Dwadzieścia metrów przed nimi husky syberyjski ciągnął przed sobą młodą kobietę. Gabriel, którego strach przed psami był słynny w świecie szpiegów, zręcznie zamienił się z Carterem miejscami i patrzył z pewną zawodową satysfakcją, jak pies ociera ociekający śliną pysk o nogawkę dresu Cartera.

- Masz już kogoś na myśli, jeśli chodzi o tego sympatycznego, zakochanego w obrazach Mary Cassatt agenta? - zapytał Carter, wycierając psią ślinę z nogawki.

- Wolałbym użyć kobiety. Musiałaby zdołać przekonać kogoś, że jest Amerykanką albo Angielką. Mamy kilka kandydatek, ale żadna z nich nie zna się na sztuce. Co znaczy, że musiałbym ją przeszkolić, poczynając od zera.

- Szkoda. Czas ucieka.

- Wiem, Adrianie, zdaję sobie z tego sprawę.

- Może pamiętasz, że mamy kogoś, kto pasuje do tej roli. Ma doktorat z historii sztuki z Harvardu i już wykonała kiedyś podobne zadanie. Nawet dwa razy współpracowała z twoimi służbami, co znaczy, że rozumie wasze oparte na hebrajskim słownictwo operacyjne.

- To może skomplikować sprawy, Adrianie.

- Bo jest w tobie potajemnie zakochana. - Carter spojrzał przelotnie na Gabriela, ciekaw, jak zareaguje, ale odpowiedziało mu tylko zimne spojrzenie. - To dorosła kobieta, Gabrielu. Dzięki tobie jest teraz prawdziwą profesjonalistką.

- Gdzie pracuje?

- Wciąż w centrum antyterrorystycznym w Langley, co oznacza, że pozostaje pod moją władzą. Jeśli jej chcesz, jest twoja.

- Kiepsko to ująłeś, Adrianie.

- Miałem na myśli w sensie zawodowym... Gabriel przez chwilę szedł w milczeniu.

- To jasne, że ona świetnie się do tego nadaje. Ale jesteś pewny, że może wrócić do pracy polowej?

- Pracowała z tobą przy sprawie z Haltonem.

- Tylko jako łączniczka. Do tej operacji trzeba ją znowu wysłać pod jakąś przykrywką.

- Dostaję regularne raporty o jej postępach. Psychiatra z Agencji, którego jej przydzieliliśmy, mówi, że wszystko z nią w porządku. Personel twierdzi, że nie miała problemów z dostosowaniem się do nowej tożsamości, a zwierzchnicy dają jej bardzo wysokie oceny.

- Nic dziwnego. To prawdziwa gwiazda. Nie mam pojęcia, dlaczego twoi agenci od werbunku z początku ją odrzucili.

- Uznali, że była zbyt niezależna i może odrobinę zbyt inteligentna. My nie jesteśmy jak wy, Gabrielu. Wolimy, żeby agenci myśleli w wyznaczonych przez nas granicach.

- I ty się dziwisz, że najzdolniejsi agenci pracują teraz dla prywatnych zleceniodawców?

- Gabrielu, oszczędź mi krytyki. Chcesz ją mieć czy nie?

- Będę wiedział po rozmowie.

- Ma dyżur w centrali od południa.

- W Langley? - Gabriel pokręcił głową. - Wolałbym spotkać się z nią gdzieś, gdzie Agencja nie podsłuchuje.

- To znacznie ogranicza dostępne możliwości. - Carter zamyślił się ostentacyjnie. - A może w Dumbarton Oaks? W ogrodach, w południe.

- Postaraj się, żeby była sama. Carter uśmiechnął się smutno.

- Dzięki tobie, Gabrielu, nigdy nigdzie nie chodzi sama. I pewnie nigdy już nie będzie miała okazji.

26

DUMBARTON OAKS, GEORGETOWN

W połowie poranka słońce przebiło się przez mgłę i kiedy Gabriel stawiał się w Dumbarton Oaks, panował już piekielny upał. Kupił bilet wstępu od człowieka siedzącego w małej budce przy wejściu i dostał kolorową broszurkę. Często do niej zaglądał, przechadzając się wzdłuż altan, treliarzy i ozdobnych sadzawek. Parę minut po dwunastej udał się w stronę odległego zakątka ogrodów, gdzie zastał siedzącą sztywno na drewnianej ławce atrakcyjną kobietę po trzydziestce. Na kolanach miała otwartą książkę w miękkiej oprawie, a u jej stóp leżał bukiet konwalii. Miała na sobie prostą bawełnianą sukienkę i sandały. Od czasu, gdy ją ostatnio widział, jej blond włosy stały się znacznie dłuższe; jej alabastrowa skóra zaczynała się czerwienić od silnego słońca. Gdy Gabriel podszedł, podniosła gwałtownie wzrok, ale jej twarz była bez wyrazu, jak gdyby namalowała ją ręką Mary Cassatt.

- Zauważyłeś obserwatorów Adriana? - zapytała Sara Bancroft. Pocałował ją w policzek i zaprowadził w cień pobliskiej altany.

- Nawet krótkowzroczny stażysta świeżo po szkoleniu dostrzegłby obserwatorów Adriana.

- Posłuchajmy.

- Kobieta w kapeluszu, mężczyzna w szortach w kratę i para w identycznych koszulkach z napisem „I Love New York”.

- Dobrze. Ale przegapiłeś dwóch chłopaków w ciemnym sedanie przy ulicy R.

- Nie przegapiłem. Mogli mi równie dobrze pomachać, gdy wchodziłem.

Usiedli razem, ale nawet cień nie dawał wytchnienia od ciężkiego, wilgotnego upału. Sara zsunęła okulary na włosy i otarła z policzka pot. Gabriel podziwiał jej profil, gdy niespokojnie obserwowała park. Sara Bancroft była córką bogatego dyrektora Citibanku. Spędziła większość dzieciństwa w Europie, gdzie zdobyła europejskie wykształcenie i nienaganne manieri oraz nauczyła się kilku języków. Wróciła do Ameryki, żeby studiować w Dartmouth, a potem, po roku spędzonym na studiach w prestiżowym Instytucie Sztuki Courthauld w Londynie, została najmłodszą kobietą z doktoratem z historii sztuki w Harvardzie. Gdy kończyła pracę magisterską, zaczęła spotykać się z młodym prawnikiem Benem Callahanem, który miał nieszczęście wsiąść do samolotu United Airlines na lot 175 rankiem 11 września 2001 roku. Nim samolot wbił się w południową wieżę World Trade Center, Ben zdążył wykonać jeden telefon. Zadzwoił do Sary. Gabriel dał jej szansę, której w Langley jej odmówiono - odegrać się na mordercach. Z błogosławieństwem Cartera i za pomocą zaginionego obrazu van Gogha umieścił ją w świecie saudyjskiego multimilionera Zizi al-Bakariego i kazał jej zlokalizować tego, kto był mózgiem operacji

terrorystycznych w tamtych kręgach. Miała szczęście, że przeżyła. Od tej pory jej życie zupełnie się zmieniło.

- Bałem się, że nie wyrazisz zgody - powiedział.

- Czemu w ogóle przyszło ci to do głowy? Czy dlatego, że w samym środku piekielnie trudnej operacji zachowałam się bardzo nieprofesjonalnie i wyznałam ci swoje prawdziwe uczucia?

- To był jeden z powodów.

- Gabrielu, o to się nie martw. Już mi przeszło. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - Czy to moja wyobraźnia, czy jesteś odrobinę zawiedziony?

- Nie, Saro, nie jestem zawiedziony.

- Oczywiście, że jesteś. Pytanie brzmi, czy naprawdę chcesz, żebym to akurat ja podczepiła się pod twoją kolejną operację.

- Czemu miałbym nie chcieć?

- Bo twojej świeżo poślubionej włoskiej małżonce może się to nie spodobać. - Poprawiła cienkie ramiączka swojej sukienki, przylegającej do jej piersi tak, że spojrzenie nawet najwierniejszego mężczyzny musiało się po nich prześlizgnąć. - Wiesz co, jak na kogoś równie utalentowanego jak ty, twoja nieznanostka kobiet jest wstrząsająca.

- Nadrabiam innymi sposobami.

- Na przykład niezmiennie uprzejmym zachowaniem?

- Na początek.

Patrzyła na niego przez moment, jak gdyby był nudnym studentem.

- Ostatnią osobą, którą Chiara chciałaby zobaczyć z tobą w terenie, jestem ja.

- Byłaś gościem na naszym ślubie.

- To był jeden z najgorszych dni mojego życia. A to znaczy wiele, bo miałam sporo kiepskich dni.

- Ale już ci minęło?

- Ani cienia zainteresowania.

Podeszło do nich dwoje japońskich turystów i łamaną angielszczyzną i gestami poprosili Sarę, żeby zrobiła im zdjęcie. Zgodziła się, ku wielkiemu niezadowoleniu Gabriela.

- Zwariowałaś?

- Co takiego zrobiłam?

- A co, jeśli w aparacie byłaby bomba?

- Kto wsadzałby bombę do aparatu?

- My.

- Jeśli to było takie niebezpieczne, dlaczego pozwoliłeś mi to zrobić?

- Bo najwyraźniej byli tylko niegroźnymi japońskimi turystami.

- Skąd wiesz?

- Umiem zgadnąć.

- Po prostu patrząc na nich?

- Tak, po prostu patrząc. Zaśmiała się.

- Gabrielu, uważaj, bo jeszcze się znowu w tobie zakocham.

- A na to nic możemy pozwolić.

- Nie, nie możemy.

Gabriel popatrzył na drugą stronę ogrodów i zapytał, ile Carter jej powiedział.

- Tylko tyle, że chcesz dorwać Iwana Charkowa.

- Co o nim wiesz?

- Oficjalnie nie jest pod nadzorem mojego centrum, ale pewnie powinien być. Wywołaliśmy wojnę w Iraku między innymi dlatego, że podejrzewaliśmy Saddama o dostarczanie terrorystom wyszukanej broni, może nawet i masowego rażenia. Ale terroryści nie muszą po nią udawać się do krajów takich jak Irak. Mogą zwrócić się do kogoś niezależnego, kogoś takiego jak Iwan. Za odpowiednią sumę sprzeda im, co tylko zechcą. Prześle im to przez jednego z klientów w Afryce albo Ameryce Łacińskiej.

- Widzę, że nauczyłaś się swojego fachu.

- Miałam dobre szkolenie. - Skrzyżowała nogi i wygładziła fałdy na sukience. - Co mam tym razem zrobić?

- Zapamiętać, co zawierają akta CIA na temat Iwana i jego siatki, oraz przeczytać, ile się da, o Mary Cassatt. Adrian opowie ci resztę.

- Charków i Cassatt? Tylko w operacji Gabriela Allona może występować takie połączenie. - Opuściła na nos okulary przeciwsłoneczne. - Rozumiem, że znowu mam zmienić tożsamość?

- Tak, powinnaś. - Zapadło między nimi milczenie, cięższe od upału. - Saro, jeśli nie chcesz tego robić, po prostu mi powiedz. Bóg świadkiem, że dość już zrobiłaś.

Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. Gabriel pomyślał, że próbowała zachować zimną krew. Uśmiech nie zmienił obojętnego wyrazu jej twarzy.

- Ominie mnie wtedy zabawa. - Powachlowała energicznie twarz książką. - Poza tym zrobię wszystko, żeby się stąd wydostać na parę dni. Nienawidzę Waszyngtonu latem.

27

LONDYN

Przy Mornington Terrace 7 nad wychodzącymi z dworca Euston torami stoi pokryty sadzą blok. Gdy Gabriel zadzwonił do mieszkania 5C, drzwi uchylły się na moment i para szarych oczu obejrzała go znad łańcucha. Nie ucieszyły się na jego widok. Rzadko było inaczej.

Łańcuch został odpięty i drzwi otworzyły się na bardziej przyjazną szerokość. Gabriel wszedł do środka i rozejrzał się po wnętrzu: ponura, ciasna kawalerka o podłodze z popękanego linoleum, umeblowana sprzętami z pchlego targu. Siedzący w niej mężczyzna sprawiał wrażenie, jakby trafił tu przez pomyłkę. Miał na sobie pasiasty garnitur, płaszcz Burberry i wielkie spinki do mankietów. Kiedyś był blondynem, ale jego włosy nabrały teraz koloru popiołu. Wyglądał jak model reklamujący w ilustrowanym magazynie dobry koniak albo jak aktor z opery mydlanej, typ podstarzałego milionera, który zadaje się z młodszymi kobietami.

Graham Seymour nie miał czasu na kobiety. Był zastępcą dyrektora MI5, brytyjskich służb bezpieczeństwa, i pracy miał zawsze pod dostatkiem. Jego kraj był domem dla kilku tysięcy islamskich ekstremistów z terrorystycznymi powiązaniem. A żeby było jeszcze ciekawiej, rosyjskie działania szpiegowskie osiągnęły ostatnio najwyższy poziom od końca zimnej wojny. Zaliczało się do nich zabójstwo w 2006 roku Aleksandra Litwinienki, byłego agenta FSB i krytyka Kremla, którego otruto dawką wysoce radioaktywnego polonu 210. Był to akt terroryzmu nuklearnego, którego udało się FSB dokonać w samym sercu stolicy Wielkiej Brytanii.

Seymour musiał przybyć do mieszkania tuż przed Gabrielem, bo ramiona jego płaszcza wciąż były pokryte kroplami deszczu. Rzucił okrycie zmęczonym gestem na oparcie krzesła i wyciągnął rękę, wnętrzem dłoni do góry.

- Graham, nic róbmy znowu scen.

- Dawaj.

Gabriel westchnął ciężko i oddał mu paszport. Seymour otworzył go i zmarszczył brwi.

- Martin Stonehill. Miejsce urodzenia: Hamburg, Niemcy.

- Jestem naturalizowanym Amerykaninem.

- To wyjaśnia akcent. - Seymour oddał paszport Gabrielowi. -
Prezent od twojego znajomego prezydenta czy może dzieło bandy fałszerzy z Bulwaru Króla Saula?

- Adrian był na tyle uprzejmy, że pozwolił mi go pożyczyć.
Podróżowanie ostatnimi czasy jest wystarczająco trudne, nawet bez

paszportu na nazwisko Gabriel Allon. - Wsunął paszport z powrotem do kieszeni płaszcza i rozejrzał się po pokoju. - Wszystkie spotkania na wysokim szczeblu odbywają się tutaj czy może ten pałac przeznaczony jest specjalnie dla gości z Izraela?

- Gabrieliu, nie zadzieraj nosa. Obawiam się, że nie mogliśmy znaleźć nic lepszego w tak krótkim czasie. Poza tym to ty odmówiłeś przyjscia do Thames House.

W Thames House, nad rzeką, nieopodal Lambeth Bridge mieściła się kwatera główna MI 5.

- Naprawdę podoba mi się wystrój.

- Od lat mamy to miejsce w rodzinie. Zwykle używamy go jako sypialni oraz do rozmów z informatorami i agentami od infiltracji.

- Od jakiej infiltracji?

- Od takiej, dzięki której mamy ludzi w potencjalnych komórkach terrorystycznych.

- W takim razie dziwię się, że znalazłeś dla mnie chwilę.

- Rzeczywiście często korzystamy z tego miejsca.

- Czy któryś z twoich informatorów słyszał może jakieś plotki o płynącym w tę stronę transporcie rosyjskiej broni?

- Zapytałem o to centrum analiz antyterrorystycznych po Wczorajszej rozmowie z Adrianem. Nie tylko Amerykanie słyszeli pogłoski o „strzałach Allana”. My też przechwyciliśmy jakieś wzmianki.

W malutkiej kuchni elektryczny czajnik zaczął buchać parą. Gabriel podszedł do okna i patrzył na przejeżdżający pod oknami

pociąg West Coast Main Line, podczas gdy Seymour zajął się herbatą. Wrócił, niosąc dwa kubki; czarną dla Gabriela, z mlekiem i cukrem dla siebie.

- Obawiam się, że gospodyni zapomniała wyposażyć spizarkę w herbatniki - powiedział posępnie. - Już i tak niedobrze, że mamy mleko w kartonie, a nie świeże, ale brak paczki McVities to moim skromnym zdaniem wykroczenie zasługujące na wyrzucenie z pracy.

- Mogę skoczyć do sklepu na rogu, jeśli chcesz.

- Przeżyję. - Seymour usiadł ostrożnie na kanapie i postawił kubek na porysowanym stoliku. - Adrian przekazał mi tylko ogólny zarys tego, co przechwyciłeś w Moskwie. Może opowiesz mi resztę?

Gabriel opowiedział Seymourowi o wszystkim, zaczynając od zabójstwa Borysa Ostrowskiego w Rzymie, kończąc na swoim przesłuchaniu i deportacji z Rosji. Seymour, którego najniebezpieczniejszym zajęciem ostatnimi czasy była wymiana tonerów w drukarce, był naprawdę pod wrażeniem.

- Oho ho, naprawdę dużo się działo. I pomyśleć, że osiągnąłeś aż tyle, pozostawiając tylko trzy trupy. Jak na ciebie to niezły wynik. - Podmuchał w zadumie na herbatę. - Więc co proponujesz? Zaprosić Elenę Charków na pogawędkę w cztery oczy i zapytać ją o przedsięwzięcia męża? Obawiam się, że to łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Elena nie wychyla nawet nosa ze swojej posiadłości w Knightsbridge bez pełnej obstawy bardzo niesympatycznych ochroniarzy. Nikt nie może pogadać z Eleną bez uprzedniej rozmowy z Iwanem.

- Tak się składa, że to nie do końca prawda. W Londynie jest pewna osoba, z którą Elena regularnie rozmawia. Ktoś, kto, biorąc pod uwagę sytuację, może zgodzi się nam pomóc.

- Rozumiem, że to obywatel Wielkiej Brytanii?

- Zgadza się.

- Uczciwie zarabia na życie?

- To zależy od punktu widzenia. To handlarz sztuką.

- Gdzie pracuje? Gabriel powiedział mu gdzie.

- Ojej. Może być nieśmiesznie.

- Właśnie dlatego tu jestem, Grahamie. Nie śmiałbym działać w Londynie bez porozumienia z tobą.

- Daruj sobie.

- Nim zabierzemy się do działania, chyba powinniśmy najpierw uważniej mu się przyjrzeć. W świecie sztuki jest wiele nieprzyjemnych postaci. Ostrożności nigdy zbyt wiele.

- My? O nie, Gabrielu, my się do niego nawet nie zbliżymy. Służba bezpieczeństwa zajmie się tą sprawą z największą dyskrecją, tylko posiadając porządne papiery z ministerstwa spraw wewnętrznych.

- Kiedy możecie zacząć?

- Ktoś się nim zajmie jeszcze przed lunchem - powiedział Seymour. - Proponuję spotykać się raz dziennie, żeby porównać raporty z obserwacji.

- Zgoda.

- Możemy spotykać się tutaj, jeśli chcesz.

- Żartujesz chyba.
- To ty wybierz jakieś miejsce.
- Park St. James's. Szósta. Ławki przy północnym końcu Duck Island.

Graham Seymour zmarszczył brwi.

- Przyniosę chleb dla kaczek.

28

LONDYN

Już po wszystkim, kiedy archiwiści i analitycy kilkunastu różnych służb i agencji przeszukiwali pogorzelnisko po całej aferze, wszyscy dziwili się, że przez tych kilka pierwszych niepewnych dni operacji głównym celem Gabriela nie był Iwan Charków ani jego piękna żona Elena, ale Alistair Leach, dyrektor departamentu impresjonistów i sztuki nowoczesnej czcigodnego domu aukcyjnego Christie's, mieszczącego się pod numerem 8 przy King Street w Londynie. Nie cieszyło ich to; Leach był porządnym i uczciwym obywatelem, który wplątał się w całą sprawę nie ze swojej winy, poza tym, że nieszczęśliwym trafem miał bliskie kontakty ze złymi ludźmi. Adrian Carter mówił o nim potem, że „to nauczka dla nas wszystkich”. Mało kto żyje zupełnie bez grzechu, a jeszcze mniej osób może bez uszczerbku przetrwać podsłuchy telefonów przez MI5 oraz obserwację przez pełen zestaw ich agentów. Z boską pomocą, jak powiedział Adrian Carter, tu każdy mógł polec.

Każdy funkcjonariusz służb bezpieczeństwa posiadający chociaż krztynę sumienia wie, że przeglądanie czyjegoś życia potrafi wytrącić z równowagi, ale Seymour, mający więcej skrupułów niż inni, postarał się, żeby zrobiono to najdelikatniej jak się da. Jego agenci podsłuchujący rozmowy Leacha, robili to ze zrozumieniem, obserwatorzy śledzili go w przyzwoitej odległości, a szperacze grzebali w jego rachunkach telefonicznych, wyciągach bankowych i wykazach transakcji przy użyciu kart kredytowych z największą delikatnością. Tylko podsłuchy w pokojach sprawiały, że krzywili się z niesmakiem. Podsłuchy, które po naleganiach Gabriela zostały umieszczone w rezydencji Leacha w Kentish Town. Nie minęło wiele czasu, a pluskwy ujawniły, dlaczego Leach był w domu gościem. Podsłuchujący nazywali Abigail, jego żonę, „Bestią”.

Graham Seymour i MI5 nie wiedzieli, że w tym czasie Gabriel zamieszkał po cichu w lokalu konspiracyjnym Biura przy Bayswater Road. Wykorzystał zastój w akcji, by odpocząć i podleczyć poobijane ciało. Spał do późna, zwykle do dziewiątej albo dziesiątej, po czym spędzał resztę poranka z kawą i gazetą w ręku. Po lunchu opuszczał mieszkanie i przechadzał się po centrum Londynu. Chociaż starał się zmieniać za każdym razem trasę, codziennie odwiedzał te same trzy miejsca: izraelską ambasadę przy Old Court Road, amerykańską ambasadę na Grosvenor Square i Duck Island w parku St. James's. W pierwsze dwa wieczory Graham Seymour pojawił się punktualnie o szóstej, ale trzeciego dnia spóźnił się czterdzieści pięć minut. Wymamrotał coś o tym, że dyrektor generalny jest skończonym

bucem. Natychmiast otworzył swoją stalową walizeczkę i podał Gabrielowi zdjęcie. Przedstawiało Alistaira Leacha, przechadzającego się po Piccadilly. U jego boku szła kobieta, wyglądająca na starą pannę.

- Kto to?

- Rosemary Gibbons. Administratorka z departamentu starych mistrzów w Sotheby's. Z oczywistych powodów, zarówno osobistych, jak i zawodowych, trzymają swoją znajomość w najwyższej tajemnicy. O ile wiemy, ich związek jest czysto platoniczny. Szczerze mówiąc, moi obserwatorzy mają wielką nadzieję, że biedny Alistair zrobi krok naprzód. Abigail to istna diablica, a dwoje jego własnych dzieci nawet nie może na niego patrzeć.

- Gdzie są teraz?

- Zona i dzieci?

- Leach i Rosemary - odparł ze zniecierpliwieniem Gabriel.

- W małej knajpie z winami przy Jermyn Street. Cichy stolik w odległym kącie. Bardzo przytulne miejsce.

- Graham, załatwisz mi zdjęcie? Coś, co mógłbym trzymać w tylnej kieszeni na wypadek, gdyby zrobił w tył zwrot?

Seymour przesunął dłoń po siwych włosach, po czym skinął głową.

- Chciałbym zabrać się za niego jutro. Jakie ma plany?

- Całe rano spotkania w Christie's, następnie udaje się na zebranie czegoś, co się nazywa Raphael Club. Analityk ich sprawdza.

- Graham, możesz kazać swojemu analitykowi przestać szukać. Zapewniam cię, że członkowie Raphael Club stanowią zagrożenie wyłącznie dla siebie samych.

- Co to jest?

- Comiesięczne zebranie handlarzy sztuką, licytatorów i kuratorów. Nie robią nic bardziej wywrotowego niż nadużywanie alkoholu i skarżenie się na fortunę niełaskawą w ich fachu.

- Powinniśmy zabrać się za niego przed spotkaniem czy po nim?

- Po spotkaniu. Zdecydowanie po.

- Nie wiesz przypadkiem, gdzie się spotykają członkowie Raphael Club?

- W restauracji Green's. O pierwszej.

29

ST. JAMES'S, LONDYN

Następnego popołudnia, przed pierwszą, członkowie mało znanego, ale bardzo nielubianego Raphael Club zaczęli powoli pojawiać się w uroczej restauracji Green's przy Duke Street w dzielnicy St. James's. Znany z lubieżności Oliver Dimbleby, niezależny handlarz z Bury Street, przybył nieco wcześniej; zawsze tak robił, żeby samotnie wypić przy barze gin albo dwa dla poprawienia nastroju. Następny przyszedł pozbawiony skrupułów Roddy Hutchinson, za nim Jeremy Crabbe, noszący tweedowe garnitury dyrektor departamentu dawnych mistrzów w Bonhams. Parę

minut później pojawiło się dwóch kuratorów, jeden z Tate, drugi z National Gallery. Równo o pierwszej Julian Isherwood, założyciel i mózg Raphael Club, wszedł chwiejnym krokiem po schodach. Jak zwykle wyglądał, jakby był na kacu.

O 13:20 gość honorowy - przynajmniej dla Gabriela i Grahama Seymoura, siedzących z tyłu zaparkowanej po drugiej stronie ulicy furgonetki podsłuchowej MI5 - wciąż się nie pojawił. Seymour zadzwonił do centrali podsłuchu w MI5 i zapytał, czy coś ostatnio się działo z telefonem Leacha w pracy albo z jego komórką.

- To przez Bestię - wyjaśnił podsłuchujący. - Dyktuje mu listę sprawunków do załatwienia po drodze z pracy.

O 13:32 podsłuchujący oświadczył, że telefon Leacha umilkł, a o 13:34 ekipa podsłuchująca przy King Street zgłosiła, że właśnie „bardzo zdenerwowany” wyszedł z Christie's. Gabriel zauważył go, gdy wychodził z za rogu - wysoka, szczupła postać o różowych policzkach, z dwoma kępkami siwych włosów, które, gdy szedł, trzepotały na wietrze niczym skrzydła za jego uszami. Drużyna wewnątrz restauracji zgłosiła, że Leach dołączył do imprezy i biały burgund leje się strumieniami.

Lunch trwał trzy godziny i piętnaście minut, trochę dłużej niż zwykle, ale był czerwiec, a w czerwcu w ich branży niewiele się działo. Po ostatecznym podliczeniu win wyszło, że goście wypili cztery butelki sancerre, cztery prowansalskiego rose i trzy dodatkowe świetnego wina Montrachet. Kiedy w końcu pojawił się rachunek, wybuchło pewne zamieszanie, ale to należało do ich rytuału. Drużyna

w restauracji oszacowała koszt na „grubo ponad 1500 funtów”. Pieniądze zebrano, podając talerz wokół stołu. Oliver Dimbleby, najpotężniej zbudowany z obecnych, pilnował porządku. Jak zwykle Jeremy Crabbe nie miał dość gotówki, więc Julian Isherwood udzielił mu krótkoterminowej pożyczki. Gdy talerz dotarł do Alistaira Leacha, ten rzucił na niego dwieście funtów i dopił ostatni kieliszek wina. Zdaniem drużyny z wnętrza restauracji wyglądał jak człowiek, który wie, że jego życie ma się nieodwracalnie zmienić, i to niekoniecznie na lepsze.

Stali przez chwilę w grupie na Duke Street, po czym się rozeszli. Alistair Leach przez moment jeszcze został z Julianem Isherwoodem, po czym odwrócił się i ruszył z powrotem w stronę Christie's. Doszedł tylko na róg King Street, gdzie Graham Seymour postanowił go zgarnąć. Zadanie powierzono młodemu pracownikowi o nazwisku Nigel Whitcombe, mającemu twarz pastora i łapy kowala. Leach zaprotestował tylko symbolicznie, gdy zaprowadzono go za ramię w stronę czekającego land rovera MI5.

- Byłby pan tak dobry i powiedział mi, o co chodzi? - zapytał potulnie Leach, gdy samochód ruszył.

- Bardzo bym chciał, drogi panie, ale niestety ja tu tylko prowadzę.

- Mam nadzieję, że nie jedziemy daleko? Obawiam się, że porwał mnie pan w nie najlepszym momencie. Wypiłem trochę za dużo wina przy lunchu. Przeklęty Oliver Dimbleby. Zawsze

przysparzał kłopotów. Zawsze tak było. Zawsze tak będzie. To jego powinniście zgarnąć.

- Może następnym razem. - Whitcombe uśmiechnął się czarująco. - Proszę spróbować się zrelaksować. Nie wpakował się pan w żadne tarapaty. Po prostu chcemy skorzystać z pańskich kontaktów i wiedzy.

- Wie pan może, ile to zajmie?

- To chyba zależy od pana.

- Muszę zadzwonić do Abigail, jeśli się spóźnię. Zawsze bardzo się martwi, wie pan.

Wiem, pomyślał Whitcombe. Słyszeliśmy o Abigail.

Kiedy omawiali, gdzie go zabrać, Graham Seymour zaproponował onieśmielające oficjalne otoczenie Thames House, ale Gabriel, jak wszyscy agenci polowi czujący niechęć do central, namówił go na przytulniejsze i swobodniejsze miejsce. Tak więc dwadzieścia minut po porwaniu z King Street Alistair Leach wszedł do salonu w wynajętym naprędce, przerobionym ze stajni domu nieopodal Sloane Square. Pokój był przyjemny, na półkach stały dobre książki, a na ruchomym stoliku porządna whisky. Żaluzje w oknach były częściowo odsłonięte i przez szpary wpadało przyjemne światło późnego popołudnia, tworząc na podłodze pasiaste wzory. Graham Seymour przechadzał się powoli po pokoju, by lepiej pokazać swoje angielskie wychowanie, angielską urodę i angielski garnitur. Gabriel, którego nie zaproszono na początek spotkania, siedział w

sypialni na piętrze przed ekranem. Towarzyszyło mu dwóch techników MI5, Marlowe i Mapes. W służbach mówiono na nich M&M Audio/Wideo.

Whitcombe poinstruował Leacha, żeby zajął miejsce na kanapie, po czym usiadł obok. Na stoliku leżała pojedyncza kartka. Graham Seymour wyjął z kieszeni długopis i podał go Leachowi niczym nabita broń.

- Panie Alistair, niech będzie pan tak dobry i podpisze. To kopia ustawy o tajemnicy państwowej. Nie musi pan tego czytać, słownictwo nie jest ważne. W skrócie ten dokument daje nam prawo zamknąć pana w Tower i obciąć panu głowę, jeśli piśnie pan choć słówko o tym, o czym będziemy za chwilę rozmawiać. Nie może pan z nikim dzielić się tymi informacjami. Ani z kolegami, ani z Abigail, ani z dziećmi, ani z nikim innym, kogo pan zna, z kim się pan przyjaźni bądź od czasu do czasu spędza chwile sam na sam.

Leach podniósł gwałtownie wzrok i przez moment Gabriel zmartwił się, że Seymour zagrał asa, kiedy wystarczyłby walet. Następnie Leach spojrzał na Whitcombe'a, który pokiwał posępnie głową.

- Co ja takiego zrobiłem? - spytał Leach. - Oszukałem fiskusa? Żle się zachowywałem w metrze? Powiedziałem coś niemilego o lokatorze Downing Street spod dziesiątego?

- Ma pan szczęście, że urodził się pan w wolnym kraju - odparł Seymour. - Może mówić pan, co chce, oczywiście w granicach rozsądku. Nie jest pan tutaj przez swoje własne postępowanie, ale

przez powiązania z pewnym człowiekiem, który stanowi zagrożenie dla brytyjskiego bezpieczeństwa. Można powiedzieć, poważne zagrożenie.

- Tutaj, to znaczy gdzie? - Leach rozejrzał się po pokoju i spojrzał na Seymoura. - I kim w ogóle jesteście?

- Nieważne, gdzie jesteśmy, to tylko tymczasowe miejsce. A co do tego kim, trochę trudniej to zmienić. Pracujemy dla służb bezpieczeństwa, czasem znanych jako MI5. Nazywam się Charles. - Skinął głową w stronę Whitcombe'a. - To mój kolega, Gerald.

- A ta osoba, z którą mam powiązania i która stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego? Kto to może być? Kioskarz spod mojego domu? Chłopak, który w biurze podaje nam kawę?

- To jeden z pańskich klientów.

- Obawiam się, że w tej branży można napotkać wiele różnych osób, z których nie wszystkie mogą być kandydatami do beatyfikacji.

- Klient, o którym mówimy, nawet nie ma po co się fatygować z wypełnianiem podania o wstęp do królestwa niebieskiego, panie Alistair. To nie jakiś zwykły rabuś czy korporacyjny złodziej. Od lat zaopatruje punkty zapalne Trzeciego Świata w broń. A teraz wszystko wskazuje na to, że ma zamiar zawrzeć kontrakt, na skutek którego może wydarzyć się coś, przy czym poprzednie zamachy w Londynie to zwykłe fajerwerki.

- Handluje bronią? To mi pan chce powiedzieć?

- To właśnie chciałem powiedzieć. Ci ludzie i tak z definicji nie mają skrupułów. Ale ten jest najgorszy z najgorszych.

- Jak się nazywa?

- Jeszcze nie pora, żeby pan poznał jego nazwisko. Dopiero kiedy zgodzi się pan nam pomóc.

- Ale co mógłbym zrobić? Ja tylko sprzedaję obrazy.

- Panie Alistair, chcemy, żeby wykonał pan telefon. Nic więcej. Za ten jeden telefon sownie pana wynagrodzimy. Co ważniejsze, damy panu możliwość przyczynienia się do obrony naszego kraju i naszych rodaków przed wrogami, którzy za nic mają śmierć niewinnych ludzi. - Seymour się zatrzymał. Jego oczy skrywał cień. - Mam mówić dalej czy wysłać pana do domu, do pani Abigail? Możemy udawać, że to spotkanie nie miało miejsca.

Słyszając po raz drugi imię żony, Leach poruszył się niespokojnie na kanapie. Spojrzał na Whitcombe'a niczym oskarżony na swojego prawnika, szukając rady. Whitcombe skinął prawie niezauważenie głową, jak gdyby prosząc Leacha, żeby się do nich przyłączył.

- Proszę mówić - powiedział Leach, nie zwracając się w zasadzie do nikogo.

Seymour zaczął znowu powoli się przechadzać.

- Ponieważ to jest zagrożenie o zasięgu międzynarodowym, nasze starania mają podobny zakres. Zaraz spotka się pan z agentem wywiadu innego państwa, państwa, które jest naszym sprzymierzeńcem w zmaganiach z terroryzmem i globalnym islamskim ekstremizmem. Co więcej, bardzo możliwe, że rozpozna pan tego człowieka, bo spotkał go pan na niwie zawodowej. Dokument, który pan podpisał, obejmuje także rozmowy z nim.

- Niech mi pan tylko nie mówi, że to jakiś przeklęty Amerykanin.

- Obawiam się, że sytuacja ma się jeszcze gorzej.

- Gorszy mógłby być tylko Izraelczyk. Whitcombe poklepał Leacha z naganą.

- Strzeliłem gafę? - spytał Leach.

- Obawiam się, że tak.

- Nic mu nie powiecie, prawda? Oni naprawdę obrażają się o byle co.

Seymour uśmiechnął się lekko.

- To będzie nasz mały sekret.

30

CHELSEA, LONDYN

Gabriel wszedł do salonu i bez słowa usiadł w fotelu naprzeciwko Leacha.

- O mój Boże, pan...

- Nikt - dokończył za niego Gabriel. - Nie zna mnie pan. W życiu mnie pan nie widział. Nigdy nie słyszał pan mojego nazwiska. Rozumiemy się, panie Alistair?

Leach spojrzał na Seymoura i poprosił o pomoc.

- Będzie pan tak stał i nic pan nie powie? Chryste, przecież ten człowiek właśnie mi zagroził!

- Nic podobnego - odparł Seymour. - Proszę odpowiedzieć na jego pytanie.

- Ale ja wiem, kto to jest. Znam jego imię i nazwisko. To Mario Delvecchio. Za niezłe pieniądze konserwował obrazy dla Juliana Isherwooda. Był najlepszy. Malował jak anioł i potrafił stwierdzić, czy obraz jest prawdziwy, jedynie przesuwając palcem po farbie. A potem złamał nam wszystkim serca. Cały czas, gdy pracował dla Juliana, zabijał też na zlecenie izraelskich służb specjalnych.

- Obawiam się, że pomylił mnie pan z kimś innym.

- „The Times” twierdzi co innego. Napisali, że był pan jednym z napastników, którzy zabili tamtych biednych drani przed opactwem Westminster w czasie świąt.

- „Ci biedni dranie”, jak ich pan nazywa, byli zdeklarowanymi terrorystami, którzy mieli zamiar dokonać masowego mordy. A do tego, kto ich zabił, według oficjalnych dokumentów byli to członkowie oddziału SOI9 Metropolitan Police.

- Ale w „Timesie” było przecież pańskie zdjęcie.

- Nawet gazeta o reputacji „Timesa” czasami popełnia błędy - powiedział Graham Seymour.

Gabriel w milczeniu podał Leachowi kartkę.

- Proszę przeczytać.

- Co to jest?

- Zapis rozmowy telefonicznej.

- Czyjej?

- Proszę przeczytać.

Leach zrobił, co mu kazano, po czym spojrzał na Gabriela, zezłoszczony.

- Skąd pan to ma?

- To bez znaczenia.

- Proszę mi powiedzieć, skąd pan to ma, albo nasza rozmowa dobiegła końca.

Gabriel skapitulował. Szamron zawsze powtarzał, że podczas werbunku trzeba czasami zgodzić się na pomniejsze porażki, by osiągnąć ostateczne zwycięstwo.

- Dostaliśmy to od Amerykanów.

- Od Amerykanów? Czemu, na Boga, Amerykanie podsłuchują moje rozmowy telefoniczne?

- Niech panu woda sodowa nie uderza do głowy - wtrącił się Seymour. - Nie podsłuchują pańskich telefonów, tylko jej.

- Chce mi pan wmówić, że Elena Charków handluje bronią?

- To Iwan Charków jest handlarzem - odparł Gabriel. - Elena załapuje się tylko, jeśli dzwoni z jednego z podsłuchiowanych telefonów. Tamtego dnia dzwoniła ze swojej willi w Knightsbridge. Proszę popatrzeć na zapis rozmowy, panie Alistair. Jeśli trzeba, odświeży panu pamięć.

- Niczego mi nie trzeba odświeżać. Pamiętam rozmowę całkiem dokładnie. Amerykanie nie mają prawa nagrywać tych rozmów ani przechowywać ich w swoich superkomputerach. To jak otwieranie czyjejs poczty. Tak się nie robi.

- Jeśli poprawi to panu humor, nikt tego nawet nie przeczytał, dopóki ja na to nie trafiłem. Ale zapomnijmy o szczegółach i skupmy się na tym, co istotne. Rozmawiał pan z nią tamtego dnia o obrazie Mary Cassatt.

- Elena lubi Cassatt. Tak właściwie to ma na jej punkcie obsesję. Kupuje wszystko, co pojawia się na rynku. Myślałem, że udało mi się zdobyć dla niej coś od drobnego kolekcjonera, obraz pod tytułem *Dwoje dzieci na plaży*, namalowany w tysiąc osiemset osiemdziesiątym czwartym roku, kiedy Mary Cassatt odzyskiwała siły po zapaleniu płuc. Kolekcjoner wodził nas za nos przez kilka tygodni, zanim w końcu oświadczył, że jednak nie jest gotów, by sprzedać obraz. Zadzwoiłem do Eleny, ale włączyła się tylko automatyczna sekretarka. Kiedy Elena oddzwoniła, opowiedziałem jej, co zaszło.

- Widział go pan?

- Obraz? Tak, jest bardzo ładny.

- Powiedział pan Elenie, kto jest właścicielem?

- *Signore Delvecchio*, zna pan odpowiedź na to pytanie. Gabriel spojrział na Grahama Seymoura, który podszedł do półek i oglądał książki.

- Panie Alistair, kto to jest? I proszę się nie zasłaniać się jakimiś zasadami o relacjach z klientem.

- Nie mogę - powiedział z uporem Leach. - Właściciel pragnie pozostać anonimowy.

Nigel Whitcombe złożył dłonie w trójkąt i przyłożył je do warg, jak gdyby rozważał moralną stronę odmowy Leacha.

- A gdyby właściciel wiedział, o jaką stawkę toczy się gra? Podejrzewam, że on albo ona ucieszy się, że może nam pomóc. Podejrzewam, panie Alistair, że właściciel jest patriotą. - Przerwał na moment. - Jak pan.

Oficjalny zapis przesłuchania nie zawierał tego, co nastąpiło, bo mikrofony nie mogły wyłapać żadnego dźwięku. To była dłoń. Dłoń Whitcombe'a, położona delikatnie na ramieniu Leacha, jak gdyby prosił go, by odzyskał utraconą wiarę.

- Boothby - powiedział Leach, tak jakby nagle przypomniał sobie nazwisko. - Sir John Boothby. Mieszka w wielkiej posiadłości otoczonej ponad stoma hektarami parku w rejonie wzgórz Cotswolds. O ile wiem, nie przepracował nawet dnia przez całe życie. Ojciec pracował dla was. Podobno świetnie się bawił w czasie wojny.

Seymour odwrócił ku nim głowę.

- Nie chodzi panu czasem o Basila Boothby'ego?

- O właśnie. Z tego, co słyszałem, był bezwzględny drań.

- Basil Boothby był jedną z legend tajnych służb. Pracował w naszym programie infiltracji podczas drugiej wojny światowej. Odsyłał schwytanych niemieckich szpiegów z powrotem do ich przełożonych w Berlinie. Tak, to prawda, bezwzględny z niego drań. Ale to były takie czasy. A teraz te czasy wróciły, panie Alistair.

- Zastanawiam się, czy jest szansa, żeby sir John zmienił zdanie - powiedział Gabriel. - Może nadszedł czas, żeby spróbować jeszcze raz.

- Nie sprzedaj tego obrazu, jeśli już, to nie Elenie Charków.

- Dlaczego?

- Bo popełniłem drobną zawodową niedyskrecję i chyba wspomniałem coś, że nabywcą może być żona rosyjskiego oligarchy. Ojciec Boothby'ego spędził ostatnie lata swojej kariery, walcząc ze szpiegami KGB. Stary nie lubił Rosjan. Sir John też ich nie lubi.

- Na moje oko to patriota - powiedział Graham Seymour.

- Ja bym go nazwał inaczej - wymamrotał Leach. - Elena Charków doskonale zapłaci za ten obraz. Dwa miliony funtów, może trochę więcej. Dobrze by zrobił, zgadzając się na jej ofertę. Z tego, co słyszałem, sir Johnowi nie powodzi się ostatnio najlepiej.

- Może uda nam się go przekonać, że popełnił błąd.

- Powodzenia. Ale proszę pamiętać, że jeśli Cassatt zmieni właściciela, ja dostanę swoją działkę.

- Ile pan zarabia, panie Alistair? - zapytał Gabriel. Leach się uśmiechnął.

- *Signore Delvecchio*, pan ma swoje tajemnice, a ja swoje.

31

GLOUCESTERSHIRE, ENGLIA

Havermore, posiadłość rodowa rodziny Boothby, znajdowała się jakieś osiem kilometrów na północny zachód od położonego wśród wzgórz Cotswolds malowniczego miasteczka Chipping Campden. W najlepszych czasach posiadłość zajmowała dobrze ponad trzysta hektarów pastwisk i porośniętych lasami wzgórz. Pracowało na nich

kilkadziesiąt mężczyzn i kobiet z pobliskich wiosek. Ostatnie lata dla posiadłości, tak jak i dla właścicieli, nie były najlepsze. Ziemi zostało tylko czterdzieści hektarów, resztę sprzedano, a dom, zbudowany z żółtawego wapienia potworek, popadał w coraz bardziej niepokojącą ruinę. Ze służących pozostał tylko stary George Merrywood oraz pulchna gospodyni, pani Lillian Devlin.

To ona powitała następnego popołudnia Gabriela i Grahama Seymoura. Poinformowała ich, że sir John niecierpliwie oczekuje ich przybycia. Zastali go na skraju porośniętego trawą skrawka ziemi, zwanego wschodnią łąką. Stał przy sztaludze i machając pędzlem niczym cepem, malował beznadziejny obraz przedstawiający okoliczne widoki. Boothby i Graham Seymour uścisnęli sobie dłonie i przez moment mierzyli się w milczeniu wzrokiem. Byli podobnego wzrostu i postury, choć John Boothby był o kilka lat starszy i kilkanaście centymetrów szerszy w pasie. Nosił kalosze i jasnobrązowy fartuch. Jego bujne, siwe włosy i krzaczaste brwi przywodziły na myśl szczotkę do naczyń.

- To mój współpracownik - powiedział Seymour, kładąc dłoń na ramieniu Gabriela. - Jedzie na tym samym wózku co my, sir John pracuje dla służb wywiadowczych na Bliskim Wschodzie. Ich interesy czasami pokrywają się z naszymi.

- Więc jest pan Izraelczykiem - powiedział Boothby. Uścisnął Gabrielowi dłoń.

- Na to by wychodziło - odparł Gabriel ze skruchą.

- Niech się pan nie martwi, mój drogi. Nie mam nic przeciwko Izraelczykom ani Żydom w ogólności. My, Europejczycy, wpuściliśmy was w niezłe bagno. A teraz potępiamy was tylko dlatego, że się nie dajecie. - Puścił jego dłoń. - Dowiem się, jak się pan nazywa, czy zapominamy o nazwiskach?

- Nazywa się Gabriel, sir John. Gabriel Allon. Boothby uśmiechnął się cierpko.

- Tak mi się wydawało, że to pan. To prawdziwy zaszczyt, panie Allon. - Odwrócił się z powrotem do sztalugi. - Straszny, co? Jakoś drzewa nigdy mi nie wychodzą.

- Mogę spróbować? - spytał Gabriel.

- Pan też maluje?

- Kiedy mam okazję.

Boothby podał mu pędzel. Gabriel przez trzydzieści sekund pracował nad obrazem, po czym oddał mu przyrząd.

- Dobry Boże! To doprawdy niebywałe. Widzę, że jest pan obdarzony niecodziennym talentem. - Wziął Gabriela pod ramię. - Wracajmy do domu. Pani Devlin szykuje pieczyste.

Zjedli na tarasie pod parasolem, który nadał ich twarzom koloru sepii jak ze starej fotografii. Gabriel przez większość posiłku milczał, podczas gdy Graham Seymour opowiadał o ojcu Boothby'ego i jego pracy podczas drugiej wojny światowej. Gabriel odniósł wrażenie, że Boothby Młodszy niekoniecznie lubił słuchać o swoim ojcu, że całe życie spędził w cieniu osiągnięć wojennych Basila Boothby'ego i wolałby, żeby traktowano go poważnie z innych przyczyn. Gabriel

mógł sobie tylko wyobrazić, jak to jest być synem sławnego człowieka. Jego własny ojciec zginął w czasie wojny sześciodniowej i wspomnienia Gabriela były w najlepszym razie fragmentaryczne: para inteligentnych brązowych oczu, przyjemny głos, który nigdy nie unosił się w gniewie, dwie silne ręce, które nigdy go nic uderzyły. Ostatni raz widział ojca w noc przed początkiem wojny; ubrany w oliwkowozielony mundur spieszył, by dołączyć do jednostki. Gabriel czasami zastanawiał się, czy to wspomnienie było powodem, dla którego Szamron miał nad nim taką władzę, pamięć ojca, który odpowiedział na wezwanie, by bronić kraju i narodu. Ojca, którego nigdy więcej nie zobaczył.

Gabriel wyrobił sobie przy posiłku jeszcze jeden pogląd o Boothbym: cechowała go naturalna cierpliwość, jak dobrego szpiega. Dopiero kiedy pani Devlin podała kawę, zapytał wreszcie, dlaczego Seymour i jego przyjaciel z Izraela przyjechali do Havermore. Ale kiedy Seymour zaczął cokolwiek pokrętnie wyjaśniać powód ich wizyty, cierpliwość Boothby'ego się wyczerpała.

- Daj spokój, Grahamie. Wszyscy jesteśmy tutaj ludźmi światowymi, a ja jestem prawie członkiem waszej rodziny. Jeśli chcecie, żebym podpisał ustawę o tajemnicy państwowej, poszukam długopisu. Ale proszę oszczędzić mi takich bzdur. - Spojrzał na Gabriela.

- Izraelczycy słyną z bezpośredniości. Na Boga, bądźcie bezpośredni.

- Przechwyciliśmy informację, że rosyjski handlarz Iwan Charków ma zamiar sprzedać Al-Kaidzie bardzo niebezpieczną broń. Wystarczająco bezpośrednio, sir John?

- Owszem. - Podrapał się po siwej czuprynie i popadł w zadumę.

- Charków? Skąd ja znam to nazwisko?

- Jego żona chce zakupić *Dwoje dzieci na plaży* Mary Cassatt.

- Ach tak, już pamiętam. Nazywa się Elena, prawda? Reprezentuje ją Alistair-Leach z Christie's. - Skrzywił twarz w grymasie. - Dobrze się nazywa jak na handlarza sztuką, nie sądzicie? Rzeczywiście pijawka. Zwłaszcza kiedy popatrzy się na jego prowizje. Powinien pójść za nie siedzieć.

- Czy to prawda, że odmówił pan sprzedaży obrazu Elenie Charków, bo jest Rosjanką?

- Oczywiście, że tak.

- Powie nam pan dlaczego?

- Bo ci ludzie to potwory. Popatrzcie tylko, co zrobili temu biednemu facetowi w Bazylice Świętego Piotra parę tygodni temu. Popatrzcie, jak zastraszają i terroryzują swoich sąsiadów. Skoro Rosjanie chcą nowej zimnej wojny, to moim zdaniem powinniśmy im ją dać.

- Odchylił się w krześle. - Może i nie jestem aż tak cwany ani chytry jak mój staruszek, ale co miałbym właściwie zrobić?

- Chciałbym spotkać się z Eleną Charków. - Gabriel rozejrzał się dookoła i popatrzył na okolicę. - I chciałbym, żeby spotkanie odbyło się tu, w Havermore.

- Po co chce się pan z nią spotykać? Graham Seymour odchrząknął znacząco.

- Obawiam się, sir John, że nie wolno nam tego mówić.

- W takim razie obawiam się, że nie mogę panom pomóc. Seymour spojrział na Gabriela i skinął głową.

- Mamy ważne powody, by przypuszczać, że pani Charków wie o planach męża i że wcale jej się nie podobają - powiedział Gabriel.

- Wierzymy też, że może być otwarta na współpracę.

- Chcecie ją zwerbować? To ma pan na myśli? Chce pan poprosić Elenę Charków, żeby zdradziła męża? Tu, w moim domu?

- Pański dom świetnie się do tego nadaje.

- Muszę przyznać, że pomysł wydaje mi się intrygujący. Kto podejmie się próby?

- Pańska siostrzenica z Ameryki.

- Ale ja nie mam siostrzenicy w Ameryce.

- Już pan ma.

- A co ze mną?

- Pewnie moglibyśmy załatwić dublera - powiedział Seymour.

- Któregoś z naszych starszych oficerów albo nawet kogoś na emeryturze. Bóg wie, że mamy wielu dobrych oficerów, którzy tylko czekają, żeby przerwać emeryturę i wziąć udział w podobnej operacji.

- Seymour zamilkł. - Jest też inna możliwość. Mógłby sam pan zagrać swoją rolę, sir John. Pański ojciec był jednym z najlepszych agentów w historii. Między innymi dzięki jego pomocy Niemcy uwierzyli, że

w Normandii wylądujemy w Calais. Ma pan podstęp zakodowany w genach.

- A jeśli Charków kiedykolwiek się o tym dowie? Skończę jak tamten biedak, Litwinienko, umierając powoli i boleśnie, z wypadającymi włosami, w szpitalu University College.

- Postaramy się, żeby Iwan Charków nigdy się do pana nie zbliżył. Fakt, że nigdy nie był pan żonaty i nie ma pan dzieci, bardzo ułatwia sprawę.

- A stary George i pani Devlin?

- Ich też trzeba będzie oszukać. Może będzie musiał ich pan zwolnić.

- Nie ma mowy. Stary George pracował jeszcze dla mojego ojca. A pani Devlin jest ze mną od prawie trzydziestu lat. Po prostu będziemy musieli jakoś ich ominąć.

- Więc zrobi to pan? Boothby skinął głową.

- Jeśli panowie naprawdę sądzicie, że się nadaję, przyłączenie się do was będzie dla mnie prawdziwym zaszczytem.

- Świetnie - powiedział Seymour. - Pozostaje już tylko kwestia samego obrazu. Jeśli Elena Charków będzie chciała go kupić, nie mamy wyboru i musimy go sprzedać.

Boothby trzasnął pięścią w stół, aż zatrzęsły się filiżanki.

- W żadnym wypadku nie sprzedam tego obrazu żonie rosyjskiego handlarza bronią.

Gabriel wytarł usta serwetką.

- Jest jeszcze jedno rozwiązanie. Myślę, że spodobałoby się pańskiemu ojcu.

- Co pan proponuje?

- Rzecz jasna podstęp.

Weszli po wielkich schodach pośrodku domu, przechodząc pod pożółkłymi portretami dawno zmarłych Boothbych. Pokój dziecinny, do którego weszli, pogrążony był w półmroku; Boothby odsunął ciężkie zasłony, pozwalając, by złote światło wzgórz Cotswolds wpadło przez wysokie, sklepione łukiem okno. Słońce oświetliło dwa pasujące do siebie dziecięce łóżeczka, dwie szafki dla dzieci, dwie ręcznie malowane skrzynie na zabawki i *Dwoje dzieci na plaży* Mary Cassatt.

- Mój ojciec kupił go w Paryżu w okresie międzywojennym. O ile pamiętam, nie zapłacił za niego zbyt wiele. Wtedy *madame* Cassatt przestała być modna. Moja matka i siostry uwielbiały ten obraz, ale, szczerze mówiąc, do mnie nigdy nie przemawiał.

Gabriel podszedł do obrazu i stał przed nim w milczeniu, trzymając nrawa reke na podbródku, z głową przekrzywioną lekko w bok.

W końcu polizał trzy palce prawej dłoni i oczyścił brud z grubego kolana jednego z dzieci. Boothby zmarszczył brwi.

- Mam nadzieję, że wie pan, co robi.

Gabriel cofnął się o dwa kroki i obliczył wymiary obrazu.

- Na moje oko siedemdziesiąt trzy na dziewięćdziesiąt sześć.

- O ile mnie pamięć nie myli, siedemdziesiąt trzy i sześć na dziewięćdziesiąt sześć i pół. Widać, że ma pan niezłe oko.

Gabriel nie zareagował na komplement.

- Będę potrzebował miejsca do pracy na parę dni. Cichego miejsca. Miejsca, gdzie nikt mi nie będzie przeszkadzał.

- Na północnym skraju posiadłości mamy domek gajowego. Kilka lat temu go odremontowałem. Zwykle wynajmujemy go o tej porze roku, ale następne kilka tygodni stoi pusty. Całe drugie piętro zostało przekształcone na studio. Myślę, że przypadnie panu do gustu.

- Proszę powiedzieć pani Devlin, że sam będę sprzątał. I niech poprosi pan starego George'a, żeby nie próbował podglądać. - Gabriel znowu zaczął przyglądać się obrazowi z ręką na podbródku i głową przechyloną na bok. - Nie lubię, kiedy ludzie patrzą, jak pracuję.

32

GLOUCESTERSHIRE, ANGLIA

Następnego ranka Gabriel dał agentowi MI5 listę zakupów, jakiej jeszcze angielski wywiad nie widział. Whitcombe, który popadł w zawodowy zachwyty względem legendarnego agenta izraelskiego, zgłosił się na ochotnika. Najpierw zatrzymał się w sklepie L. Cornelissen & Son przy Great Russell Street, gdzie odebrał duże zamówienie na pędzle, barwniki, nośniki, podkład i werniks. Następnie udał się do Camden Town po dwie sztalugi i do EarTs Court po trzy przemysłowe lampy halogenowe. Na koniec zatrzymał

się w dwóch sklepach przy Bury Street: Arnold Wiggins & Sons, gdzie zamówił piękną ramę we francuskim stylu, oraz Dimbleby Fine Arts, gdzie zakupił obraz mało znanego francuskiego malarza, specjalizującego się w krajobrazach. Namalowano go pod Paryżem w 1884 roku, miał wymiary siedemdziesiąt trzy na dziewięćdziesiąt sześć centymetrów.

Po południu obraz i przybory znalazły się w Havermore i Gabriel wziął się do pracy w atelier na drugim piętrze domku gajowego. Chociaż postęp technologiczny dawał mu wielką przewagę nad dawnymi kopistami, w zasadzie ograniczał się do metod starych mistrzów. Obejrzawszy dokładnie powierzchnię obrazu Cassatt, zrobił ponad setkę zdjęć, które następnie przykleił do ściany pracowni. Następnie pokrył obraz kalką i bardzo ostrożnie go skopiował. Kiedy szkic był gotów, zdjął kalkę i wzdłuż świeżo narysowanych linii zrobił kilka tysięcy dziurek. Następnie przełożył kalkę na drugie płótno, uprzednio wyczyszczone i pokryte świeżym podkładem, i ostrożnie posypał powierzchnię węglem. Chwilę później, gdy odkleił papier, na płótnie pojawił się widmowy obraz *Dwojga dzieci na plaży*.

Falszerz o mniejszych zdolnościach może namalowałby dwa albo trzy szkice, nim wzięłby się za wersję ostateczną, ale Gabriel nie uważał za konieczne ćwiczyć, poza tym nie miał zbyt wiele czasu. Ustawił obrazy obok siebie, oryginał po lewej, i od razu przygotował pierwszą paletę. Przez kilka pierwszych dni pracował powoli, ale, w miarę jak przyzwyczajał się do stylu Cassatt, malował z coraz większą pewnością siebie i coraz szybciej. Czasami miał wrażenie, że malarka

stała u jego boku i prowadziła jego ramię. Zwykle pojawiała się przed nim sama, w długiej sukni i czepku, ale czasami przyprowadzała swoich mentorów - Degasa, Renoira i Pissarra - by instruowali go w kwestii co dokładniejszych szczegółów palety i pociągnięć pędzla.

Chociaż obraz pochłaniał większość uwagi Gabriela, Iwan i Elena Charków też zaprzęтали jego myśli. NSA podwoiło wysiłki w przechwytywaniu elektronicznych kontaktów Charkowa, a Adrian Carter postarał się, żeby człowiek z londyńskiej komórki CIA regularnie odwiedzał Havermore i dzielił się z Gabrielem zebranych informacjami. Iwan był dzieckiem KGB i zawsze, nawet teraz, zachowywał ostrożność w rozmowach telefonicznych. Spędzał większość dni w odosobnieniu w swojej otoczonej murami posiadłości w Żukowce, tajnym mieście oligarchów, leżącym na zachód od Moskwy. Tylko raz wyjechał z kraju na trwającą jeden dzień wycieczkę do Paryża, by spędzić parę godzin z Katieriną, supermodelką i swoją kochanką. Trzykrotnie zadzwonił do Eleny z łóżka Katieriny, by powiedzieć, że spotkania biznesowe idą świetnie. Jedna z rozmów odbyła się, gdy siedziała z dwiema przyjaciółkami w ekskluzywnej Cafe Puszkina. Moment został uchwycony przez obserwatora Biura na fotografii. Gabriel mimo woli był poruszony malującą się na jej twarzy melancholią, zwłaszcza w porównaniu z wesołością dwóch towarzyszek. Przykleił fotografię do ściany swojego tymczasowego studia i zatytułował ją *Trzy panie w moskiewskiej kawiarni*.

Jeden istotny szczegół operacyjny nie dawał Gabrielowi spokoju: dzień, w którym Iwan i Elena wreszcie mieli wyjechać z Moskwy i Wrócić do Knightsbridge. Pracując samotnie nad płótnami, zaczął się obawiać, że nikt nie przyjdzie na jego szczegółowo zaplanowane przyjęcie. Ta myśl była irracjonalna; Iwan Charków tolerował swój kraj ojczysty tylko w umiarkowanych dawkach i kwestią czasu było, kiedy najdzie go ochota znowu wyjechać. Wreszcie ekipa MI5 obserwująca willę Charkowa przy Rutland Gate zauważyła dostawę dużych ilości wódki, szampana i francuskich win - ich zdaniem był to znaczący dowód rychłego powrotu Iwana. Następnego dnia NSA przechwyciło telefon Charkowa do Arkadego Miedwiediewa, dowódcy jego ochrony i służb wywiadowczych. W długiej dyskusji na temat posunięć jednego z rosyjskich konkurentów znalazła się informacja, na którą Gabriel tak niecierpliwie czekał. Iwan leciał do Londynu na coś, co opisał jako serię ważnych spotkań w interesach. Po wyjeździe z Londynu miał się udać do Francji, by zamieszkać w Villa Soleil, swoim wystawnym letnim pałacu z widokiem na Morze Śródziemne, nieopodal Saint-Tropez.

Tego wieczora Gabriel zjadł kolację, stojąc przed płótnem. Chwilę po dziewiątej usłyszał odgłos opon na zwirowanym podjeździe i nieznany mu odgłos silnika. Podeszedł do okna i wyjrzał w dół, gdy z samochodu wysiadła wysoka kobieta o jasnych blond włosach z torebką na ramieniu. Weszła po schodach do pracowni i stanęła przy jego boku, gdy malował.

- Może powiesz mi, dlaczego podrabiasz obraz Mary Cassatt? - zapytała Sara Bancroft.

- Właściciel nie chce sprzedać mi oryginału.

- A gdy go skończysz?

- Sprzedasz go Elenie Charków.

- Nie będę zadawać więcej głupich pytań. - Pochyliła się naprzód i przyjrzała się płótnu. - Uważaj na pociągnięcia pędzla na dłoniach, Gabrielu. Trochę przesadzasz z impastem.

- Moje pociągnięcia są, jak zwykle, doskonałe.

- A ja, głupia, ośmieliłam się twierdzić inaczej. - Stłumiła ziewnięcie. - Ciągnę resztkami sił.

- Dziś możesz spać tutaj, ale jutro przenosisz się do głównego domu. Czeka na ciebie wujek John.

- Jaki on jest?

- Nie chcę ci zepsuć niespodzianki.

- Jeśli będziesz potrzebować więcej rad, nie zawahaj się mnie obudzić.

- Chyba dam sobie radę sam.

- Jesteś pewien?

- Jestem pewien.

Sara pocałowała go w policzek i wymknęła się po cichu. Gabriel nacisnął „Play” na małym przenośnym odtwarzaczu i stał bez ruchu, gdy pokój wypełniły pierwsze dźwięki *Cyganerii*. Postukał pędzlem o paletę i malował w samotności aż do północy.

Następnego ranka, przy śniadaniu, przedstawiono sir Johna Boothby'ego jego amerykańskiej siostrzenicy, atrakcyjnej młodej kobiecie używającej nazwiska Sara Crawford. Gabriel prędko naszkicował brakujące fragmenty ich długich i serdecznych stosunków. Chociaż nieżyjąca już matka Sary była głupia i wyszła za bankiera z Wall Street, postarała się, żeby jej córka pozostała w bliskim związku z Anglią. To dlatego Sara spędzała letnie wakacje w Havermore i dlatego też wciąż co roku tu przyjeżdżała, mimo że miała ponad trzydzieści lat. Gdy była mała, mieszkała w pokoju dzieciennym i bardzo polubiła *Dwoje dzieci na plaży*. Dlatego to Sara miała pokazać obraz Elenie Charków, a nie jej wujek, któremu ten obraz nigdy się nie podobał. Obraz miał być pokazany *in situ*, co oznaczało, że Sara zostanie poproszona o zaprowadzenie Eleny na piętro, by mogła obejrzeć obraz, co da jej dość czasu, by ujawnić swoje zamiary. Wujek John miał pomóc w oddzieleniu Eleny od ochroniarzy. Gabriel uznał, że będą miały około dziesięciu minut. Po tym czasie ochroniarze zaczną się denerwować, a zdenerwowani rosyjscy ochroniarze byli ostatnią rzeczą, której im było trzeba.

Po przyjeździe Sary tempo przygotowań gwałtownie wzrosło. M&M Audio/Wideo pojawili się w Havermore przebrani za elektryków. Zainstalowali w posiadłości i na otaczającym terenie kamery i mikrofony. Na poddaszu stodoły zorganizowali też prowizoryczne centrum dowodzenia, z którego można było śledzić i nagrywać transmisję. Poranki upływały Sarze na „przypominaniu” sobie domu, który znała i kochała. Spędziła wiele miłych godzin z

wujkiem, zapoznając się z wielką, starą rezydencją, chodziła też na długie spacery z Punchem i Judy, dreptającą przy jej nodze dwójką psów rasy pembroke welsh corgi. Stary George Merrywood często zatrzymywał ją na pogawędki. Jego akcent z Gloucestershire był tak silny, że nawet Sara, która spędziła wiele lat w Anglii, miała problemy ze zrozumieniem go. Pani Devlin uznała ją za „po prostu najsympatyczniejszą Amerykankę, jaką w życiu spotkała”. Nie wiedziała nic o rzekomych więzach krwi Sary z jej pracodawcą - sir John poinformował ją, że była córką jego amerykańskiego przyjaciela, świeżo po nieprzyjemnym rozwodzie. Biedne jagniątko, pomyślała pani Devlin pewnego popołudnia, patrząc, jak Sara idzie przez świetlisty las ek północny z psami u nogi. Co za idiota mógł pozwolić takiej dziewczynie odejść?

Wieczorami Sara chadzała do domku gajowego, by przedyskutować prawdziwy powód jej pobytu w Havermore, to znaczy zwerbowanie Eleny Charków. Gabriel uczył ją, stojąc przy sztaludze. Z początku opowiadał o ogólnych zasadach sztuki rekrutacji, ale w miarę jak zbliżał się przyjazd Eleny, jego wykłady stawały się coraz bardziej znaczące.

- Saro, pamiętaj, już dwie osoby przez nią zginęły. Nie możesz naciskać zbyt mocno. Nie zmuszaj jej. Po prostu otwórz drzwi i pozwól jej przez nie przejść. Jeśli to zrobi, dowiedz się, ile zdołasz, o kontrakcie Iwana i postaraj się zorganizować drugie spotkanie. I niezależnie od wszystkiego, pierwsze spotkanie nie może trwać dłużej

niż dziesięć minut. Ochroniarze na pewno będą spoglądać na zegarki. Wszystko przekazują Iwanowi.

Następnego ranka Graham Seymour zadzwonił z Thames House, że samolot Iwana Charkowa - awionetka Boeing Business Jet o numerze N72871K - zgłosiła plan lotu i miała wylądować na lotnisku Stansted na północ od Londynu o 4:30 po południu. Gabriel rozłączył się i położył ostatnie warstwy farby na swoją podróbkę *Dwojga dzieci na plaży*. Trzy godziny później zdjął płótno z ramy i zaniósł je do kuchni, gdzie włożył je do nastawionego na dwieście stopni piekarnika. Sara zastała go tam dwadzieścia minut później. Stał oparty nonszalancko o blat kuchenny z kubkiem kawy w dłoni.

- Co to za zapach?

Gabriel spojrzał na piekarnik. Sara zajrzała przez okienko, po czym podniosła wzrok, zaniepokojona.

- Czemu pieczesz obraz?

W tej samej chwili minutnik cicho zadzwieczał. Gabriel wyjął płótno z piekarnika, poczekał, aż trochę ostygnie, po czym położył je na stole obrazem do góry. Sara patrzyła, jak Gabriel bierze płótno za górną i dolną krawędź, po czym przesuwając silnie po krawędzi blatu w dół, ku podłodze. Następnie obrócił materiał o dziewięćdziesiąt stopni i po raz drugi silnie przeciągnął po skraju stołu. Przez moment przyglądał się powierzchni obrazu, po czym zadowolony podniósł go do góry, żeby Sara mogła obejrzeć jego dzieło. Wcześniej tego ranka farba była gładka i nieskazitelnie czysta. Teraz połączenie gorąca i ciśnienia stworzyło na powierzchni siatkę cienkich pęknięć i szczelin.

- Niesamowite - wyszeptała.

- To nic niesamowitego - odparł. - Tylko krakelury.

Pogwizdując fałszywie, zaniósł obraz na górę, do pracowni, umieścił go z powrotem w oryginalnej ramie i pokrył warstwą żółtawego werniksu. Kiedy lakier wysechł, Gabriel wezwał Sarę i Johna Boothby'ego do siebie, by wskazali, który obraz był prawdziwy, a który podrobiony. Po kilku minutach uważnego porównywania i dyskusji oboje zgodzili się, że obraz po prawej był oryginałem, a po lewej fałszywy.

- Jesteście najzupełniej pewni? - zapytał Gabriel.

Po drugiej rundzie dyskusji skinęli równocześnie głowami. Gabriel zdjął obraz po prawej ze sztalugi i umieścił go w nowej ramie, która właśnie przyjechała ze sklepu Arnold Wiggins & Sons. Sara i John Boothby, upokorzeni, bo dali się oszukać, zabrali kopię do domu i powiesili ją w pokoju dzieciennym. Gabriel wsiadł do samochodu MI5 i z Nigelem Whitcombe'em u boku ruszył do Londynu. Powodzenie operacji spoczywało w rękach Alistaira Leacha. Ale w sumie było tak od początku.

33

THAMES HOUSE, LONDYN

Gabriel wiedział, że ludzie zajmujący się handlem dziełami sztuki są w sposób niejako naturalny nadzwyczaj dyskretni, ale nawet on się dziwił, jak bardzo Alistair Leach przestrzega złożonej przysięgi

milczenia. Po ponad tygodniu wyjątkowo skrupulatnych poszukiwań MI5 nie udało się znaleźć żadnych dowodów na to, by w jakikolwiek sposób złamał on złożone zobowiązanie - ani w rozmowach telefonicznych, ani w e-mailach czy faksach, ani w kontaktach osobistych. Nawet w swoim związku z Rosemary Gibbons, przyjaciółką z Sotheby's, trzymał dystans. Whitcombe, przydzielony do Leacha jako jego strażnik i spowiednik, wyjaśnił to przy ostatnim posiłku przed całą operacją.

- To nie tak, że Alistair przestał ją lubić - powiedział. - Po prostu nasz Alistair jest rycerski. Wie, że go obserwujemy, więc próbuje ją chronić. Bardzo możliwe, że to ostatni porządny człowiek w Londynie, jeśli nie liczyć zebranych przy tym stole.

Gabriel dał Whitcombe'owi czek na sto tysięcy funtów i treść krótkiej rozmowy dla Leacha.

- Nigel, każ mu nie przesadzać. Niech wie, że wiele się po nim spodziewamy.

Główne wystąpienie Leacha miało się odbyć podczas seansu popołudniowego, ale to nie zmniejszyło jego znaczenia. Graham Seymour nalegał, żeby wykorzystać Thames House jako centrum dowodzenia podczas operacji, i Gabriel, nie mając za bardzo wyboru, zgodził się na to. Sala operacyjna była cichym pomieszczeniem, pełnym monitorów i mrugających światełek. Obsługiwali ją młodzi mężczyźni i kobiety o poważnych twarzach, przedstawiających pełną gamę kolorów skóry współczesnej Wielkiej Brytanii. Gabriel nosił

przepustkę z napisem „BLACKBURN: USA”. Nikt się na to nie nabrał.

O 14:17 Graham Seymour poinformował go, że scena jest gotowa i nadszedł czas, by zacząć przedstawienie. Obserwowany z niecierpliwością przez kilkoro funkcjonariuszy MI5 Gabriel po raz ostatni sprawdził monitory i skinął głową. Seymour pochylił się do mikrofonu i nakazał podnieść kurtynę.

Ubrany był tradycyjnie, miał też pełen przebaczenia uśmiech księdza. Jego wizytówka mówiła, że nazywa się Jonathan Owens i jest zastępcą redaktora Internetowego Magazynu Sztuki Współczesnej z Cambridge. Twierdził, że był umówiony. Jednak recepcjonistka w holu wejściowym Christie's nie mogła znaleźć w księdze żadnego zapisu na ten temat.

- Czy sprawiłoby to pani duży kłopot, gdyby pani do niego zadzwoniła? - zapytał przystojny młody mężczyzna, uśmiechając się dobrotliwie. - Na pewno po prostu zapomniał pani powiedzieć.

- Na pewno tak było - odparła recepcjonistka. - Proszę chwilę poczekać.

Podniosła słuchawkę imponującego wieloliniowego telefonu i wystukała czterocyfrowy numer.

- Owens - powiedziała, powtarzając nazwisko po raz trzeci. - Jonathan Owens... Z Internetowego Magazynu Sztuki Współczesnej z Cambridge. Młody... Tak, to on, panie Leach... Bardzo uprzejmy.

Odłożyła słuchawkę i podała młodemu gościowi tymczasowy identyfikator. Przypiął go do klapy marynarki.

- Trzecie piętro, proszę pana. Na lewo od wyjścia z windy. Odszedł od biurka w recepcji i po przejściu przez punkt kontroli bezpieczeństwa wsiadł do czekającej windy. Alistair Leach czekał w drzwiach biura. Zmierzył swojego gościa spojrzeniem, w którym kryła się nienawiść, jak gdyby był poborcą należności - co w pewnym sensie było prawdą.

- Co mogę dla pana zrobić, panie Owens?

Nigel Whitcombe zamknął drzwi i podał Leachowi tekst rozmowy.

- Myśli pan, że może pan to zrobić od razu, czy może lepiej to przećwiczyć raz albo dwa?

- Mój zawód tego wymaga. Chyba dam sobie radę.

- Na pewno? Zainwestowaliśmy w operację dużo czasu i pieniędzy. Lepiej, żeby się pan nie pomylił.

Leach podniósł słuchawkę i z pamięci wykręcił numer. Zdaniem Nigela Whitcombe'a, dziesięć sekund później operacja Gabriela nabrała rozpędu.

- Eleno, witaj, moja droga. Tu Alistair Leach z Christie's. Czy to bardzo nieodpowiedni moment?

Oczywiście moment był odpowiedni. W chwili kiedy jej komórka zadzwoniła, Elena Charków właśnie piła herbatę ze swoimi siedmioletnimi bliźniętami, Anną i Nikołajem, w kawiarni na szczycie

sklepu Harrods. Trafili tam po wycieczce łodzią po stawie Serpentine w Hyde Parku. Scena przedstawiała się idyllicznie i może nawet sama Mary Cassatt zechciałaby ją namalować, gdyby nie fakt, że panią Charków i jej dzieci przez cały czas śledziły dwie inne łodzie, pełne rosyjskich ochroniarzy. Byli też z nią w tej chwili, siedzieli przy stoliku obok, nieopodal kilku zakwefionych saudyjskich kobiet i ich afrykańskich służących. Telefon spoczywał w całkiem eleganckiej włoskiej skórzanej torebce; kiedy go wyjęła, rozpoznała numer dzwoniącego i uśmiechnęła się już w chwili, gdy przyłożyła słuchawkę do ucha. Rozmowa, która nastąpiła potem, trwała czterdzieści dziewięć sekund i została przechwycona w kilku punktach transmisyjnych przez kilka różnych służb specjalnych, wliczając w to amerykańską National Security Agency, brytyjskie GCHQ, a nawet rosyjskie służby podsłuchowe, które jednak nie zwróciły na nią uwagi. Gabriel i Graham Seymour słuchali rozmowy na żywo przez bezpośredni podsłuch na linii Leacha w Christie's. Kiedy połączenie zostało przerwane, Gabriel spojrział na jednego z techników - Marlowe'a albo Mapesa, nigdy nie był do końca pewien, który był który - i poprosił go, żeby odtworzył rozmowę.

- Eleno, witaj, moja droga. Tu Alistair Leach z Christie's. Czy to bardzo nieodpowiedni moment?

- Przeciwnie, Alistair. Co mogę dla ciebie zrobić?

- Akurat w tej chwili chodzi o to, co ja mogę zrobić dla ciebie. Chcę cię z radością poinformować, że mam bardzo interesujące wieści na temat naszej wspólnej znajomej, madame Cassatt.

- *Jakie wieści?*

- *Wygląda na to, że właściciel zmienił zdanie. Zadzwoił do mnie dzisiaj rano, by powiedzieć, że jest zainteresowany sprzedażą. Mam zadzwonić później czy chcesz usłyszeć szczegóły od razu?*

- *Alistair, nie naśmiewaj się ze mnie. Mów wszystko, co wiesz.*

- *Twierdzi, że miał okazję zastanowić się nad propozycją ponownie i za odpowiednią cenę jest gotów sprzedać obraz.*

- *Ile za niego chce?*

- *Coś w okolicach dwóch i pół, ale może uda ci się trochę potargować. Tak między nami, jego finanse nie są w najlepszym stanie.*

- *Nie mam zamiaru go wykorzystywać.*

- *Oczywiście, że masz, moja droga. To ty masz pieniądze.*

- *Jesteś pewien autorstwa i pochodzenia obrazu?*

- *Podpisany, datowany, zupełnie czysty.*

- *Kiedy mogę go zobaczyć?*

- *To zależy tylko od ciebie.*

- *Jutro, Alistair. Koniecznie jutro.*

- *Muszę sprawdzić, czy właściciel ma czas, ale podejrzewam, że z pewnością da radę się z tobą umówić. Może nie ma w nadmiarze funduszy, ale czasu za to pod dostatkiem.*

- *Możesz się z nim skontaktować od razu?*

- *Spróbuję, moja droga. Mam zadzwonić dziś po południu czy wolisz, żebym poczekał do rana?*

- *Dzwoń od razu. Ciao, Alistair.*

Technik kliknął na ikonkę pauzy. Graham Seymour spojrzał na Gabriela i uśmiechnął się.

- Gratuluję, Gabrielu. Wygląda na to, że połknęła haczyk.
- Ile czasu zajmie jej dojazd z Knightsbridge do Havermore?
- Biorąc pod uwagę to, jak jeżdżą Rosjanie, nie więcej niż dwie godziny od drzwi do drzwi.
- Jesteś pewien co do planów Iwana?
- Słyszałeś przechwycone przez nas rozmowy.
- Uspokój mnie.
- O pierwszej odwiedzają go w domu przy Rutland Gate bankierzy inwestycyjni z City. O czwartej ma konferencję telefoniczną z Zurychem. Całe popołudnie ma zajęte.

Wśród monitorów rozległ się głos jednego z obserwatorów w Harrodsie.

Elena poprosiła o rachunek, ochroniarze ustawiali kordon. Zaraz wychodziła.

- Oddzwonie - powiedział Gabriel. - Każcie jej przyjechać o czwartej. Ma się nie spóźnić.
- Mamy zrobić to teraz czy niech poczeka?
- Jej życie i tak obfituje w stres, nie sądzisz? Seymour podniósł słuchawkę i wykręcił numer.

Komórka Whitcombe'a zadzwoniła. Słuchał przez moment w milczeniu, po czym spojrzał na Alistaira Leacha.

- Pojawiły się pierwsze recenzje. Wygląda na to, że przedstawienie okazało się hitem.

- A co teraz?

Whitcombe odpowiedział. Leach nacisnął guzik „Wybierz ponownie” i czekał, aż znowu odezwie się Elena.

O piątej trzydzieści tego samego popołudnia pani Devlin weszła do biblioteki w Havermore, niosąc srebrną tacę ze szklanką whisky. Sir John czytał „Daily Telegraph”. O tej porze zawsze czytał tę gazetę; jak większość niepracujących ludzi ściśle trzymał się rozkładu dnia. Wypił łyk whisky i patrzył, jak pani Devlin układa książki i papiery na jego biurku.

- Lillian, zostaw - powiedział. - Za każdym razem, kiedy sprzątasz w bibliotece, potem przez cały tydzień szukam swoich rzeczy.

- Jeśli to już wszystko, sir John, wróć teraz do domu. Pańska kolacja jest w piekarniku.

- Co mam dzisiaj w menu?

- Łopatkę jagnięcą.

- Bosko - wymamrotał.

Pani Devlin życzyła mu dobrej nocy i ruszyła w stronę drzwi. Boothby opuścił gazetę.

- Aha, Lillian?

- Tak, sir John?

- Jutro po południu przyjdzie do nas gość.

- Znowu goście, sir John?

- Na to wygląda. Nie zostanie tu długo. Ma rzucić okiem na obraz w pokoju dzieciennym.

Obraz w pokoju dzieciennym... Obraz, który spędził tydzień w domku gajowego, w rękach człowieka, o którego obecności miała nie wspominać.

- Rozumiem - powiedziała. - Mam upiec babeczki?

- To nie jest typ osoby, której podaje się babeczki. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Muszę przyznać, że nie, sir John.

- To Rosjanka, Lillian. Bardzo zamożna Rosjanka. Wątpię, czy zostanie na herbatę. Jeśli nam się poszczęści, rzuci okiem na obraz i sobie pojedzie.

Pani Devlin stała bez ruchu w drzwiach.

- Lillian, czy coś cię gnębi?

- Sir John, czy mogę mówić szczerze?

- Jak zwykle.

- Czy w Havermore dzieje się coś, o czym mi pan nie mówi?

- Wiele rzeczy. Musisz sprecyzować.

- Ten dziwny człowiek w chatce gajowego. Ta sympatyczna młoda kobieta, która twierdzi, że jest córką pańskiego przyjaciela z Ameryki. Mężczyźni, którzy zajmują się elektryką w domu. Stary George jest pewien, że coś kombinują w stodole.

- Stary George we wszystkim węszy podstęp, Lillian.

- A teraz chce pan sprzedać ten piękny obraz Rosjance? Pański ojciec, niech spoczywa w pokoju, przewróci się w grobie.

- Lillian, potrzebuję pieniędzy. My potrzebujemy pieniędzy. Pociągnęła niepewnie za pasek fartucha.

- Nie wiem, czy panu wierzę, sir John. Moim zdaniem w tym domu dzieje się coś ważnego. Tkwi w tym jakaś tajemnica, jak wtedy, gdy żył pański ojciec.

Boothby znad szklanki whisky posłał jej spojrzenie spiskowca.

- Rosjanie będą tu równo o czwartej, Lillian. - Przerwał. - Jeśli wolałabyś być gdzie indziej...

- Będę tutaj, sir John - powiedziała prędko.

- A stary George?

- Może powinniśmy dać mu wolne popołudnie, sir.

- Może i tak.

34

HAYERMORE, GLOUCESTERSHIRE

Limuzyny minęły ukryty punkt kontrolny przy Station Road o 15:45 - dwa zrobione na zamówienie mercedesy S65 z zaciemnionymi szybami, nisko osadzone od ciężaru kuloodpornych szyb i opancerzenia. Przemknęły wzdłuż rzędów domków przy głównej ulicy Chipping Camden, obok staroświeckich sklepów i starego, zbudowanego z wapienia kościoła Świętego Jakuba, po czym z rykiem wypadły z miasta po Dyers Lane. Jeden ze sklepikarzy

zmierzył, że ich przejazd przez miasteczko trwał szesnaście sekund, najkrócej w historii.

W niegdyś świetnej posiadłości Havermore nie widać było ani śladu niczego, co mogłoby wskazywać, że ktokolwiek wie o nadjeżdżających samochodach. Pani Devlin była w kuchni, gdzie wbrew wyraźnemu rozkazowi sir Johna kończyła układać na tacy babeczki, dżem truskawkowy i gęstą cotswoldską śmietanę. Sir John nie wiedział o jej buncie, bo siedział w odosobnieniu w bibliotece, rozważając poważne, doniosłe problemy. Atrakcyjna zaś kobieta, znana im jako Sara Crawford, szła w stronę domu ścieżką ze wschodniej łąki, obuta w zielone kalosze. Punch i Judy ubezpieczały ją z tyłu niczym ochroniarze.

Jedynie na poddaszu walącej się stodoły widać było, że ma się wydarzyć coś nadzwyczajnego. Czterech mężczyzn siedziało przed baterią ekranów i mierników dźwięku. Dwóch z nich było młodymi, wyglądającymi nieco niechlujnie technikami. Trzeci wydawał się bardzo wysoki i aż bił od niego autorytet; wyglądał, jakby wyszedł prosto z reklamy w ilustrowanym magazynie. Czwarty miał krótkie, ciemne włosy, które na skroniach nabrały koloru popiołu. Nie spuszczał wzroku z obrazu na monitorze: młoda kobieta właśnie zdejmowała kalosze i zakładała czarne, wygodne mokasyny. Weszła do kuchni, swobodnie zanurzyła palec w przygotowanej przez panią Devlin śmietanie, po czym przeszła przez podwójne drzwi i wkroczyła do holu wejściowego. Stała przed wysokim lustrem, wygładziła przód białej bluzki oraz żółte spodnie do kolan, poprawiła też sweter,

zawiazany z udawaną niedbałością na ramionach. Na policzkach miała jedynie odrobinę rózu, a szkła kontaktowe zastąpiła grubymi okularami. „Nie możesz wyglądać piękniej niż Elena”, powiedział jej wcześniej mężczyzna o skroniach koloru popiołu. „Elena absolutnie nie jest przyzwyczajona do tego, by być tą drugą”.

Równo o 16:04 dwie opancerzone limuzyny marki Mercedes skręciły przez bramę Havermore i ruszyły długim podjazdem. Najpierw zobaczyli je mężczyźni w stodole, a po nich sir John, który ze swojego punktu widokowego mógł obserwować ich przyjazd przez okna biblioteki. Sara ze swojej pozycji w holu wejściowym nie mogła zobaczyć samochodów, ale po paru sekundach usłyszała zgrzyt żwiru, gdy zatrzymały się na dziedzińcu. Dwa potężne silniki umilkły; otworzyły się drzwi i ze środka wysiadło sześciu młodych mężczyzn o twarzach jak wykutych z marmuru. Mężczyźni na poddaszu stodoły znali ich imiona. To byli Oleg, Jurij i Giennadij, stała obstawa Eleny Charków. Trzej pozostali to Wadim, Wasyl i Wiktor, „WWW”, jak nazywali ich obserwatorzy Charkowa na całym świecie. Ich obecność w Havermore była zaskakująca, bo w zasadzie służyli tylko jako gwardia pretoriańska Iwana.

Kiedy ustawiono luźny kordon ochronny, dwóch ochroniarzy otworzyło tylne drzwi. Od strony kierowcy wysiadła Elena Charków. Miała lśniące, ciemne włosy, ubrana była w strój z zielonego jedwabiu. Od strony pasażera pojawiła się postawna osoba, dobrze ubrana, o włosach koloru stali. Przez parę sekund mężczyźni na poddaszu myśleli błędnie, że to siódmy ochroniarz. Ale kiedy

odwrócił twarz w stronę kamer, zorientowali się, że był to kto inny. Był to człowiek, który właśnie odbywał telekonferencję z Zurychem. Miało go tu nie być.

Mężczyźni na poddaszu próbowali ostrzec Sarę - w holu był ukryty mały głośniczek, właśnie na taką ewentualność - ale już otworzyła imponujące drzwi wejściowe i schodziła na dziedziniec. Punch i Judy przemknęły koło jej nóg i popędziły po żwirze niczym dwie brązowe torpedy. Pognały instynktownie wprost ku postaci posiadającej największy autorytet. WWW uformowali zaporę przed celem psów: Iwanem Charkowem.

Stał spokojnie za nimi, na jego twarzy o ciężkich rysach malowało się lekkie rozbawienie. Sara wykorzystwała chwilę udawanej złości na psy, by ukryć wstrząs wywołany pierwszym spotkaniem twarzą w twarz z potworem. Złapała psy za obroże i silnym pchnięciem w zadki posłała je w stronę domu. Kiedy odwróciła się z powrotem, między Wadimem i Wiktorem pojawiła się wąska szczelina. Wsunęła przez nią rękę ku Iwanowi i zdobyła się na uśmiech.

- Obawiam się, że ich instynkty pasterskie biorą górę, gdy widzą tak dużą grupę ludzi - usłyszała własny głos. - Jestem Sara Crawford.

Prawa ręka Iwana uniosła się w górę. Sara pomyślała, że wygląda jak młot po manikiurze. Ucisnął jej dłoń, sprawdzając, czy jest silna, po czym szybko puścił.

- Jest pani Amerykanką - zauważył.

A ty mi się nie przedstawiłeś, pomyślała.

- Tylko w połowie.

- W której?

- Zdaniem mojego wujka w tej bardziej egoistycznej. To jego dom. Ja tu jestem tylko z wizytą.

- Prosto z Ameryki?

- Tak.

- Gdzie mieszka pani w Ameryce?

- W Waszyngtonie. A pan gdzie mieszka?

- Lubię uważać się za obywatela świata, pani Crawford.

Może i był obywatelem świata, ale jego pobyt na Zachodzie jeszcze nie wyparł angielskiej wymowy rodem z KGB. Mówił zaskakująco płynnie, ale miał wciąż intonację propagandysty z Radia Moskwa. Sara pomyślała, że pewnie był dumny ze swojej angielszczyzny, tak jak był dumny ze swoich opancerzonych limuzyn, ochroniarzy, sztytgo na miarę garnituru, krawata za trzy tysiące dolarów oraz intensywnej wody kolońskiej, której zapach wisiał wokół niego niczym chmura. Ale żadne zachodnie stroje ani wody kolońskie nie mogły ukryć rosyjskości, wrytej na jego silnym czole, w oczach w kształcie migdałów i wystających kościach policzkowych. Ani tego, że był po prostu zakapiorem z KGB, któremu trafiła się góra pieniędzy. Tak jak gdyby prawie zapomniał, uniósł lewą dłoń.

- Moja żona - powiedział, wciąż wpatrując się w Sarę. Stała o parę metrów od niego otoczona własną strażą pałacową. Była od Iwana wyższa o dobrych kilka centymetrów, chodziła też wyprostowana niczym tancerka. Miała bladą cerę, szkliste zielone

oczy i czarne długie włosy, rozpuszczone luźno na ramionach. Nie było zagrożenia, że uroda Sary będzie stanowić wyzwanie dla Eleny, bo w wieku czterdziestu sześciu lat, siedmiu miesięcy i dziewiętnastu dni była wciąż wyjątkowo atrakcyjną kobietą. Zrobiła krok naprzód i wyciągnęła dłoń.

- Miło mi panią poznać. Jestem Elena Charków. - W przeciwieństwie do Iwana, jej akcent był bardzo wykwinny, wręcz urzekający.

- O ile wiem, Alistair poinformował panią o moim przyjeździe. Mój mąż postanowił w ostatniej chwili przyjechać ze mną.

Mąż, który wciąż nie ma imienia, pomyślała Sara.

- Pan Alistair powiedział mi tylko, że przyjedzie pewna kobieta. Nie podał mi nazwiska. Był bardzo dyskretny, pani Charków.

- My też ufamy, że będzie pani dyskretna - powiedział Iwan.

- Ludzie tacy jak my lubią robić zakupy i prowadzić interesy w dyskretnej atmosferze.

- Może być pan pewny, panie Charków, że mój wuj wyznaje podobne zasady.

Jak na zawołanie pojawił się Boothby. Punch i Judy skakały mu wokół nóg, hałasując niemiłosiernie.

- Czy myli mnie słuch - zawołał - czy to prawda, że wielki Iwan Charków przyjechał do Havermore? Ten palant z Christie's powiedział mi, że mam oczekiwać ważnej osobistości, ale nie spodziewałem się kogoś pana rangi. - Wyciągnął rękę i uściśnął z wigorem dłoń Iwana.

- To prawdziwy zaszczyt gościć tu pana, panie Charków. Naprawdę podziwiam pańskie osiągnięcia. Wiem, że ma pan wiele zainteresowań, ale nie sądziłem, że jest wśród nich sztuka.

Kamienna twarz Iwana na moment prawie zmieniła wyraz i o mało co nie wykwitł na niej szczerzy uśmiech. Wiedzieli, że Iwan był czuły na punkcie pochlebstw, zwłaszcza od młodych kobiet, ale także i od podupadłych angielskich arystokratów.

- To moja żona jest prawdziwym ekspertem, gdy chodzi o sztukę - powiedział. - Ja tylko miałem ochotę wyrwać się na parę godzin z Londynu.

- Ach tak, oczywiście. Ja sam nie potrafię go znieść, przez te korki i terrorystów. Wpadam tam czasem, żeby zobaczyć coś w teatrze albo posłuchać muzyki w Covent Garden, ale zawsze wolę wzgórze Cotswolds od Kensington. Londyn jest ostatnimi czasy zbyt drogi. Zbyt wielu ludzi, tak bogatych jak pan, wszystko wykupuje. Bez obrazy, rzecz jasna.

- Oczywiście, rozumiem.

- Ma pan już rezydencję na wsi czy na razie tylko willę w Londynie?

- Jak na razie tylko dom w Knightsbridge. Boothby gestem wskazał fasadę Havermore.

- Ten dom należy do mojej rodziny od pięciu pokoleń. Z chęcią oprowadzę pana, podczas gdy nasze ekspertki od spraw sztuki będą oglądać obraz.

Iwan i Elena wymienili spojrzenia: były zakodowane, zabezpieczone, nie do złamania dla kogoś z zewnątrz. Wymamrotała coś po rosyjsku; Iwan w odpowiedzi spojrzał na Boothby'ego i skinął krótko swoją potężną głową.

- Z chęcią przejdę się po pańskiej posiadłości - powiedział. - Ale obawiam się, że będziemy musieli się pospieszyć. Moja żona, niestety, bardzo szybko podejmuje decyzje.

- Fantastycznie! - powiedział Boothby. - Pokażę panu naszą ziemię. Uniósł lewą rękę i ruszył w stronę wschodniej łąki. Iwan zawahał się na moment, ale podążył za nim. Tuż za nim szli w ciasnym szyku WWW. Boothby spojrzał na ochroniarzy i wyraził uprzejmie swój sprzeciw.

- Doprawdy, czy to konieczne? Panie Charków, zapewniam pana, że tu nie ma wrogów. Najniebezpieczniejsze w Havermore są psy i moje martini.

Iwan spojrzał na Elenę, po czym głębokim głosem wyszeptał parę słów po rosyjsku. Kiedy ruszył ponownie w stronę łąki, ochroniarze stanęli bez ruchu. Elena w milczeniu obserwowała, jak jej mąż odchodzi, po czym spojrzała na Sarę.

- Przepraszam za te środki bezpieczeństwa, pani Crawford. Zrobiłabym wszystko, co w mojej mocy, żeby się pozbyć ochrony, ale Iwan nalega, żeby byli ze mną, gdziekolwiek się udam. Przebywanie w towarzystwie mężczyzn w ciemnych garniturach musi wydawać się ekscytujące, ale zapewniam panią, że wcale nie jest.

Sarę zaskoczyła intymność jej wyznania. Była to drobna zdrada. Niewielka, ale mimo to zdrada.

- Kobieta w pani sytuacji musi być bardzo ostrożna - powiedziała. - Ale zapewniam panią, że tutaj jest pani wśród przyjaciół.

Boothby i Iwan zniknęli za rogiem domu. Sara położyła delikatnie dłoń na ramieniu Eleny.

- Chce pani obejrzeć obraz mojego wuja, pani Charków?

- Tak, bardzo chcę zobaczyć ten obraz.

Poszły w stronę portyku, ochroniarze wciąż się nie poruszyli.

- Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli obejrzymy obraz na osobności. Zawsze uważałam, że Cassatt malowała kobiety dla kobiet. Większość mężczyzn nie rozumie jej obrazów.

- Zgadza się w zupełności. Zdradzę też pani pewien sekret.

- Tak?

- Iwan jej nie znosi.

Czterej stojący przed ekranem na poddaszu stodoły mężczyźni poruszyli się po raz pierwszy od trzech minut.

- Wygląda na to, że wujek John właśnie ocalił nam tyłki.

- Ojciec byłby z niego dumny.

- Iwana nie można nazwać cierpliwym człowiekiem. Sądzę, że macie najwyżej pięć minut sam na sam z Eleną.

- Nawet dla pięciu minut gotów byłbym zabić.

- Gabrielu, miejmy nadzieję, że dzisiaj nie będzie zabijania. To Iwan ma przewagę ognia.

Dwie kobiety weszły po reprezentacyjnych schodach. Zatrzymały się u ich szczytu, by obejrzyć obraz Madonny z Dzieciątkiem.

- Czy to naprawdę Yeronese? - zapytała Elena.

- Zależy, kogo zapytać. Przodkowie mojego wuja objechali Włochy w dziewiętnastym wieku i wrócili z pełną łodzią obrazów. Niektóre są całkiem urocze. Inne to po prostu kopie autorstwa pomniejszych malarzy. Zawsze uważałam, że ten jest jednym z lepszych.

- To piękny obraz.

- Cassatt wciąż wisi w pokoju dzieciennym. Mój wuj uznał, że będzie pani wolała obejrzyć go w oryginalnym otoczeniu.

Sara wzięła Elenę ostrożnie pod ramię i poprowadziła ją wzdłuż korytarza. Klucz leżał na framudze nad drzwiami. Sara stanęła na palcach, żeby po niego sięgnąć, po czym, udając spiskowca, przyłożyła palec do ust.

- Proszę nikomu nie mówić, gdzie trzymamy klucz. Elena się uśmiechnęła.

- Nasza mała tajemnica.

- Iwan zaczyna się niecierpliwić.

- Widzę, Graham.

- Już zużyła trzy minuty.

- To też widzę.
- Powinna była zabrać się do tego na schodach.
- Wie, co robi.
- Na Boga, mam nadzieję, że się nie mylisz. Ja też, pomyślał Gabriel.

Pierwsza weszła do pokoju Elena. Sara przymknęła drzwi do połowy, po czym podeszła do okna i odsunęła zasłony. Złociste światło oświetliło dwa pasujące do siebie dziecięce łóżeczka, dwie szafki dla dzieci, dwie ręcznie malowane skrzynie na zabawki i *Dwoje dzieci na plaży* Gabriela Allona. Elena przykryła usta dłonią i wydała stłumiony okrzyk.

- Jest przepiękny - powiedziała. - Muszę go mieć.

Sara pozwoliła, by zapadło między nimi milczenie. Opadła na łóżko najbliżej okna i ze wzrokiem wbitym w podłogę przesunęła w zamyśleniu dłonią po narzucie z Kubusiem Puchatkiem.

- O Boże - powiedziała Elena, widząc jej reakcję. - Tak mi przykro. Pewnie pani sądzi, że jestem strasznie rozpieszczoną osobą.

- Wcale nie, pani Charków. - Sara ostentacyjnie rozejrzała się po pokoju. - Kiedy byłam mała, co roku spędzałam lato w tym pokoju. Ten obraz był pierwszą rzeczą, którą widziałam rano po przebudzeniu, i ostatnią wieczorem, gdy moja mama gasiła światło. Dom nigdy już nie będzie bez niego taki sam.

- W takim razie nie mogę go zabrać.

- Musi pani - odparła Sara. - Mój wuj musi go sprzedać. Pani Charków, proszę mi uwierzyć, jeśli pani go nie kupi, zrobi to ktoś inny. Chcę, żeby trafił do kogoś, kto go będzie kochał tak jak ja. Do kogoś takiego jak pani - dodała.

Elena odwróciła spojrzenie od Sary i znowu popatrzyła na obraz.

- Chciałabym dokładniej go obejrzeć, nim podejmę ostateczną decyzję. Pomoże mi pani zdjąć go ze ściany?

- Oczywiście.

Sara wstała. Przechodząc przed oknem, spojrzała przelotnie na rozpościerającą się w dole łąkę. Boothby i Iwan wciąż tam byli; sir John wskazywał palcem coś w oddali, Rosjanin wyraźnie tracił cierpliwość. Podeszła do obrazu i z pomocą Eleny zdjęła go z haczyków i położyła na drugim łóżku. Elena wyjęła z torebki szkło powiększające i małą latarkę Maglite. Najpierw pod lupą obejrzała podpis w lewym dolnym rogu obrazu. Następnie włączyła latarkę i poświeciła na powierzchnię. Badanie trwało trzy minuty. Kiedy skończyła, wyłączyła latarkę i wsunęła ją z powrotem do torebki.

- Ten obraz to oczywiste fałszerstwo - powiedziała.

Przez moment patrzyła uważnie na twarz Sary, tak, jak gdyby zorientowała się, że Sara także jest fałszywa.

- Pani Crawford, proszę mi powiedzieć, kim pani jest.

Sara otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, ale nim zdążyła to zrobić, drzwi otworzyły się gwałtownie i na progu stanął Iwan z Boothbym u boku. Iwan przez moment patrzył na Elenę, po czym jego wzrok spoczął na Sarze.

- Czy coś się stało? - zapytał. Odpowiedziała Elena:

- Nic takiego, Iwan. Pani Crawford po prostu mówiła mi, jak wiele znaczy dla niej ten obraz i, co zrozumiałe, poniosły ją emocje.

- Może państwo zmienili zdanie.

- Nie, panie Charków - powiedziała Sara. - Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia, jak rozstać się z obrazem. Należy do pańskiej żony, oczywiście, jeśli chce go mieć.

- No, Elena? - zapytał z niecierpliwością Iwan. - Chcesz go czy nie?

Elena przesunęła palcami po twarzach dzieci, po czym spojrzała na Sarę.

- To najwspanialszy obraz Cassatt, jaki widziałam. - Odwróciła się do Iwana i spojrzała na niego. - Kochanie, muszę go mieć. Proszę, zapłać im, ile chcą.

35

LONDYN

To, jak dokładnie Iwan Charków umknął słynnym obserwatorom z MI5, nigdy nie zostało satysfakcjonująco wyjaśnione. Przeprowadzono wiele analiz i rzucono wiele oskarżeń. Do akt z danymi włożono nieprzyjemne listy. Udzielono nagan. To pobojowisko nie zaprzętało jednak uwagi Gabriela, bo zmagął się z ważniejszą sprawą. Elena, płacąc dwa i pół miliona dolarów za obraz, będący bezwartościową kopią, dała tym samym znać, że jest gotowa

na drugie podejście. Dlatego właśnie Adrian Carter wsiadł na pokład swojego odrzutowca Gulfstream i przyleciał do Londynu.

- Wygląda na to, że miałeś ciekawe popołudnie w Gloucestershire, Gabrielu. Żałuję, że mnie tam nie było. Jak Sarze udało się wytrzymać spotkanie twarzą w twarz z tym potworem?

- Można się było tego spodziewać. Sara ma talent.

Siedzieli razem na ławce Gabriela w parku St. James's. Carter miał na sobie strój podróżny amerykańskiego biznesmena: błękitny blezer, niebieską koszulę z postawionym kołnierzem, brązowe drelichy oraz czerwono-brunatne, wyblakłe z braku pasty mokasyny. Przydałoby mu się także golenie.

- Jak myślisz, skąd Elena wiedziała, że obraz nie jest prawdziwy?

- Ma kilka innych Cassatt, co oznacza, że spędza z nimi wiele czasu. Wie, jak wyglądają, ale pewnie, co ważniejsze, potrafi także się w nie wczuć. Po pewnym czasie człowiek wyrabia sobie instynkt w tym zakresie, swego rodzaju intuicję. Najwyraźniej podpowiedziała Elenie, że obraz jest fałszywy.

- Ale czy powiedziała jej, że Sara Crawford też jest nieprawdziwa?

- Bez wątplenia.

- Gdzie jest obraz?

- Wciąż w Havermore. Ludzie Eleny mają po niego przyjechać. Powiedziała Alistairowi Leachowi, że ma zamiar powiesić obraz w pokoju dziecięcym w Villa Soleil.

Do ławeczki podeszła grupka chorwackich nastolatek. Zapytały łamaną angielszczyzną, gdzie jest pałac Buckingham. Carter wskazał w zamyśleniu na zachód. Kiedy dziewczynki odeszły, obaj z Gabrielem równocześnie wstali i ruszyli wzdłuż Horse Guards' Road.

- Rozumiem, że planujesz teraz podróż do Saint-Tropez?

- Wiesz, Adrianie, to już nie to samo miejsce co kiedyś, chociaż i tak wypada się tam pokazać w sierpniu.

- Nie możesz się tam rozłożyć ze swoim kramem bez pieczątki francuskich służb specjalnych. Znając Francuzów, będą chcieli wziąć udział w imprezie. Iwan ich irytuje, rzecz jasna. Jego broń wyrządziła wiele zniszczeń i siała śmierć w tych częściach Afryki, nad którymi powiewał trójkolorowy sztandar i gdzie Francja wciąż ma poważne wpływy.

- Nie dam im się przyłączyć, Adrianie. Krąg wtajemniczonych w tę operację już i tak jest jak na mój gust zbyt szeroki. A jeśli jeszcze go poszerzymy, szanse, że Iwan albo FSB coś zwietrzą, gwałtownie wzrosną.

- Jesteśmy znowu w dobrych stosunkach z Francuzami i twój znajomy prezydent woli, żeby tak zostało. Co oznacza, że nie podejmiesz na francuskim terenie żadnych działań mogących wpuścić nas w jakieś eurogówno. Z Francuzami musimy działać otwarcie, tak jak działaliśmy z Grahamem Seymourem i Angolami. Kto wie? Może wyniknie z tego coś dobrego. Nowa złota epoka w stosunkach francusko-izraelskich.

- Nie dajmy się ponieść fantazji - powiedział Gabriel. - Nie sądzę, żeby Francuzom spodobały się moje warunki.

- Posłuchajmy.

- W przeciwieństwie do Angoli, Francuzi nie dostaną żadnego oficjalnego zadania. Życzę sobie, żeby nie robili nic, poza trzymaniem się z dala. To oznacza, że zaprzestaną wszelkich operacji mających na celu obserwowanie Iwana. Saint-Tropez to małe miasteczko, więc będziemy musieli pracować blisko Iwana i jego goryli. Jeśli zobaczą bandę francuskich agentów, wzmogą czujność.

- Czego chcesz od nas?

- Dalszego śledzenia wszystkich rozmów Iwana. Postaraj się, żeby ktoś je czytał dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ktoś, kto mówi po rosyjsku. Jeśli Iwan zadzwoni do Arkadego Miedwiediewa i każe mu śledzić Elenę, rzecz jasna chcę o tym wiedzieć. Jeśli Elena zarezerwuje stolik na lunch albo kolację, też chcę o tym wiedzieć.

- Przyjąłem. Coś jeszcze?

- Rozważam załatwienie Sarze Crawford rosyjsko-amerykańskiego chłopaka. Mogę szybko ściągnąć pół Rosjanina, pół Izraelczyka, ale nie Amerykanina. - Gabriel podał Carterowi kopertę. - Będzie potrzebował pełnego zestawu dokumentów, ale poza tym przydałaby mi się jego historia, która wytrzyma oględziny Iwana i jego służb.

Doszli do Great George Street. Carter zatrzymał się przed stoiskiem z gazetami i zmarszczył brwi. Osama bin Laden wypuścił nową taśmę wideo, w której ostrzegał o nadchodzącej fali ataków

przeciw krzyżowcom i Żydom. Zawodowcy z zachodnich wywiadów może by ją zlekceważyli jako kolejne czcze przechwałki, gdyby przemowa nie zawierała dwóch kluczowych słów: „strzały Allaha”.

- Obiecuje krwawą jesień - powiedział Carter. - Już samo to, że sprecyzował czas, jest godne uwagi. Prawie tak, jak gdyby chciał nam powiedzieć, że nie możemy nijak go powstrzymać. Ogólnie rzecz biorąc, mówimy mediom, że w tej taśmie nie widzimy nic nowego ani nietypowego. Jednak prawda jest taka, że sramy w gacie ze strachu. Gabrielu, migają czerwone światełka ostrzegawcze. Już dawno powinni byli zaatakować jakiś amerykański cel i wiemy, że chcą uderzyć, nim obecny prezydent odejdzie z Białego Domu. Eksperci są przekonani, że to może być właśnie ten plan. Co sprowadza się do tego, że czas masz ograniczony.

- Jak bardzo?

- Powiedziałbym, że do końca sierpnia. Potem alarm antyterrorystyczny podnosimy na czerwony i idziemy na wojnę.

- Od razu, kiedy to zrobicie, stracimy Elenę.

- Lepiej stracić Elenę, niż przeżyć kolejny jedenasty września. Albo coś gorszego.

Szli w stronę rzeki po Great George Street. Gabriel spojrzął w prawo i zobaczył błyszczącą w jaskrawym słońcu wieżę opactwa Westminster. W pamięci stanął mu obraz sprzed kilku lat, niczym scena namalowana przez Caravaggia: mężczyzna z pistoletem w dłoni, strzelający w twarz leżącego terrorysty. Carter stał tamtego ranka ledwie kilka metrów dalej. Teraz jego myśli skupiały się na

nieprzyjemnym spotkaniu, które miało się odbyć po drugiej stronie kanału La Manche.

- Wiesz co, Gabrielu, dostajesz łatwiejsze zadanie. Musisz tylko przekonać Elenę, żeby zdradziła męża. Ja za to muszę pójść pokornie do żabojadów i wybłagać od nich pozwolenie, żebyś ty ze swoją ekipą zajął się Riwierą.

- Adrianie, bądź czarujący. Słyszałem, że Francuzi to lubią.

- Może chcesz ponegocjować razem ze mną?

- To chyba nie jest najlepszy pomysł. Nasze stosunki są cokolwiek napięte.

- Słyszałem. - Carter przez moment milczał. - Może jest jednak jakaś szansa, że zmienisz zdanie i pozwolisz Francuzom włączyć się do operacji?

- Nie.

- Gabrielu, musisz coś im dać. Inaczej się nie zgodzą.

- Powiedz, że mogą dla nas gotować. W tym rzeczywiście są nieźli.

- Bądź rozsądny. Gabriel się zatrzymał.

- W takim razie powiedz im, że jeśli uda nam się powstrzymać Iwana, z przyjemnością przypiszemy wszystkie zasługi prezydentowi Francji i jego służbom wywiadowczym.

- Wiesz co? - powiedział Carter. - To się nawet może udać.

Zebranie odbyło się dwa dni później w Paryżu, w otoczonym murem rządowym domu dla gości nieopodal avenue Victor Hugo.

Carter usilnie prosił Francuzów, by lista gości była krótka. Nie posłuchali. Na zebraniu byli obecni dyrektor francuskich służb wewnętrznych DST oraz jego odpowiednik z bardziej prestiżowego DGSE, francuskiego wywiadu. Zjawił się także wysoki rangą funkcjonariusz Police Nationale i jego przełożony z ministerstwa spraw wewnętrznych. Przyszła również tajemnicza postać z wywiadu wojskowego oraz prezydencki doradca do spraw bezpieczeństwa, którego trzeba było wyciągnąć siłą i wbrew woli z jego chateau nad Loarą. Poza nimi obecni byli bezimienni urzędnicy, funkcjonariusze, popychajła, sekretarki i degustatorzy, niepostrzeżenie wchodzący do sali i wychodzący na zewnątrz. Carter wiedział, że każdy z nich mógł stanowić potencjalne źródło przecieku. Przypomniawszy sobie, że Gabriel ostrzegał przed poszerzaniem kręgu zaufania i zastanawiając się, ile mają czasu, nim Iwan odkryje knuty przeciwko niemu spisek.

Przyjęcie było wyjątkowo oficjalne, a meble w budynku groteskowo francuskie. Rozmowy odbyły się w dużym obwieszonym lustrami salonie przy stole o wymiarach lotniskowca. Carter siedział sam po jednej stronie, za niewielką mosiężną tabliczką, na której widniał napis Thomas Appleby, Federalne Biuro Śledcze - była to czysta formalność, bo Francuzi znali go i darzyli dużym szacunkiem, pomimo wielu grzechów popełnionych przez jego służby. Wzniósł kieliszek raczej dobrego francuskiego wina w toaście za odnowienie francusko-amerykańskiej współpracy. Wytrzymał dosyć nudne sprawozdanie z tego, co Paryż wiedział o poczynaniach Iwana w byłych koloniach w Afryce Środkowej. Przetrwał też wyjątkowo

paskudny wykład doradcy do spraw bezpieczeństwa narodowego na temat tego, że Waszyngton aż do teraz nie zrobił nic w kwestii Iwana. Adriana korciło, by się odgryźć, by udzielić swoim nowym sprzymierzeńcom reprimendy za to, że przesyłają broń w najbardziej zapalne punkty globu, ale udało mu się powstrzymać. Tak więc kiwał głową w odpowiednich momentach, zgadzał się, kiedy należało, przez cały czas czekając, by przejąć inicjatywę.

Okazja nadeszła po kolacji, kiedy przenieśli się do chłodnego ogrodu na kawę i papierosa. Na każdym podobnym zebraniu były chwile, kiedy uczestnicy przestawali być obywatelami swoich krajów i zamiast tego czuli łączącą ich więź, znaną tylko pracownikom tajnych służb. Carter wiedział, że to była właśnie taka chwila. Kiedy podniosłą ciszę przerywały tylko od czasu do czasu stłumione odgłosy odległego ruchu ulicznego, przedstawił im po cichu żądania Gabriela, chociaż jego nazwisko, tak jak nazwisko Iwana i Eleny, nie zostało wypowiedziane w nie dość bezpiecznym otoczeniu pod otwartym niebem. Rzecz jasna Francuzi byli zszokowani i urażeni, co zawsze przychodziło im najłatwiej. Carter przymilał się i błagał. Carter rzucał pochlebstwa i apelował do ich sumienia. I w końcu zagrał kartę atutową. Zadziałała, tak jak Gabriel przewidział, i o świcie mieli gotowy do podpisu projekt umowy. Nazwali ją traktatem paryskim. Adrian Carter później wspominał to jako jedno ze swoich największych zwycięstw.

SAINT-TROPEZ, FRANCJA

Miasteczko Saint-Tropez leży na zachodnim skraju Lazurowego Wybrzeża, u podstawy francuskiego departamentu o nazwie Var. Było jedynie senną wioską rybacką aż do czasu, gdy w 1956 roku zostało wybrane na scenografię do filmu *I Bóg stworzył kobietę* z Brigitte Bardot. Praktycznie natychmiast Saint-Tropez stało się jednym z najpopularniejszych nadmorskich kurortów świata, ekskluzywnym placem zabaw dla świata mody, elit i europejskich milionerów. Chociaż w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych straciło na popularności, ostatnimi czasy trochę odżyło. Aktorzy i gwiazdy rocka wrócili, a wraz z nimi modelki i uganiający się za pięknymi dziewczynami bogaci playboye. Nawet sama Bardot zaczęła się tam znowu pojawiać. Ku przerażeniu Francuzów i stałych bywalców odkryli je także nowobogaccy zdobywcy ze Wschodu: Rosjanie.

Samo miasteczko jest zaskakująco małe. Jego dwa główne punkty to Stary Port, który latem wypełnia się jachtami, a nie, jak dawniej łodziami rybackimi, oraz Place Carnot, duża, pokryta kurzem esplanada, na której niegdyś odbywał się co tydzień ruchliwy targ i gdzie miejscowi mężczyźni wciąż spędzają letnie dni, grając w *petanque* i popijając pastis. Port i plac połączone są jedynie średniowiecznymi alejkami, w środku lata zapchanymi turystami i pieszymi, co sprawia, że przejechanie przez miasteczko jest praktycznie niemożliwe. Nieopodal centrum zaczyna się labirynt

wysokich żywoplotów i wąskich uliczek, prowadzących do kilku najpopularniejszych plaż świata i kilku jego najdroższych domów.

Wśród wzgórz nad wybrzeżem leży kilka wiosek, w których prawie można sobie wyobrazić, że Saint-Tropez nie istnieje. Jedną z nich jest Gassin. Mała, staroświecka wieś, znana tylko ze starych wiatraków - Moulins de Paillas - i z zapierających dech w piersi widoków na leżące w oddali morze. Trochę ponad półtora kilometra za wiatrakami stoi stare gospodarstwo o niebieskich okiennicach, z dużym basenem. Miejskowa agencja wynajmu opisała je jako prawdziwą okazję za jedyne trzydzieści tysięcy euro tygodniowo; mężczyzna z niemieckim paszportem i stertami gotówki wynajął je na resztę lata. Następnie poinformował agencję, że nie potrzebuje kucharzy, pokojówek oraz ogrodników i nie życzy sobie, by mu przeszkadzano. Twierdził, że jest filmowcem pracującym nad ważnym projektem. Kiedy agent zapytał go, co to za film, wymamrotał coś o dramacie historycznym i odprowadził go do drzwi.

Pozostali członkowie „ekipy filmowca” przyjeżdżali kolejno do gospodarstwa niczym zwiadowcy wracający do bazy po długiej misji na tyłach wroga. Podróżowali pod fałszywymi nazwiskami i z fałszywymi paszportami w kieszeniach, ale łączyło ich jedno: wszyscy wcześniej służyli pod rozkazami Gabriela i z chęcią złapali kolejną szansę, by to powtórzyć, nawet w sierpniu, gdy większość ludzi woli spędzać wakacje ze swoimi rodzinami.

Najpierw przyjechały dwie osoby znające rosyjski, Eli Lawon i Michaił Abramów. Następnie pojawił się mężczyzna o krótkich

czarnych włosach i pokrytych bliznami policzkach, znany jako Jaków Rossman, zaprawiony w boju oficer śledczy i dowódca agentów z wydziału do spraw arabskich Szin Bet. Po nim przyjechał Jossi Gawisz, wysoki, łysiejący intelektualista z oddziału badawczego Biura, który studiował filologię klasyczną w Oksfordzie i wciąż jeszcze mówił po hebrajsku z wyraźnym brytyjskim akcentem.

Wreszcie tę kolorową, składającą się z samych mężczyzn trupę urozmaicił przyjazd dwóch kobiet. Pierwsza miała jasne blond włosy i szerokie biodra: Rimona Stern, major, służąca w elitarnym wywiadzie wojskowym Izraela, a także bratanica Szamrona. Druga miała ciemne włosy i otaczała ją aura młodej wdowy: Dina Sarid, chodząca encyklopedia terroryzmu z oddziału historycznego Biura, potrafiąca wyrecytować godzinę, miejsce i liczbę ofiar każdego aktu przemocy wymierzonego w Państwo Izrael. Dina знаła z własnego doświadczenia potworności terroryzmu. Stała na placu Dizengoff w Tel Awiwie w październiku 1994 roku, gdy terrorysta z Hamasu zdetonował swój pas z ładunkiem wybuchowym w autobusie linii numer 5. W zamachu zginęło dwadzieścia jeden osób, w tym matka Diny i jej dwie siostry. Dina została poważnie ranna i wciąż lekko kulą.

Przez kilka następnych dni życie Gabriela i jego drużyny bardzo różniło się od życia mężczyzny i kobiety, których śledzili. Podczas gdy Iwan i Elena Charków prowadzili bujne życie towarzyskie w swoim pałacu przy Baie de Cavalaire, Gabriel i jego ekipa wynajęli trzy samochody i kilka skuterów różnych marek i kolorów. Gdy Iwan

i Elena spożywali eleganckie lunche w Starym Porcie, Gabriel i jego ludzie odebrali dużą przesyłkę zawierającą broń, sprzęt do podsłuchu, kamery i ekwipunek do bezpiecznych rozmów. Gdy Elena i Iwan Charków żeglowali po wodach Golfe de Saint-Tropez na pokładzie „Października”, dziewięćdziesięciometrowego jachtu motorowego Iwana, Gabriel i jego ludzie ukrywali miniaturowe kamery z zabezpieczonymi przekaźnikami obok bramy Villa Soleil. Gdy Iwan i Elena jedli wykwintnie w Villa Romana, hedonistycznej i nieziemsko drogiej, uwielbianej przez Rosjan restauracji, Gabriel i jego ludzie spożywali posiłek w willi, planując spotkanie, które mieli nadzieję przeprowadzić tak szybko, jak to możliwe.

Pierwszy krok ku stworzeniu dogodnych okoliczności tego spotkania miał miejsce, gdy Michaił z nowym amerykańskim paszportem w kieszeni wsiadł do czerwonego audi kabriolet i pojechał na obsługujący Lazurowe Wybrzeże międzynarodowy port lotniczy w Nicei. Tam spotkał się z atrakcyjną Amerykanką, która właśnie przyleciała z Heathrow, Sarą Crawford z Waszyngtonu, do niedawna mieszkającą w posiadłości Havermore w Gloucestershire w Anglii. Dwie godziny potem zameldowali się w apartamencie w Chateau de la Messardiere, luksusowym pięciogwiazdkowym hotelu, położonym o parę minut od centrum miasteczka. Boy, który wprowadził młodą parę do pokoju z widokiem na morze, powiedział swoim kolegom, że ciągle się obściskiwali. Następnego dnia, gdy goście jedli śniadanie, pokojówki znalazły ich łoże w potwornym nieładzie.

Mieszkali w tym samym świecie, ale przesuwali się po równoległych liniach. Kiedy Elena z dziećmi zostawała w Villa Soleil, Sara i jej kochanek spędzali dzień nad basenem w Messardiere, czyli w „Mess”, jak mówili o nim między sobą. Gdy Elena z dziećmi spędzała dzień, bawiąc się wśród łagodnych fal plaży Tahiti, Sara i jej kochanek leżeli wyciągnięci na piasku Plage de Pampelonne. Jeśli Elena postanowiła zrobić późnym popołudniem zakupy na rue Gambetta, Sara i jej kochanek przechadzali się przed wystawami sklepów przy rue Georges Clemenceau albo siedzieli w jednym z barów przy Place Carnot. Wieczorami, gdy Elena i Iwan jedli w Villa Romana lub innej knajpie uczęszczanej przez Rosjan, Sara i jej kochanek spożywali cichy posiłek w Mess, w pobliżu swojego pokoju, na wypadek gdyby nagły przypływ namiętności okazał się zbyt silny.

Przez jakiś czas wszystko wydawało się podążać bez specjalnego celu tym samym rytmem, aż w końcu po południu czwartego dnia Elena postanowiła zjeść lunch w restauracji Grand Joseph, swojej ulubionej knajpie w Saint-Tropez. Zarezerwowała stolik z wyprzedzeniem - w sierpniu było to konieczne, nawet dla żony oligarchy - i chociaż nie wiedziała o tym, jej rozmowę przechwycił wiszący wysoko w górze satelita NSA. Z powodu stłuczki na drodze D61 przybyła do restauracji wraz z dziećmi z siedemnastominutowym opóźnieniem, jak zwykle w towarzystwie czterech ochroniarzy. Jean-Luc, maitre d'hôtel, pozdrowił ją wylewnie, całując w oba policzki, po czym zaprowadził ich do

stolików przy beżowej kanapie. Elena usiadła odwrócona dyskretnie plecami do sali, ochroniarze zajęli miejsca po obu stronach stołu. Właściwie nie zwrócili uwagi na pocztówkę, którą przyniósł kelner wraz butelką wina rose, chociaż Elenę przeszył dreszcz przerażenia. Skryła strach, udając lekkie niezadowolenie, po czym wzięła kartkę do ręki i przeczytała napisaną ręcznie na odwrocie notkę:

Szanowna Pani,

Mam nadzieję, że Cassatt wciąż się Pani podoba. Możemy się przysiąc?

Sara

37

SAINT-TROPEZ, FRANCJA

Sara, z kieliszkiem wina w ręku i Michałem u boku, patrzyła przez zatłoczoną jadalnię w kierunku Eleny, wciąż trzymającej w dłoni pocztówkę. Czytała ją z lekkim zaciekawieniem, podobnie jak Oleg, główny ochroniarz. Położyła kartkę na obrusie i obejrzała się. Jej wzrok dwukrotnie spoczął na Sarze, ale nie widać było, by ją poznała. Elena Charków jest dzieckiem z Leningradu, pomyślała Sara. Dzieckiem partii. Wie dobrze, jak sprawdzić przed spotkaniem, czy w pokoju nie ma obserwatorów. Wie, jak grać według reguł Moskwy.

Kiedy przesunęła wzrokiem po sali po raz trzeci, jej spojrzenie spoczęło wreszcie na twarzy Sary. Uniosła dramatycznie pocztówkę i

otworzyła usta, okazując zdziwienie. Uśmiech w świetle lamp był sztuczny, ale jej ochroniarze tego nie zauważyli. Nim zdążyli zareagować, zerwała się na równe nogi i przemknęła przez salę jadalną; poruszała się płynnie, manewrując między ciasno ustawionymi stolikami. Sara wstała, by ją powitać. Elena ucałowała ją sztywno w oba policzki, po czym przyłożyła usta do ucha Sary. Do prawego ucha, zauważyła Sara. Tego, którego nie widzieli jej ochroniarze.

- Nie do wiary, że to pani! Co za cudowna niespodzianka! - Po czym dodała głosem, który sprawił, że Sara ze strachu dostała skurczu żołądka. - Będziecie ostrożni, prawda? Mój mąż jest bardzo niebezpiecznym człowiekiem.

Elena puściła Sarę i spojrzała na Michaiła, który podniósł się z krzesła i stał w milczeniu obok nich. Przyjrzała mu się uważnie, jak gdyby był obrazem na sztaludze, po czym wyciągnęła obwieszoną klejnotami rękę. Sara przedstawiła ich sobie.

- To jest mój bardzo dobry przyjaciel, Michael Danilov. Michael i ja pracujemy w tym samym biurze w Waszyngtonie. Jeśli nasi koledzy z pracy dowiedzieliby się, że jesteśmy tu razem, wybuchłby potworny skandal.

- O, więc mamy kolejną tajemnicę? Jak to, gdzie jest schowany klucz do pokoju dziecinnego? - Nie puszczała dłoni Michaiła. - Miło mi pana poznać.

- Cała przyjemność po mojej stronie, Mrs. Charków. Od dłuższego czasu podziwiałem sukcesy pani męża. Kiedy Sara

powiedziała mi, że spotkała się z państwem, wyjątkowo jej zazdrościłem.

Kiedy Elena usłyszała akcent Michaiła, na jej twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia. Sarze wydał się nienaturalny, tak jak chwilę wcześniej jej uśmiech.

- Jest pan Rosjaninem. - To nie było pytanie, lecz stwierdzenie.

- Tak naprawdę jestem amerykańskim obywatelem, ale owszem, urodziłem się w Moskwie. Moja rodzina przeprowadziła się do Stanów wkrótce po upadku komunizmu.

- To fascynujące. - Elena spojrzała na Sarę. - Nie wspomniała mi pani, że ma rosyjskiego narzeczonego.

- To osobista informacja, której raczej nie ujawnia się przy spotkaniach w interesach. Poza tym Michael jest moim tajnym rosyjskim narzeczoną. Michael tak naprawdę nie istnieje.

- Uwielbiam spiski - powiedziała Elena. - Musicie państwo zjeść ze mną lunch.

- Na pewno nie będziemy przeszkadzać?

- Na pewno chcecie państwo zjeść lunch z moimi dziećmi?

- Z największą przyjemnością.

- W takim razie jesteśmy umówieni.

Elena wezwała Jean-Luca i po francusku poprosiła go, żeby dostawił do kanapy kolejny stół dla jej przyjaciół. Zmarszczył brwi, wyduł wargi, po czym wyjaśnił jej bardzo dokładnie, jak ciasno ustawione są stoły w restauracji i że absolutnie niemożliwe jest dostawienie jeszcze jednego. Jedynym rozwiązaniem, zauważył

ostrożnie, jest zamiana miejsc między jej przyjaciółmi a dwoma towarzyszami pani Charków. Tym razem Elena wezwała Olega, szefa swojej ochrony. Jean-Luc zaprotestował, ale jego sprzeciw został obalony kilkoma ostrymi słowami, które nie wywołały skandalu w jadalni tylko dlatego, że zostały wypowiedziane potocznym rosyjskim.

Zamiana miejsc odbyła się szybko. Dwaj ochroniarze stali nachmurzeni przy końcu stołu, jeden z nich rozmawiał przez komórkę. Sara próbowała nie myśleć z kim. Zamiast tego skupiła wzrok na dzieciach. Były miniaturkami swoich rodziców: Nikołaj miał jasną cerę i kręłą sylwetkę; Anna była chuda i ciemna.

- Powinna pani zobaczyć zdjęcia Iwana i mnie, gdy byliśmy w ich wieku - powiedziała Elena, jak gdyby czytała w myślach Sary. - To naprawdę nie do wiary.

- Wyglądają zupełnie jak państwo.

- To prawda, od stóp do głów wyglądają jak my.

- A jakie mają usposobienie?

- Anna jest o wiele bardziej niezależna, niż ja byłam w dzieciństwie. Zawsze trzymałam się fartucha mamy. Anna żyje we własnym świecie. Lubi spędzać czas sama.

- A Nikołaj?

Elena milczała przez chwilę, zastanawiając się, czy ma udzielić wymijającej, czy też szczerzej odpowiedzi. Wybrała drugi wariant.

- Mój kochany Nikołaj jest o wiele bardziej uroczy od swojego ojca. Iwan zarzuca mi, że go za bardzo rozpieszczęm. Ojciec Iwana był chłodny i apodyktyczny. Obawiam się, że Iwan jest taki sam.

Rosyjscy mężczyźni nie zawsze są najlepszymi ojcami. Niestety przekazują tę cechę synom. - Spojrzała na Michaiła. - A jak pan uważa? - zapytała Michaiła po rosyjsku.

- Mój ojciec był matematykiem - odparł, także po rosyjsku. - Głowę miał zbyt wypełnioną liczbami, by często myśleć o synu. Ale był łagodny niczym anioł i nigdy nawet nie tknął alkoholu.

- W takim razie miał pan wyjątkowe szczęście. Słabość do alkoholu to kolejna cecha, którą nasi mężczyźni zwykle przekazują synom. - Uniosła kieliszek i przeszła z powrotem na angielski. - Chociaż muszę przyznać, że sama mam słabość do zimnego rose w ciepłe letnie dni, zwłaszcza do rose z winnic pod Saint-Tropez.

- Podzielim tę słabość - powiedziała Sara, unosząc kieliszek.

- Mieszkają państwo tu, w Saint-Tropez?

- Niedaleko - odparła Sara. - W Chateau de la Messardiere.

- Słyszałam, że to miejsce popularne wśród Rosjan.

- Powiedzmy, że nikogo nie zdziwił mój akcent - odparł Michaił.

- Mam nadzieję, że moi rodacy zachowują się odpowiednio.

- Raczej tak. Chociaż miał miejsce jeden drobny incydent, w hotelowym basenie, z udziałem moskiewskiego biznesmena w średnim wieku i jego bardzo młodej kochanki.

- Słyszałam, że takie rzeczy dzieją się dość często - powiedziała Elena. - My, Rosjanie, kochamy Francję, ale nie jestem wcale pewna, czy Francuzi kochają nas. Niektórzy z moich rodaków wciąż nie wiedzą, jak zachowywać się w dobrym towarzystwie. Lubią pić

wódkę zamiast wina. I lubią afiszować się ze swoimi pięknymi, młodymi kochankami.

- Francuzi lubią każdego, kto ma pieniądze i władzę - powiedział Michaił. - A Rosjanie obecnie mają i jedno, i drugie.

- Żebyśmy tylko mogli nauczyć się manier. - Elena odwróciła wzrok od Michaiła i spojrzała na Sarę. - A właśnie, odpowiedź na pani pytanie brzmi tak.

Sara przez chwilę nie wiedziała, o co chodzi. Elena postukała palcem w pocztówkę.

- Cassatt - powiedziała. - Podoba mi się. Nawet bardzo. Nie wiem, Saro, czy pani wie, ale jestem właścicielką sześciu innych obrazów autorstwa madame Cassatt. Znam się na jej pracach wyjątkowo dobrze. Ten to chyba mój ulubiony.

- Cieszę się, że tak pani uważa. To zmniejsza ból po rozstaniu.

- Trudno było się pani z nim rozstać?

- Pierwszej nocy owszem. A rano jeszcze gorzej.

- W takim razie musi pani go jeszcze raz zobaczyć. Jest tutaj.

- Nie chcielibyśmy się narzucać.

- To nic takiego. Co więcej, nalegam, żebyście przyszli państwo jutro. Zjemy lunch, popływamy w basenie. I oczywiście pokażę pani obraz - dodała, jakby zdążyła o tym zapomnieć.

Pojawił się kelner, postawił przed dziećmi *steak hache avec pomme frites*. Elena poprosiła Sarę i Michaiła, żeby spojrzeli w kartę dań, i właśnie otwierała swoją, kiedy zaćwierkała jej komórka. Rozmowa trwała krótko i była prowadzona po rosyjsku. Kiedy

dobiegła końca, Elena zamknęła głośno telefon i położyła go na stole przed sobą. Spojrzała na Sarę i posłała jej kolejny sztuczny uśmiech, oświetlony sztucznym światłem.

- Iwan miał zamiar wypłynąć jachtem na morze dziś po południu, ale postanowił przyłączyć się i zjeść z nami lunch. Jest w porcie. Będzie tu za parę minut.

- Jak miło - powiedziała Sara.

Elena zamknęła kartę dań i spojrzała na ochroniarzy.

- Tak - powiedziała. - Iwan potrafi być bardzo troskliwy, kiedy ma na to ochotę.

38

SAINT-TROPEZ, FRANCJA

Przyjazd Iwana, znany później w słowniku operacji jako „przybycie”, nastąpił dokładnie czterdzieści siedem sekund po tym, jak Elena położyła komórkę na białym obrusie. Chociaż w chwili gdy rozmawiali, Iwan był ledwie trzysta metrów dalej, postanowił przebyć dzielącą ich odległość w opancerzonym mercedesie, a nie na piechotę, na wypadek gdyby w tłumie ludzi przechadzających się powoli po nabrzeżu Starego Portu czaił się któryś z jego wrogów. Samochód z rykiem wjechał na Place de l’Hôtel de Ville i zatrzymał się gwałtownie o parę metrów od wejścia do Grand Joseph. Iwan odczekał na tylnym siedzeniu piętnaście sekund, dość, by wzbudzić wewnątrz restauracji szepty i intensywne spekulacje, kim jest, z

jakiego kraju i czym się zajmuje. Wyskoczył z samochodu niczym zawodowy bokser biegnący ze swojego narożnika, by dobić nieszczęsnego rywala. Gdy znalazł się wewnątrz restauracji, ponownie zatrzymał się w wejściu, tym razem, by przyjrzeć się sali i by sala przyjrzała się jemu. Miał na sobie luźne spodnie z czarnego lnu i koszulę z błyszczącej białej bawełny. Włosy koloru stali były pokryte świeżą warstwą brylantyny, a na lewym nadgarstku nosił zegarek rozmiarów zegara słonecznego. Zabłysnął niczym zrabowany skarb, gdy Iwan ruszył żwawym krokiem ku stolikom.

Nie usiadł od razu. Zamiast tego stał przez chwilę za plecami Eleny. Położył ręce na jej szyi, tak jakby była jego własnością. Twarze Nikołaja i Anny rozjaśniły się na widok taty, w odpowiedzi jego twarz także złagodniała. Powiedział do nich coś po rosyjsku, na co dzieci wybuchnęły śmiechem, a Michaił się uśmiechnął. Widać było, że Iwan to zapamiętał. Następnie spojrzeniem niczym reflektorem omiółł stolik i zatrzymał wzrok na Sarze. Ostatnim razem, kiedy Iwan ją widział, miała na sobie dostarczone przez Gabriela nietwarzowe ubranie. Teraz nosiła cienką brzoskwiniową sukienkę, która na jej ciele dawała wrażenie zakrywanej nagości. Iwan przyglądał się bez skrępowania, jak gdyby rozważał dodanie jej do kolekcji. Sara wyciągnęła dłoń, bardziej w celach obronnych niż jako oznakę przyjaźni, ale Iwan zignorował ten gest i pocałował ją w policzek. Jego szorstka skóra pachniała olejkiem kokosowym i jakąś kobietą.

- Pani Saro, widzę, że Saint-Tropez pani służy. Czy jest tu pani pierwszy raz?

- Przyjeżdżałam tu od czasu, kiedy byłam małą dziewczynką.

- Tu też ma pani wujka?

- Iwan! - burknęła Elena.

- Żadnych wujków. - Sara się uśmiechnęła. - Po prostu od dawna jestem zakochana w południu Francji.

Iwan zmarszczył brwi. Nie lubił, gdy mu przypominano, że ktokolwiek, a zwłaszcza młoda kobieta z Zachodu, był gdzieś albo zrobił coś przed nim.

- Czemu nic pani nie wspomniała w zeszłym miesiącu, że tu pani będzie? Mogliśmy się jakoś umówić.

- Nie wiedziałam, że pan tu bywa.

- Naprawdę? Wszystkie gazety o tym pisały. Mój dom należał do kogoś z brytyjskiej rodziny królewskiej. Kiedy go kupiłem, londyńskie gazety dostały szału.

- Jakoś przegapiłam.

Sarę po raz kolejny zdumiał monotony akcent Iwana, gdy mówił po angielsku. Czuła się, jakby przemawiał do niej prezydent angielskojęzycznego programu Radia Moskwa. Iwan spojrzał na Michaiła, po czym jego wzrok spoczął z powrotem na Sarze.

- Nie przedstawi mnie pani swojemu przyjacielowi? - spytał. Michaił wstał i wyciągnął dłoń.

- Nazywam się Michael Danilov. Sara i ja pracujemy razem w Waszyngtonie.

Iwan schwycił wyciągniętą dłoń i ścisnął ją z miażdżącą siłą.

- Michael? Co to za imię dla Rosjanina?

- Imię, dzięki któremu mniej wyglądam na chłopaka z Moskwy, a bardziej na Amerykanina.

- Do diabła z Amerykanami - oświadczył Iwan.

- Obawiam się, że znajduje się pan w towarzystwie jednego z Amerykanów.

- Może dałoby się to zmienić. Rozumiem, że naprawdę ma pan na imię Michaił?

- Tak, oczywiście.

- W takim razie będę nazywał pana Michaiłem, przynajmniej przez resztę popołudnia. - Złapał przechodzącego kelnera za ramię. - Więcej wina dla kobiet, proszę. I butelkę wódki dla mnie i mojego nowego przyjaciela, Michaiła.

Usadowił się na kanapie, Sara siedziała po jego prawej stronie, a Michaił na wprost. Lewą ręką nalewał lodowatą wódkę do szklanki Michaiła, tak, jakby to było serum prawdy. Prawe ramię zarzucił na oparcie kanapy. Gładka bawełna jego koszuli ocierała się o nagie ramiona Sary.

- Więc jest pan przyjacielem Sary? - zapytał Michaiła.

- Zgadza się.

- Jakiego rodzaju przyjacielem?

Elena po raz kolejny sprzeciwiła się bezpośredniości Iwana i ten po raz kolejny ją zignorował. Michaił ze stoickim spokojem wypił

kieliszek wódki i ukradkowym skinieniem głowy dał do zrozumienia, że on i Sara są bardzo dobrymi przyjaciółmi.

- Przyjechaliście do Saint-Tropez razem? - zapytał Iwan, dolewając wódki do pustej szklanki.

- Tak.

- Mieszkacie razem?

- Owszem - odparł Michaił.

- W Chateau de la Messardiere - dodała Elena pomocnie.

- Podoba się tam panu? Obsługa dobrze państwa traktuje?

- To naprawdę urocze miejsce.

- Powinniście państwo zatrzymać się u nas, w Villa Soleil. Mamy tam domek dla gości. Tak naprawdę mamy trzy, ale kto by tam liczył.

Ty, pomyślała Sara, ale odpowiedziała uprzejmie:

- To bardzo miło i hojnie z pańskiej strony, panie Charków, ale naprawdę nie chcielibyśmy się narzucać. Poza tym za nasz hotel zapłaciliśmy z góry.

- To tylko pieniądze - odparł Iwan lekceważącym tonem kogoś, kto ma ich nadmiar. Spróbował dolać wódki do szklanki Michaiła, ale ten zakrył ją ręką.

- Dziękuję, już dość wypilem. Dwie szklanki to mój limit. Iwan udał, że go nie usłyszał, i nalał trzecią szklankę, po czym wznowił przesłuchanie.

- Rozumiem, że pan także mieszka w Waszyngtonie?

- O parę przecznic od Kapitolu.

- Czy mieszka pan razem z Sarą?

- Iwan!

- Nie, panie Charków. Tylko pracujemy razem.

- Gdzie?

- W Centrum Demokracji Dillarda. To organizacja non profit, mająca za cel promowanie demokracji na świecie. Sara prowadzi nasze działania w Afryce Środkowej. Ja zajmuję się komputerami.

- Chyba słyszałem o tej organizacji. Parę lat temu wtrącaliście się w rosyjskie interesy.

- Mamy bardzo aktywny program w Europie Wschodniej - powiedziała Sara. - Ale nasze działania w Rosji zostały zamknięte przez rosyjskiego prezydenta. Nie przepadał za nami.

- Miał rację, że zamknął waszą placówkę. Czemu Amerykanie czują taką potrzebę, by narzucać siłą demokrację reszcie świata?

- Nie wierzy pan w demokrację, panie Charków?

- Demokracja jest dobra dla tych, którzy chcą być demokratyczni, pani Saro. Ale niektóre kraje po prostu jej nie chcą. Są też takie, gdzie grunt pod nasiona demokracji nie został odpowiednio przygotowany. Irak jest tego dobrym przykładem. Udaliście się do Iraku w imię ustanowienia demokracji w samym sercu muzułmańskiego świata. Cel był szczytny, ale ludzie nie są na to gotowi.

- A Rosja? - zapytała.

- My mamy demokrację. Wybieramy nasz parlament. Prezydenta też.

- W rosyjskim systemie nie ma miejsca na realną opozycję, a bez niej demokracja nie może istnieć.

- Może w waszej demokracji. Ta demokracja działa w Rosji i Rosja musi mieć prawo zajmować się własnymi sprawami bez zagładania jej przez ramię i krytykowania każdego jej posunięcia. Wolałaby pani, żebyśmy wrócili do chaosu lat dziewięćdziesiątych, kiedy Jelcyn umieścił naszą przyszłość w rękach amerykańskich doradców gospodarczych i politycznych? Czy to właśnie pani i pani przyjaciele chcecie nam narzucić?

Elena ostrożnie zaproponowała zmianę tematu.

- Iwan ma wielu przyjaciół w rządzie rosyjskim - wyjaśniła. - Krytykowanie ich bierze bardzo do siebie.

- Panie Charków, nie chciałam pana urazić. Pańskie uwagi są bardzo interesujące.

- Ale niesłuszne?

- Ja i Centrum Dillarda mamy nadzieję, że Rosja pewnego dnia stanie się demokracją prawdziwą, nie sterowaną.

- Dni rosyjskiej demokracji już nastały. Ale moja żona jak zawsze ma rację. Powinniśmy zmienić temat. - Spojrzał na Michaiła. - Dlaczego pańska rodzina wyjechała z Rosji?

- Mojemu ojcu wydawało się, że w Ameryce będzie miał większe możliwości niż w Moskwie.

- Pański ojciec był dysydem?

- Nie, nawet należał do partii. Był nauczycielem.

- I udało mu się znaleźć te możliwości?

- Uczył matematyki w liceum w Nowym Jorku. Tam się wychowałem.

- Był nauczycielem? Poleciał aż do Ameryki, żeby zostać nauczycielem? Co za człowiek porzuca własny kraj, żeby uczyć w innym? Powinien pan naprawić popełnione przez ojca głupstwo i wrócić do Rosji. Nie poznałby pan Moskwy. Nasz kraj potrzebuje ludzi takich jak pan, żeby budować przyszłość. Może nawet znalazłbym dla pana miejsce w mojej organizacji.

- Lubię swoją pracę, ale dziękuję za propozycję.

- Przecież jeszcze nawet jej pan nie wysłuchał. Iwan się uśmiechnął. Grymas na jego twarzy był równie przyjemny co nagłe pęknięcie lodu na zamrożonym jeziorze. Elena po raz kolejny przeprosiła.

- Musi pan wybaczyć mojemu mężowi. Nie jest przyzwyczajony, by mu odmawiać. - Zwróciła się do Iwana. - Kochanie, może spróbujesz jeszcze raz jutro. Sara i Michael przyjdą do nas po południu.

- Wspaniale - powiedział. - Wyślę po państwa samochód.

- Mamy samochód - odparł Michaił. - Na pewno trafimy.

- Niech pan nie gada głupstw. Wyślę po państwa prawdziwy samochód.

Iwan otworzył kartę dań i nalegał, żeby inni też to zrobili. Następnie nachylił się do Sary, tak że jego klatka piersiowa opierała się o jej nagie ramiona.

- Proszę wziąć sajgonki z homarem i mango na przystawkę - powiedział. - Obiecuję, że to odmieni pani życie.

39

GASSIN, FRANCJA

W starym kamiennym gospodarstwie pod Gassin kolacja tego wieczora została zjedzona w pośpiechu: bagietki z serem, sałatka, pieczone kurczaki z miejscowej *charcuterie*. Ogryzione kości leżały na stole na zewnątrz niczym padlina, razem z piętą chleba i trzema pustymi butelkami po wodzie mineralnej. Na jednym końcu stołu leżał folder turystyczny, reklamujący rejsy wędkarskie w głąb morza, w którym większość ryb już dawno wyginęła. Wyglądał jak zwykły śmieć, poza tym, że na zdjęciu młodego chłopca z dwa razy od niego większym tuńczykiem widniała napisana pospiesznie wiadomość. Sporządził ją Michaił i wykorzystując klasyczny manewr, przekazał na Place Carnot Jakowowi. Gabriel wpatrywał się w pismo, jak gdyby siłą woli próbował zmienić treść wiadomości. Eli Lawon przyglądał mu się z podbródkiem opartym na dłoni, niczym mistrz szachowy proszący słabszego przeciwnika, by albo się poruszył, albo poddał.

- To chyba ustalenia co do transportu najbardziej mnie niepokoją - powiedział wreszcie Lawon, próbując pobudzić Gabriela do działania. - Chyba niezbyt podoba mi się to, że Iwan nie pozwala im przyjechać własnym samochodem.

- Może po prostu lubi rządzić innymi. - Ton głosu Gabriela był niepewny, tak, jakby podawał jedno z możliwych wyjaśnień, a nie był całkowicie przekonany. - Może nie chce mieć obcych samochodów w swojej posiadłości. W obcych samochodach może znajdować się obcy sprzęt elektroniczny. Czasami nawet w obcych samochodach bywają bomby.

- A może chce ich zabrać na przejażdżkę w poszukiwaniu ogona, nim wpuści ich do siebie. A może po prostu daruje sobie wszelkie uprzejmości i od razu ich zabije.

- Eli, on ich nie zabije.

- Jasne, że nie - odparł z sarkazmem Lawon. - Iwan nigdy by ich nie tknął. Przecież nigdy nie zabił w biały dzień w Bazylice Świętego Piotra przysparzającego mu kłopotów dziennikarza. - Podniósł kartkę z zapisem przechwyconej przez NSA rozmowy telefonicznej. - Pięć minut po wyjściu z restauracji zadzwonił do Arkadego Miedwiediewa, szefa swojej prywatnej ochrony, i kazał mu sprawdzić pochodzenie ojca Michaiła oraz Centrum Dillarda.

- A kiedy je sprawdzą, dowie się, że ojciec Michaiła rzeczywiście był nauczycielem, który wyemigrował do Ameryki na początku lat pięćdziesiątych. Zobaczy również, że Centrum Dillarda ma niewielkie biuro przy Massachusetts Avenue w Waszyngtonie.

- Iwan zna się na przykrywkach, a zwłaszcza na sztucznych firmach kryjących CIA. KGB było w tym zawsze lepsze od Langley. Rosjanie mieli sieć przykrywek na całym świecie, niektóre z nich bez

wątpienia prowadził ojciec Iwana. Iwan wysłał sztukę szpiegowską z mlekiem matki. Ma ją w genach.

- Gdyby Iwan miał wątpliwości co do Sary i Michała, nie pozwoliby im się do siebie zbliżyć. Odepchnąłby ich. Dałby też Elenie do zrozumienia, że ma przestać się z nimi spotykać.

- Wcale nie. Iwan jest z KGB. Gdyby podejrzewał, że coś jest z nimi nie w porządku, zachowałby się właśnie tak. Nasłałby na nich obserwatorów. Zainstalowałby w ich pokoju podsłuch, żeby upewnić się, że są tymi, za których się podają. I zaprosiłby ich na lunch, by się wywiedzieć, ile wiedzą o jego siatce.

Gabriel milczeniem przyznał mu rację.

- Odwołaj lunch - powiedział Lawon. - Zorganizujemy drugie spotkanie.

- Jeśli go odwołamy, Iwan będzie wiedział, że coś jest nie tak. I nie ma szans, by uwierzył w drugie przypadkowe spotkanie. Dość czasu spędziliśmy na flirtowaniu. Elena najwyraźniej jest zainteresowana. Czas zacząć rozmowy o skonsumowaniu związku. Jedyne sposoby, by z nią porozmawiać, to pójść na lunch do domu Iwana.

Lawon podniósł kostkę kurczaka w poszukiwaniu resztek mięsa.

- Mam ci przypomnieć, dla kogo pracuje Sara? Czy mam ci też przypomnieć, że Adrian Carter może nie zgodzić się z twoją decyzją, by wysłać ją tam jutro?

- Może i Sara pracuje dla Langley, ale należy do nas. A jeśli chodzi o decyzję, co robimy, to jeszcze jej nie podjąłem.

- Co masz zamiar zrobić, Gabrielu?

- Posiedzę tu trochę i pomyślę.

Lawon cisnął kostkę na stos i oparł podbródek o dłoń.

- Pomogę ci.

40

SAINT-TROPEZ, FRANCJA

Następnego dnia nadszedł upał. Przybył wraz z pałącym południowym wiatrem - ostrym, suchym, niosącym pył. Piesi, którzy wypuścili się do centrum miasteczka, trzymali się niosącego tylko odrobinę ulgi cienia, podczas gdy na wybrzeżu, od Baie de Pampelonne do Cap Cartaya, plażowicze leżeli bez ruchu pod parasolami albo pławili się w płytkiej wodzie. Kilku obłąkańców wyciągnęło się na piasku; późnym porankiem wyglądali jak ofiary bitwy na pustyni. W południe lokalne radio ogłosiło, że był to oficjalnie najgorętszy dzień w historii Saint-Tropez. Wszyscy się zgodzili, że to wina Amerykanów.

Wydawało się, że posiadłość Iwana Charkowa przy Baie de Cavalaire ominęła furia upału. Zaraz za czterometrowymi murami leżał duży okrągły podjazd, przy którym w fontannach pluskały się nimfy, a kwiaty wystrzelały z grządek wyjętych prosto z hotelowego folderu. Sama willa stała oparta o skalistą linię brzegową, narzucając własne piękno cudownemu krajobrazowi. Bardziej przypominała pałac niż dom, ze swoimi niekończącymi się szeregami loggii,

marmurowymi korytarzami, pełnymi posągów salami oraz przestronnymi salonami, w których białe zasłony powiewały na nieustającej bryzie niczym grotzagle. Wszystkie skrzydła domu zdawały się mieć wyjątkowe dla siebie widoki na morze. I każdy widok, pomyślała Sara, zapiera dech w piersi jeszcze bardziej niż poprzedni.

Spotkali wreszcie Elenę na końcu długiej, chłodnej kolumnady z marmurową posadzką w szachownicę. Miała na sobie bluzkę bez ramiączek oraz długą do stóp spódnicę, która błyszczała przy każdym poruszeniu. Iwan stał obok z kieliszkiem chłodnego, ale szybko ogrzewającego się w dłoni wina. Znowu był ubrany w czerń i biel, jak gdyby chciał podkreślić, że składa się z przeciwieństw. Tym razem jednak kolory były odwrócone: miał czarną koszulę i białe spodnie. Gdy przywitali się niczym starzy, dawno niewidziani przyjaciele, zegarek na jego dłoni błysnął w słońcu i oświetlił twarz Sary. Nim obdarował Sarę wilgotnym pocałunkiem i podmuchem mocnej wody kolońskiej, odstawił kieliszek na cokół jednego z posągów. Rzeźba była grecka i przedstawiała nagą kobietę. Sara pomyślała złośliwie, że przez moment była to najdroższa podstawka pod kieliszek na świecie.

Od razu stało się jasne, że Iwan zamienił zaproszenie Eleny na cichy lunch i kąpiel w basenie na bardziej ekstrawagancką imprezę. Na tarasie wzdłuż kolumnady stał stół nakryty na dwadzieścia cztery osoby. W basenie rozmiarów niewielkiej zatoki pluskało się kilka młodych, atrakcyjnych dziewczyn, obserwowanych przez siedzących na sofach i szezlongach kilkunastu Rosjan w średnim wieku. Iwan

przedstawił gości tak, jakby byli kolejną jego własnością. Jeden z nich miał coś wspólnego z niklem, inny handlował drewnem, a jeden, o twarzy lisa, prowadził w Genewie firmę ochrony osobistej i korporacyjnej. Dziewczyny w basenie przedstawił hurtem, jakby nie miały imion, tylko przeznaczenie. Jedną z nich była Katierina, kochanka Iwana, supermodelka, kapryśna dziewiętnastolatka o pięknych ramionach, nogach i piersiach opalonych na przepiękny karmel. Zmierzyła Sarę nieprzyjaznym spojrzeniem, jakby była potencjalną rywalką, po czym wskoczyła do basenu niczym delfin i zniknęła pod powierzchnią wody.

Sara i Michaił usadowili się między żoną magnata niklowego, najwyraźniej bardzo znudzoną, oraz handlarzem drewnem, który był sympatyczny, ale nieciekawy. Iwan i Elena wrócili na taras, na który przybywali kolejni goście w hałaśliwych gromadkach. Szli falami po schodach, niczym rewolucjoniści szturmujący Pałac Zimowy, a z każdą nową grupą hałas i intensywność imprezy się wzmagaly. Pojawiło się kilka butelek zamrożonej wódki; z niewidzialnych głośników pulsowała muzyka dance. Na taras wystawiono drugi stół z lunchem, potem trzeci. Duży basen wkrótce zaczął wyglądać jak jedna z fontann Iwana, w której brzuchaci milionerzy i muskularni ochroniarze popychali i obłapiali ponętne nimfy. Elena przechodziła z gracją od grupy do grupy, całując gości i dolewając im wina. Iwan był powściągliwy, patrzył na ogólną wesołość tak, jak gdyby to było przedstawienie przygotowane dla jego własnej rozrywki.

Była prawie trzecia, kiedy wezwano wszystkich na lunch. Sara doliczyła się siedemdziesięciorga gości, ale z kuchni Iwana, niczym za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, pojawiło się tyle jedzenia, że można by nim było wyżywić dwukrotną ich liczbę. Usiadła obok Michaiła przy końcu stołu, blisko Iwana, w zasięgu zapachu jego wody kolońskiej. Posiłek był dla obżartuchów; Iwan jadł dużo, ale bez przyjemności, pochłaniał jedzenie pogrążony w swoich myślach. Pod koniec posiłku humor mu się poprawił, gdy pojawili się Anna i Nikołaj z Sonią, ich rosyjską nianią. Dzieci usiadły mu razem na kolanach, schwycone przez jego wielkie ramię.

- Tych dwoje to cały mój świat - powiedział wprost do Sary. - Gdyby kiedykolwiek coś im się stało... - Umilkł, jak gdyby nie mógł znaleźć odpowiednich słów. - Niech Bóg ma w opiece człowieka, który spróbowałby skrzywdzić moje dzieci - dodał złowieszczo.

W ten sposób lunch skończył się dziwnie ponurą nutą, chociaż pozostali nie zwrócili na to uwagi. Goście wstali od stołu i zaczęli schodzić w stronę basenu, by jeszcze raz się wykąpać. Iwan puścił dzieci i wstając, złapał Michaiła za nadgarstek.

- Proszę nie iść sobie zbyt szybko - powiedział. - Obiecał pan dać mi szansę przekonania pana do powrotu do Rosji i podjęcia pracy dla mnie.

- Jakoś nie przypominam sobie, że bym składał podobną obietnicę.

- Ale ja pamiętam bardzo dokładnie i tylko to się liczy. - Wstał i uśmiechnął się czarująco do Sary. - Potrafię być bardzo przekonujący. Na pani miejscu zacząłbym planować przeprowadzkę do Moskwy.

Zaprowadził Michaiła w odległy róg tarasu i stanęli w cieniu altany. Sara spojrzała na Elenę. Dzieci siedziały jej na kolanach w wyjątkowo uroczej pozie, co stanowiło przeciwwagę dla agresywności Iwana.

- Wygląda pani jak z obrazu Mary Cassatt.

- Przyjmuję to za komplement.

Elena pocałowała Annę w policzek i wyszeptała jej coś do ucha, na co dziewczynka pokiwała głową i uśmiechnęła się. Następnie wyszeptała coś do Nikołaja, co wywołało tę samą reakcję.

- Mówi im pani coś niesympatycznego o mnie? - zapytała żartobliwie Sara.

- Zdaniem dzieci jest pani bardzo ładna.

- Proszę im powiedzieć, że moim zdaniem one też są bardzo ładne.

- Zastanawiają się również, czy nie chciałyby pani zobaczyć ich pokoju. Wisi w nim nowy obraz i bardzo chcą, by pani go obejrzała.

- Proszę powiedzieć dzieciom, że z wielką przyjemnością.

- Proszę za mną - powiedziała Elena. - Dzieci wskażą nam drogę.

Przemknęli niczym ptaki wzdłuż kolumnady, skacząc po szachownicy na marmurowej posadzce. Gdy wchodzili po wielkich

głównych schodach, Nikołaj udawał, że jest straszliwym rosyjskim niedźwiedziem, a Sara - że strasznie się go boi. U szczytu schodów Anna złapała Sarę za rękę i pociągnęła wzdłuż oświetlonego łagodnym światłem pięknego korytarza. Kończył się pokojem dzieciennym, który wcale nie był pokojem, ale wielkim apartamentem. *Dwoje dzieci na plaży* wisiało w przedsionku, obok obrazu Degasa o podobnych wymiarach, przedstawiającego młodego tancerza. Elena Charków, studentka historii sztuki i była pracowniczka Ermitażu w Leningradzie, bez wysiłku przeobraziła się w przewodniczkę.

- Cassatt i Degas znali się całkiem nieźle. Co więcej, Degas miał wielki wpływ na jej prace. Uznałam, że powinni wisieć obok siebie.

- Spojrzała na Sarę i uśmiechnęła się lekko. - Jeszcze dwa tygodnie temu byłam przekonana, że ten obraz naprawdę namalował Degas. Teraz nie jestem już tego taka pewna.

Elena odesłała dzieci, żeby się pobawiły. Pod ich nieobecność w przedsionku zapadła głucha cisza. Kobiety stały oddzielone o trochę ponad metr, Elena przed Degasem, Sara przed Cassatt. Nad nimi niczym gargulec wisiała kamera.

- Kim pani jest? - zapytała Elena, patrząc prosto przed siebie.

- I dlaczego jest pani w moim domu?

Sara podniosła wzrok i spojrzała z obawą na kamerę.

- Proszę się nie obawiać - powiedziała Elena. - Iwan obserwuje nas, ale nie słucha. Dawno temu powiedziałam mu, że nigdy nie zamieszkam w domu pełnym mikrofonów. Przysiągł mi, że ich nie założy.

- I wierzy mu pani?

- W tej sprawie owszem. Proszę pamiętać, że mikrofony wylapiają głos każdego, w tym Iwana. Sygnały z nich mogą być przechwytywane przez władze i agencje wywiadowcze. - Przerwała. - Sądziłam, że pani powinna o tym wiedzieć. Kim pani jest? Dla kogo pani pracuje?

Sara patrzyła przed siebie, podziwiając doskonale pociągnięcia pędzla Gabriela. „Pod żadnym pozorem nie mów jej, jak się naprawdę nazywasz ani czym się zajmujesz, kiedy jesteś na wrogim terenie - powiedział jej. - Twoja przykrywka jest najważniejsza. Niech będzie twoją zbroją, zwłaszcza na gruncie Iwana”.

- Nazywam się Sara Crawford. Pracuję w Centrum Demokracji Dillarda w Waszyngtonie. Po raz pierwszy spotkaliśmy się na wzgórzach Cotswolds, kiedy kupiła pani od mojego wuja obraz Mary Cassatt.

- Saro, pospiesz się. Nie mamy zbyt dużo czasu.

- Eleno, jestem twoim sprzymierzeńcem. Bardzo ważnym sprzymierzeńcem. Jestem tu, by pomóc ci dokończyć to, co zaczęłaś. Chcesz nam powiedzieć coś o swoim mężu. Ja chcę cię wysłuchać.

Elena przez moment milczała.

- Saro, on cię bardzo lubi. Czy od początku stawiałaś sobie za cel uwiedzenie mojego męża?

- Eleno, zapewniam cię, że twój mąż nie jest mną zainteresowany.

- Skąd możesz mieć pewność?

- Bo przyprowadził do twojego domu kochankę. Elena spojrzała gwałtownie na Sarę.

- Która to?

- Katierina.

- To niemożliwe. Jest jeszcze dzieckiem.

- To dziecko mieszka w apartamencie w hotelu Carlton. Iwan płaci jej rachunki.

- Skąd wiesz?

- Eleno, my wiemy takie rzeczy. Wiemy wszystko.

- Okłamujesz mnie. Próbujesz...

- Próbujemy ci pomóc. A jedyne kłamstwa, które opowiadamy, to te potrzebne, by zwieść Iwana. Nie okłamaliśmy cię, Eleno, i nigdy nie okłamiemy.

- Skąd wiecie, że się z nią widuje?

- Bo go śledzimy. Podsluchujemy go. Widziałaś perły, które dzisiaj założyła?

Elena ledwie zauważalnie skinęła głową.

- Dał jej te perły w czerwcu, gdy poleciał do Paryża. Pamiętasz, Eleno, jego podróż do Paryża? Byłaś w Moskwie. Iwan powiedział, że musiał tam polecieć w interesach. Oczywiście było to kłamstwo. Poleciał spotkać się z Katierina. Zadzwoił do ciebie trzy razy, gdy był w jej mieszkaniu. Odebrałaś trzeci telefon podczas lunchu z przyjaciółkami w Cafe Puszkina. Mamy zdjęcie, jeśli chciałabyś je zobaczyć.

Elena była zmuszona przyjąć wiadomość o zdradzie męża z uśmiechem na twarzy - kamery Iwana patrzyły beznamiętnie. Sarę korciło, by oszczędzić jej reszty. Nie zrobiła jednak tego ze względu na nienawiść do Iwana.

- Katierina sądzi, że jest jedyna, ale to nieprawda. Jest jeszcze stewardesa, Tatiana. Była też pewna dziewczyna w Londynie, Ludmiła. Obawiam się, że Iwan potraktował ją bardzo źle. Wszystkie w końcu źle traktuje.

Do oczu Eleny napłynęły łzy.

- Eleno, proszę cię, nie płacz. Iwan może nas obserwować. Musisz się uśmiechać, kiedy mówię ci te wszystkie okropności.

Elena podeszła do Sary, zetknęły się ramionami. Sara czuła, że Elena drży. Nie wiedziała, czy ze strachu, czy ze smutku.

- Od jak dawna mnie obserwujecie?

- To bez znaczenia, Eleno. Ważne jest, żebyś dokończyła to, co zaczęłaś.

Elena zaśmiała się cicho do samej siebie, jak gdyby uwaga Sary była odrobinę zabawna. Omiotła spojrzeniem powierzchnię obrazu, równocześnie sprawdzając palcami fakturę fałszywej krakelury.

- Nie macie prawa zaglądać w moje prywatne życie.

- Nie mieliśmy wyboru.

Elena zamilkła. Przez moment Sara słyszała inny głos. "Połóż przed nią ostrożnie umowę i pióro. Ale nie naciskaj, żeby podpisała. Sama musi podjąć tę decyzję. Inaczej będzie dla nas bezużyteczna".

- Nie zawsze był taki - odezwała się w końcu Elena. - Nawet gdy pracował dla KGB. Może ci się to wyda dziwne, ale kiedy pierwszy raz go spotkałam, Iwan był naprawdę czarujący.

- Wcale nie jest mi trudno w to uwierzyć. Wciąż bywa uroczy.

- Kiedy chce. - Wciąż dotykała krakelury. - Kiedy pierwszy raz spotkałam Iwana, powiedział, że pracuje w jakimś potwornym biurze rolniczym. Parę tygodni później, kiedy już się w sobie zakochaliśmy, powiedział mi prawdę. Ledwie mu uwierzyłam. Nie potrafiłam sobie wyobrazić, by taki taktowny, odrobinę wstydlivy młody mężczyzna zamykał dysydentów w gułagach i szpitalach psychiatrycznych.

- Co się stało?

- Pieniądze. Pieniądze wszystko zmieniły. Rosję także. Pieniądze to nowe KGB Rosji. Pieniądze władają naszym życiem. A pogoń za pieniędzmi powstrzymuje nas od zadawania pytań o działania naszego, tak zwanego, demokratycznego rządu.

Elena sięgnęła ku twarzy chłopca na obrazie i pogłaskała pęknięcia na jego policzku.

- Ten, kto to zrobił, jest całkiem niezły - powiedziała. - Znasz go?

- Nawet bardzo dobrze. - Na moment zapadła cisza. - Chciałabyś go poznać?

- Kim on jest?

- To bez znaczenia. Ważne tylko, żebyś zgodziła się z nim spotkać. Próbuje ocalić życie niewinnych ludzi. Potrzebuje twojej pomocy.

Palec Eleny przesunął się na twarz drugiego dziecka na obrazie.

- Jak możemy to zrobić? Iwan widzi wszystko.

- Obawiam się, że będziemy musieli trochę skłamać.

- Jak?

- Chcę, żebyś spędziła resztę popołudnia, flirtując z Michailem - powiedziała Sara. - Michał powie ci wszystko, co musisz wiedzieć.

BlackBerry Sary miał funkcję, której nie można było znaleźć w normalnych modelach: możliwość zakodowania i wystrzelenia wiadomości do najbliższego przekaźnika w ułamku sekundy. Wiadomość, którą przesłała tego wieczora, wywołała wielką radość w willi w Gassin. Gabriel natychmiast przesłał informację do serwisu operacyjnego przy Bulwarze Króla Saula oraz do centrum globalnych operacji w kwaterze głównej CIA w Langley. Następnie zebrał swój zespół i razem nanieśli ostatnie poprawki na kolejną fazę operacji. Małe kłamstwo, które mieli powiedzieć Iwanowi. Małe kłamstwo, mające skryć o wiele większe.

41

SAINT-TROPEZ, FRANCJA

Burze nadeszły od strony nadmorskich Alp po północy i rozpoczęły istne oblężenie wokół fortecy Iwana Charkowa przy Baie de Cavalaire. Nawałnica nie obudziła jednak Eleny Charków. Spędziła już dwie nieprzespane noce i wzięła podwójną dawkę środków

usypiających. Teraz budziła się z oporem, stopniowo, jak nurek wynurzający się na powierzchnię z wielkiej głębi. Leżała przez pewien czas bez ruchu z zamkniętymi oczami. Skronie jej pulsowały, nie mogła przypomnieć sobie swoich snów. Wreszcie sięgnęła na ślepo na stronę łóżka należąca do Iwana i jej dłoń pogłaskała ciepłe, gibkie ciało młodej dziewczyny. Przez moment bała się, że Iwan był wyjątkowo zuchwały i przyprowadził Katierinę do łóżka, lecz kiedy otworzyła oczy, zobaczyła Annę. Dziecko miało na nosie złote okulary Iwana i pisało jego złotym wiecznym piórem na odwrocie jakichś ważnych dokumentów. Elena uśmiechnęła się pomimo bólu głowy.

- Poproś Marię, żeby przygotowała mi kawę z mlekiem. Bardzo dużą kawę.

- Jestem bardzo zajęta. Pracuję, jak tatuś.

- Aniu, przynieś mi kawę albo spuszczę ci srogie lanie.

- Ale przecież nigdy nie spuściłaś mi jeszcze lania.

- Nigdy nie jest za późno, by zacząć. Anna uparcie pisała dalej.

- Aniu, błagam cię. Mama nie czuje się najlepiej.

Dziecko westchnęło ciężko; następnie, naśladowując perfekcyjnie gest ojca, cisnęła papiery i pióro na stolik, udając złość, po czym odrzuciła koc. Kiedy zaczęła wychodzić z łóżka, Elena nagle wyciągnęła dłoń i przyciągnęła ją bliżej.

- Myślałam, że chcesz kawę.

- Tak, ale najpierw chcę cię na chwilę przytulić.

- Mamusiu, co się dzieje? Jesteś jakaś smutna.

- Po prostu bardzo cię kocham.
- Czy to przez to jesteś smutna?
- Czasami. - Elena pocałowała Annę w policzek. - Idź już. I nie wracaj bez kawy.

Znowu zamknęła oczy i słuchała, jak cichnie tupot bosych stóp Anny. Zimny podmuch wiatru poruszył firankami, tworząc dla Eleny sztukę teatru cieni na ścianach sypialni. Jak wszystkie pokoje w willi, sypialnia była zbyt duża na rodzinną albo małżeńską intymność i Elena sama w tym przestronnym wnętrzu czuła się uwięziona. Podciągnęła koc pod brodę i pomyślała o Leningradzie przed upadkiem komunizmu. Jako córka wysoko postawionego funkcjonariusza partii żyła wśród rozmaitych partyjnych przywilejów - specjalne sklepy, dostatek jedzenia i ubrań, wycieczki do innych krajów Układu Warszawskiego. Ale nic w jej zaczarowanym dzieciństwie nie przygotowało jej na ekstrawagancje życia z Iwanem. Słyszała niejedną raz, że domy jak ten nie istniały, mówiono na ten temat nie tylko w radzieckich wiadomościach, ale także wspominał o tym jej konserwatywny ojciec, który wciąż wierzył w komunizm, nawet wtedy, kiedy widać było, czym tak naprawdę jest. Elena nagle zdała sobie sprawę, że całe życie ją okłamywano. Najpierw ojciec, a teraz mąż. Iwan lubił udawać, że ten wielki pałac nad morzem był nagrodą za jego kapitalistyczny geniusz i ciężką pracę. Prawda była taka, że dostał go dzięki korupcji i powiązaniom ze starym systemem. Poza tym miał na rękach krew. Czasami we śnie Elena widziała strumienie krwi płynące wzdłuż wyłożonych marmurem korytarzy i

spadające kaskadami po szerokich schodach. Krew przelana przez mężczyzn dzierżących w dłoniach broń Iwana. Krew dzieci zmuszanych, by walczyć na jego wojnach.

Anna wróciła, niosąc chwiejnie tacę ze śniadaniem. Postawiła ją u łóżku obok Eleny i z wielką przyjemnością wymieniła wszystko, co przyniosła: miseczka kawy z mlekiem, dwie grzanki ze świeżej bagietki, masło, dżem truskawkowy oraz egzemplarze „Financial Times” i „Herald Tribune”. Następnie pocałowała mamę w policzek i wyszła. Elena wypita duszkiem połowę kawy, mając nadzieję, że kofeina zwalczy ból głowy, zjadła też jedną grzankę. Z jakiegoś powodu była nadzwyczaj głodna. Budzik przy łóżku powiedział jej dlaczego. Zbliżało się południe.

Powoli dopiła kawę. Ból głowy ustępował. Kiedy zniknął, jej myśli stały się jaśniejsze. Krążyły wokół kobiety, która podawała się za Sarę Crawford. I Michaiła. Oraz mężczyzny, który tak pięknie sfalszował *Dwoje dzieci na plaży* Mary Cassatt. Nie wiedziała dokładnie, kim są; była jednak pewna, że nie ma wyboru i musi się do nich przyłączyć. Z powodu niewinnych ludzi, którzy mogą zginąć. Z powodu Rosji. Z powodu samej siebie.

Z powodu dzieci...

Kolejny podmuch wiatru poruszył zasłonami. Tym razem przyniósł głos Iwana. Elena otuliła się jedwabnym szlafrokiem i wyszła na taras z widokiem na basen i morze. Iwan nadzorował naprawy po burzy, wykrzykując rozkazy do ogrodników niczym nadzorca do więźniów. Wsunęła się z powrotem do środka, nim ją

zobaczył, i szybko weszła do dużego, oświetlonego słońcem pokoju, który Iwan wykorzystywał jako swoje nieoficjalne biuro. Choć nigdy nie ustalali zasad małżeństwa, ten pokój, jak wszystkie biura Iwana, był terytorium zakazanym dla Eleny i dzieci. Odwiedził go już tego ranka, co łatwo było zgadnąć po zapachu wody kolońskiej i przesuwających się po ekranie nagłówkach wiadomości z Moskwy. Na skórzanej podkładce leżały dwie identyczne, mrugające lampkami komórki. Gwałcąc wszelkie małżeńskie ustalenia, podniosła jeden z telefonów i wybrała listę dziesięciu ostatnio wybieranych numerów. Jeden z nich pojawił się trzy razy: 3064006. Wcisnęła guzik ponownego wybierania numeru. Dziesięć sekund później odebrała mówiąca po francusku kobieta.

- Hotel Carlton, dzień dobry. Z kim mam połączyć?
- Z Katierina Mazurów.
- Proszę czekać.

Po dwóch sygnałach rozległ się kobiecy głos: młodszy od pierwszego, mówiący po rosyjsku, a nie po francusku.

- Iwan, kochany, to ty? Myślałam, że już nigdy nie zadzwonisz. Mogę popłynąć z tobą czy Elena tam będzie? Iwan... Co się dzieje... Iwan, odpowiedz...

Elena przerwała spokojnie rozmowę. Nagle za nią odezwał się zupełnie inny głos. Mówił po rosyjsku, aż kipiał od utajonego gniewu.

- Co ty tu robisz?

Odwróciła się, wciąż trzymając telefon w dłoni. Zobaczyła stojącego w drzwiach Iwana.

- Obiecałam mamie, że zadzwonię do niej dzisiaj rano. Podeszedł do Eleny, wyjął jej telefon z dłoni, po czym sięgnął do kieszeni i podał jej inny aparat.

- Zadzwonź z tego - rozkazał bez wyjaśnienia.

- Co za różnica, z którego telefonu dzwonię?

Zignorował jej pytanie i zbadał uważnie blat biurka, by stwierdzić, czy niczego nie ruszała.

- Długo spałaś - powiedział, jak gdyby wytykając jej coś, czego nie zauważyła. - Nie wiem, jak udało ci się przespać tę nawałnicę, te błyskawice i pioruny.

- Nie czułam się zbyt dobrze.

- Teraz wyglądasz całkiem nieźle.

- Czuję się lepiej, dziękuję.

- Zadzwonisz do niej?

- Do kogo?

- Do matki.

Iwan był weteranem podobnych gier, za szybkim jak dla niej. Elena poczuła nagłą potrzebę, by mieć trochę czasu i przestrzeni dla siebie. Przemknęła koło niego i zaniósła telefon z powrotem do łóżka.

- Co robisz? Podniosła telefon.

- Dzwonię do mamy.

- Ale powinnaś się ubierać. Spotykamy się ze wszystkimi w Starym Porcie o dwunastej trzydzieści.

- Po co? - zapytała, udając, że nic nie wie.

- Spędzamy popołudnie na jachcie. Powiedziałem ci wczoraj.

- Przepraszam, Iwan. Musiałam zapomnieć.

- Więc co robisz z powrotem w łóżku? Musimy wyjść za parę minut.

- Kogo zaprosiłeś?

Rzucił parę nazwisk. Sami Rosjanie, sami mężczyźni.

- Iwan, chyba nie czuję się na siłach. Jeśli ci to nie przeszkadza, zostanę z dziećmi. Poza tym ty i twoi przyjaciele będziecie się lepiej bawić, jeśli mnie tam nie będzie.

Nie próbował zaprotestować. Zamiast tego spojrzał na swój złoty zegarek, jak gdyby chciał sprawdzić, czy zdąży pojechać po Katierinę. Elena oparła się chęci, by powiedzieć mu, że ta z niecierpliwością oczekiwała jego telefonu.

- Co będziesz robić przez cały dzień? - zapytał bez troski, jak gdyby odpowiedź niespecjalnie go obchodziła.

- Poleżę w łóżku i poczytam gazety. A potem, jeśli będę się dobrze czuła, zabiorę dzieci do miasteczka. Dziś jest dzień targowy. Wiesz, że dzieci uwielbiają targ.

Targ był dla Iwana wizją piekła na ziemi. Po raz ostatni obojętnym tonem próbował namówić ją do zmiany zdania, po czym udał się do swojego prywatnego apartamentu, by wziąć prysznic i się ogolić. Opuścił go po dziesięciu minutach, świeży i pachnący, i zszedł po schodach. Elena, wciąż leżąca w łóżku, włączyła telewizor i skakała po kanałach aż do widoku z kamer bezpieczeństwa przy bramie wjazdowej. Iwan musiał spodziewać się niebezpiecznego dnia na wodach Lazurowego Wybrzeża, bo towarzyszyła mu cała ekipa

bezpieczeństwa: kierowca i dwóch ochroniarzy w jego samochodzie plus czterech mężczyzn w drugim. Elena po raz ostatni spojrzała na niego, jak wsiadał. Rozmawiał przez komórkę, na jego twarzy malował się zarezerwowany dla Katieriny uśmiech.

Zgasiła telewizor i perfidnie wykorzystując ostatni obraz jako motywację do działania, postawiła nogi na podłodze. Nie zatrzymuj się, powiedziała sama do siebie. „Jeśli się zatrzymasz, nie znajdziesz w sobie dość odwagi, by iść dalej. I cokolwiek robisz, nie oglądaj się za siebie. Nigdy nie jesteś sama”. Ostatnie słowa nie były jej. Usłyszała je od mężczyzny, którego znała jako Michaiła. Mężczyzny, który wkrótce miał zostać jej kochankiem.

Elena usłyszała w głowie jego instrukcje jeszcze raz, gdy wykonywała ostatnie czynności przed zdradzeniem męża. Wykąpała się w jacuzzi rozmiarów basenu, podśpiewując cicho, czego zwykle nie robiła. Z wielką ostrożnością nałożyła makijaż i miała kłopoty z wybraniem odpowiedniej fryzury. Podobnych rozterek dostarczyła jej szafa, przymierzyła i odrzuciła kilka ubrań, nim zdecydowała się na prostą beżową sukienkę od Diora, którą Iwan kupił jej z powodu wyrzutów sumienia podczas ostatniej podróży do Paryża. Odrzucone stroje cisnęła na łóżko, tak jak kazał jej Michael. Nazwał je dowodami romantycznego niezdecydowania. Namacalny dowód, że chciała wyglądać atrakcyjnie dla swojego kochanka.

Wreszcie o pierwszej Elena poinformowała Sonię i dzieci, że udaje się na parę godzin do miasta. Następnie nakazała Olegowi przygotować samochód i obstawę. Ruch w stronę Saint-Tropez jak

zwykle był okropny; czas wykorzystwała, by zadzwonić do mamy w Moskwie. Siedzący obok niej na tylnym siedzeniu Oleg nawet nie próbował ukryć faktu, że podsłuchiwał, a Elena nie próbowała mówić ciszej. Kiedy skończyła rozmowę, wyłączyła komórkę i wrzuciła ją do torebki. Wysiadając z samochodu przy Avenue du Marechal, przewiesiła torbę przez lewe ramię, tak jak jej kazano. Prawe oznaczało, że zmieniała zdanie. Lewe: była gotowa się do nich przyłączyć.

Weszła na Place Carnot od południowo-wschodniego rogu. Oleg i Giennadij szli o parę kroków za nią. Ruszyła w głąb zatłoczonego targu na świeżym powietrzu. W części z ubraniami kupiła dwa pasujące do siebie kaszmirowe swetry dla Iwana i Nikołaja oraz sandały dla Anny, w zamian za te, które zostawiła podczas ostatniej wizyty na plaży Pampelonne. Dała paczki Olegowi, następnie ruszyła w stronę stoisk zjedzeniem pośrodku placu, gdzie zatrzymała się, by popatrzeć, jak mężczyzna o siwej brodzie przygotowuje ratatouille w największym kotle, jaki w życiu widziała. Młoda kobieta o ciemnych włosach na moment stanęła obok niej; wyszeptała kilka słów po angielsku i wtopiła się w tłum.

Elena kupiła pół kilo ratatouille i podała pojemnik Giennadijowi, po czym szła dalej po przekątnej przez plac w stronę Boulevard Louis Blanc. Na rogu stało zaparkowane czerwone audi kabriolet. Za kierownicą siedział Michael z twarzą obróconą ku słońcu. Z głośników waliła potworna amerykańska muzyka. Elena rzuciła torebkę na siedzenie pasażera i szybko wsiadła. Gdy samochód

wystrzelił naprzód, patrzyła prosto przed siebie. Gdyby obejrzała się przez ramię, zobaczyłaby krzyczącego coś do komórki, czerwonego na twarzy Olega. Oraz młodszego Giennadija, goniącego ich na piechotę, wciąż z ratatouille w ręku.

42

SAINT-TROPEZ, FRANCJA

Kim pan jest? - Nazywam się Michael Danilov. Jestem przyjacielem Sary z Waszyngtonu. Pani mąż nazywa mnie Michaił. Pani też może tak do mnie mówić.

- Chcę znać pana prawdziwe imię.

- To jest moje prawdziwe imię.

- Gdzie pan pracuje?

- Wie pani, gdzie pracuję. Pracuję z Sarą w Centrum Demokracji Dillarda.

- Dokąd mnie pan zabiera?

- Gdzieś, gdzie możemy być sami.

- Nie mamy za wiele czasu. Iwan z pewnością będzie nas szukał.

- Proszę postarać się nie myśleć o Iwanie. Od teraz jesteśmy tylko my.

- Ochroniarze pana widzieli. Powiedzą Iwanowi, że to był pan, a on nie spocznie, póki pana nie zabije.

- Pani mąż mnie nie zabije.

- Nie zna go pan. Bez przerwy zabija.

- Znam pani męża bardzo dobrze. Nigdy nie zabija z miłości. Tylko dla pieniędzy.

43

MASSIF DES MAURES, FRANCJA

Skierowali się w głąb lądu, po krętej drodze prowadzącej na Massif des Maures. Jechał bardzo szybko, ale nie denerwował się ani szczególnie nie wysiłał. Lewa ręka spoczywała na kierownicy, podczas gdy prawą płynnie i gładko zmieniał biegi. Elena pomyślała, że nie był technikiem od komputerów. Spędziła dość czasu w towarzystwie żołnierzy jednostek specjalnych, by rozpoznać jednego z nich. To ją uspokoiło. Zorientowała się, że po prostu zmieniła zestaw ochroniarzy.

Okolica z każdym kilometrem stawała się coraz surowsza. Po ich prawej rozciągał się las eukaliptusów i sosen, po lewej bezdenna zielona przepaść. Przemykali przez nieznane jej miasteczka. Pomyślała, jakie to straszne, że nigdy dotąd tu nie była. Przysięgła sobie, że pewnego dnia, kiedy to wszystko się skończy, przyjedzie tu z dziećmi na piknik, bez ochroniarzy. Dzieci...

Błędem było myśleć teraz o nich. Chciała zadzwonić do Soni i upewnić się, że są bezpieczne. Chciała krzyknąć na Michaiła, żeby zawrócił samochód. Zamiast tego skupiła się na wietrze we włosach i słońcu na skórze. Zameężna kobieta, która właśnie ma się oddać innemu mężczyźnie, nie niszczy atmosfery pożądliwego oczekiwania

telefonem do dzieci. Myśli tylko o tej jednej chwili, i do diabła z konsekwencjami.

Wjechali do kolejnej wioski z pojedynczą, ocienioną platanami główną ulicą. Dziewczyna jak z obrazu Rubensa siedziała na ciemnoczerwonym skuterze przed *tabac*. Jej twarz zasłaniał kask z ciemną szybką. Zamrugła dwukrotnie światłami, gdy podjechali, i wjechała na drogę przed nimi. Podążyli za nią przez kolejne półtora kilometra, po czym skręcili w polną drogę porośniętą drzewami oliwnymi jak z obrazu van Gogha. Ich srebrnozielone liście migotały niczym monety na wietrze. Na końcu drogi była otwarta brama, a za nią dziedziniec otynkowanej willi. Michaił wyłączył silnik.

- Eleno, zapamiętaj, jak to miejsce wygląda. Iwan będzie się tego spodziewał, gdy cię będzie przepytował.

- Gdzie jesteśmy?

- Gdzieś w górach. Nie jesteś pewna gdzie. Poczuliśmy do siebie pożądanie od chwili, kiedy spotkaliśmy się w restauracji. Iwan nie zauważył, bo myślał o Katierinie. Widziałem, że byłaś bezbronna. Musiałem tylko znaleźć jakiś sposób, by spotkać się z tobą na osobności. Wiedziałem, że hotel to zły pomysł, więc wynająłem na tydzień to miejsce z agencji nieruchomości.

Wyjął kluczyki ze stacyjki.

- Zrobiłaś wszystko tak, jak cię prosiliśmy? Zadzwoiłaś do Katieriny w Carltonie? Zostawiłaś ubrania rozrzucone po pokoju, żeby Iwan i służba je zobaczyli?

- Tak.

- W takim razie nie musisz się o nic martwić. Powiesz Iwanowi, że od lat podejrzewałaś go o niewierność. Powiesz mu, że od dłuższego czasu miałaś podejrzenia co do Katieriny, i te podejrzenia potwierdziły się, gdy znalazłaś w jego komórce jej numer telefonu. Byłaś tak wściekła i urażona, że nie chciałaś mi się oprzeć, bo tego popołudnia, kiedy przyszliśmy do willi, próbowałem się do ciebie zbliżyć. Powiesz mu, że chciałaś go ukarać, a jedynym sposobem było oddać się innemu mężczyźnie. Oczywiście wpadnie w furję, ale nie będzie miał powodu wątpić w prawdziwość twojej historii, bo wie, że popełnił te grzechy, o które go podejrzewałaś. Przespanie się ze mną było zbrodnią namiętności i gniewu, czymś, co Iwan rozumie aż zbyt dobrze. W końcu ci wybaczy.

- Mnie może i tak, ale nie tobie.

- O mnie się nie martw. Wkrótce znienawidzisz mnie za wszystkie kłopoty, których ci przysporzyłem. Jak dla ciebie po prostu umiem się o siebie zatroszczyć.

- Naprawdę?

- I to całkiem nieźle. - Otworzył drzwi. - Czas wejść do środka, Eleno. Wewnątrz czeka ktoś, kto bardzo chce cię spotkać.

Willa była przeciwieństwem Villa Soleil, mała, czysta, o pobielanych ścianach, podłogach z terakoty i z wiejskimi meblami z Prowansji. Przy stole z grubo ciosanego drewna siedział mężczyzna, którego wiek i narodowość trudno było określić. Miał długi nos, wyglądający jak gdyby wyrzeźbiono go dłutem, i najbardziej zielone

oczy, jakie Elena w życiu widziała. Wstał powoli i gdy podchodził, wyciągnął ku niej w milczeniu dłonie. Michaił przedstawił ich sobie.

- Eleno, poznaj człowieka, który namalował twój obraz Mary Cassatt. Właśnie popełnię potworny zawodowy grzech i powiem ci, jak naprawdę się nazywa. To Gabriel Allon. Chce, żebyś wiedziała, kim jest, bo darzy cię głębokim szacunkiem i nie chce cię okłamywać. Eleno, jesteś wśród arystokracji, przynajmniej w naszym świecie. Zostawiam was samych.

Michaił się wycofał. Gabriel przez moment patrzył bez słowa na Elenę, po czym spojrzeniem dał jej znak, by usiadła. Usiadł tam gdzie wcześniej, po drugiej stronie stołu, i złożył przed sobą dłonie. Były ciemne i gładkie, palce miał szczupłe i zwinne. Dłonie muzyka, pomyślała Elena. Dłonie artysty.

- Chciałbym zacząć od podziękowania.

- Za co?

- Za to, że pani postanowiła się ujawnić.

- O czym pan mówi?

- Pani Eleno, jesteśmy tu przez panią. Jesteśmy tu, bo nas pani wezwała.

- Ale ja was nie wzywałam. Nikogo nie wzywałam.

- Ależ jak najbardziej. Wezwała nas pani przez Olgę Suchowa. I przez Aleksandra Lubina. I Borysa Ostrowskiego. Niezależnie od tego, czy pani o tym wiedziała, wysłała ich pani do nas. Oni usłyszeli tylko część tej historii. Teraz musi nam pani powiedzieć resztę.

W jego akcencie było coś, czego nie mogła do końca sprecyzować. Uznała, że był poliglotą. Pozbawionym korzeni. Człowiekiem, który mieszkał w wielu miejscach. Człowiekiem, który miał wiele imion.

- Dla kogo pan pracuje?

- Zatrudnia mnie niewielka agencja, odpowiadająca jedynie przed premierem Państwa Izrael. Ale zaangażowane są także inne kraje. Działania pani męża wywołały międzynarodowy kryzys. Odpowiedź na nie także jest międzynarodowa.

- Czy Sara też jest Izraelką?

- Tylko duchem. Sara jest Amerykanką. Pracuje dla Centralnej Agencji Wywiadowczej.

- A Michaił?

- Jak pewnie pani zgadła po jego płynnym akcencie, urodził się w Moskwie. Wyjechał stamtąd, gdy był małym chłopcem, i przeniósł się do Izraela. Opuścił Rosję przez ludzi pokroju pani męża. A teraz pani mąż chce sprzedać bardzo niebezpieczną broń ludziom, którzy poprzysięgli nas zniszczyć.

- Ile wiecie?

- Niestety bardzo niewiele. Inaczej nie wywróciłibyśmy pani życia do góry nogami, przywożąc panią tutaj. Wiemy tylko, że pani mąż zawarł pakt z diabłem. Zabił dwóch ludzi, żeby ten pakt pozostał tajemnicą. Z pewnością zginie więcej osób, jeśli nam pani nie pomoże. - Wyciągnął rękę i ujął jej dłoń. - Pomoże nam pani?

- Czego ode mnie chcecie?

- Chcemy, by dokończyła pani historię, którą zaczęła pani opowiadać swojej starej znajomej, Oldze Suchowej. Chcemy, by dokończyła pani tę opowieść.

Osiem kilometrów na wschód od Saint-Tropez skalista wypustka znana jako Pointe de l'Ay wcina się wyzywająco w Morze Śródziemne. U jej podnóża leży niewielka plaża o drobnym piasku, często omijana, bo brakuje tam butików, klubów i restauracji. Dziewczyna o ciemnych włosach do ramion i z bliznami na nodze bardzo uważnie wybrała miejsce do leżenia na odosobnionej pościeli piasku nieopodal skał, gdzie nic nie ograniczało widoku na morze. Tam, osłonięta od słońca parasolem przeciwsłonecznym, spędziła przyjemne, choć samotne popołudnie, popijając wodę mineralną z plastikowej butelki, zagłębiając się w strony zniszczonej powieści w miękkiej oprawie i co jakiś czas spoglądając przez miniaturową lornetkę Zeissa na gigantyczny prywatny jacht o nazwie „Październik”, kołyszący się na falach o jakieś pięć kilometrów od brzegu.

O 15:15 zauważyła w ruchu statku coś, co sprawiło, że się wyprostowała. Obserwowała go jeszcze przez chwilę, żeby nabrać pewności, że jej pierwsze wrażenie było słuszne, po czym opuściła lornetkę i wyjęła z płóciennej torby plażowej kieszonkowy komputer Black-Berry. Wiadomość była krótka, przesył - błyskawiczny. Dwie minuty później, po wysłaniu potwierdzenia, o które ją poproszono, włożyła komputer z powrotem do torby i

znowu spojrzała w morze. Jacht skończył zawracać i gnał w stronę Saint-Tropez niczym fregata rzucająca się w wir bitwy. Impreza skończyła się trochę wcześniej, pomyślała dziewczyna, odkładając lornetkę i biorąc do ręki powieść. Szkoda. Taki piękny dzień.

44

MASSIF DES MAURES, FRANCJA

Elena zaczęła od przypomnienia całej scenerii wydarzeń, nie tylko Gabrielowi, ale i sobie. Była jesień. Listopad. Środek listopada, dodała dla jasności. Ona i Iwan byli na daczycy na północ od Moskwy. To był zbudowany z drewna sosnowego i szkła pałac, stojący na pozostałościach mniejszego budynku, podarowanego ojcu Iwana przez Leonida Breżniewa. Padał gęsty śnieg. Dobry rosyjski śnieg, jak wylatujący z wulkanu popiół.

- Późnym wieczorem Iwan odebrał telefon. Kiedy się rozłączył, powiedział, że jego współpracownicy przyjadą za parę godzin do domu na ważne spotkanie. Nie powiedział, kim są, a ja wiedziałam, że nie powinnam pytać. Przez resztę wieczoru był podenerwowany. Zaniepokojony. Przechadzał się tam i z powrotem. Klął na rosyjską pogodę. Znałam te objawy. Widziałam mojego męża w podobnym humorze. Iwan zawsze bardzo się podnieca przed dużą potańcówką.

- Potańcówką?

- Proszę mi wybaczyć, panie Allon. Potańcówka to jeden z kryptonimów, używanych przez niego i jego ludzi, gdy dyskutują o

handlu bronią. „Musimy dopracować szczegóły potańcówki”. „Musimy wynająć zespół na potańcówkę”. „Ile nam będzie potrzebnych krzeseł na potańcówkę?”. „Ile butelek wódki?”. „Ile kawioru?”. „Ile bochenków razowego chleba?”. Nie wiem, kogo oszukują tymi bredniami, ale z pewnością nie mnie.

- Czy goście Iwana przyjechali tamtego wieczora?

- W zasadzie było to już następnego dnia. O drugiej trzydzieści, jeśli chodzi o ścisłość.

- Widziała ich pani?

- Tak, widziałam.

- Proszę mi opisać całą scenę. Bardzo dokładnie. Nawet najmniejsze szczegóły mogą być ważne.

- Było ich ośmiu plus obstawa Iwana. Był tam też Arkady Miedwiediew. Jest szefem ochrony mojego męża. Ochroniarze mają na jego temat dowcip. Mówią, że Arkady to Iwan, który ma zły dzień.

- Skąd była delegacja?

- Z Afryki. Z Afryki Środkowej. - Uśmiechnęła się. - Terenu, który jest specjalnością Sary.

- Z którego kraju?

- Nie umiem powiedzieć.

- Spotkała się pani z nimi?

- Nigdy nie wolno mi się z nimi spotykać.

- Widziała ich pani przedtem?

- Ich nie, ale bardzo im podobnych. Wszyscy są tak naprawdę tacy sami. Mówią różnymi językami. Mają inne flagi. Walczą za inne sprawy. Ale w sumie wszyscy są jednakowi.

- Gdzie pani była, kiedy przyjechali na daczę?

- Na piętrze, w sypialni.

- Słyszała pani ich głosy?

- Czasami. Ich przywódca był prawdziwym olbrzymem. Miał bardzo głęboki głos. Ściany się od niego trzęsły. Jego śmiech brzmiał jak grom.

- Pani Eleno, jest pani lingwistką. Gdyby mówili europejskim językiem, który by to był?

- Francuski. Zdecydowanie francuski. Ich akcent miał śpiewną intonację, wie pan, o co mi chodzi?

Powiedziała, że najpierw zaczęli pić. Gdy Iwan planował potańcówkę, zawsze dużo pili. Kiedy zaczęły się targi, gościom rozwiązały się języki. Iwan nawet nie starał się ich, a zwłaszcza przywódcy uciszyć Elena usłyszała znane jej słowa. AK-47, RPG-i, granatniki. Rodzaje amunicji. Helikoptery szturmowe. Czołgi.

- Nie minęło wiele czasu, a już kłócili się o pieniądze. Ceny poszczególnych rodzajów broni i systemów. Prowizje. Łapówki. Transport i przeładunek. Wiedziałałam dość o interesach mojego męża, by zdać sobie sprawę, że planowali naprawdę duży kontrakt, najprawdopodobniej z afrykańskim krajem objętym embargiem. Widzi pan, panie Allon, to właśnie tacy ludzie przychodzą do mojego męża, ludzie, którzy nie mogą kupować broni na wolnym rynku.

Dlatego Iwan odnosi takie sukcesy. Zaspokaja bardzo konkretne potrzeby. I dlatego najbiedniejsze kraje świata płacą bardzo wygórowane ceny za broń, którą potem nawzajem się masakrują.

- O jakim kontrakcie mówimy?

- O takim, który mierzy się w setkach milionów dolarów. -
Przerwała na moment. - Jak pan myśli, dlaczego Iwan nawet nie mrugnął, gdy poprosiłam go o dwa i pół miliona dolarów za pański bezwartościowy obraz?

- Jak długo ci ludzie zostali na daczce?

- Do następnego dnia rano. Kredy w końcu wyszli, Iwan przyszedł na górę do naszej sypialni. Był w siódmym niebie. Widziałam go już wcześniej w takim nastroju. To była żądza krwi. Wszedł do łóżka i praktycznie mnie zgwałcił. Musiał zniszczyć czyjeś ciało. Czyjekolwiek. Moje mu wystarczyło.

- Kiedy zorientowała się pani, że ten kontrakt był inny?

- Dwie noce później.

- Co się stało?

- Odebrałam telefon, którego nie powinnam była odebrać. I wciąż słuchałam, kiedy dawno powinnam była się rozłączyć. Po prostu tyle.

- Wciąż była pani na daczce?

- Nie, wyjechaliśmy stamtąd i wróciliśmy do Żukowki.

- Kto dzwonił?

- Arkady Miedwiediew.

- Dlaczego?

- Był problem z końcowymi przygotowaniem przed dużą potańcówką.

- Jaki problem?

- Poważny problem. Część towaru przepadła.

Iwan stworzył własną tradycję. Po dużych transakcjach szli „zaszaleć”, jak to nazywał. Noc w mieście dla klientów, wszystko na jego koszt. Im większy kontrakt, tym większa impreza. Drinki w najnowszych barach. Kolacje w najmodniejszych restauracjach. Picie z najpiękniejszymi młodymi dziewczynami w Moskwie. Wszystko pod opieką ochroniarzy Iwana, którzy pilnowali, żeby nie było kłopotów. Szaleństwo z afrykańską delegacją było prawdziwą orgią. Zaczęli o szóstej wieczorem i imprezowali bez przerwy do dziewiątej następnego wieczora, kiedy w końcu doczłgali się do swoich łóżek w hotelu Ukraina i padli, spici do nieprzytomności.

- To jeden z powodów, dla których klienci wracają do Iwana. Zawsze ich dobrze traktuje. Żadnych opóźnień, brakującego towaru, zardzewiałych kul. Dyktatorzy i watażkowie nie cierpią zardzewiałych kul. Mówią, że towary Iwana są zawsze na najwyższym poziomie, tak jak jego imprezy.

Szaleństwa po zawarciu kontraktu służyły jeszcze jednemu celowi, poza wzbudzaniem w klientach poczucia lojalności. Pozwalały Iwanowi i jego służbom bezpieczeństwa zbierać informacje o klientach w chwilach, gdy ich zdolności obronne były osłabione alkoholem i licznymi rozrywkami. Ze względu na rozmiary kontraktu Arkady Miedwiediew osobiście wziął udział w imprezie z afrykańską

delegacją. Pięć minut po tym, jak zostawił Afrykanów w hotelu Ukraina, zadzwonił do Iwana.

- Arkady pracował w KGB, tak jak Iwan. Zwykle jest bardzo powściągliwy. Ale tamtej nocy było inaczej. Był podniecony. Jasne było, że usłyszał coś, co mu nie przypadło do gustu. Powinnam była odłożyć słuchawkę, ale nie mogłam oderwać się od telefonu. Więc zakryłam mikrofon dłonią i wstrzymałam oddech. Chyba przez całe pięć minut nie wzięłam nawet jednego oddechu. Myślałam, że serce wyrwie mi się z piersi.

- Dlaczego Iwan nie wiedział, że była pani na linii?

- Pewnie podnieśliśmy równocześnie słuchawki. Po prostu dopisało mi szczęście. Głupi traf. Gdyby nie to, nie byłoby mnie tu. Pana też nie.

- Co Arkady powiedział Iwanowi?

- Powiedział, że Afrykanie mieli zamiar odsprzedać część sprzętu z wielkiej potańcówki za znacznie wyższą cenę komuś innemu. I to nie zwyczajnej bandzie afrykańskich rebeliantów. - Zniżyła głos i zmarszczyła czoło, próbując nadać swojej twarzy bardziej męski wygląd. - Iwan, to najgorsi ludzie z najgorszych - powiedziała, naśladowując głos Arkadego. - Ludzie, którzy wlatują samolotami w budynki i detonują plecaki w europejskich liniach metra, Iwan. Ludzie, którzy zabijają kobiety i dzieci, Iwan. Obcinają głowy. Podrzynają gardła.

- Al-Kaida?

- Nie wymienił tej nazwy ani razu, ale wiedziałam, o kim mówił. Powiedział, że powinni odwołać tę część umowy, bo towar jest zbyt niebezpieczny, by można go było komukolwiek przekazać. Powiedział, że może to się odbić na Rosji. Na Iwanie i jego siatce.

- Jak zareagował Iwan?

- Mój mąż nie podzielał obaw Arkadego. Wręcz przeciwnie. Wspomniany towar był najbardziej dochodowym elementem transakcji. Zamiast zrezygnować z tej części umowy, Iwan nalegał, by w świetle nowych informacji renegocjować kontrakt. Skoro Afrykanie chcieli odsprzedać towar po znacznie wyższej cenie, Iwan chciał mieć swój udział. Poza tym mogli zarobić na dodatkowym transporcie i przeładunku. „Dlaczego mielibyśmy pozwolić Afrykanom dostarczać broń? - zapytał. - Sami możemy to zrobić, zarabiając po drodze ładnych kilkaset tysięcy”. Właśnie w ten sposób Iwan zarabia sporą część pieniędzy. Ma własną flotę transportową. Może dostarczyć broń do dowolnego punktu na świecie. Wystarczy, by był tam pas startowy.

- Czy Iwan miał jakiegokolwiek podejrzenia, że podsłuchiwała pani tę rozmowę?

- Nigdy nie zrobił ani nie powiedział nic, z czego mogłoby wynikać, że mnie podejrzewa.

- Spotkał się drugi raz z Afrykanami?

- Przyszli do naszego domu w Żukowce następnego dnia wieczorem, kiedy zdążyli już wytrzeźwieć. Spotkanie nie wydawało się tak serdeczne jak za pierwszym razem. Było trochę krzyków, głównie ze strony Iwana. Mój mąż nie lubi, gdy robi się coś za jego

plecami. Wpada wtedy w furję. Powiedział Afrykanom, że wie wszystko o ich Planach i jeśli nie zgodzą się dać mu uczciwego udziału, towar zniknie. Olbrzym o głębokim głosie przez jakiś czas też krzyczał, ale w końcu ustąpił żądaniom Iwana. Następnej nocy, nim polecili do domu, znowu poszli „zaszaleć”, żeby uczcić nową umowę. Wszystkie grzechy wybaczone.

- Jak nazywali ten towar?

- Po rosyjsku mówili na niego *igła*, ale o ile się nie mylę, na Zachodzie używa się nazwy SA-18. To ręczna wyrzutnia rakiet przeciwlotniczych. Wprawdzie nie znam się na tych sprawach, ale o ile wiem, SA-18 to bardzo celna i skuteczna broń.

- To jedna z najniebezpieczniejszych broni przeciwlotniczych na świecie. Jest pani tego pewna, Eleno? Czy na pewno powiedzieli *igła*?

- Jestem o tym najzupełniej przekonana. Wiem też na pewno, że mojego męża nie obchodziło, czy zginą przez to setki albo tysiące niewinnych ludzi. Interesowało go tylko, ile może zarobić. Co miałam począć, wiedząc o czymś takim? Jak mogłam siedzieć cicho i nic nie zrobić?

- Więc co pani zrobiła?

- Co mogłam począć? Pójść na milicję? My, Rosjanie, nie chodzimy na milicję, tylko jej unikamy. FSB? Mój mąż to FSB. Jego siatka pracuje pod ich ochroną i z ich błogosławieństwem. Gdybym do nich poszła, Iwan dowiedziałby się o tym w pięć minut i moje dzieci musiałyby dorastać bez matki.

Jej słowa wisiały przez chwilę w powietrzu, przypominając im o stawce, o jaką toczyła się gra, chociaż i tak dobrze o tym wiedzieli.

- Ponieważ nie mogłam pójść do rosyjskich władz, musiałam znaleźć inny sposób, by powiedzieć światu o planach mojego męża. Potrzebowałam kogoś, komu mogłam zaufać. Kogoś, kto mógł wyjawić jego tajemnice, nie ujawniając mnie jako źródła informacji. Znałam taką osobę; studiowałam z nią lingwistykę na Uniwersytecie Lenigradzkim. Po upadku komunizmu została znaną moskiewską reporterką. Zdaje się, że zna pan jej osiągnięcia.

Gabriel wprawdzie poprzysiągł Elenie wierność, ale nie był zbyt uczciwy względem pewnego aspektu rozmowy: nie on jeden jej słuchał. Dzięki dwóm małym ukrytym mikrofonom i bezpiecznemu teńdżij 7. satelita ich rozmowa była transmitowana na żywo do czterech miejsc na świecie: na Bulwar Króla Saula w Tel Awiwie, do centrum dowodzenia MI5 i MI6 w Londynie oraz do centrum globalnych operacji w Langley w stanie Wirginia. Adrian Carter siedział w zarezerwowanym dla dyrektora narodowych służb wywiadowczych fotelu. Carter słyszał ze spokoju i obojętności w czasach kryzysu. Gdy słuchał transmisji, wyglądał tak, jak gdyby to był nudny program w radiu. Jednak jego podejście zmieniło się, gdy Elena wymieniła słowo *igła*. Carter mówił po rosyjsku i nie musiał czekać na tłumaczenie. Nie fatygował się także, by wysłuchać jej wyjaśnień, nim podniósł słuchawkę telefonu, który łączył jedynie z biurem dyrektora.

- Strzały Allaha istnieją - powiedział Carter. - Ktoś musi poinformować Biały Dom. Natychmiast.

45

MASSIF DES MAURES, FRANCJA

Przenieśli się na niedużą werandę. Stały na niej zioła i kwiaty w doniczkach, ocieniały ją dwie rozłożyste sosny. Stary gaj oliwny schodził ku niezbyt głębokiej przepaści, a na zboczu góry naprzeciwko nich stały dwie wille, wyglądające tak, jakby namalowała je ręka Cezanne'a. Gdzieś w oddali słyhać było histeryczny płacz tęskniącego za matką dziecka. Elena ze wszystkich sił starała się go zignorować, gdy opowiadała Gabrielowi resztę historii. O potajemnym lunchu z Olgą Suchowa. O koszmarnym morderstwie Aleksandra Lubina w Courchevel. O tym, jak bliska była załamania po śmierci Borysa Ostrowskiego w Bazylice Świętego Piotra.

- Odciełam się od świata. Przestałam oglądać telewizję i czytać gazety. Bałam się, żyłam w strachu, że dowiem się o zestrzeleniu samolotu albo śmierci kolejnego dziennikarza z mojego powodu. W miarę upływu czasu udało mi się przekonać samą siebie, że nic nie zaszło. Mówiłam sobie, że żadne rakiety nie istniały. Do mojego domu nie przyszła grupa Afrykanów, chcących kupić od mojego męża broń. Plan, by potajemnie przekazać część towaru Al-Kaidzie, nie istniał. To wszystko było jedynie złym snem. Jakimś

nieporozumieniem. Przekrętem. I wtedy mój przyjaciel Alistair Leach zadzwonił, by powiedzieć mi o obrazie Mary Cassatt. I oto jestem.

Po drugiej stronie wąwozu wciąż było słycać płacz dziecka.

- Czy nikt nie może pomóc temu biedactwu? - Spojrzała na Gabriela. - Ma pan dzieci, panie Allon?

Zawahał się na moment, po czym odparł zgodnie z prawdą.

- Miałem syna - powiedział cicho. - Terrorysta podłożył bombę pod mój samochód. Chciał się mścić, bo zabiłem jego brata. Wybuchła, gdy w środku byli moja żona z synem.

- A żona?

- Przeżyła. - Patrzył przez moment w milczeniu na drugą stronę wąwozu. - Może lepiej by było, gdyby zginęła. Wyciągnięcie jej z samochodu zajęło mi kilka sekund. Była ciężko poparzona.

- Mój Boże, tak mi przykro. Nie powinnam...

- Nic nie szkodzi. To było dawno temu.

- Czy to się stało w Izraelu?

- Nie, nie w Izraelu. W Wiedniu. Nieopodal katedry.

Dziecko po drugiej stronie wąwozu umilkło. Wydawało się, że Gabriel nie zwrócił na to uwagi. Skupił się całkowicie na otwieraniu butelki rose. Nalał wino do kieliszka i podał go Elenie.

- Proszę się napić. Ważne, żeby w pani oddechu czuć było alkohol. Iwan będzie się tego spodziewał.

Uniosła kieliszek do ust i obserwowała poruszające się na wietrze świerki.

- Jak to się stało? Dlaczego oboje tu trafiliśmy?

- Panią przyprowadził telefon, którego nie powinna była pani odbierać. Mnie ściągnął Borys Ostrowski. To z jego powodu pojechałem do Rzymu. Chciał mi powiedzieć o Iwanie. Zmarł w moich ramionach, nim udało mu się dostarczyć wiadomość. Dlatego musiałem polecieć do Moskwy i spotkać się z Olgą.

- Był pan z nią, gdy próbowano ją zabić? Pokiwał głową.

- Jak udało się panu uciec i nie dać się zamordować?

- Może opowiem o tym innym razem. Proszę napić się wina. Musi być pani lekko wstawiona, gdy wróci pani do domu.

Uśluchała go.

- Więc, by zacytować Lenina, wspaniałego przewodnika rewolucji i ojca Związku Radzieckiego: cóż począć? Co zrobimy w sprawie rakiet, które mój mąż umieścił w rękach morderców?

- Dała nam pani bardzo wiele informacji. Jeśli dopisze nam szczęście, wiele szczęścia, może uda nam się znaleźć terrorystów, nim dokonają zamachu. Nie będzie to proste, ale spróbujemy.

- Spróbujecie? Jak to? Musicie ich powstrzymać.

- To nie jest takie proste, Eleno. Tylu rzeczy nie wiemy. Z którym krajem w Afryce handlował pani mąż? Czy rakiety już dostarczono? Czy trafiły w ręce terrorystów? Czy już jest za późno?

Pytania były retoryczne, ale Elena zareagowała tak, jak gdyby były wymierzone w nią.

- Bardzo przepraszam - powiedziała. - Jest mi strasznie głupio.

- Dlaczegoż to?

- Myślałam, że kiedy poinformuję was o kontrakcie, będziecie mieli dość informacji, by znaleźć tę broń, nim zostanie wykorzystana. A co osiągnęłam w zamian? Dwoje ludzi nie żyje. Moja przyjaciółka jest uwięziona w swoim mieszkaniu w Moskwie. Wciąż nie wiadomo, gdzie są rakiety sprzedane przez mojego męża.

- Eleno, nie powiedziałem, że to niemożliwe. Po prostu nie będzie łatwo.

- Czego jeszcze panu trzeba?

- Śladów na papierze.

- To znaczy?

- Potwierdzeń odbioru. Rachunków. Wykazów ładunku. Dokumentów tranzytowych. Wyciągów bankowych. Przekazów. Wszystkiego, co mogłoby nam powiedzieć coś o sprzedaży albo przepływie towaru.

Przez moment milczała. Kiedy wreszcie przemówiła, jej głosu prawie nie było słychać przez szum wiatru w koronach drzew.

- Chyba wiem, gdzie te informacje mogą się znajdować. Gabriel spojrzał na nią.

- Gdzie?

- W Moskwie.

- Czy możemy się tam jakoś dostać?

- Wy nie. To muszę być ja. I muszę zrobić to sama.

- Mój mąż jest żarliwym zwolennikiem stalinizmu. Raczej nie przyznaje się do tego publicznie, nawet w Rosji.

Elena wypila odrobinę rose, po czym podniosła kieliszek ku zachodzącemu słońcu, by ocenić kolor wina.

- Jego miłość do Stalina wpłynęła na wybór kupowanych nieruchomości. Żukowka, okolica, w której mieszkamy pod Moskwą, była kiedyś terenem zarezerwowanym pod daczę dla najwyższych postawionych członków partii oraz kilku naukowców i muzyków. Ojciec Iwana nigdy nie osiągnął dość wysokiej rangi, by zasłużyć na daczę w Żukowce, i Iwan bardzo z tego powodu cierpiał. Po upadku Związku Radzieckiego, kiedy każdy, kto miał dość pieniędzy, mógł wejść w posiadanie tamtejszych nieruchomości, Iwan kupił działkę, która była własnością córki Stalina. Kupił też wielki apartament w Domu na Nabrzeżu. Wykorzystuje go jako pied-a-terre i ma w nim prywatne biuro. Byłam tam tylko kilka razy. Ten budynek jest pełen duchów. Mieszkańcy mówią, że jeśli nocą dobrze wyteńczyć słuch, wciąż słychać krzyki.

Przez moment patrzyła na Gabriela w milczeniu.

- Wie pan, panie Allon, o którym budynku mówię? Dom na Nabrzeżu.

- Duży budynek przy ulicy Serafimowicza z wielkim logo Mercedesa na dachu. Zbudowano go dla najważniejszych członków partyjnej nomenklatury we wczesnych latach trzydziestych. Za czasów wielkiego terroru Stalin zamienił go w dom koszmarów.

- Widzę, że wie pan co nieco o naszej historii. - Spojrzała na kieliszek. - Stalin zamordował prawie ośmiuset mieszkańców tego budynku, wliczając w to człowieka, który mieszkał w apartamencie

mojego męża. Był wysoko postawionym funkcjonariuszem ministerstwa spraw zagranicznych. Pachołki Stalina podejrzewały, że szpiegował dla Niemców i za to zabrano go na Pola Butowskie i rozstrzelano. Nikt nie wie, ile naprawdę ofiar Stalina tam spoczywa. Parę lat temu rząd przekazał te tereny Cerkwi prawosławnej i od tamtego czasu uważnie szukają szczątków. Panie Allon, w Rosji nie ma smutniejszego miejsca niż Butowo. Wdowy i sieroty idące rzędem wzdłuż rowów, szukające mężów i ojców. Opłakujemy ofiary Stalina w Butowie, podczas gdy ludzie pokroju mojego męża płacą miliony za ich mieszkania w Domu na Nabrzeżu. Tylko w Rosji.

- Gdzie dokładnie jest ten apartament?

- Na dziewiątym piętrze, z widokiem na Kreml. On i Arkady trzymają go pod strażą dwadzieścia cztery godziny na dobę. Drzwi do biura Iwana mają drewnianą okleinę, ale pod spodem jest pancerna stal. Zamek jest sterowany kodem i biometrycznym skanerem odcisków palców. Tylko trzy osoby znają kod i mają autoryzowane odciski palców: Iwan, Arkady i ja. Wewnątrz biura znajduje się chroniony hasłem komputer oraz skarbiec, strzeżony przez ten sam system, z tym samym hasłem i procedurą. Właśnie tam znajdują się wszystkie tajemnice mojego męża. Przechowuje je na dyskach, zakodowanych oprogramowaniem KGB.

- Wolno pani wejść do jego biura?

- W normalnych okolicznościach tylko z Iwanem. Ale w wyjątkowych przypadkach mogę też być sama.

- Jakie to okoliczności?

- Gdyby Iwan utracił łaskę ludzi, siedzących po drugiej stronie rzeki na Kremlu. W takim przypadku zawsze zakładał, że aresztują jego i Arkadego, a moim zadaniem było postarać się, by pewne akta nigdy nie wpadły w niepowołane ręce.

- Ma pani je zabrać? Pokręciła głową.

- Wnętrze skarbca jest wyłożone ładunkami wybuchowymi. Iwan pokazał mi, gdzie ukryty jest przycisk detonatora, jak go uzbroić i odpalić. Zapewnił mnie, że ładunki zostały uważnie skalibrowane: dość, by zniszczyć zawartość sejfu, bez niepotrzebnych zniszczeń.

- Jak brzmi hasło?

- Data urodzin Stalina wyrażona cyframi: 21 grudnia 1879. Ale samo hasło jest bezużyteczne. Potrzebny jest też mój kciuk. I nawet niech pan nie zastanawia się nad wymyśleniem czegoś, co oszuka skaner. Strażnik nigdy nie otworzy drzwi komuś nieznanemu. Tylko ja mogę dostać się do mieszkania i tylko ja mogę wejść do skarbca.

Gabriel wstał i podszedł do niskiego kamiennego murku na skraju werandy.

- Nie może pani zabrać tych dysków tak, by Iwan się o tym nie dowiedział. A jeśli się dowie, zabije panią, tak jak Aleksandra Lubina i Borysa Ostrowskiego.

- Nie zabije mnie, jeśli mnie nie znajdzie. A nie znajdzie mnie, jeśli pan i pańscy przyjaciele postaracie się dobrze mnie ukryć. - Przerwała na chwilę, by dotarło do niego pełne znaczenie jej słów.

- Mnie i dzieci, rzecz jasna. Będziecie musieli wymyślić, jak zabrać moje dzieci Iwanowi. Gabriel odwrócił się powoli.

- Czy wie pani, co mówi?

- O ile się nie mylę, za czasów zimnej wojny mówiło się o podobnej operacji „ucieczka”.

- Pani życie zmieni się całkowicie. Straci pani domy, pieniądze, obrazy Mary Cassatt. Koniec ze spędzaniem zimy w Courchevel i lata w Saint-Tropez. Nie będzie mogła pani chodzić na długie zakupy w Knightsbridge. Nigdy więcej nie wróci pani do Rosji i resztę życia spędzi, ukrywając się przed Iwanem. Proszę się zastanowić, Eleno. Naprawdę chce pani to wszystko porzucić, by nam pomóc?

- Co tak naprawdę porzucam? Jestem żoną człowieka, który sprzedał zestaw broni Al-Kaidzie i zabił dwóch dziennikarzy, by zachować to w tajemnicy. Człowieka, który gardzi mną do tego stopnia, że nie ma najmniejszych oporów przed przyprowadzeniem do naszego domu swojej kochanki. Moje życie to jedno wielkie kłamstwo. Jedyne, co mam, to dzieci. Zdobędę dla was te dyski i ucieknę na Zachód. Waszym zadaniem jest zabrać Iwanowi moje dzieci. Proszę mi obiecać, że nic im się nie stanie.

Wyciągnęła dłoń i ujęła go za nadgarstek. Jego skóra była gorąca, jakby paliła go gorączka.

- Z pewnością człowiek, który umie sfalszować obraz Mary Cassatt albo zaaranżować podobne spotkanie, wymyśli jakiś sposób, żeby zabrać moje dzieci ich ojcu?

- Przejrzała pani moje fałszerstwo.

- To dlatego, że jestem w tym dobra.

- Musi pani być więcej niż dobra, żeby oszukać Iwana. Musi być pani bezbłędna. Jeśli nie, może pani zginąć.

- Jestem dziewczyną z Leningradu. Wychowałam się w partyjnej rodzinie. Wiem, jak ich pokonać w ich własnej grze. Znam reguły. - Ścisnęła jego nadgarstek i spojrzała mu prosto w oczy. - Musicie tylko wymyślić, jak wysłać mnie do Moskwy, żeby Iwan nie nabrał podejrzeń.

- A potem musimy panią stamtąd wydostać. Razem z dziećmi.

- To też. Dolał wina do kieliszka i usiadł obok niej.

- Słyszałem, że pani matka nie czuje się najlepiej.

- Gdzie pan to usłyszał?

- Podśluchiwaliliśmy pani rozmowy telefoniczne. Wszystkie.

- Przez cały zeszły tydzień źle się czuła. Błaga mnie, żebym ją odwiedziła.

- Może powinna pani. W końcu wydaje mi się, że w takim położeniu, po przejściach z mężem, powinna pani spędzić trochę czasu z matką.

- Tak, chyba ma pan rację.

- Czy można ufać pani matce?

- Wprost nienawidzi Iwana. Nic by jej bardziej nie uszczęśliwiło, niż gdybym go opuściła.

- Mieszka w Moskwie? Elena skinęła głową.

- Zabraliśmy ją tam po śmierci mojego ojca. Kupiliśmy jej śliczne mieszkanie w nowym budynku przy prospekcie Kutuzowa. Nie znosi tego miejsca.

Gabriel w zamyśleniu oparł dłonie na podbródku i lekko przechylił głowę na bok.

- Będzie mi potrzebny list. Musi go pani napisać własnoręcznie i musi w nim być dość informacji o pani i rodzinie, by pani matka nie miała żadnych wątpliwości co do jego prawdziwości.

- A gdy go napiszę?

- Michaił zawiezie panią do męża. I będzie musiała pani zrobić wszystko, co w pani mocy, by zapomnieć o tej rozmowie.

W tej samej chwili w zaciemnionym centrum operacyjnym przy Bulwarze Króla Saula w Tel Awiwie Ari Szamron zdjął z uszu słuchawki i posłał Uziemu Nawotowi mordercze spojrzenie.

- Uzi, powiedz mi coś, proszę. Kiedy to wyraziłem zgodę na zorganizowanie ucieczki?

- Chyba nie wyrażałeś, szefie.

- Wyślij mu wiadomość. Powiedz, że ma być jutro wieczorem w Paryżu. Chciałem zamienić z nim kilka słów.

46

MASSIF DES MAURES, FRANCJA

Powiedz, co o nim myślisz? Pytanie zostało zadane po rosyjsku. Elena odwróciła się szybko i zobaczyła stojącego w przeszklonych drzwiach Michaiła. Trzymał ręce w kieszeniach, okulary przeciwsłoneczne zsunął na włosy.

- To niezwykle człowiek - powiedziała. - Dokąd poszedł? Michaił udał, że nie słyszy pytania.

- Eleno, możesz mu zaufać. Twoje życie będzie bezpieczne w jego rękach. Życie twoich dzieci także. - Wyciągnął dłoń. - Musisz zobaczyć przed odjazdem parę rzeczy.

Elena weszła z powrotem do willi. Pod jej nieobecność na wiejskim drewnianym stole ustawiono przyjęcie dla dwojga kochanków. Gdy Michaił znowu się odezwał, jego głos miał intymny odcień.

- Zjedliśmy razem lunch, Eleno. Gdy przyjechaliśmy, stał na stole, o tak. Zapamiętaj to, Eleno. Zapamiętaj dokładnie, jak wyglądał.

- Zjedliśmy go przed czy po?

- Przed - odparł, lekko uśmiechając się z podziwem. - Z początku byłaś zdenerwowana. Nie miałaś pewności, czy chcesz to zrobić. Zrelaksowaliśmy się. Zjedliśmy dobry posiłek. Napiliśmy się dobrego wina. Rose zadziałało. - Wyjął butelkę z kubelka z lodem. - Jest z Bandol. Bardzo zimne. Tak jak lubisz. - Nalał wina do kieliszka i podał jej. - Wypij jeszcze odrobinę. Ważne, żeby twój oddech pachniał winem, gdy wrócisz do domu.

Przyjęła kieliszek i uniosła go do warg.

- Powinnaś zobaczyć jeszcze jedną rzecz - powiedział Michaił. - Chodź ze mną.

Zaprowadził ją do większej z dwóch sypialni i kazał jej usiąść na nieposłanym łóżku. Zapamiętała wygląd i umeblowanie pokoju. Poobijany kredens. Bujany wiklinowy fotel. Przetarte zasłony w

oknie. Dwie kopie obrazów Moneta po obu stronach drzwi do łazienki.

- Byłem prawdziwym dżentelmenem. Dałem ci nawet więcej, niż się spodziewałaś. Nie byłem samolubny. Postarałem się zaspokoić twoje potrzeby. Kochaliśmy się dwa razy. Ja chciałem jeszcze po raz trzeci, ale robiło się późno, a ty byłaś zmęczona.

- Mam nadzieję, że cię nie zawiodłam.

- Wręcz przeciwnie.

Wszedł do łazienki, zapalił światło i skinął ku niej dłonią. Wewnątrz ledwo było miejsce dla dwojga. Stali obok siebie, gdy mówił dalej.

- Po wszystkim wzięłaś prysznic. Dlatego nie pachniesz tak, jak gdybyś się kochała. Eleno, zrób to teraz. Musimy zawieźć cię do męża.

- Co mam zrobić?

- Wziąć prysznic, rzecz jasna.

- Naprawdę?

- Tak.

- Ale przecież nie kochaliśmy się naprawdę.

- Oczywiście, że się kochaliśmy. Nawet dwa razy. Ja chciałem po raz trzeci, ale zaczęło się robić późno. Wejdz pod prysznic, Eleno. Rozmaz makijaż. Umyj twarz tak mocno, żeby wyglądała, jakbym cię całował. I użyj mydła. Ważne, żebyś pachniała innym mydłem.

Michał odkręcił kurki i po cichu wyszedł z łazienki. Elena zdjęła ubranie i weszła nago pod prysznic.

SAINT-TROPEZ, FRANCJA

Jean-Luc najbardziej lubił właśnie tę porę dnia: zawieszenie broni I między lunchem i kolacją, kiedy mógł wypić odrobinę pastisu i przygotować plan bitwy na wieczór. Gdy tylko przejrzał listę rezerwacji, wiedział, że noc będzie trudna: amerykański raper w towarzystwie dziesięciu osób, zhańbiony francuski polityk z nastoletnią kochanką, szejk z jednego z emiratów - Dubaju albo Abu Zabi, tego Jean-Luc nigdy nie pamiętał - oraz szemrany włoski biznesmen, który przyczał się w Saint-Tropez, bo w Mediolanie ciążył na nim akt oskarżenia. Na razie jednak sala jadalna Grand Joseph była cichym morzem lnu, kryształów i srebra, zakłóconym tylko obecnością dwojga zagubionych Hiszpanów, pijących po cichu po drugiej stronie sali przy barze. Oraz zaparkowaniem na wprost od wejścia czerwonego kabrioletu audi, wbrew rozporządzeniu władz oraz zarządzeniu samego Jean-Luca.

Dopił pastis i przyjrzał się bliżej siedzącym w samochodzie dwóm osobom. Mężczyzna za kierownicą miał trochę ponad trzydzieści lat i oczywiście nosił włoskie okulary przeciwsłoneczne. Miał słowiańską urodę i był całkiem przystojny. Sprawiał wrażenie, jak gdyby był z siebie bardzo zadowolony. Obok niego siedziała kobieta, równie atrakcyjna, chociaż o parę lat starsza. Włosy miała spięte nieuważnie w kok. Jej sukienka była wygnieciona, jak gdyby w

niej spała. Kochankowie, zdecydował Jean-Luc. Bez wątpienia. Co więcej był pewien, że widział ich w restauracji całkiem niedawno. W końcu sobie przypomni, kim są. Zawsze sobie przypominał. Tak działała pamięć Jean-Luca.

Para rozmawiała jeszcze przez dwie minuty, po czym ponownie się pocałowali, co rozwiało wszelkie wątpliwości co do sposobu, w jaki spędzili popołudnie. Widocznie był to pożegnalny pocałunek, bo chwilę później kobieta stała sama na oświetlonym słońcem brukowanym placu, a audi odjeżdżało szybko, jak gdyby przestępca uciekał nim z miejsca zbrodni. Kobieta patrzyła, jak znika za rogiem, po czym odwróciła się i skierowała do wejścia do restauracji. Dopiero w tym momencie Jean-Luc zdał sobie sprawę, że to była Elena Charków, żona Iwana Charkowa, rosyjskiego oligarchy i imprezowicza. Ale gdzie byli jej ochroniarze? Czemu jej włosy były w nieładzie, a sukienka pognieciona? I czemu na Boga całowała się z innym mężczyzną w czerwonym audi pośrodku Place de l'Hôtel de Ville?

Chwilę potem weszła do środka, kręcąc biodrami zwawiej niż zwykle. Torebkę miała przewieszoną przez lewe ramię.

- *Bonsoir*, Jean-Luc - powiedziała wesoło, jak gdyby nic nie było nie w porządku.

- *Bonsoir* - odpowiedział Jean-Luc, jak gdyby nie zauważył, że trzydzieści sekund wcześniej całowała w usta tamtego blondynka. Położyła torebkę na barze, otworzyła zamek, wyjęła ze środka

komórkę i z niechęcią wykręciła numer. Wymamrotała kilka słów po rosyjsku, po czym zamknęła głośno telefon.

- Czy mogę coś pani podać? - zapytał Jean-Luc.

- Kropelka sancerre dobrze by mi zrobiła. Oraz papieros.

- Sancerre się znajdzie, ale nie papieros. Nowe przepisy. Zakaz palenia we Francji.

- Ten świat schodzi na psy.

- Na to wygląda. - Spojrzał na nią znad swojego pastisu. -
Dobrze się pani czuje?

- Wybornie. Ale naprawdę potrzebuję tego wina.

Jean-Luc nalał hojnie sancerre do kieliszka, dwa razy więcej niż zwykle. Postawił wino na barze. Właśnie podnosiła kieliszek do ust, gdy dwa czarne mercedesy sedan zatrzymały się z piskiem opon na placu. Spojrzała przez ramię, zmarszczyła brwi i położyła na barze dwudziestkę.

- Cóż, mimo wszystko dziękuję, Jean-Luc.

- Na koszt firmy.

Wstała, przerzuciła torebkę przez ramię, posłała mu całusa i wyzywającym krokiem wyszła drzwiami, niczym idąca na gilotynę bojowniczką o wolność. Gdy stanęła w słońcu, tylne drzwi pierwszego samochodu otworzyły się gwałtownie i silna ręka wciągnęła ją brutalnie do środka. Samochody skoczyły równocześnie naprzód i pomknęły przed siebie niczym czarne pociski. Jean-Luc obserwował, jak odjeżdżają, po czym spojrzął na bar i zobaczył, że Elena nie wzięła pieniędzy. Wsunął banknot do kieszeni i uniósł

kieliszek w cichym toaście za jej odwagę. Za kobiety, pomyślał. Ostatnią nadzieję Rosji.

Przedłużająca się niewytłumaczona nieobecność gościa znanego jako Michael Daniloy wywołała w Chateau de la Messardiere najpoważniejszy kryzys, jaki hotel zaznał tego lata. Wysłano ekipy poszukiwawcze, przeszukano zarośla, poinformowano władze. Ale gdy wjechał tego wieczora na parking przed hotelem, z jego spojrzenia jasno wynikało, że nie wiedział, ile wywołał zamieszania. Oddał kluczyki portierowi i wszedł rażnym krokiem do holu, gdzie czekała z niepokojem jego zrozpaczona kochanka, Sara Crawford. Świadkowie uderzenia mówili potem, że jego odgłos był wyjątkowo czysty. Wymierzyła cios prawą dłoń, prosto w lewy policzek. Ponieważ nie uprzedziło go ostrzeżenie, zarówno odbiorca, jak i widzowie byli zupełnie zaskoczeni - oprócz dwóch rosyjskich ochroniarzy, pracowników niejakiego Iwana Charkowa, pijących wódkę w odległym kącie baru.

Blondyn nie spróbował nawet przeprosić ani nic wyjaśnić. Zamiast tego wsiadł do czerwonego audi i pomknął z wielką szybkością ku swojemu ulubionemu barowi w Starym Porcie, gdzie kontemplował stan swoich uczuć nad kilkoma butelkami zimnego kronenburga. Nie zauważył nadchodzących Rosjan; ale nawet gdyby ich widział, nie nadawał się już do obrony. Ich atak, podobnie jak Sary, nadszedł bez ostrzeżenia, chociaż wyrządził o wiele więcej szkód. Kiedy napaść dobiegła końca, kelner pomógł mu wstać i

przyniósł lód do opatrzenia ran. Podszedł żandarm, chcący dowiedzieć się, co zaszło; spisał zeznania i zapytał mężczyznę, czy chciał wnieść oskarżenie.

- I co im zrobicie? - zapytał blondyn. - To Rosjanie.

Spędził w barze kolejną godzinę, pijąc całkiem zdrowo na koszt firmy, po czym wsiadł do czerwonego audi i wrócił do hotelu. Kiedy wszedł do apartamentu, znalazł swoje ubranie rozrzucone po pokoju oraz wypisany szminką na lustrze dosadny epitet. Został w hotelu jeszcze jeden dzień, liżąc rany, po czym koło północy wsiadł do samochodu i pomknął w nieznane. Zarząd hotelu ucieszył się z jego odjazdu.

Część trzecia

UCIECZKA

48

PARYŻ

Pociąg TGV z Marsylii, mający przyjechać o 19:28, wtoczył się na dworzec Gare de Lyon dziesięć minut przed czasem. Gabrielowi nie wydało się to dziwne; francuscy motorniczowie zawsze potrafili skrócić trochę czas podróży, jeśli chcieli wrócić wcześniej do domów. Przechodząc z torbą podróżną w ręku przez halę przyjazdów, spojrział

w górę na strzeliste łukowate sklepienie. Trzy lata wcześniej ten symbol Paryża został dotkliwie uszkodzony przez zamachowca-samobójcę. Być może zawaliłby się zupełnie, gdyby Gabriel nie zabił dwóch innych terrorystów, nim zdetonowali swoje ładunki. Ten akt heroizmu sprawił, że przez krótki czas był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w całej Francji.

Na okrągłym podjeździe przed stacją czekało kilkanaście taksówek; zamiast tego jednak Gabriel poszedł na Boulevard Diderot i tam zatrzymał inną. Dał kierowcy adres o parę ulic od celu swojej podróży: niewielkiej kamienicy w cichym zaułku nieopodal Bois de Boulogne. Upewniwszy się, że nikt go nie śledzi, stanął przy drzwiach i nacisnął dzwonek mieszkania 4B. Zamek odskoczył natychmiast. Gabriel wspiał się szybko po schodach, bezgłośnie stąpając w zamszowych mokasynach po wytartym dywanie. Gdy doszedł na czwarte piętro, zobaczył, że drzwi mieszkania są uchylone. W powietrzu unosił się niemożliwy do pomylenia z żadnym innym zapach tureckiego tytoniu. Popchnął drzwi czubkiem palca, tak że otworzyły się powoli do środka na naoliwionych zawiasach.

Minęły dwa lata od ostatniego razu, gdy stał w tym lokalu konspiracyjnym, ale nic się tu nie zmieniło: te same ponure meble, poplamione dywany, grube zasłony na oknach, Adrian Carter i Uzi Nawot spoglądali na niego z zainteresowaniem. Siedzieli w fotelach przy tanim stoliku i wyglądali tak, jak gdyby właśnie opowiedzieli sobie świetny dowcip, którego Gabriel nie powinien był słyszeć. Parę sekund później z kuchni wyłonił się Ari Szamron z filiżanką i

talerzykiem w dłoni. Brzydkie okulary wsunął na czoło niczym gogle. Miał na sobie swój zwykły strój, spodnie khaki i białą bawełnianą koszulę z podwiniętymi do łokci rękawami. Praca w terenie zawsze czyniła cuda z wyglądem Szamrona - nawet jeśli „teren” oznaczał wygodne mieszkanie w szesnastej dzielnicy Paryża. Już od dawna nie wyglądał równie zdrowo.

Zatrzymał się na moment, spojrzął na Gabriela bez sympatii, po czym wszedł do salonu. W popielniczce na stoliku tlił się papieros. Gabriel dotarł do niego o parę sekund przed Szamronem i pośpiesznie zgniół niedopałek.

- Co ty wyczyniasz? - zapytał Szamron.

- Nie wolno ci palić.

- Jak mam nie palić, kiedy mój najznakomitszy agent ma zamiar wypowiedzieć wojnę Rosji? - Odstawił filiżankę i talerzyk na stolik, po czym zaczął przechadzać się gniewnym krokiem po pokoju. - Miałeś pozwolenie na zorganizowanie spotkania z Eleną Charków i jeśli to możliwe, wysłuchać jej sprawozdania o nielegalnym handlu bronią prowadzonym przez jej męża. Spisałeś się wyśmienicie. Naprawdę, wykonałeś tę operację w pięknym stylu. Ale na koniec drastycznie przekroczyłeś swoje uprawnienia. Nie miałeś prawa negocjować włamania w sercu Moskwy ani zawierać z Eleną Charków umowy o jej ucieczce na Zachód. Nawet nie miałeś prawa z nią tego omawiać.

- Co niby miałem zrobić, Ari? Powiedzieć jej, że bardzo dziękujemy, ale nie? Powiedzieć jej, że w sumie nie byliśmy jednak zainteresowani dobraniem się do najcenniejszych tajemnic jej męża?

- Nie, Gabrielu, ale mogłeś przynajmniej skonsultować się z przełożonymi.

- Nie miałem czasu konsultować się z przełożonymi. Iwan przeczesywał Saint-Tropez w poszukiwaniu żony.

- A jak myślisz, co Iwan robi, jeśli zabierzesz mu Elenę i dzieci? Wciągnie na maszt białą flagę i zwinie swoją siatkę? - Szamron sam odpowiedział na swoje pytanie, kręcąc powoli łusą głową. - Iwan Charków to potężny człowiek, mający potężnych przyjaciół. Nawet jeśli jakoś dostaniesz Elenę i te dyski, co moim skromnym zdaniem wcale nie jest takie oczywiste, Iwan zemści się okrutnie, Rosja wywali wielu dyplomatów, a stosunki z Zachodem, już i tak napięte, zostaną zerwane. Mogą też mieć miejsce reperkusje finansowe, których Zachód nie potrzebuje, zwłaszcza teraz, gdy światowa gospodarka i tak jest niestabilna.

- Sankcje dyplomatyczne? Kiedy to ostatnio wielki Ari Szamron pozwolił, by groźba sankcji dyplomatycznych powstrzymała go od czegokolwiek?

- Ustąpiłem więcej razy, niżbyś się spodziewał. Ale nie tylko skutki dyplomatyczne mnie obchodzą. Iwan Charków udowodnił, że potrafi być brutalny, i jeśli ukradniesz mu żonę i dzieci, to właśnie swoją przemocą w nas uderzy. Ma dostęp do najniebezpieczniejszej broni na świecie, wliczając w to materiały radioaktywne, biologiczne i

chemiczne. Nie trzeba być szczególnie sprytnym, żeby wpaść na to, w jaki sposób Iwan i jego zakapiory z byłego KGB mogą umieścić tę broń w rękach naszych nieprzyjaciół.

- Ta broń już tam jest - powiedział Gabriel. - Inaczej by nas tu nie było.

- A jeśli rozleją po Tel Awiwie kilka probówek polonu? A jeśli na skutek tego zginie kilka tysięcy niewinnych osób? Co wtedy powiesz?

- Powiem, że naszym zadaniem jest do tego nie dopuścić. Przypomnę ci też twoje własne słowa: nasze decyzje powinny być podejmowane nie w oparciu o strach, ale na podstawie rozważań o względach bezpieczeństwa Państwa Izrael. Przecież chyba nie twierdzisz, że nie leży w naszym interesie usunięcie Iwana Charkowa? Ten człowiek ma na rękach więcej krwi niż Hezbollah, Hamas i Al-Kaida razem wzięte. Swój kram prowadzi we współpracy z Kremlem oraz jego błogosławieństwem i pełnym poparciem. Niech Rosjanie nakładają sobie sankcje dyplomatyczne, nie mam nic przeciwko. Jeśli to zrobią, odpowiemy, i to z mocą.

Szamron wsunął papierosa w kącik ust i zapalił go swoją starą zapalniczką zippo. Gabriel spojrział na Nawota i Cartera. Patrzyli w bok niczym przypadkowi świadkowie kłótni małżeńskiej.

- Czy masz zamiar osobiście rozniecić nową zimną wojnę? - Szamron wypuścił w stronę sufitu kłęb dymu. - Bo właśnie o to prosisz.

- Rosjanie już to zrobili. A jeśli Iwan Charków pragnie przyłączyć się do reszty psycholi, którzy chcą nas skrzywdzić, to droga wolna.

- Iwan będzie chciał zemsty nie tylko na Państwie Izrael. Będzie próbował zniszczyć ciebie i wszystko, co jest ci drogie. - Ze względu na Adriana Cartera rozmawiali po angielsku, ale teraz Szamron przeszedł na hebrajski i ściszył głos o parę decybeli. - Naprawdę tego chcesz na tym etapie swojego życia, synu? Kolejnego wroga, który pragnie twojej śmierci?

- Potrafię się o siebie zatroszczyć.

- A twoja nowo poślubiona małżonka? Czy o nią też potrafisz się zatroszczyć? W każdej sekundzie, każdego dnia? - Szamron rozejrzał się teatralnie po pokoju. - Czy to tu przywiozłeś Leah po zamachu na Gare de Lyon? - Odpowiedziało mu milczenie, więc kontynuował. - Palestyńczycy dostali twoją żonę nie raz, ale dwa, Gabrielu. Najpierw w Wiedniu, a piętnaście lat potem w angielskim szpitalu psychiatrycznym, w którym ją ukryłeś. Ci Palestyńczycy byli dobrzy w swojej robocie, ale w porównaniu z Rosjanami to dzieci. Powinieneś o tym pamiętać, zanim wypowiesz wojnę Iwanowi Charkowowi.

Szamron umieścił papierosa w popielniczce, pewny, że zwyciężył. Podniósł filiżankę i talerzyk. W jego wielkich, pokrytych plamami wątrobowymi dłoniach wyglądały jak zestaw dla lalek.

- A Eichmann? - zapytał cicho Gabriel. Powiedział to po hebrajsku, ale usłyszawszy nazwisko mordercy, Adrian Carter spojrzał

na niego z zainteresowaniem, niczym student wyrwany z zamyślenia podczas nudnego wykładu.

- Eichmann? - upartym tonem odpowiedział pytaniem Szamron.

- Zastanawialiście się nad konsekwencjami dyplomatycznymi, kiedy porwaliście go z przystanku autobusowego w Argentynie?

- Jasne, że tak. Co więcej przez długi czas debatowaliśmy, czy w ogóle mamy go porwać. Baliśmy się, że świat potępi nas jako porywaczy i przestępców. Baliśmy się, że nasze młode, słabe państwo nie da sobie rady z politycznymi konsekwencjami.

- Ale w końcu dorwaliście drania. Zrobiliście to, bo tak należało. Tak nakazywała sprawiedliwość.

- Zrobiliśmy to, Gabrielu, bo nie było innego wyboru. Gdybyśmy zażądali ekstradycji, Argentyńczycy odmówiliby i ostrzegli Eichmanna. I stracilibyśmy go na zawsze.

- Bo strzegły go policja i tajne służby?

- Zgadza się.

- Tak jak FSB i Kreml strzegą Iwana.

- Iwan Charków to nie Adolf Eichmann. Chyba nie muszę ci tłumaczyć, na czym polega różnica. Straciłem przez Eichmanna i nazistów większość mojej rodziny. Ty także. Twoja matka spędziła wojnę w Birkenau i nosiła po niej blizny aż do śmierci. Teraz ty też je nosisz.

- Powiedz to tysiącom ludzi, którzy zginęli w wojnach, jakie toczyły się przy użyciu dostarczonej przez Iwana broni.

- Gabrielu, zdradzę ci drobny sekret. Jeśli Iwan przestanie sprzedawać dzisiaj broń, jutro zajmie się tym ktoś inny zamiast niego.

- Szamron skinął palcem w stronę Cartera. - Kto wie? Może nawet twój dobry przyjaciel Adrian. On i jego rząd przesyłali broń do krajów Trzeciego Świata, kiedy tylko im to odpowiadało. Nawet my sprzedawaliśmy uzbrojenie różnym ciemnym typom.

- Gratuluję, Ari.

- Czego?

- Stoczenia się tak nisko jak nigdy dotąd - powiedział Gabriel.

- Właśnie porównałeś nasz kraj do najgorszego człowieka świata tylko po to, żeby wygrać kłótnię.

Gabriel widział, że opór Szamrona powoli słabnie. Postanowił wykorzystać przewagę, nim stary wojownik zbierze siły.

- Ari, ja to zrobię, ale to się nie uda bez twojego wsparcia. - Przerwał na moment, po czym dodał: - Ani bez twojej pomocy.

- Kto teraz się stacza?

- Uczę się od mistrza.

Szamron zgniótł papierosa i przyjrzał się Gabrielowi przez znikający kłęb dymu.

- Zastanowiłeś się, gdzie ją umieścisz?

- Myślałem, żeby wprowadziła się do mieszkania przy ulicy Narkissa ze mną i Chiarą, ale tak naprawdę nie ma tam miejsca dla nas wszystkich. I jeszcze do tego dzieci.

Szamron srogim spojrzeniem dał mu do zrozumienia, że temat wcale nie wydaje mu się zabawny.

- Przesiedlenie Eleny Charków do Izraela w ogóle nie wchodzi w rachubę. Kiedy Rosja w końcu pozwoliła swoim Żydom wyemigrować do Izraela, razem z nimi wślizgnęło się do naszego kraju wielu Rosjan nie-Żydów, a wśród nich kilka ważnych osobistości ze świata przestępczego. Możesz być pewny, że znajdzie się kilku twoich wspaniałych rodaków, którzy dla Iwana zabiją Elenę.

- Ari, nigdy nie chciałem zatrzymać jej w Izraelu. Będzie musiała udać się do Ameryki.

- Zwalić wszystko na Adriana? To ma być według ciebie rozwiązanie? Nie mówimy o przesiedleniu porucznika KGB, utrzymującego się z państwowej pensji. Elena Charków jest bardzo bogatą kobietą. Przyzwyczała się do stylu życia, którego mało kto z nas kiedykolwiek zazna. Stanie się kłopotliwa. Jak większość z tych, którzy zmienili strony.

Szamron spojrział w stronę Adriana Cartera, oczekując poparcia, ale Carter wiedział, że lepiej nie wtrącać się w rodzinne kłótnie, i milczał. Szamron zdjął okulary i w zamyśleniu wytarł je skrawkiem koszuli.

- Chwilowo długoterminowe samopoczucie Eleny i jej dzieci jest twoim najmniejszym zmartwieniem. Najpierw musisz znaleźć jakiś sposób, żeby wróciła do Rosji, sama, bez wzbudzania podejrzeń Iwana.

Gabriel rzucił na stolik kopertę.

- A to co? - spytał Szamron.

- Bilet powrotny do Moskwy dla Eleny.

Szamron zdjął okulary i wyjął list z koperty. Przeczytał go bez problemu: rosyjski był jednym z wielu języków, które znał. Kiedy skończył, ostrożnie wsunął list z powrotem do koperty, tak jak gdyby próbował nie zostawić na nim odcisków palców.

- To niezły początek, Gabrielu, ale co z resztą? Jak masz zamiar wprowadzić ją do tamtego mieszkania tak, żeby nie zaalarmować służb bezpieczeństwa Iwana? I jak ją wydostaniesz z kraju po tym, jak ukradnie dyski? I czym zajmiesz Iwana, gdy będziesz porywał jego dzieci?

Gabriel się uśmiechnął.

- Ukradniemy jego samolot. Szamron upuścił list Eleny na stolik.

- Mów dalej, synu.

Oczarowanie Szamrona nie zajęło Gabrielowi wiele czasu. Siedział nieruchomo w fotelu, ciężkie powieki miał na wpół przymknięte, grube ramiona skrzyżował na piersi. Obok niego siedział Adrian Carter, jego twarz była nieprzeniknioną maską. Nie mogąc ochronić się przed dymem z papierosów Szamrona, postanowił wypełnić pokój własnym i pykał fajkę, cuchnącą palonymi liśćmi i mokrym psem. Gabriel i Nawot siedzieli obok siebie na kanapie niczym dwóch młodzieńców z problemami. Nawot pocierał spuchnięty fragment nasady nosa, który otarły mu okulary od Belli.

Gdy Gabriel skończył sprawozdanie, pierwszy odezwał się Carter. Najpierw poklepał fajkę o brzeg popielniczki, jak sędzia próbujący doprowadzić niespokojną salę sądową do porządku.

- Nigdy nie uważałem się za eksperta w kwestii Francuzów, ale biorąc pod uwagę nasze ostatnie spotkanie, jestem pewien, że przyjmą od was tę piłkę. - Spojrzał przeprasząco na Szamrona, który bardzo nie lubił amerykańskich sportowych metafor, gdy omawiano delikatne szczegóły operacyjne. - Francuskie prawo daje tajnym służbom szerokie pole manewru, zwłaszcza gdy chodzi o obcokrajowców. Poza tym Francuzom naginanie prawa nigdy nie przeszkadzało, kiedy służyło ich celom.

- Nie lubię współpracować z francuskimi służbami - powiedział Szamron. - Denerwują mnie.

- Zgłaszam się na ochotnika, żeby się nimi zająć, Ari. Dzięki Gabrielowi ja i Francuzi nawet trochę się rozumiemy.

Szamron przeniósł wzrok na Gabriela.

- Pewnie nie muszę pytać, kto będzie pilnował Eleny.

- Ona tego nie zrobi, jeśli sam z nią nie pojedę.

- Dlaczego wiedziałem, że tak będzie brzmiała twoja odpowiedź? Carter powoli nabijał fajkę.

- Może użyć amerykańskiego paszportu. Rosjanie nie odważą się go tknąć.

- To chyba zależy którzy. Są różne rodzaje Rosjan. Najpierw zwykle zbiry z FSB, jak ci, których Gabriel spotkał na Łubiance. Są też prywatni zbóje, pracujący dla ludzi pokroju Iwana. Wątpię, by paszport ich onieśmielił. Nawet amerykański.

Szamron przeniósł wzrok z Cartera na Gabriela.

- Gabrielu, czy muszę ci przypominać, że twój znajomy, Siergiej, dał ci jasno do zrozumienia, iż wiedział, kim jesteś i co się stanie, jeśli znowu znajdziesz się w Rosji?

- Jadę tam tylko dla towarzystwa. To Elena będzie gwiazdą tego przedstawienia. Musi po prostu wejść do Domu na Nabrzeżu, zgarnąć dyski Iwana i wyjść stamtąd.

- Co mogłoby się nie udać w tak prostym planie? - zapytał zgryźliwie Szamron, nie kierując pytania do nikogo w szczególności. - Ilu twoich dzielnych współpracowników masz zamiar wziąć ze sobą na tę wycieczkę?

Gabriel wyrecytował listę nazwisk.

- Możemy przysłać ich jako załogę i obsługę lotu El AJ. Wylecimy razem z Moskwy, kiedy będzie po wszystkim.

Adrian Carter pykał świeżo nabitą fajkę i kiwał powoli głową. Szamron przyjął na nowo swoją pozycję, w której przypominał Buddę. Spojrzał na Gabriela, który odpowiedział podobnym spojrzeniem.

- Będziemy potrzebowali zgody premiera - powiedział Szamron.

- Premier robi to, co mu każesz - odparł Gabriel. - Zawsze tak było.

- Niech Bóg ma nas w swojej opiece, jeśli wywołamy kolejny skandal. - Szamron przeniósł wzrok z Nawo ta na Gabriela i z powrotem. - Chcielibyście się tym zająć sami, chłopcy, czy raczej pod opieką dorosłego? Już robiłem to raz czy dwa.

- Bardzo ucieszy nas twoja pomoc - powiedział Nawot. - Jesteś pewien, że Dżila nie będzie miała nic przeciwko?

- Dżila? - Szamron wzruszył ramionami. - Wydaje mi się, że Dżili przyda się kilka dni samotności. Nie uwierzycie, ale ciężko się ze mną mieszka.

Gabriel i Nawot wybuchnęli śmiechem. Adrian Carter przygryzł cybuch, próbując się powstrzymać, ale po paru sekundach nie wytrzymał.

- ŚmieJCie się ze mnie, śmieJCie - wymamrotał Szamron. - Pewnego dnia też będziecie starzy.

49

PARYŻ

Planowanie ruszyło pełną parą następnego dnia, gdy Adrian Carter po raz drugi udał się do otoczonego murem rządowego domu gościnnego przy avenue Victor Hugo. Tak jak przewidział, negocjacje przebiegły gładko i jeszcze tego samego wieczora DST, francuskie służby wewnętrzne, przejęły obserwację Iwana Charkowa. Wykończeni prawie dwoma tygodniami ciągłej służby ludzie Gabriela natychmiast ruszyli do Paryża, wszyscy, z wyjątkiem Diny Szarid, która została w willi w Gassin, by służyć za oczy i uszy Gabriela na południu.

Wkrótce dla DST oraz wszystkich mieszkańców Saint-Tropez stało się jasne, że Villa Soleil jest spowita całunem. Skończyły się

przyjęcia nad wielkim basenem, popijawy na pokładzie „Października”, a nazwisko Charków nie pojawiło się na listach rezerwacji żadnych ekskluzywnych restauracji w Saint-Tropez. Co więcej przez pierwsze trzy dni obserwacji Francuzi ani razu nie zobaczyli Iwana i Eleny. Tylko dzieci, Anna i Nikołaj, wyszły raz poza mury, by udać się do wesołego miasteczka na obrzeżach miasta, oraz drugi raz, kiedy poszły na plażę Pampelonne, gdzie spędziły ponure dwie godziny w towarzystwie Soni i spalonych słońcem rosyjskich ochroniarzy, nim zażądały, by zabrać je z powrotem do domu.

DST operowało na własnym terenie, wsłuchiwali się więc uważnie w krążące po kawiarniach i barach plotki. Według jednej z nich Iwan miał zamiar wystawić willę na sprzedaż, po czym udać się na morze, by podleczyć urażoną dumę. Inna głosiła, że chciał dać Elenierosyjski rozwód, żeby musiała zebrać przez resztę życia w moskiewskim metrze o parę kopiejek. Według innej plotki stłukł ją na kwaśne jabłko, a nawet być może zabił, a zwłoki porzucił w Alpach Nadmorskich. Jednak wszelkie spekulacje umilkły, gdy zauważono Elenę przechadzającą się o zachodzie słońca po rue Gambetta, bez żadnych śladów fizycznych czy emocjonalnych przejść. Iwan jej nie towarzyszył, ale świta ochroniarzy owszem. Jeden z obserwatorów DST opisał ochronę jako „prezydencką”, zarówno pod względem liczebności, jak i natężenia.

W niewielkim mieszkaniu w szesnastej dzielnicy Paryża wydarzenia na południu zostały przyjęte jako potwierdzenie, że faza

operacji znana jako „małe kłamstwo, by skryć o wiele większe” zadziałała idealnie. Wprawdzie sąsiedzi o tym nie wiedzieli, ale w mieszkaniu panował ruch jak w mrowisku. Do ścian przyklejono taśmą zdjęcia z terenu i raporty wywiadowcze, dokładny plan Moskwy z flagami, pinezkami i namalowanymi na czerwono trasami oraz tablicę, pokrytą eleganckim hebrajskim pismem. Na początku przygotowań wydawało się, że Szamron zadowolony jest rolą szarej eminencji. Jednakże z upływem czasu jego cierpliwość zaczęła się wyczerpywać i zaczął się udzielać na sposoby, które w osobach innych niż Gabriel i Uzi Nawot mogłyby wywołać urazę. Byli dla Szamrona niczym synowie i przyzwyczaili się do jego wojowniczych wybuchów. Słuchali, gdy inni agenci dawno zatkaliby uszy, i przyjmowali rady, które inni by odrzucili, chociażby przez urażoną dumę. Ale najważniejszy był fakt, pomyślał Adrian Carter, że najwyraźniej cieszyli się z możliwości pracy w terenie z tym człowiekiem legendą. I vice versa.

Większość czasu zmuszeni byli spędzać w mieszkaniu, ale raz dziennie Gabriel zabierał Szamrona na spacer po ścieżkach w Bois de Boulogne. Najokrutniejsze letnie upały już minęły i sierpniowe paryskie popołudnia były łagodne i przyjemne. Gabriel nalegał, by Szamron przestał palić, ale bezskutecznie. Nie mógł też przekonać go, by porzucił chociaż na parę chwil myśli o szczegółach operacji. Gdy byli sami w parku, dzielił się z Gabrielem myślami, których nie śmiałyby ujawnić przed Nawotem i innymi członkami zespołu. Dręczące go niepokoje. Pytania bez odpowiedzi i nierozwiązane

wątpliwości. Nawet obawy. Kiedy ostatni raz udali się razem na spacer, Szamron był spięty i w złym humorze. W ogrodach Bagatelle powiedział coś, czego Gabriel nigdy wcześniej nie słyszał na noc przed akcją - ostrzeżenie o możliwości niepowodzenia.

- Musisz być przygotowany na możliwość, że Elena nie wyjdzie z tamtego domu. Daj jej określony czas, plus pięć minut zapasu. Ale jeśli nie wyjdzie, to znaczy, że ją złapano. A jeśli ją złapią, to możesz być pewien, że Arkady Miedwiediew i jego zbiry będą szukać współników. Jeśli, nie daj Boże, wpadnie w ich łapy, nie możemy nic dla niej zrobić. Nawet nie myśl o tym, żeby wchodzić tam za nią. Jesteś odpowiedzialny przede wszystkim wobec siebie i swojej drużyny.

Gabriel szedł w milczeniu, z rękami w kieszeniach, rozglądając się wokół. Szamron mówił dalej. Jego głos brzmiał niczym bicie odległych bębnow.

- Iwan i jego sprzymierzeńcy z FSB pozwolili ci raz wyostać się z Rosji, ale nie miej złudzeń, że to się powtórzy. Graj według reguł Moskwy i nie zapominaj o jedenastym przykazaniu: nie daj się złapać. Gabrielu, nawet jeśli będziesz musiał zostawić Elenę Charków, nie możesz dać się złapać. Jeśli nie wyjdzie na czas, musisz odjechać. Rozumiesz mnie?

- Rozumiem.

Szamron zatrzymał się i ujął twarz Gabriela obiema dłońmi z niespodziewaną siłą.

- Gabrielu, kiedyś zniszczyłem ci życie i nie pozwolę, by to się powtórzyło. Jeśli coś pójdzie nie tak, jedź na lotnisko i wsiadaj do samolotu.

Wrócili do mieszkania w milczeniu, idąc w gasnącym świetle nadchodzącego wieczoru. Gabriel spojrzął na zegarek. Dochodziła piąta. Operacja wkrótce miała się zacząć. Nawet Szamron nie mógł jej już zatrzymać.

50

MOSKWA

Było trochę po siódmej, gdy w Moskwie, w mieszkaniu Swietłany Fiodorowej przy prospekcie Kutuzowa zaterkotał cicho domofon. Ucieszyła się, że coś się dzieje. Siedziała w salonie, oglądając w telewizji kolejne przemówienie rosyjskiego prezydenta. Uciszyła go pilotem - „O Boże, żeby to było takie proste” - i powoli przyłożyła słuchawkę do ucha. Od razu poznała głos po drugiej stronie. Paweł, wstrętny dozorca z wieczornej zmiany. Wyglądało na to, że będzie miała gościa.

- Przyszedł do pani jakiś dżentelmen - powiedział głosem pełnym insynuacji.

- Jakoś się nazywa?

- Przedstawił się jako Feliks.

- Rosjanin?

- Jeśli tak, to nie mieszka tu od dawna.

- Czego chce?

- Chce zostawić wiadomość. Mówi, że jest przyjacielem pani córki. Nie mam córki, pomyślała z nienawiścią. Kobieta, którą uważałam za córkę, zostawiła mnie w Moskwie, żebym umarła samotnie, podczas gdy ona hasa sobie po Europie ze swoim mężem oligarchą. Oczywiście dramatyzowała, ale w tym wieku mogła sobie na to pozwolić.

- Jak wygląda?

- Jakby w życiu nie widział żelazka. Ale ma kwiaty i czekoladki. Czekoladki Godiwa, pani Swietłano. Pani ulubione.

- To nie gangster ani gwałciciel?

- Nie sędzę.

- W takim razie niech wejdzie.

- Już idzie.

- Chwileczkę, panie Pawle.

- Tak?

Popatrzyła na swój zniszczony fartuch.

- Niech poczeka pięć minut i dopiero wtedy wejdzie. Odwiesiła słuchawkę. Kwiaty i czekoladki... Może wyglądał, jakby w życiu nie widział żelazka, ale najwidoczniej był dżentelmenem.

Weszła do kuchni i rozejrzała się za czymś do jedzenia. W spiżarni nie miała ciasta ani herbatników, jedynie puszkę angielskich ciasteczek, które kupiła na pamiątkę swojej ostatniej okropnej wizyty w Londynie, gdy odwiedzała Elenę. Elegancko ułożyła kilkanaście ciastek na talerzu na stole w salonie. Poszła do sypialni i przebrała się

szybko w letnią sukienkę. Stojąc przed lustrem, poprawiła siwe włosy i ze smutkiem spojrzała na swoją twarz. Na to nic nie mogła poradzić. Zbyt wiele lat minęło, pomyślała. Zbyt wiele się namartwiłam.

Właśnie wychodziła z sypialni, gdy usłyszała dźwięk dzwonka. Gdy otworzyła drzwi, zobaczyła dziwnego jegomościa około sześćdziesiątki z rzadkimi, rozwichrzonymi włosami o drobnych, bystrych oczach. Ubranie, tak jak powiedział Paweł, było pogniecione, ale najwyraźniej starannie dobrane. W jego zachowaniu było coś staroświeckiego. Coś z minionych lat. Pomyślała, że wygląda, jak gdyby wyszedł z czarno-białego filmu albo z petersburskiej kawiarni z czasów rewolucji. Jego zachowanie było równie staroświeckie co wygląd. Mówił po rosyjsku płynnie, ale tak, jak gdyby dawno nie używał tego języka. Na pewno nie był z Moskwy; wątpiła, czy w ogóle był Rosjaninem. Gdyby ktoś ją zapytał, zgadywałaby, że jest Żydem. Nie miała nic przeciw Żydom. Może nawet sama miała odrobinę żydowskiej krwi.

- Mam nadzieję, że nie przeszkadzam - powiedział.

- Oglądałam właśnie telewizję. Prezydent wygłaszał kolejne ważne przemówienie.

- Naprawdę? O czym?

- Nie jestem pewna. Wszystkie brzmią tak samo. Gość podał jej kwiaty i czekoladki.

- Pozwoliłem sobie kupić pani podarek. Wiem, że uwielbia pani trufle.

- Skąd?

- Oczywiście od pani Eleny. Pani Elena wiele mi o pani opowiadała.

- Skąd pan zna moją córkę?

- Jestem jej przyjacielem, pani Fiodorowa. Zaufanym przyjacielem.

- Przysłała tu pana?

- Zgadza się.

- Po co?

- Żeby przedyskutować z panią pewną ważką kwestię. - Ściszył głos. - Bezpieczeństwo pani Eleny i jej dzieci.

- Czy coś im grozi?

- Naprawdę lepiej by było, pani Fiodorowa, gdybyśmy porozmawiali na osobności. To nadzwyczaj delikatna sprawa.

Przez długą chwilę przypatrywała mu się podejrzliwie, nim wreszcie odstąpiła na bok. Przeszedł koło niej po cichu, jego kroki nie wydawały żadnego odgłosu na wykafelkowanej posadzce. Jak gdyby się unosił w powietrzu, pomyślała, gdy zamykała drzwi na łańcuch. Przeszył ją dreszcz. Jak duch.

51

GENEWA

Powiadają, że podróżni, którzy przybywają do Genewy pociągiem od strony Zurychu, często są tak urzeczeni jej pięknem, że wyrzucają powrotne bilety przez okno i przysięgają, że nigdy więcej

nie opuszczą tego miasta. Przyjeżdżając samochodem z Paryża w środku nocy, Gabriel nie odczuwał podobnej potrzeby. Genewa zawsze wydawała mu się urokliwym, ale nudnym miastem. Kiedyś było to centrum kalwinizmu, ale ostatnio jedyną religią miasta były pieniądze, a bankierzy oraz finansiści jego nowymi kapłanami i biskupami.

Jego hotel, Metropole, stał nieopodal jeziora, po przeciwnej stronie ulicy niż Jardin Anglais. Dyrektor nocnej zmiany, drobny, nieskazitelnie ubrany i pozbawiony wszelkich emocji człowieczek podał mu elektroniczny klucz oraz poinformował go, że żona już się zameldowała i czeka na górze. Znalazł ją w szerokim fotelu przy oknie. Długie nogi oparła o parapet, patrzyła na Jet d'Eau, strzelistą fontannę pośrodku jeziora. W szafie wisiał jej wyprasowany mundur El Al. Światło świec odbijało się miękko w srebrnych pokrywkach półmisków na nakrytym dla dwojga stoliku na kółkach. Gabriel wyjął z kubelka z lodem butelkę zimnego chasselas i nalał sobie kieliszek.

- Myślałam, że będziesz tu godzinę wcześniej.

- Ruch pod Paryżem był okropny. Co mamy na kolację?

- Bliny z kawiozem - powiedziała bez cienia ironii w głosie.

Wciąż patrzyła na fontannę, podświetloną teraz na czerwono reflektorami. - Pewnie już ostygły.

Gabriel położył dłoń na pokrywce jednego z półmisków.

- Nie szkodzi. Nalać ci wina?

- Nie powinnam. Muszę wstać o czwartej. Pracuję na porannej zmianie z Genewy na lotnisko Ben Guriona, a po południu z Ben

Guriona do Moskwy. - Po raz pierwszy spojrzała na niego. - Wiesz co, całkiem możliwe, że pracownicy El Al śpią jeszcze mniej niż agenci Biura.

- Nikt nie śpi mniej od agentów Biura. - Nalał jej kieliszek wina.

- Napij się odrobinę. Podobno to dobrze robi na serce.

Przyjęła kieliszek i uniosła go w stronę Gabriela.

- Szczęśliwej rocznicy, kochanie. Dzisiaj minęło pięć miesięcy od naszego ślubu. - Wypiła łyk wina. - To by było na tyle, jeśli chodzi o nasz miesiąc miodowy we Włoszech.

- Pięć miesięcy to żadna rocznica, Chiaro.

- Oczywiście, że tak, głupi. Znowu wbiła wzrok w fontannę.

- Jesteś na mnie zła, Chiaro, bo spóźniłem się na kolację, czy coś innego cię dręczy?

- Jestem zła, bo nie chcę lecieć jutro do Moskwy.

- To nie leć.

Posłała mu wściekłe spojrzenie, po czym znowu popatrzyła na jezioro.

- Ari dał ci wiele okazji, by się wycofać z tej historii, ale postanowiłeś brnąć dalej. Zwykle jest na odwrót. Zwykle to Szamron naciska, a ty się próbujesz wykręcić. Czemu akurat teraz, Gabrielu? Po wszystkim, przez co przeszedłeś, po tych wszystkich walkach, po tylu zabójstwach, czemu wolisz angażować się w coś takiego, a nie ukryć się ze mną w willi w Umbrii gdzieś w odosobnieniu?

- Chiaro, to nie fair tak to ujmować.

- Oczywiście, że tak jest fair. Powiedziałeś, że to będzie prosta robota. Spotkasz się w Rzymie z rosyjskim dziennikarzem, posłuchasz, co ma do powiedzenia, i to miał być koniec.

- I byłby, gdyby go nie zamordowano.

- Więc robisz to dla Borysa Ostrowskiego? Ryzykujesz życie, swoje i Eleny, bo czujesz się winny jego śmierci?

- Robię to, bo musimy znaleźć te rakiety.

- Robisz to, bo chcesz zniszczyć Iwana.

- Oczywiście, że chcę zniszczyć Iwana.

- Przynajmniej jesteś szczery. Postaraj się tylko, żebyś przy okazji sam siebie nie zniszczył. Jeśli zabierzesz mu żonę i dzieci, będzie ich szukał nawet na krańcu świata. Nas też. Jeśli nam się powiedzie, operacja skończy się za czterdzieści osiem godzin. Ale twoja wojna z Iwanem dopiero się zacznie.

- Chiaro, zjedzmy. W końcu to nasza rocznica. Spojrzała na zegarek.

- Jest za późno. Jedzenie pójdzie mi prosto w biodra.

- Sam chciałem się zająć tamtymi okolicami.

- Obiecanki cacanki. - Wypiła kolejny łyk wina. - Dobrze ci się pracowało z Sarą?

- Znowu zaczynasz?

- Wysoki sędzie, proszę zapisać, że świadek odmówił odpowiedzi na to pytanie.

- Tak, Chiaro. Dobrze mi się pracowało z Sarą. Wykonała swoje zadanie naprawdę dobrze i bardzo profesjonalnie.

- I wciąż cię wielbi?

- Sara wie, że jestem zajęty. I jedyną osobą, którą wielbi bardziej ode mnie, jesteś ty.

- Więc się przyznajesz?

- Do czego?

- Do tego, że cię wielbi.

- Na miłość boską! Tak, Sara kiedyś żywiła ku mnie pewne uczucia, które wypłynęły na wierzch pośrodku pewnej bardzo niebezpiecznej operacji. Tak się składa, że nie dzielam jej uczuć, bo jestem zakochany na zabój w tobie. Mam nadzieję, że udowodniłem to, zeniąc się z tobą, dodam też, że w raczej spektakularny sposób. O ile mnie pamięć nie myli, Sara była przy tym obecna.

- Pewnie miała nadzieję, że mnie porzucisz pod chupą.

- Chiaro. - Ujął jej twarz w dłonie i pocałował ją w usta. Były zimne, czuć było na nich smak chasselas. - Wszystko się skończy za czterdzieści osiem godzin. Następnie wrócimy do Włoch i nikt, nawet Iwan, nas tam nie znajdzie.

- Nikt oprócz Szamrona. - Pocałowała go. - Zdaje się, że chciałeś zrobić coś z moimi biodrami.

- Czeka cię jutro bardzo długi dzień.

- Gabrielu, wystaw stolik na zewnątrz. Nie umiem kochać się w pokoju, który pachnie blinami.

Gdy było po wszystkim, zasnęła w jego ramionach, ale poruszała się niespokojnie, dręczyły ją złe sny. Gabriel nie spał;

Gabriel nigdy nie spał w noc przed operacją. O 3:59 zawiadomił recepcję, że nie muszą już dzwonić, po czym delikatnie obudził Chiare pocałunkiem w kark. Po raz ostatni się kochali, w przerwach błagała go, by wysłał do Moskwy kogoś w zastępstwie. O piątej wyszła z pokoju ubrana w nieskazitelny mundur El Al i zeszła do holu, gdzie razem z resztą załogi czekali Rimona i Jaków. Gabriel obserwował przez okno, jak wsiadają do jadącego na lotnisko mikrobusu, i pozostał tam jeszcze długo po tym, jak odjechali. Skupił wzrok na chmurach burzowych zbierających się nad odległymi górami. Jednak myślami był gdzie indziej. Myślał o staruszce w mieszkaniu w Moskwie, która właśnie sięgała ręką po słuchawkę, a Eli Lawon, człowiek, który przedstawił się jej jako Feliks, przypominał jej, co ma powiedzieć.

52

VILLA SOLEIL, FRANCJA

Osiągnęli niepewny rozejm. Zajęło to siedemdziesiąt dwie godziny. Siedemdziesiąt dwie godziny krzyków. Siedemdziesiąt dwie godziny gróźb dotyczących nieprzyjemnego rozwodu. Siedemdziesiąt dwie godziny przerywanych przesłuchań. Jak wszyscy zdradzeni mężczyźni domagał się szczegółów. Z początku opierała się, ale pod naciskiem Iwana w końcu wszystko wyjawiała, powoli, krok po kroku. Jazdę w kierunku gór. Czekaający na stole lunch. Wino. Małą sypialnię

i kiczowate kopie obrazów Moneta. Oczyszczający prysznic. Iwan chciał wiedzieć, ile razy się kochali.

- Dwa - przyznała. - Chciał zrobić to trzeci raz, ale powiedziałam, że muszę wracać.

Okazało się, że Michaił miał rację; wściekłość Iwana była ogromna, ale szybko ustąpiła, gdy zorientował się, że sam był sobie winien. Wysłał do Cannes ekipę ochroniarzy, by wyrzucili Katierinę z jej apartamentu w hotelu Carlton, po czym zaczął obsypywać Elenę przeprosinami, obietnicami, diamentami i złotem. Zdawało się, że Elena przyjęła te akty skruchy i sama wyglądała na skruszoną. Sprawa została zamknięta, ogłosili rozejm przy kolacji w Villa Romania. Życie mogło wrócić do normy.

Wiele gestów Iwana z pewnością było pustych, ale wiele innych pewnie nie. Spędzał mniej czasu, rozmawiając przez komórkę, a więcej z dziećmi. Trzymał się z dala od swoich rosyjskich przyjaciół i odwołał duże przyjęcie urodzinowe, które miał zamiar wydać dla swojego współnika, bo Elena za nim nie przepadała. Co rano przynosił jej kawę i czytał w łóżku gazety, zamiast umykać do biura. A kiedy tamtego ranka o siódmej zadzwoniła jej matka, nie skrzywił się jak zwykle, ale ze szczerą troską na twarzy podał Elenie słuchawkę. Rozmowa była krótka. Elena odwiesiła słuchawkę i popatrzyła na Iwana, wyraźnie zdenerwowana.

- Co się stało? - zapytał.

- Kochanie, znowu jest bardzo chora. Chce, żebym natychmiast do niej poleciała.

W Moskwie Świetłana Fiodorowa ostrożnie odłożyła słuchawkę i popatrzyła na mężczyznę, którego знаła jako Feliksa.

- Mówi, że przyleci dziś wieczorem.

- A Iwan?

- Chciał przylecieć z nią, ale Elena przekonała go, żeby został z dziećmi we Francji. Był na tyle uprzejmy, że pozwolił jej pożyczyć swój samolot.

- Czy powiedziała może, o której wylatuje?

- Ma wylecieć z Nicei o jedenastej, oczywiście jeśli nie będzie problemów z samolotem.

Uśmiechnął się i wyjął z kieszeni wymiętej marynarki niewielki przyrząd. Miał drobny ekran i mnóstwo guziczków jak miniaturowa maszyna do pisania. Świetłana Fiodorowa widziała kiedyś takie przyrządy. Nie wiedziała, jak się nazywały, ale zwykle nosili je mężczyźni, za którymi nie przepadała. Wpisał coś szybko swoimi sprawnymi kciukami i włożył urządzenie z powrotem do kieszeni. Następnie spojrzął na zegarek.

- Znając pani zięcia, możemy być pewni, że będzie pani pod obserwacją w przeciągu godziny. Ten dom również. Pamiętaj pani, co powiedzieć, gdyby ktoś o mnie pytał?

- Że był pan oszustem, złodziejem, który chciał ograbić staruszkę z jej pieniędzy.

- Świat pełen jest ludzi pozbawionych wszelkich skrupułów.

- Tak - powiedziała. - Ostrożności nigdy za wiele.

Po ostatnich zamachach terrorystycznych w Londynie amerykańska ambasada przy Grosvenor Square została usprawniona na wiele sposobów pod względem funkcjonowania i bezpieczeństwa. Wiele nowości widać było z zewnątrz, wielu nie. Do tej drugiej kategorii należało nowe, błyszczące centrum dowodzenia, założone w bunkrze pod samym placem. Dokładnie o 6:04 rano czasu londyńskiego pracownik CIA podał Adrianowi Carterowi wiadomość od Eliego Lawona. Po przeczytaniu Carter podał ją Ariemu Szamronowi, a ten Grahamowi Seymourowi.

- Wygląda na to, że ruszamy. Powinniśmy dać znać zabojadom. Carter naciśnięciem guzika uruchomił bezpieczne połączenie z Paryżem i przyłożył słuchawkę do ucha.

- *Bonjour*, panowie. Piłka leci w waszą stronę. Życzę miłej zabawy.

Elena nie pozwoliła sobie na niezdecydowanie przy porannej toalecie. Wykąpała się pośpiesznie, nie poświęciła wiele czasu na fryzurę czy makijaż i założyła raczej prosty, ale wygodny spodniom Chanel. Wzięła więcej biżuterii, niż normalnie założyłaby na podobną okazję, i wsunęła też kilka klejnotów do torebki. Wreszcie do torby podróżnej schowała dwie dodatkowe pary ubrań i wyjęła z sejfów parę tysięcy euro oraz podobną sumę w rublach. Wiedziała, że Iwanowi nie wyda się to podejrzane; zawsze gdy podróżowała samotnie, zachęcał ją, by brała ze sobą dużo gotówki.

Rozejrzała się po raz ostatni po pokoju i zeszła po schodach tak obojętnie, jak tylko umiała. Sonia i dzieci stały razem, by się z nią pożegnać; przytuliła dzieci nieco dłużej, niż powinna, i z udawaną surowością kazała im zachowywać się grzecznie pod opieką ojca. Iwan nie był świadkiem ich pożegnania; stał na podjeździe, spoglądając chmurnie i z niecierpliwością na zegarek. Elena pocałowała po raz ostatni dzieci, po czym wsiadła z Iwanem na tylne siedzenie mercedesa. Spojrzała przez ramię, gdy samochód wystrzelił naprzód, i zobaczyła, że płaczą histerycznie. Gdy przejechali przez bramę, zniknęły jej z pola widzenia. Informacja o wyjeździe Iwana i Eleny Charków z Villa Soleil dotarła do londyńskiego centrum dowodzenia o 7:13 rano czasu miejscowego. Gabriel dowiedział się o tym pięć minut później. W godzinę po otrzymaniu wiadomości poinformował obsługę, że opuszcza hotel. Pobyt, choć krótki, był naprawdę uroczy. Gdy wyszedł na zewnątrz, jego renault już na niego czekało. Usiadł za kierownicą i ruszył w stronę lotniska.

53

NICEA, FRANCJA

Iwan całą drogę był czymś zmartwiony, za co Elena była mu naprawdę wdzięczna. Spędził podróż, na zmianę rozmawiając przez komórkę, wyglądając przez okno i bębniąc palcami o plastikowy pulpit. Jechali w przeciwną stronę niż poranny zmierzający w stronę plaż ruch, więc nie mieli opóźnienia. Jechali dookoła Golfe de Saint-

Tropez, do Saint-Maxime, następnie w głąb lądu po D25 aż do autostrady, którą pomknęli na wschód ku Nicei. Gdy przemknęli przez północne obrzeża Cannes, Elena myślała o Iwanie i Katierinie, kochających się w apartamencie w Carltonie. Iwan najwidoczniej też o tym myślał, bo ujął jej dłoń i powiedział, że jest mu przykro z powodu tego, co zaszło. Elena usłyszała własny głos mówiący, że jej także. Następnie wyjrzała przez okno na wznoszące się ku Alpom wzgórze i zaczęła liczyć minuty dzielące ją od chwili, gdy wreszcie się od niego uwolni.

Wjazd na międzynarodowe lotnisko Lazurowego Wybrzeża pojawił się po piętnastu minutach. Iwan odebrał kolejny telefon i był zajęty nieprzyjemną rozmową ze swoim wspólnikiem w Londynie. Wciąż rozmawiał, gdy pięć minut później szli przez klimatyzowane biuro obsługi lotów Riviera, operatora prywatnych samolotów bazujących na tym lotnisku. Za nieskazitelnie białym biurkiem stał łysiejący mężczyzna po trzydziestce o blond włosach. Miał na sobie granatowe spodnie i białą koszulę z krótkim rękawem i epoletami. Iwan dał mu jeszcze poczekać dwie minuty, kończąc rozmowę z Londynem.

- Charków - powiedział wreszcie. - Wylot do Moskwy o jedenastej. Młody mężczyzna przybrał uśmiech zmartwionego urzędnika.

- To niestety nie będzie możliwe, *monsieur* Charków. Obawiam się, że mamy poważny kłopot z pańskim samolotem.

Elena wbiła paznokcie w dłoń i spuściła wzrok.

- Jaki kłopot? - spytał Iwan.

- Kłopot z dokumentacją - odparł młody człowiek. - Pańska załoga nie zdołała przedstawić nam dwóch bardzo ważnych dokumentów: listu autoryzacyjnego RVSM oraz certyfikatu trzeciego stopnia. DGAC nie pozwoli pańskiemu samolotowi wystartować bez tych dokumentów.

DGAC oznaczało Direction Generale de l'Aviation Civile, francuski zarząd lotnictwa cywilnego.

- To niesłychane! - zawołał Iwan. - Kilkadziesiąt razy startowałem z tego lotniska tym samym samolotem i nigdy przedtem nie proszono mnie o te dokumenty.

- Rozumiem pańską irytację, panie Charków, ale przepisy to przepisy. Jeśli nie przedstawi nam pan autoryzacji RVSM oraz certyfikatu trzeciego stopnia, pański samolot nigdzie nie poleci.

- Czy mogę zapłacić jakąś karę?

- Może i tak, ale nie teraz.

- Chcę porozmawiać z pańskim przełożonym.

- Jestem najwyższym postawionym pracownikiem na tej zmianie.

- Proszę zadzwonić do kogoś z DGAC.

- DGAC jasno wyraziła się co do tej sprawy. Nie mają nic do powiedzenia, dopóki nie zobaczą dokumentów.

- Mamy sytuację awaryjną w Moskwie. Matka mojej żony jest bardzo chora. Moja żona musi się tam natychmiast udać.

- W takim razie sugeruję, żeby pańska załoga jak najszybciej znalazła brakujące dokumenty. W międzyczasie pana żona może rozważyć lot jedną z linii lotniczych.

- Linie lotnicze? - Iwan walnął pięścią w blat. - Moja żona nie może lecieć liniami lotniczymi. Musimy mieć na uwadze względy bezpieczeństwa. To niemożliwe.

- W takim razie nie sędzę, żeby pańska żona poleciała dzisiaj do Moskwy, *monsieur*.

Elena podeszła ostrożnie do kontuaru.

- Iwan, matka na mnie czeka. Nie mogę jej zawieść. Polecę liniami lotniczymi.

Urzędnik wskazał na swój komputer.

- Mogę sprawdzić odloty i dostępne miejsca, jeśli państwo chcą. Iwan zmarszczył brwi, po czym skinął głową. Urzędnik usiadł przy komputerze i nacisnął kilka klawiszy. Chwilę potem ściągnął wargi w grymasie i powoli pokręcił głową.

- Obawiam się, że nie ma wolnych miejsc na żaden bezpośredni lot stąd do Moskwy na dzisiaj. Jak pan pewnie wie, *monsieur* Charków, o tej porze roku mamy wielu gości z Rosji. - Nacisnął kilka klawiszy. - Ale jest alternatywa.

- Jaka?

- Za godzinę samolot szwajcarskich międzynarodowych linii lotniczych odlatuje do Genewy. Jeśli przyleci na czas, pani Charków zdąży złapać lot Swissair o drugiej po południu z Genewy do

Moskwy. Ma wylądować na lotnisku Szeriemietiewo o ósmej wieczorem.

Iwan spojrzał na Elenę.

- To bardzo długa podróż. Może lepiej poczekaj, aż rozwiążę problemy z dokumentacją?

- Już powiedziałam matce, że przylecę dziś wieczorem. Nie chcę jej rozczarować, kochanie. Słyszałeś jej głos.

Iwan spojrzał na urzędnika.

- Potrzebuję trzech miejsc w pierwszej klasie: jednego dla żony i dwóch dla ochrony.

Kolejne stuknięcia w klawisze. Kolejny przeczący ruch głowy.

- Mamy tylko jedno miejsce w pierwszej klasie na oba loty i nic w drugiej. Ale zapewniam pana, że *madame* Charków będzie najzupełniej bezpieczna. Jeśli państwo chcą, mogę załatwić eskortę u ochrony lotniskowej.

- Z którego terminalu odlatuje Swissair?

- Z pierwszego. - Urzędnik podniósł słuchawkę. - Powiem im, że państwo idziecie.

Mężczyzna za biurkiem nie pracował dla biura obsługi lotów Riviera - był niskim rangą funkcjonariuszem francuskich służb wewnętrznych. Po odejściu Iwana i Eleny nie zadzwonił do biura Swissair, tylko do przełożonego, siedzącego w udającej samochód obsługi, zaparkowanej na zewnątrz furgonetce. Po odebraniu telefonu agent zaalarmował lokalne centrum dowodzenia w Nicei, skąd wiadomość została przekazana do sali operacyjnej w Londynie.

Dotarła do przenośnego komputerka Gabriela, gdy właśnie udawał, że patrzy na rolexy w oknie wystawowym sklepu wolnoctwowego na lotnisku. Wyszedł ze sklepu z pustymi rękami i skierował się ku bramce.

Elena próbowała zostawić go przy krawężniku, ale Iwan w nagłym przyplywie galanterii nie chciał o tym słyszeć. Stał z nią w wyjątkowo długiej kolejce do okienka biletowego i pokłócił się z biednym pracownikiem biura podróży o szczegóły rozkładu lotu. Kupił drobny upominek dla matki Eleny i kazał jej przysiąc, że zadzwoni od razu, gdy wyląduje w Moskwie. Wreszcie, gdy szykowałą się, by przejść przez kontrolę bezpieczeństwa, po raz kolejny przeprosił za szkody, które wyrządził ich małżeństwu. Pocałowała go po raz ostatni, a kiedy dotarła na drugą stronę, odwróciła się, by mu pomachać. Iwan już odchodził z ochroniarzami u boku i przyciśniętą do ucha komórką.

Przez następne pół godziny cieszyła się prozaicznymi rzeczami. Wypiła kawę ze śmietanką w zatłoczonym barze. Kupiła stertę gazet i magazynów. Ale głównie po prostu spacerowała. Po raz pierwszy od wielu lat Elena była sama. Pomyślała, że pewnie nie naprawdę sama, bo z pewnością ktoś ją obserwował, ale przynajmniej na parę godzin wolna od męczącej obecności ochroniarzy Iwana. Wkrótce uwolni się od nich na zawsze. Musiała tylko załatwić jeszcze jedną drobną sprawę w Moskwie. Nie mogła powstrzymać uśmiechu, myśląc o ironii sytuacji. Musiała polecieć do Moskwy, by się wyzwolić. Robiła

to nie tylko dla siebie, ale także dla swojego kraju. Była sumieniem Rosji. Jej zbawicielem.

Bojąc się, że przegapi lot, stawiała się przy bramce o dziesięć minut wcześniej, niż było to potrzebne, i cierpliwie czekała, aż pasażerowie zaczną wchodzić na pokład. Jej towarzyszem podróży okazał się szwajcarski bankier, który przez cały lot patrzył spod zmarszczonych brwi na liczby. Lunch składał się z kapciowatej kanapki i butelki ciepłej wody mineralnej. Elena zjadła wszystko, co było na tacy, i podziękowała wylewnie zdumionej stewardesie za miłą obsługę.

Gdy samolot w końcu wylądował w Genewie, była prawie 13:30. Kiedy szła po schodach, usłyszała ogłoszenie, że lot Swissair numer 1338 do Moskwy przyjmował na pokład ostatnich pasażerów. Dotarła do bramki na pięć minut przed zamknięciem. Siadając w fotelu pierwszej klasy, przyjęła od szefa obsługi pokładowej kieliszek szampana. Tym razem siedział obok niej mężczyzna po czterdziestce o gęstych, siwych włosach i przyciemnianych okularach kogoś, kto cierpi na nadwrażliwość na światło. Gdy siadała, pisał coś w swojej skórzanej teczce i zdawało się, że nie zwracał na nią uwagi. Kiedy samolot wznosił się szybko nad Alpy, wyrwał z teczki kartkę i położył ją na jej kolanach. Była to malutka, zrobiona długopisem i piórem kopia *Dwojga dzieci na plaży* Mary Cassatt. Elena odwróciła się i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

- Dzień dobry, Eleno - powiedział Gabriel. - Miło znowu panią widzieć.

54

MOSKWA

Życiorys Arkadego Miedwiediewa mógł powstać jedynie w Rosji. Kiedyś Arkady rozwał głowy dysyidentom na zlecenie V Zarządu Głównego KGB. Miał zamiar pozostać wśród ruin swoich byłych służb, gdy w 1994 roku zadzwonił do niego były podwładny, Iwan Charków. Iwan miał propozycję - chciał, żeby Arkady zorganizował i nadzorował prywatną służbę, mającą ochraniać jego rodzinę i rozwijające się światowe imperium finansowe. Miedwiediew zaakceptował ofertę, nie pytając nawet o pensję. Wiedział o interesach w nowej kapitalistycznej Rosji dość, by zdawać sobie sprawę, że pensja - przynajmniej ta w kontrakcie - nie znaczyła zbyt wiele.

Przez piętnaście lat Arkady Miedwiediew dobrze służył Iwanowi, a Iwan w zamian był bardziej niż hojny. Podstawowa płaca Arkadego wynosiła obecnie ponad milion dolarów rocznie - nieźle jak na byłego tajniaka, który po upadku komunizmu nie mógł nawet zebrać paru rubli. Ale pieniądze stanowiły tylko część zapłaty. Miał dobrze zaopatrzone konto na wydatki oraz ubrania. Miał bentleya, mieszkania w Londynie, na południu Francji i na Worobiowych Wzgórzach w Moskwie. Oraz kobiety, takie jak Oksana, dwudziestotrzyletnia piękność, którą Miedwiediew zgarnął dwa tygodnie wcześniej w barze sushi. Mieszkała od tamtej pory w jego mieszkaniu, mniej lub bardziej ubrana, zależnie od sytuacji.

Jeśli praca dla Iwana miała ujemne strony, to z pewnością można było do nich zaliczyć jego umiejętność dzwonienia w najmniej odpowiednim momencie. Tym razem telefon zadzwonił w chwili, gdy Miedwiediew i Oksana właśnie mieli razem wspiąć się na szczyty rozkoszy. Zlany potem Arkady sięgnął po telefon i niechętnie przyłożył słuchawkę do ucha. Rozmowa, choć krótka, zupełnie wytrąciła go z dobrego nastroju. Gdy się rozłączył, Oksana kontynuowała to, co przerwała, ale Miedwiedewowi to nic nie dało. W końcu opadła na jego klatkę piersiową i sfrustrowana ugryzła go w ucho.

- Zmęczyłeś się mną?

- Jasne, że nie.

- Więc w czym kłopot, Arkady?

Kłopotem była Elena Charków, pomyślał. Przylatywała do Moskwy tego samego wieczora z nagłą wizytą. Iwan miał wątpliwości co do motywów jej postępowania. Iwan chciał ją mieć pod ciągłą obserwacją. Iwan nie życzył sobie więcej takich numerów jak ten w Saint-Tropez. Arkady Miedwiediew też ich nie chciał. Spojrzał na Oksanę i kazał jej się ubrać. Pięć minut potem, gdy wymykała się z jego mieszkania, złapał znowu za telefon i zaczął rozstawiać swoje drużyny.

Elena zamówiła białe wino, Gabriel czarną kawę. Oboje postanowili spróbować ravioli z grzybowym nadzieniem. Elena ugryzła jeden pierożek i przerzuciła się na chleb.

- Nie smakuje ci? - spytał Gabriel.

- Nie za bardzo.

- Jest lepsze niż to, co zwykle podają. Kiedy ostatnio leciałaś liniami lotniczymi?

- Minęło już trochę czasu. - Wyjrzała przez okno. - Chyba jestem w pewnym sensie personifikacją Rosji. Nie miałam nic, a teraz mam prawie wszystko. Rosjanie zawsze rzucają się z jednej skrajności w drugą. Jakoś nigdy nie wychodzi nam nic pośrodku.

Odwróciła się ku niemu.

- Mogę coś szczerze powiedzieć, nie raniąc cię?

- Jeśli musisz.

- W tym przebraniu wyglądasz idiotycznie. O wiele bardziej ci do twarzy z krótkimi włosami. A te okulary... - Pokręciła głową. - Wyglądasz strasznie. Nie powinieneś nosić przyciemnianych szkieł. Skrywają kolor twoich oczu.

- Obawiam się, że właśnie o to chodzi, Eleno.

Odgarnęła kosmyk włosów z twarzy i spytała, gdzie ją ukryją po ucieczce. Powiedziała to mimochodem, jak gdyby prowadziła uprzejmą rozmowę z nieznajomym. Gabriel odpowiedział tym samym tonem.

- W niedzielę wieczorem zamiast wsiąść do samolotu z powrotem do Genewy i potem lecieć do Nicei, wsiądziesz do samolotu do Tel Awiwu. Twój pobyt w Izraelu będzie krótki, dzień, najdłużej dwa.

- A potem?

- Amerykanie przejęli odpowiedzialność za twoje przesiedlenie. To duży kraj, jest w nim więcej miejsc, gdzie można się ukryć, niż w Izraelu. Człowiek, który się tym zajmie, jest moim przyjacielem. Powierzyłbym mu własne życie i wiem, że dobrze się zaopiekuje tobą i dziećmi. Ale niestety nie będzie to nic w rodzaju stylu życia, do którego jesteś przyzwyczajona.

- I dzięki Bogu.

- Tak ci się może teraz wydawać, ale przebudzenie może być nieprzyjemne. Spodziewaj się, że Iwan złoży pozew o rozwód w rosyjskim sądzie. Ponieważ nie będziesz mogła stawić się, by go zakwestionować, Iwan będzie mógł rozwieść się z tobą zaocznie i zostawi cię oraz dzieci bez grosza. - Przerwał. - Chyba że dobierzemy się do części jego pieniędzy w przeciągu kilku następnych dni.

- Nie chcę pieniędzy Iwana. Są splamione krwią.

- Więc zrób to dla dzieci, Eleno.

Spojrzała na szkic, który jej podarował - na dwoje dzieci na plaży.

- Mam dostęp do naszych łączonych kont w Londynie i w Moskwie - powiedziała cicho. - Ale jeśli podejmę znaczną sumę pieniędzy, Iwan się o tym dowie.

- Nie zachował na czarną godzinę funduszy w banku w Szwajcarii?

- Mamy skrzynkę depozytową w Zurychu, zwykle trzyma w niej ze dwa miliony w gotówce. Musielibyście ją dla mnie opróżnić, nim Iwan zdąży ją zablokować.

- Znasz numer i hasło? Skinęła głową.

- Eleno, podaj mi je. Dla dzieci.

Wyrecytowała je powoli, po czym spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Nie musisz ich zapisać?

- Nie.

- Masz pamięć szpiega, tak jak Iwan. Bez apetytu wzięła się za jedzenie.

- Muszę przyznać, że całkiem nieźle się dziś popisaliście. Szkoda, że nie widziałeś twarzy Iwana, kiedy usłyszał, że samolot nie może wystartować. - Spojrzała na niego. - Mam nadzieję, że następny akt też jest dobrze wyreżyserowany?

- Tak, ale reżyseria jest nic niewarta, jeśli aktor jest do niczego. - Umilkł. - Ostatnia szansa, żeby się wycofać, Eleno. Nie będziemy mieć ci za złe, jeśli to zrobisz.

- Skończę, co zaczęłam - powiedziała. - Za Aleksandra Lubina. Za Borysa Ostrowskiego. I za Olgę.

Gabriel wezwał stewardesę i poprosił, żeby zabrała jedzenie. Następnie położył na stoliku walizkę i otworzył zamki szyfrowe. Wyjął ze środka cztery przedmioty: buteleczkę z rozpylaczem, urządzenie wyglądające jak zwykły odtwarzacz mp3, drugie prostokątne urządzenie z krótkim kablem USB oraz kartę

pokładową na lot El Al 1612, z Moskwy do Tel Awiwu o 6:15 w niedzielę.

- Jak pewnie się domyśliłaś, Eleno, najważniejszy jest czas. Ustaliliśmy dla ciebie rozkład zajęć na kilka ostatnich godzin w Moskwie i ważne jest, żebyś go ściśle przestrzegała. Zapamiętaj uważnie wszystko, co ci powiem. Mamy dużo do omówienia i bardzo mało czasu.

Samolot wylądował na lotnisku o czasie, o 20:05. Elena wysiadła z samolotu pierwsza, szła przez terminal o parę kroków przed nim z torebką na lewym ramieniu, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach. Przy kontroli paszportowej Gabriel stanął w kolejce niechcianych obcokrajowców i kiedy wreszcie wpuszczono go do kraju, Eleny już nie było. Pod terminalem stanął w drugiej kolejce, tym razem do taksówek. W końcu wsiadł na tylne siedzenie rozklekotanej łady, prowadzonej przez młodzika w lustrzanych ciemnych okularach. Uzi Nawot wsiadł do taksówki za nim.

- Dokąd pan jedzie? - zapytał kierowca Gabriela.
- Do hotelu Carlton-Ritz.
- Pierwszy raz w Moskwie?
- Tak.
- Może nastawić muzykę?
- Dziękuję, strasznie boli mnie głowa.
- A może ma pan ochotę na dziewczynę?
- Dziękuję, hotel wystarczy.

- Jak pan woli.

- Ile masz lat?

- Piętnaście.

- Na pewno umiesz prowadzić?

- Spoko.

- Dojedziemy do Ritza?

- Spoko.

- Na zewnątrz robi się ciemno. Na pewno potrzebujesz tych okularów?

- Dzięki nim wyglądam, jakbym miał pieniądze. W Moskwie każdy, kto ma pieniądze, nosi nocą okulary przeciwsłoneczne.

- Postaram się zapamiętać.

- Naprawdę.

- Czy ten samochód może jechać trochę szybciej? Chciałbym dotrzeć do Ritza jeszcze dzisiaj.

- Spoko.

Informacja o przyjeździe Gabriela i Eleny do Moskwy dotarła do centrum operacyjnego przy Grosvenor Square o 18:19 czasu miejscowego. Graham Seymour podniósł się z krzesła i wygładził marynarkę na plecach.

- Nic więcej tu dziś nie osiągniemy. Może przeniesiemy się do sali z grillem w Dorchesterze, by uczcić powodzenie? Moje służby stawiają.

- Nie oblewam sukcesu, nim operacja dobiegnie końca - powiedział Szamron. - Zwłaszcza jeśli troje moich najlepszych agentów jest w Moskwie, a troje kolejnych tam leci.

Carter położył dłoń na ramieniu Szamrona.

- Ari, daj spokój. Nie możesz nic zrobić, będziesz tu tylko siedział i zamartwiał się na śmierć.

- Właśnie to planowałem.

Carter zmarszczył brwi i spojrzał na Grahama Seymoura.

- Nie możemy go tu zostawić. Nie umie się zachowywać.

- Co powiesz na hinduskie jedzenie na wynos?

- Niech uważają z przyprawami. Mój żołądek nie jest taki jak kiedyś.

55

MOSKWA

Do wyborów brakowało ledwie tygodnia i nie sposób było uniknąć widoku twarzy prezydenta Rosji. Jego podobizna wisiała na każdym słupie ogłoszeniowym i budynku rządowym w centrum miasta. Spoglądała z pierwszych stron wszystkich przyjaznych Kremlowi gazet i pojawiała się w wiadomościach wszystkich kontrolowanych przez Kreml stacji telewizyjnych. Nosiły ją na transparentach grupy młodzieżówek Partii Jedności, unosiła się też nad miastem na zeppelinie niczym bóg. Prezydent zachowywał się tak, jak gdyby prowadził prawdziwą kampanię wyborczą, a nie dobrze

wyreżyserowane oszustwo. Spędził poranek, agitując we wsi Potiomkin, nim wrócił do Moskwy na wielki popołudniowy zlot na stadionie Dynama. Według Radia Moskwa był to największy wiec w historii współczesnej Rosji.

Kreml udzielił dwóm innym kandydatom przywileju uczestniczenia w wyborach, ale większość Rosjan nawet nie pamiętała ich nazwisk, nawet zachodnia prasa dawno temu przestała się nimi zajmować. Koalicja Wolnej Rosji, jedyna naprawdę zorganizowana opozycja w kraju, nie miała kandydata, za to nie brakowało im odwagi. Gdy prezydent przemawiał do tłumów na stadionie Dynama Moskwa, zebrali się na Arbacie na kontrwiecu. Kiedy milicja i jej pomocnicy po cywilnemu skończyli robotę, ponad setka członków Koalicji była w więzieniu, a druga setka w szpitalach. Dowody krwawych starć były wciąż widoczne na placu późnym popołudniem, gdy Gabriel, ubrany w czarny sztruksowy kaszkiet i kurtkę przeciwdeszczową Barbour przeszedł tamtędy i podążył Pierścieniem Bulwarowym ku rzece.

Wyrosła przed nim cerkiew Chrystusa Zbawiciela. Ciężkie, szare chmury tłumyły blask jej pięciu złotych kopuł. Oryginalny sobór w 1931 roku z rozkazu Stalina wysadził w powietrze Kaganowicz, podobno dlatego, że zasłaniała Stalinowi widok z mieszkania na Kremlu. Na jej miejscu bolszewicy próbowali postawić rządowy wieżowiec, Pałac Radziecki, ale nadrzeczne grunty okazały się nieodpowiednie i plac budowy był wielokrotnie zalewany. W końcu

Stalin i jego inżynierowie poddali się i zamienili teren w wielki publiczny basen - rzecz jasna największy na świecie.

Po upadku komunizmu cerkiew odbudowano wielkim kosztem za publiczne pieniądze. Była to teraz jedna z najpopularniejszych moskiewskich atrakcji turystycznych. Gabriel postanowił ją ominąć i zamiast tego ruszył prosto w stronę rzeki. Na nabrzeżu czekało trzech mężczyzn, spoglądając poprzez wodę na wielki apartamentowiec, na którego dachu powoli obracało się logo Mercedesa. Gabriel minął ich bez słowa. Jeden po drugim odwrócili się i ruszyli za nim.

Gdy przyjrzeć się bliżej, widać, że nie jest to jeden budynek, ale trzy: potężny trapez z widokiem na rzekę oraz dwa sąsiednie budynki w kształcie litery L, biegnące kilkaset metrów w głąb lądu. Po drugiej stronie ulicy Serafimowicza widniał smutny kawałek pożółkłej trawy i zwiędłych drzew, znany jako plac Bołotnaja. Gabriel siedział na ławce przy fontannie, gdy Uzi Nawot, Jaków Rossman i Eli Lawon przeszli przez mostek. Lawon nawijał po rosyjsku niczym statysta filmowy w scenie na przyjęciu. Jaków miał wzrok wbity w ziemię i palił papierosa.

- Od kiedy to Jaków zaczął znowu palić? - zapytał Gabriel.
- Od wczorajszego wieczora. Denerwuje się.
- Całe życie działał na Zachodnim Brzegu Jordanu i w Strefie Gazy i denerwuje się, że jest w Moskwie?
- Cholera, jasne, że się denerwuje, będąc w Moskwie. Ty też byś się denerwował, gdybyś miał odrobinę rozumu.
- Jak się ma nasz szef miejscowej komórki?

- Wygląda odrobinę lepiej niż Jaków, ale niewiele. Powiedzmy, że będzie bardzo szczęśliwy, kiedy w końcu wsiądziemy jutro do samolotu i wydostaniemy się stąd.

- Ile samochodów udało mu się załatwić?

- Cztery, tak jak chciałeś. Trzy stare lady i wołgę.

- Uzi, powiedz mi, że są na chodzie. Naprawdę nie trzeba nam jutro zepsutego samochodu.

- Nie martw się, Gabrielu. Świetnie działają.

- Skąd je wziął?

- Nasza komórka za ładny uśmiech zgarnęła po upadku komunizmu niewielką flotę starych radzieckich samochodów i ciężarówek. Zamrozili je. Wszystkie papiery są w porządku.

- A kierowcy?

- Czworo agentów z komórki. Wszyscy mówią po rosyjsku.

- O której wychodzimy z hotelu?

- Ja pierwszy, o drugiej pięćdziesiąt. Eli pięć minut później. Pięć minut po nim Jaków. Ty wyjdiesz ostatni.

- Mamy mało czasu, Uzi.

- Mamy go mnóstwo. Jeśli dojdziemy tu za wcześnie, możemy zwrócić na siebie uwagę, a tego raczej nie chcemy.

Gabriel nie próbował się kłócić. Zamiast tego zasypał Nawota pytaniami o zagłuszacze komórek, przydział wacht, a w końcu o sytuację przy prospekcie Kutuzowa, gdzie Elena zatrzymała się u matki. Odpowiedź Nawota wcale go nie zaskoczyła.

- Arkady Miedwiediew ma budynek pod ciągłą obserwacją.

- Jak?

- Nic nadmiernie technicznego. Po prostu na ulicy pod domem siedzi w samochodzie jego człowiek.

- Jak często go zmienia?

- Co cztery godziny.

- Samochód też czy tylko obserwatora?

- Tylko obserwatora. Samochód się nie rusza.

Gabriel poprawił przyciemnione okulary. Głowa go swędziała pod siwą peruką. Nawot drapał się w podrażnione miejsce nad łokciem. Wydawało się, że zawsze, kiedy niepokoił się operacją, dopadała go jakaś dolegliwość.

- Musimy przyjąć, że Arkady nakazał obserwatorom śledzić Elenę, gdziekolwiek się uda, wliczając w to jutrzejsze popołudnie, gdy pojedzie na lotnisko. Jeśli obserwator zobaczy, że bez ostrzeżenia skręca ku Domowi na Nabrzeżu, powie o tym Arkademu. A Arkady na pewno nabierze podejrzeń. Rozumiesz, Gabrielu, o co mi chodzi?

- Tak, Uzi - odparł Gabriel z naciskiem. - Chyba wiem. Musimy postarać się, żeby obserwator nie śledził jej jutro, albo całą naszą robotę wezmą moskiewscy diabli.

- Pewnie możemy go zabić.

- Stłuczka powinna wystarczyć.

- Mam powiedzieć szefowi komórki, że potrzebujemy drugiej łady?

- Jakiego samochodu używają obserwatorzy?

- Mercedesa S.

- To trochę nierówna walka, co?

- Niezupełnie.

- Lepiej w takim razie, żeby to był oficjalny pojazd. Coś, co wytrzyma zderzenie. Powiedz szefowi komórki, że chcę pożyczyć limuzynę ambasadora. Właściwie to chcemy też pożyczyć ambasadora. To nawet niezły facet.

Elena Charków wyszła tego dnia z mieszkania matki tylko raz. Arkady Miedwiediew ani jego obserwatorzy nie uznali tego faktu za godny uwagi. Trwało to krótko: podjechała szybko do nowego drogiego supermarketu nieopodal, gdzie w towarzystwie dwóch ochroniarzy kupiła ingrediencje na chłodnik. Resztę popołudnia spędziła z matką w kuchni, przekomarzały się o przepisy, jak kiedyś, gdy Elena była młoda.

Do wieczora zupa była na tyle zimna, że można było ją jeść. Matka i córka usiadły razem przy stole, między nimi stała świeczka i leżały pajdy czarnego chleba. W pokoju obok migotały na ekranie ściszonego telewizora ujęcia z wiecu prezydenckiego na stadionie Dynamo. Minęły prawie dwadzieścia cztery godziny od przyjazdu Eleny do Moskwy, ale jej matka dzielnie unikała pytań o powody tej nadzwyczajnej wizyty. Teraz po raz pierwszy poruszyła ten temat, nie słowami, ale kładąc ostrożnie na stole list od Eleny. Elena popatrzyła na niego i dalej jadła.

- Masz kłopoty, skarbie.

- Nie, mamó.

- Kim był człowiek, który przyniósł ten list?

- To mój przyjaciel. Ktoś, kto mi pomaga.

- W czym.

Elena milczała.

- Opuszczasz męża?

- Tak, mam. Opuszczam męża.

- Zranił cię?

- Bardzo.

- Uderzył cię?

- Nie, nigdy.

- Chodzi o inną kobietę? Elena pokiwała głową, wciąż patrząc w talerz.

- To tylko dziecko, ma dziewiętnaście lat. Wiem, że Iwan pewnego dnia ją też zrani.

- Nigdy nie powinnaś była za niego wychodzić. Błagałam cię, ale mnie nie słuchałaś.

- Wiem.

- To potwór. Jego ojciec był potworem i on też jest potworem.

- Wiem. - Elena próbowała jeść chłodnik, ale straciła apetyt. -
Przykro mi, że w ostatnich latach ja i dzieci nie spędzaliśmy z tobą zbyt wiele czasu. Iwan nam nie pozwalał. To żadna wymówka. Powinnam była mu się postawić.

- Eleno, nie przepraszaj. Wiem więcej, niż ci się wydaje. Po policzku Eleny spłynęła łza. Otarła ją, nim matka mogła ją zobaczyć. -

Jest mi bardzo przykro, że tak cię traktowałam. Mam nadzieję, że mi wybaczysz.

- Wybaczam ci, Eleno. Ale nie rozumiem, dlaczego przyleciałaś do Moskwy w ten sposób.

- Muszę zająć się pewną sprawą, nim opuszczę Iwana. Muszę chronić siebie i dzieci.

- Nie chcesz chyba zabrać jego pieniędzy?

- Tu nie chodzi o pieniądze.

Jej matka nie drażyła dalej tematu. Była żoną członka partii. Rozumiała znaczenie tajemnicy.

- Kiedy mu o tym powiesz?

- Jutro wieczorem - powiedziała Elena. - Kiedy wrócę do Francji
- dodała znaczącym tonem.

- Twój mąż nie lubi złych wiadomości.

- Nikt nie wie tego lepiej niż ja.

- Dokąd pojedziesz?

- Jeszcze się nie zdecydowałam.

- Zostaniesz w Europie czy wrócisz do Rosji?

- Rosja może przestać być dla mnie bezpieczna.

- Jak to?

- Może zabiorę dzieci w jakieś miejsce, gdzie Iwan ich nie znajdzie. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

Żona członka partii zrozumiała doskonale.

- Czy kiedyś jeszcze je zobaczę, Eleno? Czy znowu zobaczę moje wnuki?

- Może minie trochę czasu. Ale tak, zobaczysz je znowu.

- Czas? Ile czasu? Eleno, popatrz na mnie. Czasu nie mam w nadmiarze.

- Zostawiłam w dolnej szufladzie kredensu pieniądze. Nie mam już nic więcej.

- W takim razie nie mogę ich wziąć.

- Zaufaj mi, mamó. Musisz.

Jej matka spuściła wzrok. Też straciła apetyt. Siedziały tak przez długi czas, trzymając się za ręce, twarze miały mokre od łez. Wreszcie matka podniosła list i przyłożyła go do świeczki. Elena spojrzała na ekran telewizora i zobaczyła nowego cara Rosji, przyjmującego hołd tłumom. Nie potrafimy żyć jak normalni ludzie - pomyślała. - I nigdy się tego nie nauczymy.

Wbrew zdrowemu rozsądkowi i gwałcąc wszelkie reguły operacyjne, pisane, jak i niepisane, Gabriel nie wrócił prosto do swojego pokoju w hotelu Carlton-Ritz. Zamiast tego przespacerował się dalej na południe, do górującego nad placem Października blokowiska, i udał się w stronę domu znanego w okolicy jako Dom Psów. Widoki z okien nie rozpościerały się na rzekę Moskwę, tylko na wznoszący się przed nim bliźniak, pełen starych samochodów parking oraz tak zwany Pierścień Sadowy (bardzo mocny eufemizm), huczącą dzień i noc obwodnicę. Z północy wiał lodowaty wiatr, przypominając, że rosyjskie lato odchodzi i wkrótce znowu nadejdzie zima. Poetyczna część duszy Gabriela uznała, że tak jest lepiej. Może

nigdy nie było tu lata. Może była to tylko iluzja, jak sen o rosyjskiej demokracji.

Na małym placyku przed klatką C babcie i punki na deskorolkach ogłosili rozejm. W drzwiach kręciło się sześciu chudych chłopaków z milicji, obserwowanych przez dwóch ubranych po cywilnemu twardzieli z FSB. Zachodni dziennikarze, zebrani w budynku po zamachu na Olgę Suchową, już porzucili czuwanie albo, co bardziej prawdopodobne, zostali wyrzuceni. Nie widać było żadnych śladów poparcia dla Olgi oprócz dwóch słów nasprayowanych na murze z boku domu: UWOLNIĆ OLGE! Jakiś żartowniś przekreślił słowo UWOLNIĆ i zamiast niego napisał PIEPRZYĆ. I kto powiedział, że Rosjanie nie mają poczucia humoru?

Gabriel obszedł wielki wieżowiec dookoła i tak jak się spodziewał, przy pozostałych pięciu wejściach także zobaczył tajniaków. Idąc szybko wzdłuż Prospektu Lenina, w myślach po raz ostatni prześledził operację. Plan był doskonały, pomyślał. Z jednym ewidentnym wyjątkiem. Kiedy Iwan Charków odkryje, że jego rodzina i tajne papiery zniknęły, będzie musiał na kimś się wyżyć. I tym kimś będzie najprawdopodobniej Olga Suchowa.

56

SAINT-TROPEZ/MOSKWA

Upadek Iwana Borysowicza Charkowa, dewelopera nieruchomości, inwestora wysokiego ryzyka oraz międzynarodowego

handlarza bronią zaczął się od pewnego telefonu. Do jego rezydencji w Saint-Tropez zadzwonił niejaki Francois Boisson, dyrektor regionalny DGAC, francuskiego zarządu lotnictwa cywilnego. Zdaniem *monsieur* Boissona wyglądało na to, że wystąpił poważny problem względem ostatnich lotów samolotu pana Charkowa. Problem, powiedział złowieszczym tonem dyrektor, którego nie można było omawiać przez telefon. Poinstruował pana Charkowa, by stawiał się o pierwszej tego popołudnia na lotnisku w Nicei w celu udzielenia odpowiedzi na parę prostych pytań. Jeśli *monsieur* Charków postanowiłby nie przyjechać, jego samolot zostanie skonfiskowany i zatrzymany na okres minimum dziewięćdziesięciu dni. Po antyfrancuskiej tyradzie, trwającej dokładnie minutę i trzydzieści siedem sekund, Iwan obiecał stawić się o umówionej porze. *Monsieur* Boisson odparł, że nie może doczekać się spotkania, po czym się rozłączył.

Elena Charków dowiedziała się o problemach męża, gdy zadzwoniła do Villa Soleil, by życzyć Iwanowi i dzieciom miłego poranka. Słyszając gniew Iwana, wygłosiła parę uspokajających komentarzy i zapewniła go, że to z pewnością nieporozumienie. Następnie przeprowadziła krótką rozmowę z Sonią, podczas której poinstruowała ją, by zabrała dzieci na plażę. Kiedy Sonia zapytała, czy chce jeszcze raz porozmawiać z Iwanem, Elena zawahała się, po czym odparła, że owszem, tak. Kiedy Iwan pojawił się z powrotem na linii, powiedziała, że bardzo go kocha i nie może się doczekać, aż

zobaczy go tego wieczora. Ale Iwan wciąż gadał o swoim samolocie i nieudolności Francuzów.

- *Do swidanija*, Iwan - wyszeptała Elena i przerwała połączenie.

Gabriel był człowiekiem o niebywalej cierpliwości, ale teraz, w ostatnich godzinach przed ostatecznym atakiem na komnatę tajemnic Iwana, cierpliwość go opuściła. To ze strachu, pomyślał. Strachu, który może powstać tylko w Moskwie. Strachu, że ktoś zawsze patrzy. Zawsze słucha. Strachu, że znowu znajdzie się na Łubiance, ale tym razem pewnie nie wydostanie się stamtąd żywy. Strachu, że innych mogą do niego dołączyć i że mogą podzielić jego los.

Próbował stłumić obawy, znajdując sobie jakieś zajęcie. Spacerował po ulicach, chociaż przepełniały go odrazą, zamówił wyszukany lunch, który ledwie tknął, a w lśniącym centrum handlowym GUM przy placu Czerwonym kupił pamiątki, które i tak miał zamiar zostawić. Był zupełnie sam: najwyraźniej FSB nie było zainteresowane Martinem Stonehillem, naturalizowanym Amerykaninem z Hamburga.

Wreszcie o 14:30 wrócił do swojego pokoju w hotelu i zabrał ekwipunek bojowy. Jego jedyną bronią było miniaturowe radio oraz kieszonkowy komputer. Dokładnie o 15:03 wsiadł do windy i zjechał do holu. Zatrzymał się na moment przy recepcji, żeby wziąć plik broszurek i map, po czym wyszedł przez obrotowe drzwi na ulicę Twerską. Po przejściu krótkiego odcinka zamachał ręką tak, jakby

chciał wezwać taksówkę. Natychmiast przy krawężniku zatrzymała się srebrna wołga sedan. Gabriel wszedł do środka i zamknął drzwi.

- *Szalom* - powiedział kierowca.

- Miejmy nadzieję.

Gabriel spojrzął na zegarek, gdy samochód ruszył ostro naprzód.

15:06...

„Czas na ostatnie pożegnanie, Eleno. Czas wsiadać do samochodu”.

Elena Charków po cichu weszła do sypialni dla gości i zaczęła się pakować. Samo składanie i wkładanie ubrań do walizki bardzo ją uspokajało, więc zajęła się tym o wiele dokładniej, niż powinna. O 15:20 wykręciła numer telefonu Soni. Nie usłyszawszy odpowiedzi, prawie wpadła w panikę. Wykręciła numer po raz drugi, celowo się nie spiesząc. Tym razem Sonia odebrała po trzech sygnałach. Najspokojniejszym głosem, na jaki ją było stać, Elena poinformowała Sonię, że dzieci miały już dość słońca i że czas opuścić plażę. Sonia lekko zaprotestowała, mówiąc, że dzieci są najszcześniejsze od wielu dni, ale Elena nalegała. Kiedy rozmowa dobiegła końca, włączyła urządzenie, które wyglądało jak zwykły odtwarzacz mp3, i włożyła go do zewnętrznej kieszeni walizki. Następnie po raz kolejny wykręciła numer telefonu Soni. Tym razem połączenie nie powiodło się.

Skończyła się pakować i weszła do sypialni mamy. Pieniądze były tam, gdzie je zostawiła, w dolnej szufladzie kredensu, schowane pod grubym wełnianym swetrem. Matka spojrzała na Elenę i spróbowała się uśmiechnąć. Nie miały już o czym mówić -

powiedziały sobie wszystko poprzedniej nocy. Nie miały już więcej łez.

- Napijesz się herbaty przed wyjściem?

- Nie, mam. Nie mam czasu.

- Więc jedź - powiedziała. - I niech cię strzegą boże anioły.

Na korytarzu czekał na Elenę ochroniarz, były żołnierz jednostki Alfa, Luka Osipow. Zniósł jej walizkę na dół i umieścił w bagażniku czekającej limuzyny. Gdy samochód odjechał od krawężnika, Elena powiedziała cicho, że musi zatrzymać się na moment w Domu na Nabrzeżu, żeby zabrać jakieś dokumenty z biura męża.

- To zajmie tylko chwilę - powiedziała. - Wciąż mamy dość czasu, by dostać się na Szeriemietiewo na czas.

Gdy limuzyna Eleny Charków pomknęła po prospekcie Kutuzowa, ruszył za nią ostrożnie drugi samochód. Za kierownicą siedział Anton Uljanow. Kiedyś pracował dla rządu jako agent obserwacyjny, ale teraz zatrudniał go Arkady Miedwiediew, dowódca prywatnych służb bezpieczeństwa Iwana Charkowa. Uljanow wykonał dla Miedwiediewa wiele zadań, z których większość była moralnie wątpliwa, ale nigdy jeszcze nie kazano mu śledzić żony człowieka, który płacił mu pensję. Nie powiedziano mu, dlaczego ma to robić, dowiedział się tylko, że zadanie jest bardzo ważne.

- Jedź za nią aż na lotnisko - rozkazał mu Miedwiediew. - I nie spuszcza jej z oczu. Inaczej pożałujesz, że się urodziłeś.

Uljanow ustawił się jakieś pięćdziesiąt metrów za limuzyną i włączył muzykę. Nie miał do roboty nic innego, jak tylko usadowić się wygodnie i odbyć spokojną, nudną podróż na Szeriemietiewo. Właśnie takie zadania lubił najbardziej. Niech bohaterowie zajmują się ciekawymi sprawami. W ten sposób żyło się dłużej.

Okazało się, że podróż nie była ani długa, ani nudna. Dobięła końca przy hotelu Ukraina. Winny temu samochód nadjechał od prawej, chociaż Uljanow musiał potem przyznać, że nawet go nie zauważył. Przypomniawszy sobie moment zderzenia: gwałtownie pękająca stal, potłuczone szkło i wybuchająca mu w twarz poduszka powietrzna. Nie był nigdy do końca pewien, na jak długo stracił przytomność. Chyba ledwie na kilka sekund, bo pierwszą rzeczą, którą pamiętał po przebudzeniu, był dobrze ubrany człowiek, krzyczący przez jego rozbitą szybę w niezrozumiałym języku.

Anton Uljanow nie próbował się z nim porozumieć. Zamiast tego zaczął rozpaczliwie szukać komórki. Znalazł ją chwilę później, wciśniętą między siedzenie pasażera i pogniecione drzwi. Zadzwoił do mieszkania Arkadego Miedwiediewa na Worobiowych Wzgórzach.

Gdy Iwan Charków przybył na międzynarodowy port lotniczy Lazurowego Wybrzeża, odprowadzono go do pozbawionej okien sali konferencyjnej z prostokątnym stołem pośrodku i zdjęciami samolotów francuskiej produkcji na ścianach. Człowiek, który go tam wezwał, Francois Boisson, jeszcze się nie pojawił i minęło całe trzydzieści minut, nim w końcu przyszedł. Był szczupłym łysym

mężczyzną po pięćdziesiątce. Nosił małe okulary i jak wszyscy francuscy urzędnicy traktował każdego z wyższością. Nie wyjaśniając ani nie przepaszając za spóźnienie, położył na stole konferencyjnym grubą teczkę i usiadł obok niej. Nieprzyjemnie długo siedział zamyślony, ze złożonymi w trójkąt dłońmi, nim wreszcie rozpoczął posiedzenie.

- Dwa dni temu, po tym, jak odmówiono pańskiemu samolotowi pozwolenia na start z tego lotniska, zajęliśmy się dokładnym badaniem pańskich protokołów lotniczych i list pasażerów. Niestety odkryliśmy dość poważne rozbieżności.

- Jakie rozbieżności?

- *Monsieur* Charków, doszliśmy do wniosku, że używał pan swojego samolotu jako nielegalnej usługi czarterowej. Musi pan udowodnić, że jest inaczej - tu mam obowiązek zaznaczyć, iż we Francji to na panu spoczywa ta powinność - albo pański samolot zostanie skonfiskowany.

- Pańskie oskarżenia są bzdurne - odparował Iwan.

Boisson westchnął i powoli otworzył swoją imponującą teczkę. Pierwszą rzeczą, którą wyjął, było zdjęcie awionetki Boeing.

- *Monsieur* Charków, proszę mi powiedzieć, żebyśmy mieli zupełną pewność, czy to pański samolot? - Wskazał na numer rejestracyjny na ogonie awionetki. - N7287IK?

- Oczywiście, że to mój samolot.

Boisson wskazał pierwszą literę rejestracji, N.

- Pański samolot jest zarejestrowany w Stanach Zjednoczonych - zauważył. - Kiedy ostatnio był w Ameryce?

- Nie jestem pewien. Co najmniej trzy lata temu.

- Nie wydaje się to panu dziwne, *monsieur* Charków?

- Nie, wcale nie wydaje mi się to dziwne. Jak pan dobrze wie, *monsieur* Boisson, właściciele samolotów rejestrują je w Stanach, bo amerykańska rejestracja zapewnia wysoką cenę przy sprzedaży.

- Ale według pańskich dokumentów nie jest pan właścicielem N7287IK.

- Jak to?

- Właścicielem samolotu N7287IK według dokumentów jest firma z Delaware, o dziwnej nazwie N7287 LLC. Jasne jest, że N7287 LLC to firmowa przykrywka, mająca na celu jedynie utrzymywanie wrażenia, że pański samolot jest amerykańską własnością. W teorii nie ma pan powiązań z tą firmą. Prezesem N7287 LLC jest człowiek znany jako Charles Hamilton. *Monsieur* Hamilton jest prawnikiem z Wilmington w stanie Delaware. Jest także właścicielem per procura samolotu, który, jak pan twierdzi, należy do pana. *Monsieur* Hamilton tak naprawdę wypożycza go panu. Czyż nie tak jest, *monsieur* Charków?

- Teoretycznie - odburknął Iwan - to prawda. Ale takie porozumienie jest częste w prywatnym lotnictwie.

- Może i częste, ale z pewnością nie do końca uczciwe. Nalegam, by udowodnił pan, że jest naprawdę właścicielem awionetki

Boeing o numerze N7287IK. Może najłatwiej będzie, jeśli zadzwoni pan do swojego prawnika i poprosi go, żeby ze mną porozmawiał?

- Ale w Stanach jest niedziela rano.

- W takim razie na pewno będzie w domu.

Iwan zaklął po rosyjsku i wziął do ręki telefon. Połączenie się nie powiodło. Po dwóch kolejnych próbach spojrzał na Boissona sfrustrowany.

- Czasami sam miewam problemy z zasięgiem w tej części budynku - powiedział przepraszająco Francuz. Wskazał na telefon po drugiej stronie stołu konferencyjnego. - Proszę się nie krępować i skorzystać z naszego telefonu. Na pewno działa.

Arkady Miedwiediew odebrał telefon od najwyraźniej ogłuszonego Antona Uljanowa, gdy odpoczywał w gabinecie w swoim mieszkaniu na Worobiowych Wzgórzach. Gdy się rozłączył, wykręcił numer do kierowcy Eleny, ale nikt nie odebrał. Po drugim razie spróbował dwukrotnie zadzwonić do Luki Osipowa., kierownika niewielkiej obstawy Eleny, z tym samym rezultatem. Trzasnął zdenerwowany słuchawką i spojrzał ponuro przez okno w stronę centrum Moskwy. „Wezwanie na lotnisko w Nicei... zderzenie na prospekcje Kutuzowa... A teraz ochroniarze Eleny nie odbierają telefonów...”. To nie jest zbieg okoliczności. Coś się działo. Ale na razie nie mógł zupełnie nic zrobić.

Wyjście dzieci Iwana Charkowa z plaży Pampelonne nie odbyło się zgodnie z normalnym planem, co z pewnością nie zdziwiłoby żadnego rodzica małych dzieci. Najpierw były prośby, żeby jeszcze raz się mogły wykąpać. Potem zmagania, by przebrać dwoje pokrytych piaskiem siedmiolatków w suche ubranie, w którym mogły odbyć podróż powrotną do domu. Oraz oczywiście teatralne dąsy na długim spacerze z powrotem do samochodów. Soni Czerkasow, od dawna pracującej dla Iwana Charkowa niani, zadania nie ułatwiał fakt, że towarzyszyło im czterech uzbrojonych ochroniarzy. Doświadczenie nauczyło ją, że w takich sytuacjach ochroniarze byli jeszcze większym problemem niż dzieci.

Na skutek opóźnień dopiero o 13:45 wsiedli do samochodów. Pojechali tą samą trasą co zwykle: w głąb lądu wzdłuż Route des Tamaris, następnie na południe drogą D93 w stronę Baie de Cavalaire. Gdy wyjechali z ronda na wschód od Ramatuelle, na drogę przed nimi nagle wyszedł żandarm i uniósł ubraną w białą rękawiczkę dłoń. Kierowca przez krótką chwilę rozważał zignorowanie polecenia, ale kiedy żandarm zagwizdał dwukrotnie, rozmyślił się i zjechał na pobocze, a za nim drugi samochód.

Żandarm, weteran z Saint-Tropez, wiedział, że nie ma najmniejszego sensu próbować rozmawiać z Rosjanami po francusku. Łamaną angielszczyzną poinformował ich, że jechali o wiele szybciej, niż pozwala na to ograniczenie prędkości. Odpowiedź kierowcy, że latem wszyscy na południu Francji przekraczają dozwoloną prędkość,

nie spodobała się żandarmowi. Natychmiast zażądał od kierowcy dokumentów, a od pozostałych osób w obu samochodach paszportów.

- Nie wzięliśmy paszportów.

- Dlaczego?

- Bo pojechaliśmy na plażę.

- Jako goście we Francji mają państwo obowiązek nosić paszporty ze sobą.

- Może pojedzie pan za nami do domu? Tam pokażemy panu paszporty i sprawa załatwiona.

Żandarm popatrzył na tylne siedzenie.

- Czy to pańskie dzieci?

- Nie, to dzieci Iwana Charkowa.

Żandarm przybrał wyraz twarzy dający do zrozumienia, że nigdy nie słyszał tego nazwiska.

- A pan kim jest?

- Pracuję dla pana Charkowa. Tak jak i moi koledzy w drugim samochodzie.

- Jako kto?

- Ochrona.

- Czy mam rozumieć, że nosicie panowie broń?

Rosjanin skinął głową.

- Czy mogę zobaczyć pańskie pozwolenie?

- Nie mamy ze sobą pozwoleń. Zostały razem z paszportami w willi pana Charkowa.

- Gdzie to jest?

Słyszając odpowiedź, żandarm wrócił do samochodu i podniósł do ust radiotelefon. Na miejsce zdążył przyjechać już drugi samochód, furgonetka renault, a chwilę potem dołączyły do nich chyba wszystkie siły policyjne Saint-Tropez. Rosyjski kierowca, obserwujący rozwój wydarzeń we wstecznym lusterku, doszedł do wniosku, że sytuacja gwałtownie się pogarsza. Wyjął z kieszeni komórkę i próbował zadzwonić do szefa obstawy Iwana, ale połączenie się nie udało. Po trzech próbach poddał się, zirytowany i wyjrzał na zewnątrz. Żandarm stanął przy oknie z odpiętą kaburą, trzymając dłoń na rękojeści pistoletu.

- Gdzie jest pańska broń, *monsieur*? Kierowca poklepał się po biodrze.

- Proszę wyjąć ją i położyć powoli na desce rozdzielczej. - Spojrzał na ochroniarza na siedzeniu pasażera. - Pan też. Broń na deskę rozdzielczą. Następnie proszę bardzo powoli wysiąść z samochodu i położyć ręce na dachu. Dzieci i niania mogą pojechać jednym samochodem. Pan i pańscy koledzy pojedziecie innymi. Możemy to załatwić cywilizowanymi metodami, ale jeśli panowie wolicie, możemy użyć kajdanek. Wybór należy do panów.

57

MOSKWA

Po zachodniej stronie Domu na Nabrzeżu znajduje się niewielki park z ładną murowaną cerkwią pośrodku. Nawet w normalnych

okolicznościach nie było to popularne miejsce, a teraz zbierało się na deszcz, więc nie było tam praktycznie nikogo. Parę metrów od cerkwi rosła kępa drzew, a między nimi stała ławeczka, pokryta całą gamą obscenicznym rosyjskich wyrazów. Na jednym skraju siedział Gabriel, na drugim Szmuel Peled, kierowca ambasady i tajny agent izraelskiego wywiadu. Szmuel nawijał coś po rosyjsku, ale Gabriel go nie słuchał. Skupiał się na głosach dobiegających z jego miniaturowej słuchawki: Jakowa Rossmana zgłaszającego, że samochód Eleny Charków pozbył się wrogiego ogona; Eliego Lawona mówiącego, że pojazd Eleny Charków zmierza szybko w stronę Domu na Nabrzeżu; Uziego Nawota informującego, że Elena Charków wysiadła z samochodu i zmierzała do budynku z Luką Osipowem u boku. Gabriel spojrzął na zegarek: 15:54... Byli już spóźnieni o dziewięć minut. „Eleno, lepiej się pospiesz. Musimy zdążyć na samolot”.

Informacja o pojawieniu się Eleny Charków dotarła do Londynu dziesięć sekund później. Nie przekazał jej głos, zabłysnęła w formie krótkiej wiadomości na wiszącym na jednej ze ścian ekranie rozmiarów billboardu. Adrian Carter niecierpliwie oczekiwał na alarm, trzymając przy uchu słuchawkę telefonu łączącego go bezpośrednio z Langley.

- Wchodzi do środka - powiedział spokojnie. - Wyłączcie telefony. Wszystkie od rzeki Moskwy na południe aż do obwodnicy.

Przeszła przez hol wejściowy z Luką Osipowem tuż za nią. Weszła do niewielkiego korytarza z pojedynczą windą. Próbował wsiąść za nią do oczekującej kabiny, ale zatrzymała go gestem.

- Zaczekaj tutaj - rozkazała, po czym wsunęła kartę kodową do otworu. Następnie wyjęła ją i nacisnęła dziewiąte piętro. Luka Osipow stał przez parę sekund bez ruchu, śledząc jazdę windy na czerwonych kontrolkach panelu kontrolnego. Następnie otworzył komórkę i spróbował zadzwonić do czekającego na zewnątrz kierowcy. Nie usłyszawszy nic, zamknął aparat z trzaskiem i zaklął pod nosem. Cała moskiewska sieć musiała paść, pomyślał. My, Rosjanie, nigdy niczego nie umiemy zrobić porządnie.

Kiedy drzwi otworzyły się na dziewiątym piętrze, na korytarzu czekał kolejny ochroniarz. Nazywał się Piotr Łużkow, podobnie jak Luka Osipow był dawnym członkiem oddziałów Alfa. Na jego bladej, nijakiej twarzy pojawiło się zaskoczenie. Z powodu urządzenia zakłócającego pracę komórek, które znajdowało się w walizce Eleny, ochrona nie mogła poinformować go o jej przyjeździe. Elena przywitała się z nim pospiesznie, po czym przepchnęła się obok niego do przedsionka, nie próbując nawet wyjaśnić przyczyn swojej obecności. Kiedy ochroniarz odruchowo położył jej dłoń na ramieniu, odwróciła się gwałtownie. W jej oczach błyszczał gniew.

- Co ty wyprawiasz? Jak śmiesz mnie dotykać! Za kogo ty się masz?

Łużkow cofnął dłoń.

- Przepraszam.

- Przepraszam i co dalej?

- Przepraszam, pani Charków. Nie powinienem był pani dotykać.

- Nie, Piotrze, nie powinieneś był mnie dotykać. Poczekaj, aż Iwan się o tym dowie!

Ruszyła korytarzem w stronę biura. Ochroniarz podążył za nią.

- Przepraszam, pani Charków, ale obawiam się, że nie wolno mi wpuścić pani do biura, chyba że jest pani w towarzystwie męża.

- Chyba że to nagły przypadek.

- Zgadza się.

- Mówię więc, że to jest nagły przypadek. Wracaj na stanowisko, durniu. Nie mogę wpisywać kodu, jeśli będziesz patrzył mi przez ramię.

- Pani Charków, jeśli to nagły przypadek, czemu nie poinformował mnie o tym Arkady Miedwiediew?

- Może trudno ci będzie w to uwierzyć, ale mój mąż nie mówi wszystkiego Arkademu. Poprosił mnie, żebym wzięła z jego biura ważne dokumenty i zabrała je do Francji. Teraz, Piotrze, zadaj sobie pytanie: jak zareaguje Iwan, jeśli przez ciebie spóźnię się na samolot?

Ochroniarz nie ustępował.

- Pani Charków, ja tylko wykonuję swoją robotę. Moje instrukcje są bardzo proste. Nikt nie ma prawa wchodzić do tego biura bez pozwolenia Iwana Charkowa albo Arkadego Miedwiediewa. Wliczając w to panią.

Elena spojrzała w sufit i westchnęła ze złością.

- Dobrze, już dobrze, zadzwoń w takim razie do Arkadego i powiedz mu, że tu jestem. - Wskazała na stojący na małym, eleganckim stoliku telefon. - Zadzwoń do niego, Piotrze. Ale pospiesz się, bo jeśli spóźnię się na samolot do Francji, każę Iwanowi obciąć ci język.

Ochroniarz odwrócił się od Eleny i podniósł słuchawkę. Chwilę później opuścił ją, nachmurzony. Nacisnął kilka razy guzik na aparacie.

- Coś nie tak, Piotrze?

- Wygląda na to, że telefon nie działa.

- Dziwne. Spróbuj z mojej komórki.

Odłożył słuchawkę i się odwrócił. Zobaczył Elenę z wyciągniętym ramieniem i buteleczką aerozolu w dłoni. Buteleczką, którą dał jej w samolocie Gabriel. Nacisnęła guzik, wysyłając chmurę rozpylonego płynu prosto w jego twarz. Strażnik przez parę sekund próbował utrzymać równowagę i Elena przestraszyła się, że środek obezwładniający nie zadziałał. Ochroniarz upadł jednak na podłogę z głośnym hukiem, przewracając po drodze stół. Elena popatrzyła nerwowo na leżącego na ziemi mężczyznę, po czym psiknęła mu płynem w twarz po raz drugi.

To za to, że mnie dotknąłeś, pomyślała. Ty świnió.

Dziewięć pięter niżej gruby mężczyzna w szarym kapeluszu o szerokim rondzie wszedł do przedsiionka przy prywatnych windach,

po cichu klnąc na swój telefon. Spojrzał z lekką irytacją na Lukę Osipowa i wzruszył ramionami.

- To cholerstwo działało jeszcze minutę temu, ale kiedy podszedłem do budynku, przestało. Może to duch Stalina. Sąsiad twierdzi, że widział go kiedyś w nocy. Ja jakoś nie miałem tego pecha.

Drzwi windy się otworzyły i przysadzisty mężczyzna wszedł do środka. Łuka Osipow podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Przynajmniej jeszcze dwoje innych ludzi, kobieta na chodniku i stojący przy swoim samochodzie kierowca taksówki, miało najwyraźniej problemy ze swoimi aparatami. „To cholerstwo działało jeszcze minutę temu, ale kiedy podszedłem do budynku, przestało...”. Chociaż towarzysz Stalin był potężnym człowiekiem, Łuka Osipow wątpił, czy przyczynił się do nagłego wyłączenia telefonii komórkowej. Podejrzewał, że było to coś o wiele bardziej namacalnego. Coś jak zakłócacz sygnału.

Spróbował jeszcze raz bez powodzenia zadzwonić ze swojego telefonu, po czym podszedł do biurka portiera i zapytał, czy mógłby skorzystać z linii naziemnej. Upewniwszy się, że Osipow nie chciał dzwonić za granicę, portier podał mu aparat i poprosił ochroniarza, żeby nie rozmawiał długo. Nie było to konieczne. Telefon nie działał.

- Nic nie słyhać - powiedział Osipow.
- Chwilę temu jeszcze działał.
- Czy ktokolwiek w budynku skarżył się na zepsute telefony?
- Nie, nikt.

Luka odszedł od biurka portiera i wyszedł na zewnątrz. Gdy doszedł do limuzyny, kierowca miał spuszczoną szybę. Luka wsunął głowę przez otwór i kazał siedzącemu na fotelu pasażera mężczyźnie wejść do środka i pilnować korytarza. Następnie zawrócił w stronę Kremla i ruszył przed siebie. Gdy dotarł na środek Wielkiego Kamiennego Mostu, jego telefon znowu zadziałał. Od razu zadzwonił na Worobiowe Wzgórza.

58

MOSKWA

Podłoga była wyłożona drewnianą klepką, ale mimo że niedawno ją wypolerowano, Elena musiała użyć wszystkich swoich sił, żeby przeciągnąć stukilowego ochroniarza do łazienki głównej sypialni w apartamencie. Zamknęła drzwi od środka i ruszyła ku wejściu do biura Iwana. Panel był zamontowany po lewej stronie, na poziomie oczu. Wstukała ośmiocyfrowy szyfr i przyłożyła kciuk do skanera. Alarm zaćwierkał trzykrotnie, po czym opancerzone drzwi otworzyły się powoli. Elena weszła do środka i otworzyła torebkę.

Wygląd biurka odzwierciedla charakter pracującego przy nim zwykle mężczyzny - było ciężkie, ciemne i niezgrabne. Była to również jedna z najcenniejszych rzeczy Iwana, bo należało niegdyś do Jurija Andropowa, byłego szefa KGB, który został pierwszym sekretarzem w 1982 roku, po Leonidzie Breżniewie. Monitor i

klawiatura stały obok oprawionej w srebro fotografii ojca Iwana w mundurze generała KGB. Stacja dysków była ukryta na podłodze, pod blatem. Elena przyklękła i nacisnęła włącznik, po czym otworzyła niewielką klapkę z przodu komputera i podłączyła do niego małe urządzenie z kablem USB, które dostała od Gabriela w samolocie. Po kilku sekundach dysk włączył się i komputer zaczął szumieć. Elena spojrzała na monitor - widniało na nim kilka hebrajskich znaków oraz pasek dostępu mówiący, że kopiowanie plików zajmie dwie minuty.

Spojrzała na zegarek, po czym podeszła do bogato zdobionych półek na książki po drugiej stronie pokoju. Przycisk był ukryty za należącym do Iwana pierwszym wydaniem *Anny Kareniny*, za tomem drugim, jeśli chodzi o ścisłość. Kiedy go nacisnęła, półki rozsunęły się, ujawniając drzwi do skarbcza Iwana. Wstukala ten sam ośmiocyfrowy kod i znowu położyła kciuk na skanerze. Rozległy się trzy ćwierknięcia, a po nich głuchy stuk otwieranych zamków.

Światło wewnątrz zapaliło się automatycznie, gdy otworzyła drzwi. Na półce stały w równych rzędach tajne dyski Iwana, szare komórki jego siatki śmierci. Obok leżała część jego zarobków: ruble, dolary, euro, franki szwajcarskie. Sięgnęła po pieniądze, ale powstrzymała się, gdy pomyślała o krwi. O krwi przelanej przez ludzi walczących bronią Iwana. Krwi dzieci, zmuszanych, by walczyć w jego wojnach. Zostawiła pieniądze na półce i wzięła jedynie dyski. Dyski, które pomogą Gabrielowi znaleźć rakiety. Dyski, za pomocą których Gabriel zniszczy jej męża.

Przy końcu ulicy Serafimowicza jest na drodze szeroka wysepka. Jak wszędzie w Moskwie, dzień i noc jest zapchana zaparkowanymi samochodami. Niektóre auta zaparkowane tam tego popołudnia były zagraniczne i nowe, a inne stare i rosyjskie, wliczając w to poobijaną ładę nieokreślonego koloru. Wewnątrz siedział Uzi Nawot i jego kierowca z moskiewskiej komórki. Nawot nie wydawał się zadowolony, bo zobaczył kilka rzeczy, które mogły wskazywać, że operacja gwałtownie się sypie. Podzielił się tym poglądem z resztą zespołu najspokojniej, jak tylko mógł. Ale teraz, kiedy patrzył, jak Luka Osipow wraca sprintem po Wielkim Kamiennym Moście, wiedział, że nie ma czasu na opanowanie.

- Wraca - powiedział do mikrofonu na nadgarstku. - I wygląda na to, że mamy poważne kłopoty.

Szmuel Peled wprawdzie nie miał radia, ale pogłębiający się cień na twarzy Gabriela wyjaśniał wszystko.

- Tracimy ją, szefie? Powiedz, że jej nie stracimy.

- Wkrótce się dowiemy. Jeśli wyjdzie z budynku z torebką na lewym ramieniu, wszystko jest w porządku. Jeśli nie... - Pozostawił tę myśl niedokończoną.

- Co robimy?

- Czekamy. I modlimy się do Boga, żeby udało jej się wrócić do samochodu.

- A jeśli nie wyjdzie?

- Szmuel, mów po rosyjsku. Miałeś mówić po rosyjsku. Kierowca wznowił swój monolog. Gabriel wpatrywał się w zachodnią fasadę Domu na Nabrzeżu i słuchał głosu Uzięgo Nawota.

Luka Osipow od opuszczenia jednostki Alfa przytył siedem kilo i stracił wiele ze swojej kondycji. Dlatego gdy dotarł do biurka portiera w holu wejściowym, dyszał ciężko.

- Muszę natychmiast dostać się do mieszkania 9A.

- Obawiam się, że to niemożliwe. Musi pan mieć kartę kodową do windy i klucz do mieszkania.

- Jestem przekonany, że kobieta, której pilnuję i która jest w tym mieszkaniu, znajduje się w śmiertelnym niebezpieczeństwie. Musi mnie pan tam wpuścić.

- Przykro mi, ale to wbrew przepisom.

- Wiesz, dla kogo pracuję, idioto?

- Pracuje pan dla pani Charków.

- Nie, pracuję dla Iwana Charkowa. Wiesz, co robi Iwan Charków, jeśli coś się stanie jego żonie?

Portier przełknął głośno ślinę.

- Mogę zawieźć pana na dziewiąte piętro, ale nie wpuszczę pana do mieszkania. Pan Charków nie pozwala nam trzymać zapasowego klucza.

- Zostaw to mnie.

- Życzę powodzenia - powiedział portier, wychodząc zza biurka.

- Z tego, co słyszałem, potrzeba radzieckiego czołgu, żeby się tam dostać.

Elena zamknęła półki z książkami, wyjęła urządzenie USB z komputera i wyłączyła go. Wychodząc na korytarz, spojrzała na zegarek:16:02. Wszystko zajęło osiem minut. Wsunęła urządzenie do torby i zapięła suwak, po czym wstukała ośmiocyfrowy kod. Gdy ciężkie drzwi zamykały się powoli, poprawiła przewrócony stół i odłożyła na miejsce telefon. Rozejrzała się po raz ostatni, by upewnić się, że wszystko jest w porządku i ruszyła do drzwi.

Wtedy usłyszała walenie. Wielką męską pięść na zmianę z dłonią. Pewnie takie samo walenie mieszkańcy tego budynku słyszeli każdej nocy za czasów wielkiego terroru. Ile osób wyciągnięto stąd na śmierć? Nie pamiętała dokładnej liczby. Sto? Tysiąc? Co za różnica. Wiedziała tylko, że być może wkrótce do nich dołączy. Może nawet będzie odpowiedzią w makabrycznej grze z pytaniami z wiedzy ogólnej. Kto był ostatnią osobą zabraną z Domu na Nabrzeżu i zamordowaną? Elena Charków, pierwsza żona Iwana Borysowicza Charkowa.

Jak wszyscy, którzy usłyszeli to budzące postrach walenie, zastanawiała się, czy może nie otwierać. Ale, jak wszyscy, w końcu otworzyła. Nie ze strachem, ale z udawanym gniewem. Torebkę zarzuciła na lewą ramię, a prawą dłoń wsunęła do kieszeni płaszcza i schwyciła buteleczkę z aerozolem. W przedsionku stał Luka Osipow, jego twarz była blada z gniewu i mokra od potu. W dłoni trzymał pistolet, wymierzony prosto w serce Eleny. Bała się, że zdąży strzelić,

jeśli spróbuje użyć buteleczki, więc wyjęła rękę z kieszeni i oparła ją o biodro, patrząc ze zdumieniem na ochroniarza.

- Luko Ustinowiczu - powiedziała. - Co też w ciebie wstąpiło?

- Gdzie jest Piotr?

- Kto to jest Piotr?

- Ochroniarz, który miał być na służbie w tym mieszkaniu.

- Kiedy przyszłam, nikogo tu nie było, idioto. Chodźmy. Próbowała wyjść do przedsiionka. Ochroniarz zablokował jej przejście.

- Luka, co ty wyprawiasz? Musimy jechać na lotnisko. Wierz mi, Luko Ustinowiczu, ostatnią rzeczą, jakiej chcesz, to żebym spóźniła się na samolot.

Ochroniarz nic nie powiedział. Zamiast tego sięgnął do windy i wciąż celując w Elenę, wcisnął guzik, odsyłając windę na dół. Następnie wszedł do mieszkania i zatrzasnął drzwi.

59

GROSYENOR SQUARE, LONDYN

Wmroku centrum operacyjnego rozbłysła zapalniczka Szamrona. Skupił wzrok na dużym ekranie na jednej ze ścian, gdzie widniała ostatnia wiadomość Uziego Nawota. Miała urok leżących w rynsztoku zwłok. OCH WCHODZI DNN... PROBLEM...

OCH oznaczało ochroniarza. DNN - Dom na Nabrzeżu. PROBLEM nie wymagał tłumaczenia. Problem to problem. Ekran się

zaczernił. Pojawiła się nowa wiadomość. AM WCHODZI DNN... CO ROBIĆ...

AM oznaczało Arkadego Miedwiediewa. Słowa CO ROBIĆ oznaczały, że szczegółowo zaplanowana operacja Gabriela najprawdopodobniej weźmie w łeb i mogą stracić wielu agentów.

- To twoi chłopcy - powiedział Carter. - Twoja decyzja. Szamron strzepnął popiół do filiżanki.

- Nie pękajmy. Dajmy jej szansę. Carter spojrzał na cyfrowy zegar.

- Jest czwarta piętnaście, Ari. Jeśli twoje ekipy mają zdążyć na ten samolot, za dziesięć minut muszą być w samochodach i jechać na lotnisko.

- Adrian, taki samolot to bardzo skomplikowana maszyna. Wiele rzeczy może się w niej zepsuć.

- Może lepiej od razu to załatwić.

Szamron podniósł słuchawkę bezpiecznego telefonu połączonego z centrum operacyjnym przy Bulwarze Króla Saula. Powiedział kilka krótkich zdań po hebrajsku. Spojrzał spokojnie na Cartera.

- Wygląda na to, że w kokpicie samolotu El Al na lot 1612 mruga światelko ostrzegające o utracie ciśnienia w kabinie. Dopóki kapitan, odznaczony wieloma medalami był pilot izraelskich sił powietrznych, nie uzna, że problem rozwiązano, samolot nigdzie nie poleci.

- Dobrze to rozegrałeś - powiedział Carter.

- Jak długo nasi francuscy przyjaciele mogą trzymać Iwana w Nicei?

- Pan Boisson dopiero zaczął. Dzieci to jednak zupełnie inna sprawa. Musimy podjąć decyzję, Ari. Co robimy z dziećmi?

- Nie chciałbym, Adrian, żeby moje dzieci siedziały na posterunku żandarmerii. A ty, Adrian?

- Ja też nie.

- To może je stamtąd zabierzmy. Kto wie? Zależnie od tego, co znajdzie wewnątrz tamtego apartamentowca w ciągu następnych dziesięciu minut, może będziemy ich potrzebować.

- Po co?

- Adrian, nie oddam jej bez walki. Gabriel też nie. - Szamron wrzucił papierosa do filiżanki z kawą i zamieszał. - Zadzwoń do Francuzów. Załatw mi dzieci Iwana.

Carter podniósł słuchawkę telefonu do centrum operacji w Paryżu. Szamron spojrzał na ekran, na którym nieprzerwanie migiała ostatnia wiadomość Uziego Nawota.

AM WCHODZI DNN... CO ROBIĆ...

AM WCHODZI DNN... CO ROBIĆ...

AM WCHODZI DNN... CO ROBIĆ...

Umieścili Sonię i dzieci w przyjemnej sali zatrzymań i poczęstowali wszystkich zimnym sokiem owocowym i lodami. Siedziała z nimi przez cały czas ładna pani żandarm, raczej dla towarzystwa niż ze względów bezpieczeństwa. Dzieci oglądały

kreskówki i grały głośno w gry karciane, których reguł nikt nie rozumiał, z nimi na czele. Oficer dyżurny mianował ich honorowymi żandarmami i nawet pozwolił Nikołajowi obejrzeć swój pistolet. Później powiedział kolegom, że chłopiec jak na siedmiolatka wiedział nieco zbyt wiele o broni.

Po odebraniu telefonu z kwatery głównej w Paryżu oficer dyżurny wrócił do sali i oświadczył, że czas wracać do domu. Anna i Nikołaj powitali tę informację nie z radością, ale z płaczem. Dla nich aresztowanie i zatrzymanie było wspaniałą przygodą i wcale nie spieszyło im się wracać do pałacu nad morzem. Wreszcie przekonano je obietnicą, że będą mogły wrócić się pobawić, kiedy tylko zechcą. Gdy szli głównym korytarzem posterunku, Anna trzymała panią żandarm za rękę, podczas gdy Nikołaj robił oficerowi dyżurnemu wykład o tym, dlaczego rosyjska broń jest lepsza. Sonia zapytała, gdzie są ich ochroniarze, ale nie otrzymała odpowiedzi.

Wyszli z posterunku nie przez główne wejście, ale tylnymi drzwiami, prowadzącymi na zamknięty plac. Stało tam zaparkowanych kilka służbowych renault oraz stara więźniarka peugeot. Za kierownicą siedział siwowłosy mężczyzna w koszulce polo firmy Lacoste. Na widok dzieci wysiadł z samochodu ze spokojnym uśmiechem na twarzy i otworzył tylne drzwi. Sonia zamarła i odwróciła się do oficera dyżurnego, zmieszana.

- Co się dzieje? Kto to jest?

- To *monsieur* Henri. To dobry człowiek. Zabierze panią i dzieci w bezpieczne miejsce.

- Nie rozumiem.

- Obawiam się, że pan Charków ma kłopoty. Pani Charków załatwiła pana Henriego do opieki aż do jej powrotu. Poprosiła, żeby pani z nimi została. Obiecuje, że zostanie pani sownie wynagrodzona. Rozumie pani, co chcę powiedzieć?

- Chyba tak.

- Świetnie. Proszę wsiąść do samochodu. I proszę spróbować nie okazywać strachu. To tylko zdenerwuje dzieci. Nie jest to im potrzebne.

Na lotnisku Szeriemietiewo 2 w Moskwie Chiara stała przy stanowisku odprawy, gdy stan lotu na tablicy odlotów zmienił się z „Oczasie” na „Opóźniony”. Trzy metry dalej, w poczekalni pasażerskiej, 187 głosów jęknęło równocześnie. Jeden odważny, brodaty ortodoks w ciemnym garniturze podszedł do jej stanowiska i zażądał wyjaśnień.

- To drobna usterka techniczna - wyjaśniła spokojnie Chiara. - Opóźnienie nie powinno być dłuższe niż kilka minut.

Mężczyzna wrócił na miejsce, nie wierząc, że powiedziano mu prawdę. Chiara odwróciła się i spojrzała na tablicę: „Opóźniony”...

Odejdź stamtąd, Gabrieliu, pomyślała. Odwróć się i odejdź.

Deszcz lunął w tej samej chwili, gdy w słuchawce Gabriela zatrzeszczał głos Uziego Nawota.

- Po ptakach.
- Że co?
- Stary właśnie wydał rozkaz, żeby przerwać operację.
- Powiedz mu, żebyśmy poczekali jeszcze dziesięć minut.
- Nic mu nie powiem. Słucham jego rozkazu.
- Jedź. Spotkam się z wami na lotnisku.
- Spadajmy stąd. Natychmiast.
- Ja zostaję.
- Wyłącz radio i wsiadaj do samochodu.

Gabriel i Peled wstali równocześnie i w ulewnym deszczu przeszli spokojnym krokiem przez park. Peled poszedł do wołgi; Gabriel na plac Bołotnaja. Przyłączyli się do niego Nawot i Lawon. Nawot miał wodoodporną czapkę, ale Lawon był z gołą głową.

- Czemu tu stoimy? - zapytał stanowczym tonem Nawot. - Czemu, zamiast jechać na lotnisko, stoimy w deszczu w tym cholernym parku?

- Bo ja tu na razie zostaję, Uzi.

- Jasne, Gabrielu. - Nawot poklepał w swój kieszonkowy komputer. - Jest tu napisane: o 17:00 czasu moskiewskiego przerwać zadanie i wsiąść do samolotu na SVO. Tak mówi wiadomość. Jestem pewien, że to nie jest propozycja. Więcej, jestem pewien, że to bezpośredni rozkaz od samego Memune. Memune było hebrajskim słowem, które oznaczało „przełożonego”. Jak daleko sięgali pamięcią

pracownicy Biura, słowo było zarezerwowane dla jednego człowieka: Ariego Szamrona.

- Możesz stać w parku i wrzeszczeć na mnie, aż zachrypniejesz, Uzi, ale nie zostawię jej.

- To nie ty podejmujesz tę decyzję. Obiecałeś coś Szamronowi w Paryżu. Jeśli ona nie wyjdzie z tego budynku o czasie, odchodzisz.

Gabriel wytarł zalane deszczem okulary.

- Uzi, lepiej się pospiesz. Ruch w stronę lotniska o tej porze dnia potrafi być nieprzyjemny.

Nawot złapał go za ramię i ścisnął tak mocno, że Gabriel stracił czucie w dłoni.

- Co chcesz zrobić, Uzi? Zaciągniesz mnie siłą do samochodu?

- Jeśli będzie trzeba.

- Nie sądzisz, że zrobi się z tego przedstawienie?

- Przynajmniej potrwa tylko chwilę. I w przeciwieństwie do twojego pobytu w Moskwie jest szansa, że nie skończy się twoją śmiercią.

- Uzi, puść mnie.

- Gabrielu, nie mów mi, co mam robić. To ja jestem dyrektorem operacji specjalnych, a nie ty. Jesteś tylko niezależnym współpracownikiem. Dlatego masz się mnie słuchać. A ja rozkazuję ci wsiąść do samochodu i pojechać z nami na lotnisko.

Eli Lawon ostrożnie zdjął dłoń Nawota z ramienia Gabriela.

- Uzi, dość tego. On nie wsiądzie z nami do tego samolotu. Nawot posłał Lawonowi wrogie spojrzenie.

- Dzięki za wsparcie, Eli. Wy, chłopaki z Gniewu Bożego, zawsze trzymacie się razem, co?

- Ja też nie chcę, żeby został. Wiem po prostu, kiedy nie ma sensu marnować sił na próby przekonywania go, ma zakuty łeb.

- To może się okazać przydatne. - Deszcz spływał po czapce Nawota na jego twarz. - Wiesz, co się stanie, jeśli wsiądę do tego samolotu bez ciebie? Stary postawi mnie pod murem i wykorzysta jako tarczę strzelniczą.

Gabriel podniósł zegarek, tak by Nawot mógł go zobaczyć. - Jest piąta, Uzi. Lepiej już leć. I weź ze sobą Elięgo. To dobry obserwator, ale nigdy nie znał się na bijatykach.

Nawot posłał Gabrielowi szamronowskie spojrzenie. Skończył z gadaniem.

- Na twoim miejscu trzymałbym się z dala od hotelu. - Sięgnął do kieszeni płaszcza i podał Gabrielowi klucz. - Nosilem go ze sobą na wypadek, gdybyśmy potrzebowali gdzieś się przekimnąć. To stara radziecka ruina koło stadionu Dynama, ale powinna wystarczyć.

Nawot podał mu nazwę ulicy, numer domu i mieszkania.

- Kiedy wejdiesz do środka, daj znać naszej komórce i zabarykaduj drzwi. Wyślemy ekipę ewakuacyjną. Przy odrobinie szczęścia, kiedy przyjadą, wciąż tam będziesz.

Następnie odwrócił się, nie mówiąc nic więcej, i popędził przez zalany deszczem plac do samochodu. Lawon przez moment obserwował go, po czym spojrzał na Gabriela.

- Na pewno nie potrzebujesz towarzystwa?

- Jedź na lotnisko, Eli. Wsiądź do samolotu.

- Co mam powiedzieć twojej żonie? Gabriel zawahał się przez moment.

- Powiedz jej, że jest mi strasznie przykro, Eli. Powiedz jej, że jakoś jej to wynagrodzę.

- Możliwe, że popełniasz potworny błąd.

- Nie pierwszy raz.

- Tak, ale jesteśmy w Moskwie. Ten raz może być ostatni.

O 17:04 na ekranie w Londynie pojawiła się wiadomość Nawota: JEDZIEMY NA SVO... MINUS JEDEN... Adrian Carter zaklął cicho i spojrzał na Szamrona, który obracał w palcach swoją zapalniczkę.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

- Wygląda na to, że miałeś rację - powiedział Carter. Szamron nie odpowiedział.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

- Francuzi mówią, że Iwan zaraz wpadnie w furję. Sytuacja w Nicei jest napięta. Chcieliby ją jakoś zakończyć, tak albo inaczej.

- Może nadszedł czas, by pokazać Iwanowi, przed jakim dylematem stoi. Powiedz swoim cyberwojownikom, żeby włączyli telefony w Moskwie. I niech Francuzi skonfiskują samolot Iwana. A skoro już się nim zajmują, niech także zabiorą mu paszport.

- Powinien się zorientować, że coś się dzieje. Szamron zamknął oczy.

Dwa obroty w prawo, dwa w lewo...

Gdy Iwan Charków w końcu wyszedł z sali konferencyjnej na międzynarodowym lotnisku Lazurowego Wybrzeża, jego gniew osiągnął niebezpieczny poziom. Część znalazła ujście, gdy zobaczył swoich dwóch ochroniarzy drzemiących na kanapie. Razem zbiegli po schodach. Iwan wykrzykiwał coś po rosyjsku. Wsiedli do opancerzonej limuzyny Mercedes i ruszyli w drogę powrotną do Saint-Tropez. Niecałe sto metrów od budynku zadzwonił telefon Iwana. Arkady Miedwiediew dzwonił z Moskwy.

- Gdzie byliście, Iwanie Borysowiczu?

- Utknąłem na lotnisku.

- Macie pojęcie, co się dzieje?

- Francuzi próbują ukraść mój samolot. I mój paszport. To się dzieje, Arkady.

- Próbują ukraść o wiele więcej. Mają też twoje dzieci. To część jakiejś skomplikowanej operacji przeciw nam. Nie tylko we Francji. W Moskwie też coś się dzieje.

Iwan nie odpowiedział. Arkady Miedwiediew wiedział, że to niebezpieczny znak. Kiedy Iwan wpadał w furję, potwornie klął, ale gdy był na tyle wściekły, by zabić, milczał. W końcu poprosił szefa swojej ochrony, żeby mu powiedział wszystko, co wiedział. Miedwiediew zrobił to potocznym rosyjskim, praktycznie nie do zrozumienia dla kogoś z Zachodu.

- Gdzie ona jest, Arkady?

- Wciąż w mieszkaniu.

- Kto ją w to wkręcił?
- Mówi, że sama na to wpadła.
- Kłamie. Muszę się dowiedzieć, z kim mam się zmierzyć. I to szybko.
- Musicie wydostać się z Francji.
- Bez paszportu i samolotu?
- A co ja mam zrobić?
- Zorganizuj imprezę, Arkady. Gdzieś poza miastem. Zobacz, czy pojawią się jacyś nieproszeni goście.
- A jeśli tak?
- Prześlij im ode mnie wiadomość. Jeśli mają zamiar zadzierać z Iwanem Charkowem, Iwan Charków zadrze z nimi.

61

LOTNISKO SZERIEMIETIEWO 2, MOSKWA

Przybyli w pięciominutowych odstępach i osobno przeszli przez kontrolę paszportową i bezpieczeństwa. Uzi Nawot pojawił się ostatni. Kapelusz naciągnął nisko na oczy, płaszcz miał przemoczony do suchej nitki. Obszedł terminal dwa razy, szukając obserwatorów, po czym w końcu udał się do bramki A23. Lawon i Jaków patrzyli nerwowo na płytę lotniska. Między nimi było puste miejsce. Lawon usiadł na nim i położył swoją aktówkę na kolanach. Przez moment patrzył na Chiareę, jak podróżny w średnim wieku podziwiający piękną młodszą kobietę.

- Jak się trzyma?

- Jak myślisz? - odparł Lawon. - Rwie sobie włosy z głowy.

- Może winić tylko swojego męża.

- Na pewno będziemy mieli dość czasu później, by znaleźć winnych. - Lawon spojrzał na tablicę odlotów. - Jak myślisz, ile czasu Szamron będzie opóźniał ten samolot?

- Ile będzie mógł.

- Na moje oko Elena jest w rękach Arkadego Miedwiediewa od dwóch godzin. Jak myślisz, ile czasu zajmie mu otwarcie jej torebki? Ile czasu minie, nim znajdzie dyski Iwana i elektroniczne zabawki Gabriela?

Nawot wpisał krótką wiadomość w swój komputer BlackBerry. Dwie minuty później stan lotu na monitorze zmienił się z „Opóźniony” na „Gotowy”. Stu osiemdziesięciu siedmiu zmęczonych pasażerów zaczęło bić brawo. Trzech zaniepokojonych mężczyzn patrzyło ponuro na błyszczącą płytę lotniska.

- Nie martw się Uzi. Zrobiłeś, co należało.

- Tylko nigdy nie mówcie o tym Chiarze. Nie wybaczyłyby mi. - Nawot pokręcił powoli głową. - Nigdy nie należy brać żon w teren. Myślałbyś, że Gabriel zdążył się tego nauczyć.

W Rosji jeszcze niedawno siedzący samotnie w zaparkowanym samochodzie mężczyzna wzbudziłby podejrzenia. Ale tak już nie było. Ostatnimi czasy siedzenie w zaparkowanych albo tkwiących w

korkach samochodach było jednym z normalnych zajęć mieszkańców Moskwy.

Gabriel czekał na północnym skraju placu Bołotnaja, obok billboardu z ponurym portretem rosyjskiego prezydenta. Nie wiedział, czy zaparkował legalnie, czy nie. Nie przejmował się. Ważne było to, że mógł obserwować stamtąd wejście do Domu na Nabrzeżu. Zostawił silnik włączony, nastawił radio. Wydawało mu się, że leciały komentarze do bieżących wydarzeń, analiza wiadomości albo coś podobnego. Puszczano długie fragmenty nagranych przemówień prezydenta, po których wypowiadał się panel dziennikarzy i ekspertów. Z pewnością głosili pochwały, bo Kreml niczego innego nie tolerował. „Razem, naprzód!”, jak mawiał prezydent. A krytykę zachowajcie dla siebie.

Po dwudziestu minutach zza rogu wyszło dwóch chudych funkcjonariuszy milicji w błyszczących płaszczach. Gabriel podkręcił radio i skłonił się uprzejmie. Obawiał się przez moment, że może rozważali przeszukanie go. Jednak spojrzeli tylko pochmurnie na jego wołgę, jak gdyby chcieli powiedzieć, że nie był wart ich czasu w deszczową noc. Następny pojawił się mężczyzna o prostych, ciemnych włosach z otwartą butelką piwa Baltika w dłoni. Podeszedł do samochodu Gabriela i rozpiął płaszcz, ujawniając schowaną pod nim sporą aptekę. Gabriel gestem nakazał mu się przesunąć. Włączył na moment wycieraczki i dalej obserwował budynek, a zwłaszcza światła mieszkania na dziewiątym piętrze, z widokiem na Kreml.

Zgasły o 19:48. Kobieta, która wyszła z budynku, nie miała torebki na lewym ramieniu. W ogóle nie miała torebki. Szła szybciej niż zwykle; Luka Osipow, ochroniarz, a teraz także porywacz, trzymał ją pod jedno ramię, a jego towarzysz pod drugie. Arkady Miedwiediew szedł parę kroków za nimi, ze spuszczoną w deszczu głową, rozglądając się dookoła.

Przy krawężniku czekał zaparkowany mercedes. Jasne było, że usadzenie zaplanowano wcześniej, bo wsiedli do samochodu wyjątkowo szybko i sprawnie: Elena do tyłu, wciśnięta między dwóch ochroniarzy; Arkady Miedwiediew na przednie siedzenie pasażera, z komórką przy uchu. Samochód podjechał powoli do ulicy Serafimowicza, po czym wystrzelił naprzód. Gabriel policzył do pięciu i wrzucił bieg. Razem, naprzód.

62

MOSKWA

Mknęli na pełnym gazie na południe, poza miasto, nazwaną od imienia Lenina ulicą, wzdłuż której stały pomniki popełnionego przez wodza szaleństwa. Bloki, niekończące się bloki. Największe bloki, jakie Gabriel w życiu widział. Wydawało się, że przywódcy partii w swej nieskończonej mądrości postanowili wysiedlić całą ludność największego państwa świata i osadzić ją w tym miejscu, wzdłuż kilku ponurych kilometrów Prospektu Lenina. I pomyśleć, że już pod koniec września wszystko pokryje lód i śnieg.

O tej porze Prospekt Lenina składał się z dwóch osobnych dróg: pasy w stronę Moskwy zapchane były przez wracających po weekendzie na daczach moskwian, podczas gdy po stronie prowadzącej od miasta mknęły potężne ciężarówki, jadące ze stolicy ku odległym zakątkom imperium. Były równocześnie jego sprzymierzeńcami i wrogami. Czasami dawały Gabrielowi schronienie. Innym razem zasłaniały mu widok. Szmuel Peled miał rację co do wołgi - jechała nieźle jak na dwudziestoletni radziecki złom, ale nie mogła się równać z najlepszym bawarskim produktem. Wołga wyciągała najwyżej sto czterdzieści, a i to wyjąc w proteście i ściągając na lewo. Małe wycieraczki były praktycznie bezużyteczne w obliczu ulewy i rozpylanej przez inne samochody wody, a dmuchawa dawała jedynie lekki powiew ciepłego powietrza na przednią szybę. By widzieć cokolwiek, Gabriel musiał otworzyć okna po obu stronach, żeby zrobić przeciąg. Każda przejeżdżająca ciężarówka ochlapywała wodą lewą stronę jego twarzy.

Deszcz z wolna ustawał i parę słabych promieni słonecznych przebiło się przez chmury nad horyzontem. Gabriel trzymał cały czas nogę na gazie, a wzrok miał utkwiony w tylnych światłach mercedesa. Myślał jednak tylko o scenie, której był świadkiem pod Domem na Nabrzeżu. Jak mu się to udało? Jak Arkady skłonił Elenę, by wsiadła do samochodu bez walki? Groźbą czy obietnicą? Prawdą, kłamstwem czy jednym i drugim? I czemu gnali teraz przez Prospekt Lenina prosto na rosyjską wieś?

Gabriel właśnie rozważał ostatnie pytanie, kiedy poczuł pierwsze uderzenie w tylny zderzak: samochód na zgaszonych światłach, o wiele szybszy i większy od wołgi. Odpowiedział, wciskając gaz do dechy, ale wołga nie mogła już zrobić nic więcej. Samochód z tyłu klepnął go jeszcze raz, po czym skoczył naprzód, by go dobić.

To, co nastąpiło potem, było klasycznym manewrem, znanym każdemu porządnemu policjantowi z drogówki. Napastnik najpierw dotyka prawym przednim zderzakiem do lewego tylnego zderzaka ofiary. Następnie ostro przyspiesza, a ofiara wpada w niekontrolowany poślizg. Skuteczność tej taktyki wzrasta, zwłaszcza gdy między samochodami występuje duża różnica wagi i mocy, na przykład gdy jednym z samochodów jest mercedes benz klasy S, a drugim stara, rozklekotana wołga, i tak ciągnąca już resztkami sił. Gabriel nigdy się nie dowiedział, ile razy obrócił się jego samochód. Wiedział tylko, że gdy wszystko ustało, jego samochód spoczywał na jednym boku na błotnistym polu obok sosnowego lasu, a jemu leciała z nosa krew.

Dwóch wspaniałych ze świty Arkadego Miedwiediewa ruszyło przez błoto, by go wyciągnąć z samochodu, chociaż ich motywy nie były altruistyczne. Jeden z nich miał ogoloną głowę i pięść niczym młot. Młot trzasnął Gabriela tylko raz. To wystarczyło. Przewrócił się do tyłu, w błoto, i przez moment widział odwrócone do góry nogami sosny. Nagle drzewa wystrzeliły w niebo niczym rakiety. Gabriel stracił przytomność.

W tej samej chwili samolot El Al, lot 1612, wznosił się szybko nad przedmieściami Moskwy i skręcał ostro w prawo. Uzi Nawot siedział w ostatnim rzędzie pierwszej klasy. W rękę trzymał szklanę whisky, przyglądał się wielkiej mozaice mrugających pod nimi żółtych świateł. Przez parę sekund widział wszystko jak na dłoni: obwodnice wokół Kremla, wijącą się jak wąż rzekę, szerokie prospekty wbijające się niczym kliny w głąb Rosji. Potem samolot wleciał w chmury i światła Moskwy zniknęły. Nawot zaciągnął pokrywę na okno i wypił łyk whisky. Powinienem był złamać mu ramię, pomyślał. Powinienem był złamać draniowi ramię.

Gabriel powoli otworzył oczy. Nie oczy, pomyślał. Oko. Tylko lewe. Prawe oko nie reagowało. Tego prawego dosięgnął cios łysego olbrzyma. Spuchło tak, że nie mógł go otworzyć. Pokrywała je zakrzepła krew.

Nim spróbował się poruszyć, ocenił swoje położenie. Leżał na betonowej posadzce wewnątrz budynku, który wyglądał na magazyn. Ręce miał skute na plecach kajdankami, a nogi ułożone tak, jakby biegł, prawą z przodu, a lewą z tyłu. Prawe ramię wciskało się boleśnie w podłogę, tak jak i prawa strona jego twarzy. Gdzieś paliło się światło, ale w kącie, gdzie leżał, panował półmrok. Kilka metrów od niego stała duża sterta skrzyń z jakimiś rosyjskimi napisami po bokach. Gabriel próbował przeczytać, co było tam napisane, ale ten alfabet wciąż był dla niego zbiorem hieroglifów; w skrzyniach równie

dobrze mogły być puszki kawioru albo zabójczy polon i nigdy nie zorientowałby się w różnicy.

Przewrócił się na plecy, uniósł kolana pod brodę, po czym usiadł. Wysilek, jaki włożył w ruch, oraz pionowa pozycja sprawiły, że prawe oko zaczęło mu pulsować potwornym bólem. Domyślał się, że cios złamał mu prawy oczodół. Z tego, co wiedział, mógł już nie mieć oka, tylko wielką dziurę w miejscu, gdzie kiedyś było.

Oparł się o skrzynie i rozejrzał dookoła. Stały tam całe sterty skrzyń, wysokie, niknące w oddali niczym bloki przy Prospekcie Lenina. Ze swojego punktu obserwacyjnego Gabriel widział tylko dwa rzędy, ale miał wrażenie, że było ich o wiele więcej. Wątpił, by był w nich kawior. Nawet rozpustnik pokroju Iwana Charkowa nie zdołałby zjeść tyle kawioru.

Usłyszał zbliżające się z oddali kroki. Dwie osoby. Obie ciężkie. Mężczyźni. Jeden o wiele większy od drugiego. Ten okazał się łysym olbrzymem, który go uderzył. Mniejszy byt o parę lat starszy, miał stalowosiwe włosy i czaszkę, która wyglądała, jak gdyby zaprojektowano ją specjalnie, by mogła wytrzymać wiele ciosów tępym narzędziem.

- Gdzie są dzieci? - zapytał Arkady Miedwiediew.

- Jakie dzieci? - odparł Gabriel.

Miedwiediew skinął na giganta, po czym odsunął się, jak gdyby nie chciał, żeby krew zabrudziła mu ubranie. Młot po raz drugi spadł na czaszkę Gabriela. W to samo oko, z tym samym skutkiem. Sosny i rakiety. A potem nic.

63

ŁUBIANKA, MOSKWA

Jak prawie wszyscy moskwianie pułkownik FSB Grigorij Bułganow I był rozwiedziony. Jego małżeństwo, tak jak Rosję, cechowało miotanie się między skrajnościami: jednego dnia głośność, drugiego wielki terror. Na szczęście związek trwał krótko i nie mieli potomka. Irina dostała mieszkanie i volkswagena, Grigorij Bułganow wolność. Niewiele udało mu się z tą wolnością zdziałać: ze dwa namiętne biurowe romanse oraz raz na jakiś czas popołudnie w łóżku sąsiadki, rozwiedzionej matki trojga dzieci.

Grigorij Bułganow większość czasu spędzał, pracując. Pracował wczesnym rankiem. Pracował późnym wieczorem. Pracował w soboty. Pracował w niedziele. Czasem nawet, tak jak teraz, można było zastać go za biurkiem w niedzielną noc. Zajmował się kontrwywiadem, zadaniem Bułganowa było zneutralizowanie wszelkich prób śledzenia rosyjskiego rządu i państwowych przedsiębiorstw przez obce wywiady. Jego zadanie utrudniały działania siostrzanej organizacji FSB - SWR. Natężenie działań szpiegowskich SWR osiągnęło poziom, jakiego nie widziano od czasów zimnej wojny, przez co wrogowie Rosji odpłacali się tą samą monetą. Grigorij Bułganow ich nie winił. Prezydent Rosji lubił potrząsać szabelką, a zagraniczni przywódcy lubili wiedzieć, czy szabla jest ostra, czy zardzewiała w pochwie.

Jak wielu oficerów FSB, Bułganow dorabiał do rządowej pensji, sprzedając swoją wiedzę oraz zdobyte w pracy informacje prywatnym firmom. Bułganow był płatnym informatorem Arkadego Miedwiediewa, szefa służb bezpieczeństwa rosyjskiego oligarchy Iwana Charkowa. Bułganow stale zaopatrywał Miedwiediewa w informacje na temat potencjalnych zagrożeń dla jego interesów, legalnych i tych mniej. Miedwiediew odwdzięczał się, przelewając pieniądze na tajne konto Bułganowa. Na skutek tego układu Grigorij Bułganow przeniknął w głąb siatki Iwana Charkowa bardziej, niż kiedykolwiek udało się to komukolwiek innemu. Mało tego, Bułganow był przekonany, że wiedział o handlu bronią prowadzonym przez Charkowa więcej niż jakikolwiek agent któregośkolwiek wywiadu. W Rosji podobna wiedza mogła być niebezpieczna. Czasami nawet śmiertelnie, co wyjaśniało, dlaczego Bułganow starał się pozostawać w dobrych stosunkach z Arkadym Miedwiediewem. Oraz dlaczego, gdy Miedwiediew zadzwonił na jego komórkę o 23:15 w niedzielny wieczór, nie odważył się nawet pomyśleć, by nie odebrać.

Przez następne trzy minuty Grigorij Bułganow słuchał w milczeniu. Porwał na setki kawałków kartkę, słuchając sprawozdania z wydarzeń, które miały miejsce w Moskwie tego popołudnia. Cieszył się, że Miedwiediew do niego zadzwonił. Szkoda tylko, że na niezabezpieczonej linii.

- To na pewno on? - zapytał Bułganow.

- Bez wątpienia.

- Jak się dostał z powrotem do kraju?
- Na amerykańskim paszporcie, w kiepskim przebraniu.
- Gdzie jest teraz? Miedwiediew powiedział mu.
- A żona Iwana?
- Też tu jest.
- Co chcesz zrobić, Arkady?
- Dam mu jeszcze jedną okazję odpowiedzenia na parę pytań.

Potem wrzucę go do jakiegoś dołu. - Przerwał na moment. - Chyba że wolałbyś to zrobić za mnie, Grigorij.

- Wiesz, chyba nawet mam ochotę. W końcu nie posłuchał bezpośredniego rozkazu.

- Jak szybko możesz tu przyjechać?

- Daj mi godzinę. Chciałbym zamienić też parę słów z tą kobietą.

- Tylko parę słów, Grigorij. Ta sprawa cię nie dotyczy.

- Nie chcę z nią długo rozmawiać. Niech po prostu wciąż tam będzie, kiedy przyjadę.

- Będzie.

- Ilu masz ludzi?

- Pięciu.

- Trochę zbyt wielu świadków.

- Nie martw się, Grigorij. Nie są gadatliwi.

OKRĘG KALUŻSKI, ROSJA

Gdy Gabriel znowu się ocknął, miał wrażenie, że na ranę nakładają mu opatrunek. Otworzył drugie oko i zobaczył, że robi to nie kto inny, a sam Arkady Miedwiediew. Rosjanin pracował jedną ręką. W drugiej trzymał broń. Steczkin, pomyślał Gabriel, ale nie był pewny. Nigdy nie lubił rosyjskiej broni.

- Masz wyrzuty sumienia, Arkady?

- Rana nie przestawała krwawić. Baliśmy się, że nam umrzesz.

- Nie macie czasem zamiaru mnie zabić?

- Oczywiście, że tak, Allon. Ale najpierw chcemy wyciągnąć od ciebie parę informacji.

- I kto powiedział, że zbiry z KGB nie potrafią się zachować. Miedwiediew skończył zakładać opatrunek i przyjrzał się Gabrielowi w milczeniu.

- Zapytasz mnie, skąd znam twoje prawdziwe nazwisko?

- Zakładam, że od swoich kumpli z FSB. Albo może zaoszczędziłeś na rozmowie, bijąc Elenę Charków. Wyglądasz mi na gościa, który lubi bić kobiety.

- Trzymaj tak dalej, a zawołam Dmitrija, żeby ci jeszcze raz przywalił. Już nie jesteś młody, Allon. Parę ciosów Dmitrija i możesz się więcej nie obudzić.

- Przy uderzeniu marnuje mnóstwo energii. Może dam mu kilka wskazówek?

- Mówisz poważnie czy to twoje żydowskie poczucie humoru?

- Nasze poczucie humoru wzięło się od mieszkania w sąsiedztwie Rosjan. Humor pomaga podczas pogromu. Mniej się rozpacza, gdy palą twoją wioskę.

- Allon, masz wybór. Możesz leżeć tu i całą noc opowiadać dowcipy albo zaczniesz gadać. - Rosjanin wyjął ze srebrnej papierošnicy papierosa i zapalił go srebrną zapalniczką. - Nie musisz pleść tych bzdur, a ja nie muszę ich słuchać. Załatwmy to jak zawodowcy.

- Rozumiesz przez to, że ja ci powiem wszystko, co chcesz wiedzieć, a potem mnie zabijesz?

- Mniej więcej. - Rosjanin podał Gabrielowi papierošnicę. - Chcesz zapalić?

- Palenie szkodzi zdrowiu. Miedwiediew zamknął pudełko.

- Masz siłę się przejść, Allon? Myślę, że spodoba ci się to miejsce.

- Jest szansa, że zdejmiesz mi kajdanki?

- Zapomnij.

- Bałem się, że to powiesz. Pomożesz mi wstać? Postaraj się tylko nie wyrwać mi ramion ze stawów.

Miedwiediew bez wysiłku postawił go na nogi. Hala zawirowała i przez sekundę Gabriel myślał, że upadnie. Miedwiediew musiał dojść do podobnego wniosku, bo złapał go za ramię.

- Na pewno dasz radę, Allon?

- Na pewno.

Miedwiediew upuścił na ziemię papierosa i zgniótł go uważnie wyglądającym na bardzo drogi włoskim butem. Wszystko, co nosił Miedwiediew, zdawało się kosztowne: francuski garnitur, angielski płaszcz, szwajcarski zegarek. Ale nic nie zdołało ukryć faktu, że pod spodem wciąż był tanim zbirem KGB. Tak jak reżim, pomyślał Gabriel. KGB w eleganckim przebraniu.

Ruszyli razem między skrzyniami. Było ich więcej, niż Gabriel mógł sobie wyobrazić. Zdawały się ciągnąć w nieskończoność, jak sam magazyn. Właściwie nie powinien się dziwić. To była w końcu Rosja. Największy hotel świata. Największy basen. Największy magazyn.

- Co jest w skrzyniach?

- Jedzenie.

- Naprawdę?

- Naprawdę. - Miedwiediew skinął w stronę wieży drewnianych skrzyń. - To tuńczyk w puszcze. Tam stoją konserwowe marchewki. Trochę dalej wołowina. Mamy nawet rosół z kurczaka.

- To imponujące. Piętnaście lat temu Rosja żyła z amerykańskich datków. Teraz jesteście żywicielami świata.

- Od upadku komunizmu posunęliśmy się naprzód.

- Arkady, co naprawdę jest w tych skrzyniach? Miedwiediew wskazał w stronę tej samej sterty.

- To są naboje. Pięćdziesiąt milionów naboji, jeśli chodzi o ścisłość. Dość, by wybić sporą część Trzeciego Świata. Ale raczej nie

ma na to szans. Przeciętny bojownik o wolność nie jest dość zdyscyplinowany. Nie skarżymy się. Interesy dzięki temu idą lepiej.

Miedwiediew wskazał na inną stertę.

- To są RPG-7. Cios za cios, jedna z najlepszych broni na rynku. Cudownie wyrównuje szanse. Po przeszkoleniu nawet dwunastoletni dzieciak może rozwalić czołg albo transporter opancerzony.

- A reszta?

- Tam są moździerze. A obok nich nasze główne źródło utrzymania: AK-47. Dzięki niemu pokonaliśmy Niemców, a potem zmieniliśmy świat. Kałasznikow dał siłę bezsilnym. Dał głos uciszszanym.

- Słyszałem, że to także popularna broń w co mroczniejszych dzielnicach Los Angeles.

Miedwiediew skrzywił się, udając przerażenie.

- Przestępcy? Allon, my nie handlujemy z przestępcami. Naszymi klientami są rządy. Rebelianci. Rewolucjoniści.

- Jakoś nigdy nie sądziłem, że kierujesz się jakąś ideą, Arkady.

- Tak naprawdę to nie. Robię to tylko dla pieniędzy. Jak Iwan. Szli dalej w milczeniu. Gabriel wiedział, że to nie była wycieczka, ale marsz ku śmierci. Arkady Miedwiediew chciał czegoś od Gabriela, nim doszli do celu. Chciał dzieci Iwana.

- Allon, powinieneś wiedzieć, że wszystko, co ci pokazuję, jest najzupełniej legalne. Mamy też mniejsze magazyny w innych częściach kraju, bliżej starych fabryk broni, ale to jest nasza główna rozdzielnia. Postaraliśmy się. Jesteśmy więksi od konkurencji.

- Gratuluję, Arkady. Dochody wciąż są na poziomie czy może za szybko inwestowaliście?

- Dochodom niczego nie brakuje. Mimo że Zachód twierdzi inaczej, handel bronią wciąż się rozwija.

- Jak wam poszedł kontrakt z raketami? Miedwiediew na moment zamilkł.

- O jakie rakiety ci chodzi, Allon?

- O SA-18, Arkady. O *igły*.

- *Igła* to jedna z najdokładniejszych i zabójczych rakiet przeciwlotniczych, jakie kiedykolwiek wyprodukowano. - Ton Miedwiediewa brzmiał, jakby przemawiał do sali konferencyjnej. - To broń zbyt niebezpieczna, by można ją było kiedykolwiek wypuścić na wolny rynek. Nie handlujemy *igłami*. Tylko szaleniec mógłby coś takiego zrobić.

- Słyszałem co innego, Arkady. Podobno sprzedaliście kilkaset afrykańskiemu państwu. Państwu, które miało zamiar odsprzedać je po znacznie wyższej cenie znajomym z Al-Kaidy.

Gabriel zamilkł. Kiedy znowu się odezwał, jego ton był pojednawczy, a nie zadziorny.

- Wiemy wszystko o *igłach*, Arkady. Wiemy także, że od początku byłeś przeciwny ich sprzedaży. Nie jest za późno, by nam pomóc. Powiedz mi, gdzie są te rakiety.

Miedwiediew nie odpowiedział. Zaprowadził Gabriela na pustą przestrzeń pośrodku magazynu. Oświetlały ją lampy, palące się

wysoko pod krokwiemi. Miedwiediew zatrzymał się niczym aktor na scenie i rozłożył dłonie.

- Obawiam się, że jest już za późno.
- Gdzie one są, Arkady?
- W rękach bardzo zadowolonego klienta.

Miedwiediew wyszedł z kręgu światła i popchnął Gabriela zdecydowanie naprzód. Najwyraźniej musieli zobaczyć jeszcze jedną rzecz.

65

OKRĘG KALUŻSKI, ROSJA

Była przywiązana do metalowego krzesła z prostym oparciem, na drugim końcu wielkiego magazynu. Luka Osipow, jej były ochroniarz, stał po jej jednej stronie, a łysy olbrzym po drugiej. Bluzkę miała porwaną, twarz zaczerwienioną od uderzeń. Spojrzała w przerażeniu na ranne oko Gabriela, po czym spuściła wzrok. Miedwiediew złapał jej ciemne włosy w garść. Z gestu raczej nie wynikało, żeby miał zamiar pozwolić jej żyć.

- Zanim zaczniemy, powinieneś wiedzieć, że pani Charków bardzo uprzejmie z nami współpracowała tego wieczora. Dała nam pełny i klarowny opis jej zaangażowania w tę przykrą sprawę, zaczynając od nocy, kiedy podsłuchiwała moją rozmowę z jej mężem. Przyznała się, że cała operacja wykradzenia tajnych papierów Iwana

była jej pomysłem. Powiedziała, że próbowałaś jej to wyperswadować.

- Kłamię, Arkady. Zmusiliśmy ją. Przekonaliśmy, że imperium jej męża niedługo upadnie, a ona podzieli ten sam los, jeśli nam nie pomoże.

- Allon, to bardzo ładnie z twojej strony, ale marnujesz siły. Miedwiediew pociągnął Elenę za włosy. Jej twarz pozostała niewzruszoną maską.

- Niestety - kontynuował Miedwiediew - pani Charków nie podała nam jednej bardzo ważnej informacji: miejsca pobytu dzieci. Mamy nadzieję, że powie nam pan to teraz, co oszczędzi pani Charków dalszych nieprzyjemności. Jej mąż jest wyjątkowo rozzłoszczony, jak łatwo się domyślić. Powiedział, że mamy zrobić wszystko, żeby zdobyć potrzebne informacje.

- Arkady, już ci mówiłem, nie wiem, gdzie są dzieci. Nie powiedziano mi.

- Na wypadek, gdybyś znalazł się w podobnej sytuacji? Miedwiediew rzucił Gabrielowi komórkę. Uderzyła go w klatkę piersiową i spadła na podłogę.

- Zadzwoń do Francuzów. Powiedz im, że mają przywieźć je do willi Iwana jeszcze dziś w nocy, razem z jego paszportem. Następnie mają pozwolić jego samolotowi wystartować. Iwan chce natychmiast wrócić do Rosji.

- Puść ją - powiedział Gabriel. - Ze mną rób, co chcesz. Ale Elenę wypuść.

- Żeby mogła zeznawać przeciwko swojemu mężowi w zachodnim sądzie? Żeby mogła publicznie jęczeć, że Rosja staje się znowu państwem autorytarnym i stanowi zagrożenie dla światowego pokoju? To nie tylko zaszkodzi krajowi, ale też naszym interesom. Widzisz, znajomi pana Charkowa z Kremla mogą być niezadowoleni, jeśli dopuściliśmy do podobnej sytuacji. A pan Charków zawsze się bardzo stara, żeby jego przyjaciele na Kremlu byli zadowoleni.

- Obiecuję, że nie damy jej mówić. Będzie wychowywać dzieci i milczeć. Ona jest niewinna.

- Iwan uważa inaczej. Twierdzi, że jest zdrajczynią. Wiesz, co robimy ze zdrajcami. - Miedwiediew podniósł steczkiną, żeby Gabriel mógł mu się przyjrzeć, po czym oparł lufę o kark Eleny. - Siedem gramów ołowiu, jak mawiał Stalin. To dostanie Elena, jeśli nie rozkażesz Francuzom dostarczyć Iwanowi jeszcze dziś w nocy jego samolotu. Oraz dzieci.

- Wykonam ten telefon, kiedy Elena będzie bezpieczna na Zachodzie.

- Ona nigdzie nie jedzie.

Elena podniosła wzrok i spojrzała prosto na Gabriela.

- Gabrielu, nic mu nie mów. Zabiją mnie niezależnie od tego, co zrobisz. Wolę, żeby moje dzieci wychował ktokolwiek niż ten potwór, mój mąż. - Uniosła wzrok ku Miedwiediewowi. - Arkady, pociągnij za spust, bo Iwan i tak nigdy nie odzyska dzieci.

Miedwiediew podszedł do Gabriela i uderzył go kolbą steczkiną w prawe oko. Gabriel przewrócił się na bok na ziemię, oślepiiony

potwornym bólem, który zwiększył się jeszcze bardziej, gdy Arkady kopnął go włoskim butem w splot słoneczny. Przygotowywał się na drugiego kopniaka, kiedy przerwał mu głos, mówiący po rosyjsku. Gabriel znał ten głos, był tego pewien, ale tracąc przytomność, nie mógł sobie przypomnieć, gdzie go słyszał. Zorientował się chwilę później, kiedy wreszcie złapał oddech. Usłyszał go dwa miesiące wcześniej, podczas swojej pierwszej podróży do Moskwy. Na Łubiance.

66

OKRĘG KALUŻSKI, ROSJA

Dwaj mężczyźni naradzali się chwilę przyjaznym tonem, jak gdyby kłócili się, czyja teraz kolej, by zapłacić za lunch. Mówili po rosyjsku, więc Gabriel nie zrozumiał treści rozmowy. Nie widział też ich twarzy. Wciąż leżał na boku, z brzuchem odsłoniętym na kopniaki wymierzone butem rozmiaru 47 należącym do Arkadego Miedwiediewa.

Kiedy rozmowa dobiegła końca, dwie pary dłoni postawiły go na nogi. Dopiero wtedy zobaczył twarz człowieka, którego znał jako Siergieja. Wyglądał bardzo podobnie jak tamtej nocy na Łubiance. Ten sam szary garnitur. Ta sama cera. Te same oczy prawnika za okrągłymi okularami. Miał na sobie całkiem stylowy płaszcz. Bródkę a la Lenin musiał niedawno przystrzyc.

- Allon, zdawało mi się, że kazałem ci nie wracać do Rosji.

- Gdybyś wykonywał swój zawód, wcale bym nie musiał.
- Co to za zawód?
- Pilnowanie, by ścierwa pokroju Iwana nie zalewały świata bronią i raketami.

Siergiej westchnął ciężko, jak gdyby to był najgorszy sposób na spędzenie wieczoru. Złapał kajdanki Gabriela i pociągnął je mocno. Gabriel był przekonany, że gdyby miał jeszcze czucie w nadgarstkach, zabolaloby jak cholera.

Przeszli razem przez magazyn, Siergiej podążał o krok za nim. Wyszli przez duże wrota, przez które wjeżdżały i wyjeżdżały ciężarówki dostawcze Iwana. Znowu zaczęło padać; pod okapem schowało się trzech ochroniarzy Miedwiediewa, rozmawiając cicho po rosyjsku. Parę metrów dalej stał zaparkowany służbowy samochód FSB. Siergiej posadził Gabriela na tylnym siedzeniu i zatrzasnął drzwi.

Prowadził, trzymając w jednym ręku makarowa. Włączył radio; oczywiście leciało kolejne przemówienie prezydenta. Cóż innego? Droga była wąska, wiodła przez gęsty brzozowy las. Między drzewami widniały dacje - nie jak pałac Iwana, ale prawdziwe rosyjskiej dacje. Niektóre były rozmiarów wiejskich chat, inne niewiele większe od szopy. Wszystkie otaczały uprawne działki. Gabriel pomyślał o Oldze Suchowej, uprawiającej rzodkiewki.

„Wierzę we własną Rosję i nie chcę, by w moim imieniu popełniono więcej zbrodni”.

Spojrzał we wsteczne lusterko i zobaczył oczy Lenina.

Przyglądały się drodze za nimi.

- Ktoś nas śledzi, Siergiej?

- Nie nazywam się Siergiej. Jestem pułkownik Grigorij Bułganow.

- Jak się pan ma, pułkowniku Bułganow?

- Mam się wyśmienicie. A teraz stul pysk, Allon.

Bułganow zjechał w boczną drogę i zgasił silnik. Ostrzegł Gabriela, by się nie ruszał, następnie wysiadł i otworzył bagażnik. Przez chwilę w nim grzebał, po czym podszedł do samochodu od strony Gabriela. Kiedy otworzył drzwi, w jednej dłoni trzymał makarowa, a w drugiej obcęgi.

- Co masz zamiar zrobić? Pociąć mnie na kawałki? Bułganow położył makarowa na dachu.

- Zamknij się i wysiadaj.

Gabriel zrobił, co mu kazano. Bułganow obrócił go tak, że stał twarzą do samochodu, i złapał za kajdanki. Gabriel usłyszał pojedynczy trzask i miał wolne ręce.

- Siergiej, może powiesz mi, co się dzieje?

- Allon, już ci mówiłem, że nazywam się Grigorij. Pułkownik Grigorij Bułganow. - Podał makarowa Gabrielowi. - Umiesz się tym posługiwać, jak sądzę?

Gabriel wziął pistolet.

- Nie dałoby się zdjąć tych kajdanek z moich rąk?

- Bez klucza nie da rady. Poza tym musisz je mieć na rękach, gdy wejdziemy z powrotem do magazynu. To jedyny sposób, by

wydostać Elenę żywą. - Bułganow posłał Gabrielowi jeden ze swoich inteligentnych uśmiechów. - Nie myślałeś, Allon, że pozwolę tym potworom ją zabić, co?

- Jasne, że nie, S i e r g i e j. Jak mogłoby mi to przyjść do głowy?

- Na pewno masz parę pytań.

- Nawet kilka tysięcy.

- Będziemy mieli na nie czas potem. Wsiadaj do samochodu i udawaj, że masz wciąż skute ręce.

67

OKRĘG KALUŻSKI, ROSJA

Gabriel patrzył przez okno samochodu na daczę pośród drzew. Ale nie widział ich. Przed oczami widział człowieka, który wyglądał jak Lenin, siedzącego za stołem w sali przesłuchań na Łubiance. Możliwe, że Bułganow prowadził jakąś grę. Możliwe, ale mało prawdopodobne, pomyślał Gabriel. Pułkownik właśnie uwolnił mu dłonie i dał nabitą broń - broń, której mógł użyć, gdyby zechciał, i rozbryzgać mózg pułkownika na przedniej szybie.

- O czym rozmawiałeś po rosyjsku z Arkadym?

- Powiedział, że chce wyciągnąć od ciebie pewne informacje.

- Wiesz może jakie?

- Nie. Chciał, żebym zabrał cię do lasu i przystawił ci pistolet do głowy. Miałem dać ci ostatnią szansę, nim cię zabiję.

- I zgodziłeś się?

- To długa historia. Ważne, że możemy wykorzystać to jako przewagę. Wchodzimy tymi samymi drzwiami, którymi wyszliśmy. Powiem Arkademu, że zmieniłeś zdanie. Zgodziłeś się powiedzieć wszystko, co chce wiedzieć. Kiedy dość się zbliżymy, zastrzelę go.

- Arkadego?

- Tak. Ja się zajmę Arkadym. Zostaje dwóch goryli. Obaj służyli w oddziałach specjalnych. Wiedzą, jak posługiwać się bronią. Ja jestem tylko funkcjonariuszem FSB od kontrwywiadu. Obserwuję szpiegów.

Bułganow spojrzał we wsteczne lusterko.

- Nie możesz wejść do budynku z gnatem w rękę, Allon. Musisz RO ukryć w taki sposób, żeby móc szybko wyciągnąć. Słyszałem, że nieźle posługujesz się bronią. Myślisz, że zdążysz, nim tamci dwaj nas zabiją?

Gabriel wsunął pistolet za pas spodni i schował go pod płaszczem.

- Celuj we mnie, aż będziesz gotowy. Kiedy zobaczę, że przesuwasz broń w stronę Arkadego, to będzie dla mnie znak.

- Zostaje jeszcze trzech chłopaków na zewnątrz.

- Nie będą tam stali, jeśli usłyszą strzały ze środka. Niezależnie od wszystkiego, nie próbuj dawać im szansy, by mogli złożyć broń i się poddać. W prawdziwym świecie to nie działa. Po prostu odwróć się i zacznij strzelać. I nie spudłuj. Nie mamy czasu przeładować broni.

- W magazynku masz tylko osiem kul.
- Jeśli będę musiał użyć więcej niż pięciu, będą kłopoty.
- Widzisz wystarczająco dobrze?
- Całkiem nieźle.
- Muszę ci się do czegoś przyznać.
- Do czego?
- Nigdy do nikogo nie strzeliłem.
- Grigorij, pamiętaj po prostu, żeby pociągnąć za spust. Broń działa wtedy o wiele lepiej.

Trzej ochroniarze wciąż kręcili się przed wejściem, gdy Bułganow wrócił z Gabrielem. Któryś musiał znaleźć skład piwa Iwana, bo wszyscy trzej pili baltikę z wielkich butelek. Idąc w stronę ochroniarzy, Gabriel trzymał prawy nadgarstek w lewej dłoni, udając, że wciąż ma skute ręce. Bułganow szedł pół kroku za nim, mierząc z makarowa w sam środek pleców Gabriela. Ochroniarze nie wydawali się nadmiernie zainteresowani ich powrotem. Najwyraźniej byli przyzwyczajeni do prowadzanych pod bronią skazańców.

Od otwartych wrót załadowczych do miejsca, gdzie siedziała przykuta do metalowego krzesła Elena Charków, były dokładnie czterdzieści dwa kroki. Gabriel policzył je w głowie, przemierzając magazyn z pułkownikiem Grigorijem Bułganowem za plecami. Pułkownikiem Bułganowem, który dwa miesiące wcześniej nakazał zrzucić Gabriela ze schodów na Łubiance. Pułkownikiem Bułganowem, który obiecał tamtej nocy Gabrielowi, że jeśli wróci do

Rosji, to go zabije. Pułkownikiem Bułganowem, który nigdy wcześniej nie wystrzelił do nikogo z pistoletu i w którego rękach spoczywało teraz życie Gabriela.

Arkady Miedwiediew stał bez marynarki przed Eleną i klął jej głośno prosto w twarz. Gdy Bułganow i Gabriel podeszli bliżej, odwrócił się do nich z rękami na biodrach. Steczkina wsunął od przodu za pasek spodni. Luka Osipow i łysy olbrzym stali za Eleną po jej obu stronach. Gabriel pomyślał, że układowi wiele brakowało do ideału, ale ponieważ Elena wciąż była przykuta do krzesła, nie było możliwości, że znajdzie się na linii jego strzału. Bułganow powiedział coś do Miedwiediewa po rosyjsku, gdy stanęli przed nimi. Miedwiediew uśmiechnął się i spojrzał na Gabriela.

- Więc poszedłeś po rozum do głowy?
- Tak.
- Powiedz mi więc, gdzie są dzieci Iwana?
- Jakie dzieci?

Miedwiediew zmarszczył brwi i spojrzał na Bułganowa. Bułganow też zmarszczył brwi i wycelował pistolet w serce Miedwiediewa. Gabriel zrobił krok w prawo, równocześnie wyciągając spod płaszcza makarowa. Pierwszy strzał oddali w tej samej sekundzie, Bułganow w klatkę piersiową Miedwiediewa, Gabriel w płaskie czoło olbrzyma. Luka Osipow bezskutecznie spróbował dobyć broni. Kula Gabriela trafiła go w podbródek i wyszła tyłem u nasady czaszki.

W tej samej chwili Gabriel usłyszał brzęk tłuczonego szkła: trzech mężczyźni upuścili równocześnie butelki piwa Baltika. Wbiegli przez wrota w równych odstępach, jak kaczki na strzelnicy w lunaparku. Gabriel zdjął ich po kolei: strzał w głowę, strzał w głowę, strzał w korpus.

Odwrócił się gwałtownie i popatrzył na Elenę. Próbowwała gwałtownie wyrwać ręce z kajdanek, usta miała szeroko otwarte w bezgłośnym krzyku. Gabriel starał się ją pocieszyć, ale nie mógł; Arkady Miedwiediew wciąż żył i usiłował resztkami sił wyciągnąć zza pasa steczkiną. Gabriel kopniakiem wytrącił mu z ręki broń i stanął nad nim. Rosjanin zaczął dyszeć, w kącie ust pojawiła mu się różowa piana.

- Chcę, żebyś przekazał Iwanowi wiadomość ode mnie - powiedział Gabriel. - Zrobisz to, Arkady?

Miedwiediew pokiwał głową. Jego oddech stał się płytki i urywany. Gabriel uniósł makarowa i strzelił trzykrotnie w twarz Rosjanina. Wiadomość dostarczona.

Gabriel przytulił mocno Elenę, gdy Bułganow przetrząsał ciała w poszukiwaniu kluczyków do kajdanek. Znalazł uniwersalny klucz przy Luce Osipowie. Najpierw uwolnił Elenę, po czym zdjął obręcze z nadgarstków Gabriela.

- Zabierz ją do samochodu - powiedział Gabriel. - Będę tam za sekundę.

- Pospiesz się.

- Idźcie.

Gdy Bułganow prowadził Elenę ku drzwiom, Gabriel przeszukał zwłoki Arkadego Miedwiediewa. Znalazł klucze, paszporty oraz portfel pełen pieniędzy. Zignorował je, zabrał tylko jeden przedmiot: plastikową kartę z rysunkiem dużego apartamentowca na brzegu rzeki Moskwy.

Gdy Gabriel wyszedł na zewnątrz, Bułganow uruchomił już silnik wołgi. Wsiadł z tyłu obok Eleny, która nie tłumiała już krzyku. Gabriel przytulił ją mocno do piersi, gdy Bułganow ruszał naprzód.

Kiedy dojechali do drogowskazów, jej szloch umilkł. Krzywa, zardzewiała, podziurawiona kulami tablica stała na skrzyżowaniu dwóch wiejskich dróg. Dwie strzałki wskazywały w przeciwnych kierunkach. Na lewej był napis МокБа. Bułganow przeczytał, prowadziła prawa.

- Ukraina.

- Jak daleko?

- Możemy być po drugiej stronie granicy o świcie.

- My?

- Właśnie pomogłem izraelskiemu agentowi zabić Arkadego Miedwiediewa i pięciu jego ochroniarzy. Jak myślisz, ile jeszcze pożyję, jeśli zostanę w Moskwie? Tydzień, jeśli dopisze mi szczęście. Jadę z wami.

- Kolejny uciekinier? Świetnie, tego właśnie nam trzeba.

- Coś mi się wydaje, że mogę być dla was kimś na wagę złota. Widzisz, od lat badałem na własną rękę powiązania FSB ludźmi

takimi jak Charków. Wiem też bardzo wiele o siatce handlu bronią Charkowa. Podejrzewam, że o wiele więcej od was. Czy chcesz, żebym wam towarzyszył?

- Z przyjemnością, pułkowniku. Poza tym to kawał drogi, a ja nie mam pojęcia, jak się stąd wydostać.

Bułganow zdjął nogę z hamulca i zaczął skręcać w prawo. Gabriel kazał mu się zatrzymać.

- W czym kłopot? - zapytał Bułganow.

- Źle skręciłeś.

- Jedziemy na Ukrainę. Ukraina jest w prawo. Popatrz na znak.

- Przed odjazdem mamy do załatwienia parę spraw.

- Gdzie?

Gabriel wskazał w lewo.

MOCKBA...

68

MOSKWA

Na przedmieściach Moskwy jest supermarket, którego nigdy nie zamykają. Jeśli nawet nie był to największy supermarket świata, pomyślał Gabriel, to niewiele mu brakowało: pół hektara zamrożonej żywności, półtora kilometra ciastek i krakersów, drugie tyle amerykańskich napojów gazowanych oraz ściana niczym z koszmaru, obwieszona parówkami. A to było tylko jedzenie. Po drugiej stronie sklepu znajdował się dział o nazwie Dom i Ogród, gdzie można było

kupić wszystko od ubrań przez motocykle po traktorki do koszenia trawy.

Kto w Moskwie potrzebuje traktora, żeby kosić trawę? - pomyślał Gabriel. Kto w Moskwie w ogóle ma trawnik?

- To na dacie - wyjaśniła Elena. - Teraz, kiedy Rosjanie mają pieniądze, nie lubią pracować własnymi rękami. - Wzruszyła ramionami. - Ale po co mieć dacie, jeśli nie chcesz się ubrudzić?

Tajemnicą było, czemu supermarket był otwarty w nocy, bo o drugiej nad ranem nie było w nim nikogo. Przechadzali się wzdłuż niekończących się, pełnych towarów alejek, pospiesznie ściągając z półek potrzebne im rzeczy: czyste ubranie, bandaże, antyseptyki, duże okulary przeciwsłoneczne oraz dość coca-coli i przekąsek, by przetrwać długą poranną podróż. Kiedy podjechali wózkiem do kasy, zaspana sprzedawczyni na widok oka Gabriela skrzywiła się. Elena z pogardą wyjaśniła, że jej „mąż” rozbił samochód w rowie - rzecz jasna prowadząc po pijaku. Kobieta przy kasie pokręciła smutno głową, wbijając ich zakupy do kasy.

- Rosyjscy mężczyźni - wymamrotała. - Nigdy się nie zmieniają. Gabriel zaniósł torby do samochodu i znowu wsiadł do tyłu z Eleną.

Bułganow, jadąc w stronę centrum Moskwy, opowiedział im historię. Historię o młodym oficerze KGB, który nigdy naprawdę nie uwierzył w kłamstwa Lenina i Stalina i potajemnie wypił toast kieliszkiem wódki, gdy imperium kłamstwa wreszcie upadło. Po upadku komunizmu ten młody oficer próbował zrezygnować, ale jego mentor przekonał go, by został i pomógł przekształcić KGB w

naprawdę profesjonalne służby. Niechętnie się zgodził i szybko awansował w organizacji, która zastąpiła KGB w sprawach wewnętrznych, w FSB, tylko po to, by zobaczyć, jak obraca się ona w coś jeszcze gorszego od KGB. Ten młody mężczyzna podjął wielkie ryzyko i połączył siły z grupką innych funkcjonariuszy, którzy mieli nadzieję zreformować FSB.

- Po cichu - powiedział Bułganow. - Od środka.

Szybko jednak zorientowali się, że tym na górze nie zależało na reformach. Tak więc grupa zeszła do podziemia. I zaczęła składać dossier.

- Nasze dossier pokazuje wyjątkowo nieprzyjemną rzeczywistość. FSB jest zaangażowane w płatne morderstwa, prostytutkę i narkotyki. Oraz w brudne interesy naszych szemranych oligarchów. Nawet gorzej. Jak myślicie, kto zaplanował i wykonał zamachy bombowe na bloki mieszkalne, które posłużyły naszemu prezydentowi za pretekst, by wrócić do Czeczenii? Moje służby to od góry do dołu organizacja przestępcza. I do tego praktycznie rządzą tym krajem.

- Jak to się stało, że tamtej nocy na Łubiance trafiłem do ciebie?

- Ironia losu zrzędziła, że wszystko odbyło się zgodnie z regułami. Obserwowaliśmy cię od chwili, gdy wylądowałeś w Sankt Petersburgu. Muszę przyznać, że byłeś dobry. Nie mieliśmy żadnych podejrzeń, nawet po tym, jak nawiązałeś kontakt z Olgą Suchową. Myśleliśmy, że jesteś Natanem Golanem z izraelskiego ministerstwa kultury.

- Więc nie wiedziałeś, że Arkady i Iwan chcieli nas zabić tamtej nocy?

- Nie, nie miałem o tym pojęcia. Najpierw myślałem, że po prostu znaleźliście się w nieodpowiednim miejscu o nieodpowiedniej porze. Ale ponieważ przetrwałeś atak i uratowałeś Olgę, Iwan miał poważny kłopot. Prawie cię straciłem, kiedy siedziałeś na Łubiance. Iwan Charków sam zadzwonił do szefa. Chciał wiedzieć, jak się naprawdę nazywasz i czym się zajmujesz. Chciał, żebyśmy wywieźli cię na jakieś pole i zastrzelili. Góra nakazała mi to zrobić. Udałem, że się zgadzam i zacząłem grać na czas. Na szczęście twoje służby tak im narobiły koło pióra, że zamieniłeś się w trefny towar, zbyt niewygodny nawet dla Iwana Charkowa.

- Jak udało ci się ich przekonać, żeby mnie nie zabijali?

- Powiedziałem, że jeśli umrzesz w rękach FSB, to będzie katastrofa dla naszych public relations. Oświadczyłem, że nie obchodzi mnie, co Iwan ci zrobi, kiedy opuścisz kraj, ale nie mogą cię nawet tknąć na rosyjskim gruncie. Iwan nie był zadowolony, ale udało mi się przekonać górę do mojego toku rozumowania. Wsadziłem cię do furgonetki i zawiozłem na granicę, nim zdążyli się rozmyślić. Tamtej nocy byłeś bliski śmierci, Allon. Bliższy, niż ci się może wydawać.

- Gdzie jest dossier?

- W większości tutaj. - Postukał się w głowę. - Dokumenty, które dało się skopiować, zeskanowaliśmy i umieściliśmy na kontach internetowych poza krajem.

- Skąd się wziąłeś w tamtym magazynie?
- Walczyłem po obu stronach barykady.
- Jesteś na liście płac Iwana? Bułganow skinął twierdząco.
- O wiele łatwiej było mi zbierać informacje o pokątnych umowach FSB, jeśli sam brałem w niektórych z nich udział. Dzięki temu miałem też ochronę. Naprawdę zepsuci ludzie myśleli, że jestem jednym z nich. Wiem bardzo wiele o działaniach Iwana. Cóż? Może razem mamy wystarczającą wiedzę, by znaleźć te rakiety? Nie wracaj do Domu na Nabrzeżu. Nawet mnie przechodzą tam ciarki. To miejsce jest nawiedzone. Mówią, że duch Stalina krąży po korytarzach, pukając nocą do drzwi.
- Nie wyjadę z Rosji bez dysków Iwana.
- Nie wiesz, czy coś na nich jest. Nawet nie wiesz, czy wciąż są w mieszkaniu.
- Widziałam, jak Arkady wkłada moją torebkę do skarbca, nim wyszliśmy - wtrąciła Elena.
- Minęło dużo czasu. Iwan mógł komuś kazać je przenieść.
- Nie mógł. Do skarbca mają dostęp tylko trzy osoby na świecie: Iwan, Arkady i ja. Logika wskazuje, że dyski wciąż tam są.
- Ale na odzyskanie ich będziemy potrzebowali czasu. Być może będzie to oznaczać kolejne trupy. W mieszkaniu pojawi się nowy ochroniarz. Może nawet z jednym albo dwoma pomocnikami. Kiedyś sąsiedzi byli przyzwyczajeni do nocnej strzelaniny na klatce, teraz już nie. A jeśli trzeba będzie strzelać, szybko zrobi się bardzo nieciekawie.

- Grigorij, wciąż jesteś pułkownikiem FSB. A pułkownikowi FSB nikt nie podskoczy.

- Dosyć! Przestałem być pułkownikiem FSB! Chcę być dobrym facetem.

- Będiesz - powiedział Gabriel. - W chwili kiedy stawisz się na ukraińskiej granicy i powiesz, że chcesz uciec na Zachód.

Bułganow przestał patrzeć we wsteczne lustro i spojrzał przed siebie, wzdłuż Prospektu Lenina.

- Ja już jestem dobrym facetem - powiedział cicho. - Po prostu gram w beznadziejnej drużynie.

69

PLAC BOŁOTNY, MOSKWA

Prezydent Rosji patrzył z niezadowoleniem spod zmarszczonych brwi, gdy Gabriel, Elena i Grigorij Bułganow przebiegli przez ulicę i skierowali się ku Domowi na Nabrzeżu. Bułganow położył na ladzie w recepcji legitymację FSB i cicho zagroził portierowi, że obetnie mu dłoń, jeśli tylko dotknie telefonu.

- Nigdy nas tu nie było. Rozumiesz?

Przerażony portier pokiwał głową. Bułganow włożył legitymację z powrotem do kieszeni płaszcza i podszedł do prywatnej windy. Gabriel i Elena byli już w kabinie. Gdy drzwi się zamknęły, mężczyźni przeładowali broń.

Winda była stara i powolna. Podróż na dziewiąte piętro zdawała się trwać w nieskończoność. Gdy drzwi wreszcie się otworzyły, Elena stała wciśnięta w kąt, podczas gdy Gabriel i Bułganow z opuszczonymi pistoletami osłaniali ją. Środki ostrożności okazały się niepotrzebne, bo korytarz, podobnie jak przedsionek mieszkania, były puste. Wyglądało na to, że świetnie przeszkolony ochroniarz Arkadego Miedwiediewa zasnął na kanapie w salonie, oglądając pornosa na wielkim ekranie telewizora Iwana. Gabriel obudził go, wsuwając mu lufę makarowa do ucha.

- Jeśli jesteś dobrym pieskiem, dożyjesz do wschodu słońca. Jeśli złym, zapaskudzę Iwanowi kanapę. Co wybierasz? Dobry czy zły piesek?

- Dobry - powiedział strażnik.

- Słusznie. Idziemy.

Gabriel wprowadził ochroniarza do ufortyfikowanego biura Iwana, gdzie Elena już otwierała wewnętrzny skarbiec. Jej torebka leżała tam, gdzie zostawił ją Arkady Miedwiediew. Dyski były w środku. Bułganow nakazał ochroniarzowi wejść do środka i zamknął stalowe drzwi. Elena nacisnęła przycisk za drugim tomem *Anny Kareniny* i półki z książkami się zasunęły. Ochroniarz zaczął krzyczeć, ale ledwie było słyhać jego stłumiony głos.

- Może powinniśmy zostawić mu trochę wody - powiedział Bułganow.

- Nic mu nie będzie przez parę godzin. - Gabriel spojrzał na Elenę. - Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Pokręciła głową. Gabriel i Bułganow ruszyli z powrotem do windy z pistoletami w dłoniach. Portier wciąż tkwił bez ruchu za biurkiem. Bułganow przypomniał mu raz jeszcze, żeby trzymał gębę na kłódkę, po czym zaprowadził Elenę i Gabriela do samochodu.

- Jeśli nam się powiedzie, przekroczymy granicę przed świtem - powiedział Bułganow, wkładając kluczyk do stacyjki. - Chyba że macie jeszcze jakieś sprawy do załatwienia.

- Tak się składa, że owszem. Chcę, żebyś kogoś aresztował, kiedy wciąż jesteś oficerem FSB.

- Kogo?

Gabriel powiedział mu.

- Wykluczone. Nie ma szans, żebym przeszedł przez ochronę.

- Grigorij, wciąż jesteś pułkownikiem FSB. A pułkownikowi FSB nikt nie naskoczy.

70

MOSKWA

Na północnej ścianie Domu Psów światła paliły się niczym Pas Oriona; wysoko na dachu mrgały czerwone lampy przekaźników radiowych. Gabriel siedział za kierownicą samochodu służbowego pułkownika Grigorija Bułganowa. Obok niego siedziała Elena, trzymając w ręku komórkę oficera. On sam był nieobecny: na jedenastym piętrze domu aresztował właśnie Olgę Suchową, wojującą reporterkę niegdyś wojującej „Gazety Moskiewskiej”.

- Myślisz, że przyjdzie? - spytała Elena.

- Przyjdzie - powiedział Gabriel. - Nie ma wyboru. Wie, że jeśli kiedykolwiek wyjdzie z tego mieszkania, twój mąż ją zabije.

Elena wyciągnęła dłoń i dotknęła bandażu na czole Gabriela.

- Postarałam się, jak mogłam. Potrzebne będą szwy. Pewnie też coś więcej. Chyba łusy coś ci złamał.

- Na pewno pożałował, kiedy zobaczył broń w moich rękach.

- Nie wydaje mi się, że w ogóle ją zobaczył. - Dotknęła jego dłoni. - Gdzie się tego nauczyłeś?

- Niestety, miałem wiele okazji.

- Mogę ci się wypowiedzieć?

- Oczywiście.

- Cieszę się, że ich zabiłeś. Wiem, że to musi brzmieć okropnie z ust żony mordercy, ale cieszę się, że zabiłeś ich w ten sposób. Zwłaszcza Arkadego.

- Powinienem był poczekać, aż ciebie tam nie będzie. Przepraszam, Eleno.

- Czy kiedyś zapomnę?

- O ich śmierci? Nie, nigdy.

Wzięła komórkę do ręki i sprawdziła zasięg.

- Więc naprawdę nazywasz się Gabriel czy to też było oszustwo?

- To moje prawdziwe imię. Elena się uśmiechnęła.

- Czy w moim imieniu jest coś zabawnego?

- Nie, to piękne imię. Po prostu myślałam o ostatnich słowach mojej matki, nim opuściłam ją tego popołudnia: „I niech cię strzegą boże anioły”. Chyba miała rację.

- Możemy ją zabrać po drodze.

- Moją matkę? Nie możemy jechać na Ukrainę z moją matką na tylnym siedzeniu. Poza tym nie ma powodu jej zabierać. Nawet Iwan nie zrani starej kobiety. - Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu. - Czy naprawdę jesteś bożym aniołem?

- Czy wyglądam na anioła?

- Pewnie nie. - Popatrzyła na fasadę domu. - Czy to prawda, że nie wiesz, gdzie są moje dzieci?

Pokręcił głową.

- Okłamałem Arkadego. Wiem, gdzie są.

- Powiedz mi.

- Jeszcze nie. Dopiero, gdy będziemy bezpieczni za granicą.

- Patrz! - Wskazała na dom. - Zapaliło się światło. Czy to znaczy, że wpuściła go do mieszkania?

- Pewnie tak. Popatrzyła na telefon.

- Zadzwoń, do cholery. Zadzwoń.

- Zrelaksuj się, Eleno. Jest trzecia rano, a pułkownik FSB właśnie każe jej się spakować. Musi do niej dotrzeć, co się dzieje.

- Myślisz, że przyjdzie?

- Przyjdzie.

Gabriel wyjął telefon z jej dłoni i zapytał, skąd wiedziała, że jego obraz Cassatt był fałszerstwem.

- Poznałam po dłoniach.
- Jak to po dłoniach?
- Przesadziłeś z impastem.
- Sara powiedziała to samo.
- Powinieneś być jej posłuchać.

W tej samej chwili zadzwonił telefon. Gabriel podał go Elenie.

- *Da?* - powiedziała. - *Da. Da.* Spojrzała na Gabriela.

- Gabrielu, zamrugaj światłami. Chce, żebyśmy zamrugali.

Gabriel włączył i wyłączył dwa razy światła. Elena powiedziała kilka słów po rosyjsku. Światło na jedenastym piętrze zgasło.

Część czwarta

ZBIORY

71

VILLA DEI FIORI, UMBRIA

Vendemmia, coroczne winobranie, zaczęło się w Villa dei Fiori w ostatnią sobotę września. Zbiegło się w czasie z nieprzyjemną wiadomością, że konserwator postanowił wrócić do Umbrii. Hrabia Gasparri przez chwilę zastanawiał się, czy nie przyjechać z Rzymu, by poinformować służbę osobiście, uznał jednak w końcu, że wystarczy telefon do Margherity.

- Kiedy ma przyjechać? - zapytała. W jej głosie słychać było obawę.

- Nie do końca wiemy.

- Oczywiście. Będzie sam czy w towarzystwie Franceski?

- Tego też nie wiemy.

- Mamy przyjąć, że będzie dalej pracował?

- Mamy taką nadzieję - powiedział Gasparri. - Ale moi przyjaciele z Watykanu mówią, że miał jakiś wypadek. Nie spodziewam się, że będzie w bardzo dobrym nastroju.

- Jak poznamy różnicę?

- Bądź dla niego miła, Margherito. Podobno ten biedak jest po ciężkich przejściach.

Połączenie zostało przerwane. Margherita odłożyła słuchawkę i wyszła do winnicy. „Ten biedak jest po ciężkich przejściach”. Tak, pomyślała. A teraz wszystko odbije sobie na nas.”Powrót”, jak mówiła o tym wydarzeniu służba, miał miejsce tego samego dnia późnym wieczorem. Carlos, mieszkający w kamiennej chatce na wzgórzu nad pastwiskami, zauważył niewielkiego passata furgonetkę, skręcającego przez bramę i jadącego ze zgaszonymi światłami po wysypanym żwirem podjeździe ku willi. Prędko zadzwonił do Isabelli. Stała na werandzie swojego domku przy stajniach, gdy samochód przemknął koło niej w tumanie pyłu. Jej obserwacja była pobieżna, ale na jej podstawie uzyskała dwie ważne informacje: po pierwsze w samochodzie były dwie osoby - konserwator oraz kobieta, którą znali jako Francescę - po drugie to kobieta prowadziła. Dowody

wskazywały na to, powiedziała Carlosowi, że konserwator rzeczywiście miał wypadek.

Ostatnią osobą ze służby, która zobaczyła ich tamtego wieczora, była Margherita, obserwująca ze swojego okna nad kaplicą, jak idą przez dziedziniec. Margherita świetnie znała się na obserwacji, i jak to dobry obserwator, zanotowała drobne szczegóły. Wydało jej się co najmniej dziwne, że to kobieta szła przodem, poza tym w ruchach konserwatora było coś dziwnego. Stawiał kroki jakby z wahaniem. Zobaczyła go jeszcze raz, gdy pojawił się w oknie na piętrze i spojrzał na nią ponad dziedzińcem. Tym razem nie skinął po żołniersku głową. Co więcej, nie dał nawet znać, że ją zauważył. Patrzył w ciemność, jak gdyby szukał wroga, który na pewno się tam czaił, chociaż go nikt nie widział.

Okiennice zamknęły się z trzaskiem i konserwator zniknął z jej pola widzenia. Margherita trwała bez ruchu w oknie jeszcze przez długą chwilę, poruszona do głębi widokiem stojącego w świetle księżycy mężczyzny z grubym opatrunkiem na prawym oku.

Niestety przewidywania hrabiego Gaspariego co do nastroju konserwatora okazały się trafne. W przeciwieństwie do jego zachowania latem, kiedy po prostu trzymał dystans, obecnie jego humor oscylował między grobową ciszą a gwałtownymi wybuchami. Francesca bardzo ich przeproszała, ale nie wyjaśniła, skąd wzięła się rana, mówiła tylko, że miał groźny wypadek podczas pracy za granicą. Oczywiście służba zastanawiała się, co to mogło być. Ich teorie były

absurdalne i przyziemne. Byli pewni jednego: po wypadku konserwator stał się niebezpiecznie nerwowy. Anna przekonała się o tym pewnego ranka, gdy stanęła za nim, kiedy próbował czytać gazetę. Jego gwałtowna reakcja tak ją przeraziła, że poprzysięgła więcej się do niego nie zbliżać. Margherita miała zwyczaj podśpiewywać, gdy wykonywała prace domowe, co chyba wyjątkowo go irytowało.

Z początku nie wypuszczał się poza otaczające ogród etruskie mury. Przesiadywał tam popołudniami w cieniu treliazu, pijąc orvieto i czytając, dopóki oko nie zmęczyło mu się nadmiernie. Niekiedy, gdy było ciepło, szedł nad basen i ostrożnie zanurzał się w płytkiej wodzie, uważając, by nie zmoczyć opatrunku. Czasem leżał na plecach na szezlongu i podrzucał całymi godzinami piłkę tenisową, jak gdyby sprawdzał swój wzrok i refleks. Za każdym razem, gdy wracał do willi, zatrzymywał się w salonie i patrzył na puste atelier. Margherita zwróciła uwagę na fakt, że nie zatrzymywał się tam, gdzie zwykle, przed sztalugami, ale o parę kroków dalej.

- Tak jakby próbował wyobrazić sobie siebie samego przy pracy - powiedziała Annie. - Biedak wcale nie jest pewny, czy kiedykolwiek dotknie jeszcze obrazu.

Wkrótce poczuł się dość na siłach, by chodzić na spacer. Z początku nie były zbyt długie, nie chodził też szybko. Nosił ciasno przylegające okulary przeciwsłoneczne, by zakryć oczy, oraz bawelniany kapelusz nasunięty aż do nasady nosa. Czasami towarzyszyła mu kobieta, ale zwykle chodził sam i tylko psy

dotrzymywały mu towarzystwa. Isabella witała się z nim uprzejmie za każdym razem, gdy przechodził obok stajni, chociaż zwykle odpowiadał jej jedynie ponurym skinieniem głowy. Ale wraz ze wzmożoną aktywnością fizyczną jego humor poprawił się i raz nawet zatrzymał się na parę minut, by pogawędzić z nią o koniach. Isabella zaproponowała, że udzieli mu kilku lekcji, kiedy jego oko się podleczy, ale nie odpowiedział, tylko spojrzał na podchodzący do lądowania na lotnisku Fiumicino samolot pasażerski.

- Boi się pan? - zapytała go Isabella.

Tak, przyznał, gdy samolot zniknął za brunatnym wzgórzem. Bardzo się bał.

Z każdym dniem chodził coraz dalej, aż wreszcie w środku października był w stanie dojść do bramy i z powrotem. Nawet zaczął zapuszczać się z powrotem w okoliczne lasy. Pewnego dnia, gdy właśnie był w lesie, Villa dei Fiori rozbrzmiała echem wystrzału z broni małego kalibru. Parę minut później spomiędzy drzew wyłonił się konserwator, w swetrze niedbale owiniętym wokół bioder. Psy wyły, czując krew. Poinformował Carlosa, że zaszarżował na niego dzik. Niestety, zwierzę nie przeżyło spotkania. Gdy Carlos przyglądał mu się, poszukując broni, konserwator zbył go uśmiechem. Odwrócił się i ruszył żwirowaną drogą ku gospodarstwu. Carlos znalazł zwierza parę minut później. Między oczami miał bezkrwawą dziurkę. Małą i elegancką. Prawie jak namalowaną pędzlem.

Następnego dnia rano Villa dei Fiori, tak jak i reszta Europy, usłyszała wiadomości, że o włos uniknięto katastrofy na niewyobrażalną skalę. Informacje pojawiły się najpierw w Londynie, skąd reporter BBC ogłosił, że Scotland Yard właśnie przeprowadzał „antyterrorystyczne naloty na dużą skalę” we wschodniej części miasta oraz w okolicach lotnisk Heathrow i Gatwick. Później tego ranka wyjątkowo poważny premier Wielkiej Brytanii stanął przed kamerami przy Downing Street, by poinformować naród, że służby bezpieczeństwa zniweczyły plany terrorystów, którzy chcieli równocześnie zniszczyć kilka samolotów pasażerskich w brytyjskiej przestrzeni powietrznej. Nie był to pierwszy raz, gdy w Wielkiej Brytanii odkryto podobny spisek. Ale ten różnił się od poprzednich, bo do ataku planowano użyć ręcznie odpalanych rakiet przeciwlotniczych SA-18. Brytyjska policja znalazła dwanaście sztuk tej broni w przeprowadzonych o świcie nalotach i zdaniem premiera szukała kolejnych. Odmówił komentarza, skąd terroryści mieli broń, ale znacząco przypomniał dziennikarzom, gdzie ją produkowano: w Rosji. Na zakończenie premier dodał ponuro, że spisek „miał charakter globalny”, i ostrzegł dziennikarzy, że przed nimi jeszcze długi dzień.

Dziesięć minut potem w Paryżu francuski prezydent wyszedł przed kamery w Pałacu Elizejskim i ogłosił, że identyczne naloty zostały wykonane tego ranka na przedmieściach Paryża oraz na południu Francji. Jak dotąd znaleziono dwadzieścia rakiet, dziesięć w mieszkaniu nieopodal lotniska Charles’a de Gaulle’a i kolejnych

dziesięć na pokładzie kutra rybackiego w ruchliwym starym porcie w Marsylii. W przeciwieństwie do brytyjskiego premiera, który bardzo powściągliwie wypowiadał się o pochodzeniu rakiet, prezydent Francji oświadczył, że rakiety zostały dostarczone terrorystom bezpośrednio przez Rosjan. Nadmienił też, że francuskie służby bezpieczeństwa i wywiad „odegrały ważną rolę w udaremnieniu zamachów”.

Podobne sceny rozegrały się szybko jedna po drugiej w Madrycie, Rzymie, Atenach, Zurychu, Kopenhadze oraz, w końcu, po drugiej stronie Atlantyku, w Waszyngtonie. Otoczony wysokimi rangą pracownikami służb bezpieczeństwa prezydent oświadczył Amerykanom, że odkryto osiem rakiet SA-18 na pokładzie jachtu płynącego z wysp Bahama do Miami oraz sześć kolejnych w bagażniku samochodu jadącego z Kanady i próbującego przekroczyć granicę. Zatrzymano czterech podejrzanych terrorystów i właśnie trwają przesłuchania. Na podstawie zebranych przez śledczych faktów, zarówno w Stanach Zjednoczonych, jak i w Europie, odkryto, że zamachy były planowane na okolice świąt Bożego Narodzenia. Głównymi celami terrorystów miały być samoloty amerykańskie i izraelskie, gdyż zamachowcy mieli nadzieję „zwiększyć liczbę ofiar wśród krzyżowców i Żydów”. Prezydent zapewnił naród, że spisek został całkowicie udaremniony i można zupełnie bezpiecznie latać. Opinia publiczna była innego zdania. W parę godzin po tym oświadczeniu setki lotów odwołano albo przeniesiono ze względu na falę rezygnacji z biletów. Analitycy w branży przewidywali, że te

wiadomości spowodują znaczne straty finansowe w firmach lotniczych, które już i tak miały dość kłopotów.

O zmierzchu oczy całego świata były skierowane na Moskwę. Kreml zachował iście radzieckie milczenie, w miarę jak spisek był ujawniany. Zaraz po jedenastej wieczorem rzecznik prasowy rosyjskiego prezydenta wydał wreszcie krótkie oświadczenie, kategorycznie odrzucające jakiegokolwiek związki planowanych zamachów z legalnym handlem między Rosją i jej klientami na Bliskim Wschodzie. Rzecznik oświadczył, że jeżeli rakiety rzeczywiście pochodziły z rosyjskiego źródła, było to prawie na pewno przestępstwo, które zostanie zbadane przez rosyjskie władze. Jednak w parę godzin później prawdziwość rosyjskiego oświadczenia została podana w wątpliwość przez opublikowany w jednej z londyńskich gazet dramatyczny reportaż. Napisała go dziennikarka, którą ludzie na Kremlu świetnie znali: Olga Suchowa, była redaktor naczelna „Gazety Moskiewskiej”.

Był to jeden z najbardziej intrygujących aspektów całej afery. Olga Suchowa trzymana przez całe lato w areszcie domowym w swoim moskiewskim mieszkaniu jakoś wymknęła się z Rosji, podobno z pomocą pułkownika FSB Grigorija Bułganowa. Po przekroczeniu samochodem ukraińskiej granicy oboje zostali zabrani w bezpieczne miejsce do Londynu, gdzie blisko współpracowali z amerykańskimi i brytyjskimi służbami, zaangażowanymi w poszukiwanie rakiet SA-18. W zamian za współpracę Oldze

zaoferowano „okres wyłączności” na pewne szczegóły całej sprawy, szczegóły, które zostały opublikowane w spektakularnym artykule w londyńskim „Telegraphie”.

Według jej historii, opublikowanej na pierwszej stronie, rakiety przechwycone przez europejskich i amerykańskich agentów zostały z początku sprzedane Demokratycznej Republice Wschodniej Afryki przez rosyjskiego biznesmena i handlarza bronią Iwana Charkowa. Charków, zawierając transakcję, dobrze wiedział, że broń ma zostać przekazana współpracownikom Al-Kaidy w Afryce. Z artykułu wynikało także, że Charków i nieżyjący już szef jego służb bezpieczeństwa, Arkady Miedwiediew, byli zaangażowani w morderstwa dziennikarzy „Gazety”, Aleksandra Lubina i Borysa Ostrowskiego.

Przez parę następnych dni Olga Suchowa bez przerwy pojawiała się w europejskich i amerykańskich programach telewizyjnych, podobnie zresztą jak człowiek, któremu przypisywano ułatwienie jej ucieczki: pułkownik Grigorij Bułganow z FSB. Opowiadał o szalejącej korupcji w jego byłych służbach, ostrzegł też, że nowi władcy Kremla byli po prostu przebranymi zbirami z KGB, którzy na każdym kroku szukali konfrontacji z Zachodem.

Pod koniec tygodnia on i Olga Suchowa podpisali bardzo dochodowe kontrakty na książki. O człowieku, który znajdował się w samym centrum tej burzy, wszelki śluch zaginął. Iwan Borysowicz Charków, deweloper nieruchomości, inwestor wysokiego ryzyka oraz

międzynarodowy handlarz bronią najwyraźniej rozplątał się w powietrzu.

Jego aktywa zostały szybko przejęte, konta bankowe zamrożone. Przez pewien czas jego liczne rezydencje otaczali dzień i noc reporterzy i ekipy filmowe. W końcu, kiedy stało się jasne, że Iwan nie wróci, dziennikarze ruszyli szukać innych ofiar.

Lista krajów, w których nagle Iwan był poszukiwany listem gończym, zrobiła się długa i do pewnego stopnia nedorzeczna. Nawet najzłośliwsi obserwatorzy musieli przyznać, że była w tym pewna ironia. Przez lata Iwan bezwzględnie rozniecał mordercze wojny domowe i konflikty w Trzecim Świecie, a Zachód prawie wcale mu w tym nie przeszkadzał. Ale kiedy tylko przekroczył moralną granicę, gdy odważył się sprzedać broń siłom globalnego islamskiego ekstremizmu, rządy cywilizowanych krajów świata zwróciły na niego uwagę. Nawet gdyby Al-Kaidzie udało się przeprowadzić zamachy zgodnie z planem, zauważył jeden z komentatorów, liczba ofiar stanowiłaby ledwie ułamek ofiar broni i amunicji Iwana w Afryce.

Wszyscy zakładali, że schronił się gdzieś w Rosji. Punktem spornym było to, jak udało mu się tam dostać z Francji, gdzie po raz ostatni go widziano. Pracownicy francuskiego zarządu lotnictwa potwierdzili, że prywatny samolot Iwana opuścił Lazurowe Wybrzeże rankiem dwudziestego szóstego sierpnia, ale mimo ponawianych próśb odmówili ujawnienia planu lotu oraz listy pasażerów. Prasa domagała się informacji, czy francuskie władze wiedziały w dniu

wylotu o posunięciach Iwana. A jeśli tak, to czemu pozwolono mu odlecieć?

W obliczu nadchodzącej medialnej burzy francuskie władze musiały w końcu przyznać, że rzeczywiście wiedziały o udziale Iwana w sprzedaży rakiet w dniu rzeczonego lotu, ale „ze względów operacyjnych” pozwolono mu opuścić Francję. Zapominając całkowicie o tych względach, francuska prokuratura chciała dostać Iwana z powrotem, podobnie jak prokuratorzy w Wielkiej Brytanii, gdzie przedstawiono Iwanowi długą listę zarzutów kryminalnych, od prania pieniędzy do udziału w spisku mającym na celu masowe zamachy. Rzecznik prasowy Kremla odrzucił oskarżenia jako „zachodnie kłamstwa i propagandę” i zauważył, że zgodnie z rosyjskim prawem wydanie pana Charkowa nie jest możliwe. Oświadczył też, że rosyjskie władze nie mają pojęcia o miejscu pobytu pana Charkowa i nie wiedzą nawet, czy jest w kraju. Czterdzieści osiem godzin później, gdy ujawniono fotografię Iwana bawiącego się na przyjęciu na Kremlu u ponownie wybranego rosyjskiego prezydenta, Moskwa nie pofatygowała się tego skomentować. Na Zachodzie zwrócono uwagę, że towarzyszyła mu tam oszałamiająco piękna, młoda supermodelka Katierina Mazurów, a nie jego wytworna żona. Tydzień później złożył w rosyjskim sądzie pozew o rozwód, oskarżając Elenę Charków o różnorakie grzechy, od niewierności po znęcanie się nad dziećmi. Elena nie mogła odpowiedzieć na postawione zarzuty. Wydawało się, że znikła z powierzchni ziemi.

Żadna z tych rzeczy nie zaprzętała zbytnio uwagi służby w Villa dei Fiori w Umbrii, gdyż były o wiele ważniejsze sprawy. Należało skończyć winobranie i ponaprawiać ogrodzenia. Jeden z koni skaleczył się w nogę i trzeba było załatać dziurę w dachu, nim nadejdą zimowe ulewy. Był też melancholijny mężczyzna z opaską na oku, który bał się, że może już nigdy nie wrócić do pracy. Teraz musiał tylko czekać i rzucać piłką tenisową w etruskie mury otaczające ogród, mógł też chodzić na długie spacery z psami u nogi.

72

VILLA DEI FIORI, UMBRIA

Tydzień później Ari Szamron zadzwonił, wpraszając się na lunch. Przyjechał samochodem z ambasady z Dżilą u boku. Popołudnie było wietrzne i zimne, więc zjedli wewnątrz, w sali jadalnej przeznaczonej na oficjalne okazje. Na otwartym palenisku płonęło drewno oliwne. Szamron przedstawiał się jako *herr* Heller. Był to jeden z jego wielu zawodowych pseudonimów. Przy Annie i Marghericie mówił tylko po niemiecku. Kiedy lunch dobiegł końca, Chiara i Dżila pomogły sprzątać naczynia. Gabriel i Szamron włożyli płaszcze i ruszyli żwirowaną drogą, biegnącą pod rozłożystymi sosnami. Szamron poczekał, aż odejdą sto metrów od gospodarstwa, po czym zapalił tureckiego papierosa.

- Nie mów Dżili - powiedział. - Znowu mnie męczy, żebym rzucił.

- Ona nie jest aż tak naiwna, jak ci się wydaje. Wie, że palisz za jej plecami.

- Nie przeszkadza jej to, jeśli chociaż próbuję się ukryć.

- Przynajmniej raz powinieneś jej usłuchać. Ten nałóg cię wykończy.

- Synu, jestem równie stary co te wzgórza. Daj mi się nacieszyć życiem, póki wciąż tu jestem.

- Czemu mi nie powiedziałeś, że Dżila przyjedzie z tobą?

- Musiałem zapomnieć. Nie jestem przyzwyczajony do podróżowania z żoną. Stąd jedziemy do Wiednia posłuchać muzyki. A potem do Londynu, żeby pójść do teatru.

Szamron powiedział to tak, jak gdyby skazano go na miesiąc w karczerze o chlebie i wodzie.

- Ari, to właśnie robią ludzie na emeryturze. Podróżują. Odpoczywają.

- Nie jestem na emeryturze. O Boże, nienawidzę tego słowa. Niedługo oskarżysz mnie, że nie żyję.

- Ari, spróbuj się tym nacieszyć, zrób to, jeśli nie dla siebie, to dla Dżili. Zasluguje na wakacje w Europie. Wszyscy bardzo cię kochamy, ale nie jesteś przykładowym mężem i ojcem.

- Za swoje grzechy zostanę ukarany tygodniem Mozarta i Pintera. Szli przez moment w milczeniu. Gabriel miał wzrok wbity w ziemię. Szamron zostawiał za nimi kłęby dymu niczym parowóz.

- Słyszałem, że jutro przywiozą lekarza, żeby zdjął ci bandaż.

- To dlatego przyjechałeś? Zobaczyć wielkie odsłonięcie?

- Pomyśleliśmy z Dżilą, że dobrze ci zrobi, jeśli będzie ci towarzyszyć rodzina. Źle zrobiliśmy?

- Ari, jasne, że nie. Po prostu mogę okazać się kiepskim towarzyszem. Ten goryl złamał mi kość w oczodole i poważnie uszkodził siatkówkę. W najlepszym wypadku przez dłuższy czas będę widział wszystko rozmyte.

- A najgorsza możliwość?

- Znaczna utrata wzroku. Nie najlepsza perspektywa dla kogoś, kto zarabia na życie, odnawiając obrazy.

- Zarabiasz na życie, broniąc Państwa Izrael. - Odpowiedziało mu milczenie. Szamron spojrział na poruszające się na wietrze korony drzew. - Gabrielu, co ci się stało? Nie wygłosisz przemówienia o tym, że masz zamiar opuścić Biuro? Ani wykładu o tym, że dość już dałeś swojemu ludowi i krajowi?

- Ari, zawsze będę dla ciebie dostępny. Oczywiście, jeśli odzyskam wzrok.

- Jakie masz teraz plany?

- Pozostanę gościem hrabiego Gasparri, dopóki nie zostanę wyproszony. I jeśli pozwoli mi na to wzrok, odrestauruję kilka obrazów dla Muzeum Watykańskiego. Pamiętasz może, że pracowałem nad jednym z nich, kiedy poprosiłeś mnie, żebym udał się na krótko do Rzymu. Niestety musiałem dać ten obraz do skończenia komuś innemu.

- Obawiam się, że ci nie współczuję. Tą krótką wyprawą do Rzymu ocaliłeś tysiące ludzi. To ważniejsze niż odrestaurowanie obrazu.

Doszli do rozwidlenia ścieżek. Szamron popatrzył na duży drewniany krucyfiks i pokręcił powoli głową.

- Wspomniałem może, że Dżila i ja zjedliśmy wczoraj kolację z *monsiniorem* Luigim Donatim oraz Jego Świątobliwością?

- Nie, nie wspomniałeś.

- Jego Świątobliwość był bardzo zadowolony, że Kościół odegrał niewielką rolę w upadku Iwana. Jednakże bardzo zależy mu na tym, by pozostało to tajemnicą. Nie chce więcej trupów w bazylice.

- Trudno się dziwić - powiedział Gabriel.

- Co racja, to racja - zgodził się Szamron.

To był jeden z aspektów sprawy, który pozostał tajemnicą. Dzieci Iwana po opuszczeniu Saint-Tropez zostały zabrane do odosobnionego klasztoru w Alpach Nadmorskich. Zostały tam prawie przez tydzień pod ochroną Kościoła, za zgodą i z pełnym poparciem Ojca Świętego, nim potajemnie przewieziono je do Stanów Zjednoczonych należącym do CIA odrzutowcem Gulfstream.

- Gdzie oni są? - zapytał Gabriel.

- Elena z dziećmi? - Szamron rzucił papierosa na ziemię i zgniótł go butem. - Nie mam pojęcia. I szczerze mówiąc, nie chcę wiedzieć. To już problem Adriana. Iwan zaczął coś więcej niż procedurę rozwodową. Stworzył w swoich służbach bezpieczeństwa specjalną

jednostkę, która ma jedno zadanie: znaleźć Elenę i dzieci. Chce odzyskać dzieci, a ją zabić.

- A Olga i Grigorij?

- Twój znajomy, Graham Seymour, usłyszał pogłoski o zmierzających ku angielskim wybrzeżom rosyjskich zabójcach. Olga siedzi zamknięta w lokalu konspiracyjnym pod Londynem, otoczona przez uzbrojoną ochronę. Grigorij to co innego. Powiedział Grahamowi, że umie się o siebie zatroszczyć.

- I Graham się zgodził?

- Nie do końca. Ma Grigorija pod ciągłą obserwacją.

- Pod obserwacją? Obserwatorzy nie ocalą nikogo przed rosyjskim zabójcą. Grigorij powinien być otoczony uzbrojonymi ludźmi.

- Ty też. - Szamron nawet nie próbował skryć irytacji w głosie. - Gdyby to zależało ode mnie, byłbyś zamknięty gdzieś w Izraelu, gdzie Iwanowi nawet nie przyszłoby do głowy cię szukać.

- I zastanawiasz się pewnie, czemu wolę być tutaj.

- Po prostu nawet nie myśl o wychodzeniu poza tereny gospodarstwa, dopóki Iwan nie ochłonie.

- Jakoś nie wydaje mi się, żeby Iwan należał do ludzi, którzy zapominają, że mieli z kimś na pieńku.

- Mnie też się tak nie wydaje.

- Może po prostu powinniśmy go zabić i skończyć z tym. Szamron popatrzył na bandaż na oku Gabriela.

- Iwan poczeka, synu. Masz inne zmartwienia.

Dotarli do stajni. W przyległej zagrodzie dwie świnie tarzały się w błocie. Szamron popatrzył na zwierzęta i skrzywił się z odrazą.

- Najpierw krucyfiks, a teraz świnie. Co dalej?

- Mamy tu kaplicę.

Szamron zapalił kolejnego papierosa.

- Zmęczyłem się - powiedział. - Wracajmy.

Odwrócili się i ruszyli w stronę willi. Szamron wyjął kopertę z kieszeni swojej skórzanej kurtki pilotki i podał ją Gabrielowi.

- To list od Eleny - powiedział. - Adrian Carter przesłał go do Tel Awiwu.

- Przeczytałeś go?

- Jasne.

Otworzył kopertę i przeczytał list po cichu.

- Dasz radę? - zapytał Szamron.

- Zobaczymy po wielkim odsłonięciu.

- Może Dżila i ja powinniśmy zostać tu parę dni, na wypadek gdyby coś poszło nie tak.

- A Mozart i Pinter?

- Wolę być tutaj - rozejrzał się teatralnie - wśród świń i krucyfiksów.

- W takim razie z przyjemnością was ugościmy.

- Czy służba naprawdę nie ma pojęcia, kim jesteś?

- Sądzą, że jestem ekscentrycznym konserwatorem sztuki, który cierpi na melancholię i huśtawkę nastrojów.

Szamron położył Gabrielowi dłoń na ramieniu.

- Wydaje mi się, że całkiem dobrze cię znają.

73

VILLA DEI FIORI, UMBRIA

Lekarz przybył następnego dnia. Był Izraelczykiem, chociaż pochodził z Queens w Nowym Jorku, nosił brodę niczym rabin i miał małe, mięciutkie dłonie dziecka. Zdjął bandaż z oka Gabriela, nachmurzył poważnie czoło i zaczął odcinać szwy.

- Proszę mi powiedzieć, jeśli coś zaboli.

- Niech się pan nie boi, dowie się pan pierwszy. Poświecił lampką w oko Gabriela i zmarszczył brwi.

- Jak się pan czuje, kiedy to robię?

- Jakby wypalał mi pan dziurę w oku. Doktor zgasił lampkę.

- A teraz?

- Jakby było pokryte watą i wazeliną.

- Widzi pan coś?

- Nie powiedziałbym. Zakrył zdrowe oko Gabriela.

- Ile widzi pan palców?

- Dwanaście.

- Proszę się nie wygłupiać. Ile?

- Chyba cztery, ale nie jestem pewien.

Lekarz odsłonił jego zdrowe oko. Trzymał uniesione w górze dwa palce. Wpuścił mu do oka jakieś krople, które paliły niczym kwas z akumulatora, i zakrył oko czarną opaską.

- Wyglądam jak debil.

- To nie na długo. Pańska siatkówka jest w zaskakująco dobrym stanie, biorąc pod uwagę to, co pan przeszedł. Miał pan wiele szczęścia. Proszę nosić opaskę na zmianę. Przez parę dni, zanim oko odzyska trochę sił, godzinę opaska na oku, godzinę oko bez opaski. Rozumie pan?

- Tak, chyba tak.

- Proszę unikać jaskrawych świateł. I proszę nie robić nic, przy czym musiałby pan niepotrzebnie wyteżać wzrok.

- A co z malowaniem?

- Może pan o tym zapomnieć, przynajmniej na następne trzy dni.

Lekarz schował latarkę i nożyczki do torby, po czym zasunął suwak. Gabriel podziękował mu, że przyleciał aż z Tel Awiwu na pięciominutową robotę.

- Proszę tylko nikomu nie mówić, że pan tu był - dodał. - Bo inaczej ten stojący w rogu człowieczek zabije pana gołymi rękami.

Doktor spojrział na Szamrona, któremu udało się obejrzeć całą procedurę, nie dając ani jednej rady.

- Czy to prawda, co o nim mówią? To naprawdę on porwał Eichmanna?

Gabriel skinął głową.

- Mogę uścisnąć mu dłoń? Chcę dotknąć rąk, które pochwyciły potwora.

- Proszę bardzo - powiedział Gabriel. - Ale niech pan uważa. Gryzie.

Nie chciał nosić opaski, ale sam musiał przyznać, że lepiej wyglądał w niej niż bez. Tkanka wokół oka wciąż była zniekształcona od opuchlizny, a nowa blizna była zaczerwieniona i paskudna.

- W końcu będziesz wyglądał jak kiedyś - zapewniała go Chiara.
- Ale to potrwa. Rany na starszych facetach nie goją się tak szybko jak na młodych.

Optymizm lekarza co do tempa powrotu do zdrowia okazał się słuszny. Gabriel widział coraz lepiej i następnego ranka jego wzrok wydawał się prawie normalny. Czuł się gotów, by zacząć pracę dla Eleny, ale skupił wysiłki tylko na jednym zadaniu: sporządzeniu bleitramu o odpowiednich wymiarach. Kiedy skończył, pokrył go lnianym płótnem, a płótno zagruntował. Następnie umieścił je na sztaludze i czekał, aż wyschnie.

Tej nocy źle spał, obudził się o czwartej. Próbował znowu zasnąć, ale nie mógł, więc wyslizgnął się z łóżka i zszedł do pracowni. Rankami zawsze dobrze mu się pracowało i teraz też tak było, pomimo słabego oka. Nałożył pierwszą warstwę podkładu. Koło południa na płótnie było wyraźnie widać kontury dwojga dzieci.

Zrobił sobie przerwę na lunch, po czym malował dalej aż do kolacji. Malował z pamięci, nie musiał nawet spoglądać na fotografię, z gracją i pewnością siebie, które jeszcze tydzień wcześniej byłyby niemożliwe. Czasami, gdy w domu panowała cisza, prawie czuł jej obecność przy boku. Szeptala mu do ucha instrukcje. „Uważaj na pociągnięcia pędzla na dłoniach”, przypomniła mu. „Nie przesadzaj z

impastem na rękach”. Czasami, kiedy wzrok mu się rozmywał, widział Elenę przykutą do krzesła w należącym do jej męża magazynie śmierci. Do głowy miała przystawiony pistolet. „Arkady, pociągnij za spust, bo Iwan i tak nigdy nie odzyska dzieci”.

Chiara i służba wiedzieli, że nie należy patrzeć na niego, gdy pracuje, ale Szamron i Dżila nie znali tych zasad i rzadko go odstępowali. Wizyty Dżili były krótkie, natomiast Szamron nie miał nic innego do roboty i stał się stałym elementem pracowni. Zawsze zaskakiwały go jego umiejętności malarskie, wydawały mu się oszustwem albo sztuczką i z przyjemnością siedział u boku pracującego Gabriela, nawet jeśli musiał przez to porzucić papierosy.

- W siedemdziesiątym drugim powinienem był cię zostawić w Bezalel - powiedział pewnej nocy. Było późno. - Powinienem był znaleźć kogoś innego, żeby zabił tych morderców z Czarnego Września. Byłbyś jednym z najlepszych artystów swojego pokolenia, a nie...

- A nie kim?

- A nie ekscentrycznym konserwatorem sztuki, popadającym w melancholię i mającym huśtawki nastrojów, mieszkającym w willi w Umbrii, otoczonym przez świnie i krucyfiksy.

- Ari, jestem szczęśliwy. Mam Chiare.

- Trzymaj ją blisko siebie, Gabrielu. Pamiętaj, że Iwan lubi niszczyć wszystko co piękne.

Gabriel odłożył pędzel, po czym zrobił krok do tyłu i przez długi czas przyglądał się obrazowi z ręką na podbródku i przekrzywioną na bok głową.

- Skończone, *signore* Vianelli? - zapytała obserwująca go ze szczytu schodów Chiara.

Gabriel przez moment milczał.

- Tak - powiedział w końcu. - Chyba skończyłem.

- A co zrobisz z podpisem? - zapytał Szamron.

- Nie jestem pewien.

- Mogę udzielić ci artystycznej porady?

- Jeśli musisz.

- Podpisz się imieniem, które nadała ci matka.

Zanurzył pędzel w czarnej farbie i podpisał się w lewym dolnym rogu: Gabriel Allon.

- Myślisz, że się jej spodoba?

- Na pewno. Jest gotowy?

- Niezupełnie - powiedział Gabriel. - Muszę jeszcze włożyć go do piekarnika na pół godziny.

- Powinienem być cię zostawić w Bezael - powiedział Szamron.

- Byłbyś wielki.

Od autora

Reguły Moskwy są fikcją literacką. Nazwiska, postaci, miejsca i wydarzenia przedstawione w powieści są dziełem wyobraźni autora i

zostały wykorzystane w sposób fikcyjny. Jakikolwiek podobieństwo do prawdziwych osób, żywych bądź zmarłych, jakikolwiek podobieństwo do istniejących firm, nawiązanie do prawdziwych wydarzeń i miejsc jest zupełnie przypadkowe.

Obraz *Dwoje dzieci na plaży* Mary Cassatt nie istnieje, więc nie mógł zostać sfalszowany. Gdyby istniał, byłby bardzo podobny do obrazu *Dzieci bawiące się na plaży*, wiszącego w Narodowej Galerii Sztuki w Waszyngtonie. Odwiedzający francuski kurort narciarski Courchevel na próżno będą szukać tam hotelu Grand, bo też został zmyślony. Biuro obsługi lotów Riviera nie istnieje, pozmieniałem też rozkłady lotów samolotów, by pasowały do mojej opowieści. Cmentarz Nowodziewiczy oddany jest wiernie, tak jak i Dom na Nabrzeżu, chociaż ten obecnie jest mniej złowrogim miejscem, niż mogłoby wynikać z mojego opisu. FSB naprawdę jest wewnętrzną służbą bezpieczeństwa Federacji Rosyjskiej i napisano wiele sprawozdań o jej rozlicznych grzechach. Najmocniej przepraszam dyrektora działu impresjonistów i starych mistrzów w domu aukcyjnym Christie's w Londynie. Na pewno nie przypomina Alistaira Leacha. O ile wiem, przy ulicy N w Georgetown nie ma lokalu konspiracyjnego CIA.

„Gazeta Moskiewska” nie istnieje, ale niestety rosyjscy dziennikarze naprawdę żyją w ciągłym niebezpieczeństwie. Według doniesień Komitetu Ochrony Dziennikarzy, od 1992 roku w Rosji zginęło czterdziestu siedmiu reporterów, redaktorów, operatorów kamer i fotografów, przez co jest to trzeci najniebezpieczniejszy kraj

świata dla dziennikarzy, po Iraku i Algierii. Czternaścioro z nich zginęło za rządów prezydenta Władimira Putina, który od objęcia władzy w 1999 roku regularnie tłumi wolność prasy i polityczną opozycję. Wszystkie morderstwa zostały dokonane na zlecenie i prawie żadne nie zostało wyjaśnione.

Najsłynniejszą reporterką zamordowaną za rządów Putina była Anna Politkowska, zastrzelona przez napastników w windzie w swojej kamienicy w Moskwie w październiku 2006 roku. Jawnie sprzeciwiała się reżimowi i właśnie miała opublikować dociekliwy artykuł, mający na celu opisanie tortur i porwań, stosowanych w Czeczenii przez rosyjskie wojsko i służby specjalne. Putin określił Politkowska jako osobę o „marginalnym znaczeniu” i ani on, ani nikt inny z Kremla nie wziął udziału w jej pogrzebie.

Sześć miesięcy po zabójstwie Politkowskiej Iwan Safronow, cieszący się dużym szacunkiem, specjalizujący się w sprawach wojskowych dziennikarz gazety „Kommiersant” został znaleziony martwy na placu przed swoją moskiewską kamienicą. Rosyjska milicja twierdziła, że popełnił samobójstwo, rzucając się z okna na piątym piętrze, chociaż mieszkał na trzecim. Gdy prowadziłem w Moskwie badania, dowiedziałem się, że Safronow, idąc do domu, zadzwonił do żony, bo chciał kupić po drodze pomarańcze. Samobójcy raczej tak nie postępują. Podobno znaleziono czapkę Iwana oraz pomarańcze, rozsypane na klatce schodowej między czwartym a piątym piętrem. Zdaniem świadków Safronow żył przez parę minut po upadku i nawet próbował wstać. Nie przeżył jednak

nieudolności moskiewskiego pogotowia, które przysłało pomoc dopiero po półgodzinie. „Pielęgniarze” założyli, że Safronow wypadł pijany przez otwarte okno. Autopsja nie wykazała w jego organizmie żadnych śladów alkoholu ani narkotyków.

Jeśli śmierć Iwana Safronowa była morderstwem, a nie samobójstwem, to kto go zabił i dlaczego? Tak jak Anna Politkowska, również Iwan Safronow podobno odkrył informacje, których Kreml Putina nie chciał ujawniać, a dokładniej fakt, że Rosja miała zamiar sprzedać nowoczesne myśliwce i rakiety dwóm krajom na Bliskim Wschodzie, Iranowi i Syrii. By dać Kremlowi możliwość wyparcia się udziału w sprzedaży, kontrakt rzekomo zawarto przez białoruskiego handlarza bronią. Safronow podobno potwierdził szczegóły kontraktu podczas podróży po Bliskim Wschodzie zaraz przed śmiercią.

Prowadzony przez Rosję swobodny handel bronią na Bliskim Wschodzie został dobrze udokumentowany, tak jak działania „prywatnych” rosyjskich handlarzy. Jednym z nich jest Wiktor But. Często zwany handlarzem śmiercią, uznawany za najbardziej notorycznego przemytnika broni But sprzedawał podobno broń całej plejadzie klientów, wliczając w to Hezbollah, talibów i nawet oddziały Al-Kaidy. W 2006 roku amerykański departament finansów przejął część samolotów Buta i zamroził jego aktywa. W marcu 2008 roku, gdy kończyłem *Reguły Moskwy*, aresztowano go w luksusowym hotelu w Bangkoku na skutek przeprowadzonej przez amerykański wywiad operacji. Oskarża się go o sprzedaż rebeliantom FARC w Kolumbii wartej miliony dolarów broni, w tym ręcznych wyrzutni

rakiet przeciwlotniczych. W chwili gdy piszę te słowa, siedzi w tajskim więzieniu, oczekując na proces i możliwą ekstradycję do Stanów Zjednoczonych, gdzie zostaną mu postawione zarzuty.

Wreszcie notka o tytule. Wielu z nas po raz pierwszy usłyszało sformułowanie „reguły Moskwy” podczas lektury klasycznej powieści szpiegowskiej Johna Le Carrégo *Ludzie Smileya*. Chociaż genialny pan Le Carre wymyślił większą część swojego leksykonu szpiegowskiego, „reguły Moskwy” były prawdziwym zestawem zasad operacyjnych za czasów zimnej wojny i pozostają w użyciu do dziś, chociaż zimną wojnę uważa się za skończoną. Można znaleźć je w różnych wersjach i w różnych źródłach. CIA podobno nigdy nie spisała ich na papierze. Funkcjonariusz Agencji poinformował mnie, że reguła będąca mottem tej powieści jest prawdziwa i przez całe szkolenie wbija się do głowy amerykańskim szpiegom. Niestety rosyjscy dziennikarze są zmuszeni działać wedle podobnych zasad - przynajmniej ci, którzy ośmielają się kwestionować nowych panów na Kremlu.

Podziękowania

Ta powieść, tak jak poprzednie z serii o Gabrielu Allonie, nie powstałaby bez pomocy Davida Bulla, który naprawdę jest jednym z najlepszych konserwatorów dzieł sztuki na świecie. David zwykle radzi mi, jak się czyścić obrazy. Tym razem jednak podpowiedział mi także, jak ktoś tak utalentowany jak Gabriel sfalszowałby w pośpiechu

obraz. Technika, którą Gabriel stworzył krakelury, jest bardzo skróconą wersją metody opracowanej przez Hana van Meegerena, Holendra często opisywanego jako najlepszego fałszerza w historii.

Mam dług wdzięczności wobec kilkorga dzielnych rosyjskich dziennikarzy z Moskwy, którzy podzielili się ze mną swoimi doświadczeniami. Z oczywistych przyczyn nie mogę wymienić tu ich nazwisk, ale podziwiam ich odwagę i poświęcenie swobodom obywatelskim, które na Zachodzie traktowane są jako rzeczy oczywiste. Jim Maceda z „NBC News” był jak zawsze nieocenionym źródłem informacji, podobnie jak Jonathan, który zaprowadził mnie w różne zakątki Starego Aibatu, niemożliwe do odnalezienia bez jego pomocy. Moi przewodnicy po Sankt Petersburgu i Moskwie zorganizowali mi świetne wycieczki, podczas gdy Tania odkryła przede mną duszę dziewczyny z Leningradu. Bardzo serdeczne podziękowania należą się porucznikowi FSB, który oprowadził mnie po korytarzach Łubianki, oraz mojemu kierowcy w Moskwie, który powiedział poetycko, że „nie umiemy żyć jak normalni ludzie”. Nie wiedziałem tego wcześniej, ale to właśnie dzięki temu powiedzeniu zyskałem szkielet mojej powieści.

Kilku agentów izraelskich i amerykańskich służb wywiadowczych wyjaśniło mi różne ogólne sprawy, za co bardzo im dziękuję, chociaż wolą pozostać anonimowi. Szczególne podziękowania należą się J., który postanowił służyć swojemu krajowi w tajemnicy, zamiast wykorzystywać własny geniusz do zarabiania pieniędzy. Wszyscy jesteśmy jego dłużnikami.

Bardzo wysoki rangą pracownik administracji hojnie obdarował mnie informacjami o swoich własnych doświadczeniach z nową Rosją i przez cały czas zachęcał mnie do pracy. Były prezydent Stanów Zjednoczonych, George H.W. Bush, pani Barbara Bush oraz James Baker, ich wspaniały sekretarz stanu, bardzo mnie wspierali i dali mi nieocenione wskazówki na temat tego, jak podejmuje się przybywającą z wizytą głowę państwa. Roger Cressey opowiedział mi o prawdziwych rosyjskich handlarzach bronią i wyjaśnił, jak mógłbym wyłączyć część moskiewskich telefonów. David Zara z Tradewind Aviation pomógł mi ukraść samolot oligarchy. Wielkie podziękowania należą się hotelom Astoria w Sankt Petersburgu, Savoy w Moskwie, Metropole w Genewie, Hotel les Grandes Alpes w Courchevel i Chateau de la Messardiere w Saint-Tropez. Proszę wybaczyć mi skargi postaci w mojej książce; to kapryśna gromadka, która zbyt wiele podróżuje. Jestem też dozgonnie wdzięczny pracownikom położonej na uboczu hodowli bydła na wzgórzach Umbrii. Dzięki nim moja rodzina i moi bohaterowie spędzili niezapomniane lato.

Przewertowałem setki książek, gazet, magazynów, przejrzałem setki stron internetowych przy pisaniu *Reguł Moskwy*. Jest ich zbyt dużo, by wszystkie tu wymienić. Jednakże nie mogę pominąć wspaniałej wiedzy i zdolności reporterskich takich osób, jak: Robert Service, Peter Baker, Susan Glasser, David E. Hoffman, David Remnick, Alex Goldfarb, Marina Litwinienko, Anna Politkowska, Hedrick Smith, Peter Landesman, Douglas Farah, Stephen Braun i

Annę Applebaum. Felietony Anne były dla mnie inspiracją, a jej nagrodzona Pulitzerem książka *Gulag* jest genialnym przypomnieniem nie tak dawnej przeszłości Rosji.

Chris Donovan dostarczył mi prawdziwie niebiańskich informacji badawczych. Louis Toscano naniósł mnóstwo poprawek na mój manuskrypt i zrobili to również moi redaktorzy, Tony Davis i Kathy Crosby. Specjalne podziękowania należą się wspaniałej ekipie z wydawnictwa Putnam. Wśród nich są Neil Nyren, Marilyn Ducksworth i Ivan Held, który użyczył mi swojego imienia, bym nadał je głównemu złoczyńcy. Oczywiście jest, że ta książka nie powstałaby bez ich pomocy, ale na wszelki wypadek i tak to powiem. Jesteście po prostu najlepsi w tej branży.

Mam szczęście mieć wielu przyjaciół, którzy wypełniają moje życie pisarza śmiechem i miłością w trudnych chwilach, a są to zwłaszcza Henry i Stacey Winkler, Andrea i Tim Collins, Greg Craig i Derry Noyes, Enola Aird i Stephen L. Carter, Lisa Myers i Marcia Harrison, Mitch Glazer i Kelly Lynch oraz Jane i Burt Bacharach. Podczas pracy nad książką słuchałem na okrągło *Painted from Memory*, wspaniałego owocu współpracy Burta z Eblisem Costello. Nawet udało mi się wcisnąć ten tytuł do ostatniego rozdziału. Członkowie „The Peleton” okazali się wspaniałymi towarzyszami i przyjaciółmi podczas długiej, spędzonej na pisaniu zimy. Moi partnerzy w badaniach - David Gregory, Jeffrey Goldberg, Steven Weisman, Martin Indyk, Franklin Foer, Noah Oppenheim i Erica

Brown - pomagali mojemu sercu skupić się na najważniejszych sprawach, nawet gdy myślami byłem gdzie indziej.

Chcę również wyrazić najserdeczniejsze podziękowania moim najukochańszym dzieciom, Lily i Nicholasowi, którzy byli u mojego boku przez całą podróż, od samego początku. Wreszcie moja żona, Jamie Gangel, pomagała mi okiełznać treść powieści, gdy już nie mogłem jej pojąć, i umiejętnie poprawiała moje wczesne szkice. Bez jej cierpliwości, skrupulatności i wyrozumiałości *Reguły Moskwy* nie mogłyby powstać. Mój dług wobec niej jest niezmierny, tak jak i moja miłość.